

Warren Adler

Prywatne kłamstwa

Warszawa 1993

Kilimandżaro to pokryta śniegiem góra, wysokości 19 710 stóp, o której powiadają, że jest najwyższa w Afryce. Szczyt zachodni znany jest pod nazwą "Ngaje Ngai", czyli Dom Boga. Tuż pod zachodnim szczytem leży wyschnięty i zamrożony szkielet lamparta. Nikt nie potrafił dotąd wytłumaczyć, czego mógł szukać lampart na tak wielkiej wysokości.

Ernest Hemingway "Śniegi Kilimandżaro"
(w przekładzie Miry Michałowskiej)

Rozdział I

Ken uzmysłowił sobie, że wszystko zaczęło się od błysku nagłego przeczucia; w jednej chwili wiedział, że statek jego życia, zacumowany dotąd w spokojnej przystani, zaczyna się wypuszczać na niebezpieczne wody.

Przyglądał się tym dwojgu, jak zadyszani strzepują krople kwietniowego deszczu z płaszczy nieprzemakalnych i podają je szatniarce u Pumpkinsa. Tę drogą restaurację na Second Avenue, z eklektyczną kuchnią Zachodniego Wybrzeża i atmosferą luksusu Art D,co, wybrała Maggie.

Siedział na wprost wejścia i najpierw zobaczył profil kobiety, gdy ocierała policzki papierową chusteczką. To nie może być ona, pomyślał w pierwszej chwili i nagle zdał sobie sprawę, że wypatrywał jej twarzy od ponad dwudziestu lat.

Próbował wmówić sobie, że się myli. Wiedział, że to jego obsesyjna autosugestia podsuwa mu jej obraz. Przecież to niemożliwe, to nie może być Carol Stein: nie sposób powstrzymać procesu starzenia się. A jednak nie potrafił oderwać od niej oczu. Był w niej ten sam spokojny wdzięk płynącego łabędzia, postawa tancerki i kocia twarz z wysokimi kośćmi policzkowymi, to samo pochylenie głowy i wyraźnie zarysowana ostra linia brody nad długą, smukłą białą szyją.

Oprócz uczuciowego wstrząsu i mocnego ciosu w splot słoneczny psyche, zaskoczyła go również fizyczna reakcja własnego organizmu. Serce wyskakiwało Kenowi z piersi, zaschło mu w gardle, plecy oblały się zimnym potem.

Maggie, żona Kena, pomachała ręką, a wysoki mężczyzna w dwurzędowym prążkowanym garniturze i eleganckim złoto-niebieskim krawacie w pasy odpowiedział jej podobnym gestem, po czym poklepał po ramieniu kobietę, która była repliką Carol Stein.

Ken obserwował jej zgrabne, precyzyjne ruchy baletnicy, gdy zbliżała się w jego stronę: ciało płynęło w takt własnego wewnętrznego rytmu, a długa jedwabna spódnica unosiła się nad botkami z miękkiej skóry jak w delikatnych powiewach wiatru. Dobrze mu znana, zmysłowa gracia tej kobiety na nowo roznieciła w nim wirujące erotyzmem wspomnienia.

Czyżby po dwudziestu trzech latach Carol Stein znowu miała wkroczyć w jego życie? Poczuł podmuch dawnego żaru, płomienną namiętność, która zawładnęła w młodości jego duszą.

Gdy podeszła bliżej, dalsze zaprzeczanie nie miało sensu. Był osaczony, schwytyany w pułapkę, pozbawiony możliwości ucieczki. Przypominał eksponat, któremu mogła się dowoli przyglądać, bez przeszkód taksować wzrokiem. Poczuł falę niepokoju. Wyobraził sobie swoje napęczniałe zwłoki na zimnym blacie, czekające na koronerski nóż Carol Stein. Jaki defekt mógł ujść uwagi przy tak wnikliwym badaniu? Zawstydził się. Był bliższy okazania goryczy z powodu zawiedzionych marzeń. Nagle nie miał się gdzie ukryć.

Jak na ironię, wcale nie chciał pójść na tę kolację. Tego dnia był z siebie zadowolony. Czuł się dowartościowany. Najbardziej liczący się klient agencji wyraził uznanie dla jego kampanii reklamowej, więc wszyscy lizali Kenowi tyłek. Rozpływali się w pochwałach w przesadny, typowy dla biznesu reklamowego sposób. Używali znanych i wyświechtanych frazesów, typu: "geniusz twórczy", "olbrzymi talent", "godna podziwu błyskotliwość".

Oczywiście doskonale rozumiał tę konwencję. Egzaltacja i pretensjonalność to nieodłączne cechy towarzystwa wzajemnej adoracji, jakim jest wiecznie z siebie zadowolona branża reklamowa. Tyle że, prawdę mówiąc, czuł się już zmęczony udawaniem skromności. A twórca reklam musiał ją często symulować. Tego od niego oczekiwano. Inni i tak wiedzieli, że zna swoją wartość.

Dla boleśnie odkrywanej obecnie prawdy odrzucił zaproszenie kolegów na uroczyste przyjęcie, gdzie jako honorowy gość mógłby się pławić przez cały wieczór w ciepłym syropie ich podziwu. Spotkanie z klientem Maggie, wielkim Eliotem Butterfieldem, było zaplanowane wyłącznie na jej, rzecz by można, benefis.

I oto miał przed sobą kopię Carol Stein, której widok zapędzał myśli do ciemnych, osnutych pajęczyną kątów i zmuszał do konfrontacji z zapomnianą przeszłością. Tylko że tej przeszłości nie dało się zapomnieć. Rozkwitała wspomnieniami o dniach wielkich możliwości i obietnic, kierowała uwagę ku rzeczywistości, która okazała się klęską. Tej chwili bał się od ponad dwudziestu lat.

W jakim był wieku za czasów Carol Stein? Pewnie ledwie po dwudziestce. Wtedy jeszcze święcie wierzył w swoje zdolności i w czekającą go świetlaną przyszłość. Czyż pedagogzy, przyjaciele i matka, a matka w szczególności, nie zapewniali go przez lata nauki w szkole podstawowej i w liceum, a także w czasie studiów, że ma talent literacki?

Widział siebie jako nowe wcielenie Hemingwaya. Hemingway w owym czasie był jego literackim bogiem, co odzwierciedlał naśladowniczy charakter prozy Kena. Ten to umie posługiwać się słowem, mówili o Kenie wszyscy, utwierdzając go w przeświadczeniu o zdolnościach twórczych i rozniecając jego ambicje oraz skryte marzenia o sławie.

Wszyscy byli przekonani, że pójdzie w ślady swojego mistrza. A on oczywiście w to wierzył. W wieku szesnastu lat nie dopuszcza się do głosu wątpliwości. Ale nawet za czasów Carol Stein, gdy miał dwadzieścia jeden lat, jego marzenia się nie zmieniły, chociaż twarda rzeczywistość - tak zwane prawdziwe życie - zdążyła już zachwiać fundamentami jego pewności.

Czy Carol się powiodło i zrealizowała cel, który był w młodości jej pasją? Czy sięgnęła wyżyn i została primabaleriną? Czy warto było poświęcić ich miłość? Nigdy przedtem nie odczuł swojej porażki równie gorzko. Tym bardziej, że w półświatku biznesu reklamowego uchodził za człowieka sukcesu. I wygodnie mu było żyć tą iluzją.

O Boże, od lat nie czuł tak dotkliwego żalu, że nie jest kimś, kim mógł być. Może to nie Carol Stein, ale zjawą, łudził się jeszcze. Odejdź, błagał ją w duchu. Ona jednak wciąż się zbliżała, rzucając wyzwanie jego próżności, utwierdzając go w poczuciu własnej miernoty.

Nie śmiał stanąć z nią twarzą w twarz. I nawet nie brał pod uwagę możliwości odświeżenia jej pamięci. Nie mógł znieść myśli o uznaniu przed nią własnej porażki, zwłaszcza jeśli ona dopięła swego. A wyglądało na to, że tak się właśnie stało. U boku owego wzbudzającego zaufanie jegomościa sprawiała wrażenie osoby, której się w życiu powiodło.

Dwadzieścia trzy lata temu, co najmniej o pięć lat za trendami mody, miał chrystusowy wygląd. Nosił brodę, długie włosy i małe okrągłe okulary. Teraz nieco wyłysiał z przodu, zgolił bujny zarost, a kruczoczarne włosy

przyprószyła siwizna. Zamiast okularów używał szkieł kontaktowych dla krótkowidzów. Żałował, że nie ma w tej chwili okularów słonecznych, za którymi mógłby ukryć swój wzrok. Zastanawiał się, czy oczy, stare poczciwe okna duszy, zdradzą go przed nią. . .

Zbliżała się. Szła obok tego wysokiego i eleganckiego mężczyzny, który był znajomym Maggie. Ken poczuł, że się rumieni i że z podniecenia wilgotnieją mu na czole przerzedzone kosmyki włosów.

Czy rozpozna w nim tego, który w wieku dwudziestu jeden lat był największym z nieznanym amerykańskich pisarzy? Najpierw miały być powieści - proza pisana czystym i ostrym językiem. Przekonywające zdania, które by rozwijały akcję niczym zdeterminowany batalion i niosły głębokie treści, jak w opowiadaniu "W Michigan", w "Śniegach Kilimandżaro" czy w "Krótkim szczęśliwym życiu Franciszka Macombera". Ken miał wtedy nieklamane wysokie aspiracje.

Carol Stein natomiast widziała siebie jako primabalerinę i spadkobierczynię dziedzictwa Margot Fonteyn, Moiry Shearer oraz Marjorie Tallchief. To ona, Carol Stein, miała być pół ptakiem, pół kobietą w "Ognistym ptaku" Strawińskiego, Gisellerówną Markowej i Cukrową Wieszczką w "Dziadku do orzechów". Nie było co do tego żadnych wątpliwości, tak musiało się stać. Marzenia Carol Stein, podobnie jak i jego, cechowała żarliwość erupcji wulkanicznej i nieuchronność reakcji łańcuchowej.

A jeśli się z tym połączy brzemie nalogowej miłości, zżerającą namiętność, rozpaloną do czerwoności żądzę, przeznaczenie - wszystko to, co można określić jako nieugaszony wybuch hormonów - wyłoni się obraz płomienia zbyt gwałtownego, by mogła z nim konkurować jakakolwiek inna pasja. Taka jak balet. Czy kariera literacka. Wewnętrzna dyscyplina kazała im się rozstać. W świetle późniejszych wydarzeń Ken wyśmiał ten pomysł. Dokąd bowiem zaprowadziły go płomienne ambicje?

Wtedy jednak, dwadzieścia trzy lata temu, rozłąka wydawała się jedynym logicznym rozwiązaniem i jedynym lekarstwem. Okrutne i gwałtowne cięcie było nie tylko koniecznością, ale także aktem odwagi i męstwa. Nagłym odstawieniem narkotyku. Starał się odsunąć od siebie to wspomnienie, sztyjąc z niego, ale było zbyt silne, by mógł całkowicie wymazać je z pamięci.

Rozstanie nie było miłe. Ale jeszcze większą przykrość sprawiała mu myśl o obietnicy. Ze spontanicznością, która cechowała ich wzajemne stosunki, złożyli solenną przysięgę, że wrócą do siebie, gdy tylko osiągną swoje cele. Poprzysięgli sobie, że za dwa, trzy, a może pięć lat wszystko naprawią, ponownie się połączą i będą sobie wierni. Nawet we wspomnieniach melodramatyczność tych ślubów przechodziła wszelkie wyobrażenia.

Od samego początku wszystko było ponad normę - przesadnie wyolbrzymione i zwielokrotnione. Wszystko stało się rytuałem i ceremonią. Seks był świętością. Pasja ich zespolenia miłosnego nosiła znamiona egzorcyzmu. - Musisz! - słyszał wciąż jej krzyk, gdy za pierwszym razem ponagliła go, żeby się przebił przez ból i wtargnął do jej, jak go później określili, ciasnego, nie otwartego jeszcze "pałacu kobiecości". Och, Boże. Wspomnienie owego purpurowego obrazu było teraz dla niego prawdziwą katogą.

A ona wciąż się zbliżała. Zamartwiony pełen obaw, niezdolny oderwać oczu od tej gładkiej, jak gdyby wyrzeźbionej w alabastrze twarzy, której wieku nie sposób określić. Rozpaczliwie szukał w pamięci wskazówek. Czy to naprawdę ona? Wiedząc już, że nie zniknie ani się nie rozpuści, przygotowywał się na to nieprawdopodobne spotkanie po latach.

- Taksówka, którą zamówiliśmy, spóźniła się o pół godziny - usprawiedliwił się Eliot. Jego wyniesiony z najlepszych szkół akcent kazał przypuszczać, że Eliot nie należy do ludzi, którzy by w deszczu uganił się za taksówkami po nowojorskich ulicach. W przeciwieństwie do Kena.

Eliot podał Maggie rękę. Podniosła wzrok na wydatne i czarujące rysy jego zarumienionej, pogodnej twarzy. Był niezwykle wysokim mężczyzną, miał stalowoniebieskie oczy i szeroki garbaty nos. Gęste, ciemne kręcone włosy z widoczną siwizną na skroniach wieńczyły błyszczące i wysokie czoło. Wąskie usta napięły się nad dużymi zębami w uśmiechu, który sprawiał wrażenie podejrzenia nieszczerego. Żeby uniknąć konfrontacji z prawdziwą Carol Stein, czy też jej sobowtórem, Ken przyglądał się wnikliwie mężczyźnie i porównywał go ze sobą. Eliota chyba to peszyło. Starszy od Kena o jakieś dziesięć lat, był potężniejszej od niego postury i miał duże, twarde dłonie.

- Mój mąż, Ken - powiedziała Maggie, gdy mężczyźni podali sobie ręce. Eliot zatrzymał wzrok na Kenie przez odpowiednio długą chwilę, a potem dotknął ramienia Carol.

- A to jest Carol. - W głosie Eliota słychać było nutę dumy posiadacza, jak gdyby prezentował charta championa, a nie Carol. Na dodatek tę właśnie Carol.

- Miło mi, że mam okazję nareszcie cię poznać - powiedziała Carol do Maggie.

Nie należała do osób roześmianych. Radość ze spotkania zawsze malowała się raczej w jej roztańczonych piwnych oczach, które często przechwytywały z otoczenia zieleń. Tak jak w tej chwili. W kremowy kaszmirowy sweter, ozdobiony przy szyi szlachetnymi kamieniami, miała wpiętą szmaragdową szpilkę. A przedzielone pośrodku głowy czarne włosy, które jak większość baletnic wiązała na karku w surowy węzeł, podkreślały jej cyzelowane rysy.

Gdy przeniosła wzrok z Maggie na niego, Ken zebrał się w sobie. Nie miał już żadnych wątpliwości. To była ona. Odrodzona Carol Stein. Żołądek podszedł mu do gardła. Po przelotnej wymianie spojrzeń starał się unikać jej wzroku. W ułamku sekundy wiedział, że nie starczy mu odwagi, żeby rozpoznać ją jako pierwszy. Przez chwilę rozważał nawet możliwość ucieczki. W końcu pozostawił inicjatywę w jej rękach.

- Mój mąż, Ken - przedstawiła go Maggie. Ken zmusił się, żeby wytrzymać spojrzenie Carol. Teraz kolej na ciebie, twoja szansa, pomyślał. Ale ona nie zdradziła się najmniejszym nawet gestem. - Miło mi - powiedziała.

Podał jej rękę, oczekując sygnału. I chociaż żaden nie nadszedł, dotyk jej dłoni był dla niego wstrząsem porównywalnym z rażeniem pioruna.

Mimo że tego właśnie pragnął, fakt, iż nie został rozpoznany, zdruzgotał go. Jak to możliwe? Spojrzał na siebie bardziej krytycznie. Był człowiekiem przegranym. Czyjego jedynym osiągnięciem miała być już tylko anonimowość?

Ale myśl o niepowodzeniu umknęła równie szybko, jak się pojawiła, wycofując się na peryferia umysłu niczym wąż do suchej kryjówki w skałach. Odzyskiwał odwagę. Mechanizm obronny został pobudzony do działania. Ken zapewnił samego siebie, że w swoim wszechświecie, w królestwie reklamy, jest poważany i uznawany za człowieka o ogromnych możliwościach twórczych. Określenie to bardzo podnosiło jego prestiż. Bywały dni, kiedy je uwielbiał, wierzył w nie i delektował się jego brzmieniem. Wobec dawnych marzeń o wielkim pisarstwie, etykieta "twórczy" była w pewnym sensie deprecjacją tego określenia, nie należało jej traktować zbyt serio. Ken w głębi duszy zawsze wiedział, że jest bzdurą. Ale miała swoje miejsce w coraz bardziej tandetnej kulturze amerykańskiej. Kto potrafiłby odróżnić w dzisiejszych czasach wielkiego pisarza od pismaka? Przecież w kategorii etykietek takich jak "twórczy", "bestseller" na przykład -książka sprzedawana w największych nakładach - rzadko kiedy bywa naprawdę dobry, a połowa całej tej produkcji obliczona jest na niezbyt wyrafinowane gusty bab z przedmieścia.

- Stoly Gibson z lodem i trzema cebulkami - zwrócił się Ken do kelnera, czując zbawienne efekty samouspokojenia. Eliot zamówił butelkę francuskiego czerwonego wina. Grymasił przy tym, badał wnikliwie zza okularów listę win i wypytywał kelnera o roczniki i winnice, z których pochodziły.

Maggie słuchała jak urzeczona, a jej jasne włosy falowały niczym łan pszenicy, gdy poruszała głową, przenosząc wzrok z Eliota na kelnera i z powrotem. Ken uświadomił sobie nagle kontrast pomiędzy tymi dwiema kobietami. Jedna była delikatna, ciemnowłosa i przypominała łabędzia, druga miała blond włosy i masywną budowę Norweżki - córy północnej krainy.

- Odpowiada wszystkim? - zapytał Eliot, gdy w końcu dokonał wyboru. Carol skinęła głową.

- Na pewno jest wspaniałe - rzekła Maggie. - Ken niestety nie przepada za winem.

- Z podwójną wódką, proszę! - zawołał Ken za oddalającym się kelnerem. Maggie zmierzyła męża wzrokiem wyrażającym dezaprobatę i ponownie odwróciła się w stronę Eliota.

Nie ulegało wątpliwości, że Eliot Butterfield wywarł na niej wrażenie. Maggie była konsultantką od miękkich dysków. Zajmowała się wprowadzaniem i tworzeniem nowych programów komputerowych, które zlecali jej różni klienci. Eliot Butterfield był jednym z nich. Z jej szczerością typową dla mieszkanki Środkowego Zachodu, często entuzjastycznie odnosiła się do ludzi. Plangry nieodmiennie przewidywał, że gdy tylko któryś

z klientów robił na niej duże wrażenie, ciągnęła ze sobą Kena na kolację, by postawić pierwszy krok na drodze do większej zażyłości.

Na nieszczęście Ken rzadko bywał pomocny i zwykle znajomość kończyła się po kilku spotkaniach. Maggie zawsze dążyła do tego, żeby mieć "parę" przyjaciół, ale jak dotąd jej wysiłki okazały się bezowocne. Ken nie zaliczał się do ludzi, którzy łatwo zawierają przyjaźnie, chociaż, zmuszony przez okoliczności, utrzymywał koleżeńskie stosunki z niektórymi współpracownikami z agencji.

Carol, której zachowanie wskazywało na autentyczny przypadek amnezji albo jawną determinację odcięcia się od przeszłości, rzadko spoglądała w stronę Kena. Tocząca się w czasie aperitifów rozmowa dotyczyła mało istotnych spraw. Ken świadomie zaciął się w sobie i milczał. Ciężar konwersacji spoczął na Maggie i Eliocie, a Carol odpowiadała tylko na pytania bezpośrednio skierowane do niej przez któreś z tych dwojga. Chociaż Ken zachowywał się powściągliwie, jego wewnętrzne podniecenie nie ustępowało. Uważnie przysłuchiwał się wymianie zdań. Butterfieldowie mieszkali na Fifth Avenue, z widokiem na park, a to oznaczało duży majątek rodzinny. Ken wiedział, że amerykańska arystokracja nigdy się do niego nie przyznaje.

Maggie przeciwnie, zawsze z ochotą omawiała publicznie ich rodzinną sytuację finansową, która notabene nie pozwalała na zbyt dużą rozrzutność. Zwykle po dokonaniu bilansu okazywało się jednak, że nie umieli się przed nią uchronić. Latami żyli ponad stan. Po potrąceniu chesnego za prywatną szkołę córek, wysokich opłat za wino, kosztów szytych na miarę ubrań, wydatków na rozrywki i inne "potrzeby" związane ze stylem życia w Nowym Jorku zawsze byli na minusie.

- Gdy zatęsknimy za zmianą miejsca, korzystamy z mieszkania matki w Maine - stwierdził Eliot.

- To cudownie - wtrąciła pośpiesznie Maggie. - My musimy zadowalać się mieszkaniami drugorzędnymi. Nie mamy też domu w Connecticut ani posiadłości na wybrzeżu - dodała.

Chociaż nie powiedziała tego ani ze złością, ani z wyrzutem, Ken poczuł palący wstyd, jak gdyby w ten sposób przyznała się i do innych niedostatków. Milczał. Cierpiał z powodu tych wynurzeń i czuł się bezsilny, gdyż nie mógł im zaprzeczyć. Jakikolwiek komentarz z jego strony byłby przyznaniem się przed Carol Stein, że ją rozpoznał.

Musiał pogodzić się ze świadomością, że Maggie i Eliot podczas przerw w konsultacjach zdążyli już pewnie wymienić ze sobą powierzchowne informacje o poziomie życia ich rodzin. Znowu zagotowało mu się w żołądku na myśl, że Eliot na podstawie wynurzeń Maggie zapewne uważa go za człowieka niegodnego uwagi. Czy podzielił się już swoją opinią z Carol?

Maggie opowiadała przecież Kenowi o "osiągnięciach" Eliota.

- Prowadzi badania, wydaje prace naukowe i aktywnie działa w organizacjach reprezentujących jego różnorodne zainteresowania. Głównie jednak jest myślicielem.

- To rozumiem, tak można pracować - odpowiedział Ken z sarkazmem. Jej zachwyty nad Eliotem zabolą go.

- Eliot nie pracuje dla pieniędzy - wyjaśniła Maggie.

- Jest niezależny. Jak już powiedziałam, dużo myśli.

- Z pewnością przedmiotem jego dogłębnych przemyśleń są ważne tematy?

- Tak, oczywiście - wyjaśniała cierpliwie Maggie. - Pokojowe sposoby rozwiązywania konfliktów. Rozpadający się system ekologiczny. Ochrona życia w warunkach naturalnych. Szczególnie paląca jest ta ostatnia sprawa.

- Ochrona życia ludzi też? - dociekał Ken, nie bez ukłucia zazdrości. Majątek dawał temu człowiekowi niezależność.

- Ma genialny umysł i niezwykle szerokie horyzonty. Dlatego proces komputeryzacji jest tak ważny. Tworzymy szeroki bank danych.

- Bank pomysłów? - zapytał Ken, prychając na samą myśl, że człowiek, który dysponuje mnóstwem wolnego czasu i może zaspokajać własne zachcianki, ma jeszcze czelność nazywać siebie "myślicielem". Dopiero później doszedł do wniosku, że źródłem jego irytacji jest zazdrość z powodu braku takich możliwości. Gdyby miał niezbędne środki, a okoliczności nie zmuszały go do ciągłego zabiegania o pieniądze - co przypomina-

to zawracanie kijem Nilu - mógłby wykorzystać czas na prawdziwą twórczość. Miałby szansę odkryć wielkie opowiadania, które zalegały tuż pod powierzchnią jego umysłu jak złoża cennego kopalnianego kruszcu.

- A twórzcie sobie, co chcecie, dopóki ci płaci na czas - mruknął w końcu.

Maggie roztropnie nie odpowiedziała na tę sarkastyczną uwagę. Unik był jej bronią. Ken zdecydowanie wolał konfrontację, ale rzadko spotykał się z taką reakcją ze strony Maggie. Na podstawie opisu żony wnioskował, że Eliot musi być intelektualnym snobem i ograniczonym zarozumialcem. Później przez chwilę miał co do tego wątpliwości, ale teraz, przyglądając mu się przez stół, był pewien, że trafił w samo sedno. Jedyną tajemnicą dla Kena pozostawał sposób, w jaki temu człowiekowi udało się zdobyć Carol Stein.

Podszedł kelner i nalał Eliotowi wina. Eliot podniósł kieliszek i błyskawicznym ruchem nadgarstka zawirował alkoholem wewnątrz szkła. Potem pociągnął nosem, upił mały łyk i zaczął bulgotać w taki sposób, jak gdyby płukał gardło. Ken obawiał się, że za chwilę splunie, jak zwykli to robić koneserzy na degustacjach; jedynym przydatnym dla tej czynności naczyniem mógł być tylko stroik z kwiatami na białym obrusie. Odetchnął z ulgą, gdy Eliot przełknął w końcu płyn, pokiwał głową i, wyrażając uznanie, pozwolił kelnerowi rozlać wino pozostałym osobom. Ken nakrył dłonią swój pusty kieliszek. Wolał zostać przy podwójnym Gibsonie.

A więc Carol poślubiła człowieka z wielkimi pieniędzmi, który obok skłonności do głębokich refleksji ma pretenjonalne upodobania oraz pragnie ocalić przed zagładą zarówno dzikie stworzenia, jak i całą ludzkość, myślał Ken; usiłując wyłowić palcami spomiędzy śliskich kostek lodu ostatnią cebulkę. W końcu usidlił ją, wsunął sobie do ust i splukał resztką alkoholu. Pochwycił spojrzenie kelnera i zamówił następną kolejkę. Potrzebował wyjątkowo silnych środków pobudzających, by przetrwać tę kolację.

- Słyszałem, że pracujesz w reklamie? Sądzę, że to pożyteczne zajęcie - stwierdził Eliot, bawiąc się wykałaczką. Ken z lękiem przyjął to objawienie, chociaż zaczynał już odczuwać cudownie otępiające działanie szybko wypitej wódki.

- Ken utrzymuje, że daje ona ludziom możliwość wyboru - powiedziała zbyt pośpiesznie Maggie.

- Przywilej wyboru jest sprawą dyskusyjną - rzekł Eliot. Kenowi wydawało się, że zauważył nieznaczne drżenie nozdrzy Eliota, jak gdyby pochwyciły przykry zapach.

- To Ken jest prawdziwym twórcą "Giętkich psotnic" - odezwała się, nieproszona, Maggie. - Znacie "przepyszne giętkie psotnice" i na pewno widzieliście reklamę z cukierkami, które wykonują skomplikowane akrobacje. Prawdopodobnie zdobędzie nagrodę. Otworzyła nowe perspektywy przed rynkiem niskokalorycznej lukrecji.

- Na miłość boską, Maggie - jęknął Ken, popijając alkohol. Nadal unikał bezpośredniego kontaktu wzrokowego z Carol. Ty człowiekiem reklamy? Sprzedać się dla czegoś takiego, wyobrażał sobie jej pełną niesmaku reakcję. W połowie pierwszego drinka doszedł do wniosku, że na pewno go poznała i ukrywa ten fakt z sobie tylko znanych powodów. Ale dlaczego? Czy tak bardzo się zmienił? A może była na tyle uprzejma, że chciała go oszczędzić?

- Przesadnie skromny, jak zwykle - powiedziała Maggie, kręcąc głową. Zawsze troskliwa Maggie. Czy rzeczywiście była tak dumna z jego kariery, jak utrzymywała? Trzeba przyznać, że dzięki jej nie słabnącemu wsparciu łatwiej mu było usprawiedliwiać się przed samym sobą. Nie był jednak pewien, czy naprawdę go podziwia, czy też biorą w niej górę matczyne uczucia. Nawet w łóżku, choć doświadczona i biegła, była zwykle nadopiekuńcza. Jej budowa zdawała się temu służyć - wysoki, obfity i falujący biust, w który mężczyzna mógł się wtulić i wypłakać.

Brzuch wciąż jeszcze miała płaski, a pełne pośladki rozszerzały się od mocnych bioder aż do szczytów kształtnych i silnych nóg. Leżenie pomiędzy nimi też było kojące. Tak, zarówno jej ciało, jak i jej uczucia kojarzyły mu się z Matką Ziemią. Często myślał o Maggie jak o zacisznym miejscu schronienia. Był przekonany, że Freud miałby wiele do powiedzenia w sprawie owych skrytych myśli, tym bardziej że Ken stracił swoją ukochaną matkę, gdy był jeszcze nastolatkiem.

Siedemnaście lat temu wczółgał się do kokonu ciepłych uczuć Maggie i nauczył się pielęgnować własną nadzieję. Teraz, kiedy wódka częściowo przywróciła mu śmiałość, chciał wyjaśnić to Carol. Jego marzenia były wciąż żywe. Pewnego dnia, gdy minie etap prologu, stanie się wielkim pisarzem na miarę dawnych ambicji i

niezachwianej pewności matki. Plany uległy tylko odroczeniu, nie poniósł ostatecznej porażki. Trzymał jednak język za zębami, pojmując intuicyjnie, że alkohol dał mu jedynie złudzenie odwagi.

- Oczywiście reklama też ma swoje znaczenie - powiedział Eliot. - W obecnym systemie to dobra konsumpcyjne i usługi pozwalają naszemu społeczeństwu utrzymać wysoki poziom życia.

- Szczególnie takie jak "Giętkie psotnice" - powiedział Ken, sięgając po szklankę z alkoholem, którą właśnie przyniósł mu kelner. - Dzięki nim ludziom próchnieją zęby. - Poczuł, jak wzbiera w nim wściekłość i boleśnie rozpiera wnętrzności. - Potem sprzedaje się im szczotki do zębów, pasty, proszki i płyny do płukania ust.

Dentyści też czerpią z tego korzyść. Stomatologiczne wyposażenie. . .

- Nie zapominaj o złocie - przerwał mu Eliot z uspokajającym uśmiechem, jak gdyby uchwycił sarkazm, ale zrezygnował z drażliwej odpowiedzi, która by mogła wywołać niemiłą scenę.

- I o kopalniach.

- Właśnie - przytaknął Eliot. - O kopalniach, które są też tworammi przyrody. I których zasoby są ograniczone.

- Był nieznośny z tą swoją pedanterią. Ken postanowił poskromić swoją niechęć do Eliota i uznać ostateczną prawdę, że to zamierzony afront ze strony Carol tak go rozzłościł.

- Nieszczęście polega na tym - mówił dalej Eliot - że cały proces bazuje na nieustannym ruchu. Na nie kończącym się wirowaniu. Od pewnego punktu zacznie się jednak załamywać. Po prostu środowisko nie zdoła go już dłużej podtrzymać.

- Gdy całkiem zaniknie warstwa ozonowa, wszyscy i tak będziemy węglem drzewnym - mruknął Ken.

- Właśnie - przytaknął znowu Eliot. - Tragedia nie polega na braku zrozumienia nieuchronności tego zjawiska, przy założeniu, że zostanie utrzymany obecny kurs. Prawdziwa tragedia to brak zdolności zregenerowania naszych zasobów przed nadejściem Armagedonu.

- Czy jest aż tak źle? - zapytał Ken.

- Problem polega na tym, że wszyscy jesteśmy ze sobą związani. Życie jednych oddziałuje na życie drugich. Eliot ponownie zawirował w kieliszku winem, powąchał je, ostrożnie pociągnął łyk i przełknął. - Środowisko naturalne ulega coraz większej degradacji - mówił dalej, zaglądając do szkła. - Nie będzie winogron ani wina.

- To bardzo przykre - powiedział Ken. Gładka pewność siebie tego człowieka upokarzała go, był też zirytowany własną skłonnością do sarkazmu. Wolał zamilknąć, żeby nie ryzykować dalszego okazywania urazy.

- Eliot mi powiedział, że jesteś tancerką. - Maggie wykorzystała chwilową przerwę w rozmowie i zwróciła się do Carol. Informacja, którą przekazał jej Eliot, była niewątpliwie godna powtórzenia.

Ken zastanawiał się, czy Carol postawiła na swoim i została primabaleriną. Wciąż ją pamiętał, jak ubrana w obcisły kostium i getry godzinami ćwiczy przy drążku. Była uosobieniem urody i wdzięku. Boże, ile piękna kryło się w tym widoku. I pasji, tak jak i w jego przypadku. Na miłość nie było miejsca, a już szczególnie nie na uczucie o gwałtowności lawiny. W końcu, pisarz miał pisać, a baletnica tańczyć. Wszystko inne schodziło na dalszy plan. Miłość też.

Ani razu nie spojrzała w jego stronę, gdy rozmawiał z Eliotem. Zachowywał się podobnie, obserwując ją kątem oka.

- Czy pracowałaś w jakimś zespole baletowym? - zapytała zawsze dociekliwa Maggie.

- Była baleriną Zespołu Baletowego Sydney, w Australii - pośpieszył z odpowiedzią Eliot.

- Bardzo krótko. Zaledwie kilka sezonów. Potem doznałam kontuzji - dodała szybko Carol.

Ken uznał, że Carol przez delikatność usuwa się w cień. Bierze pod uwagę jego sytuację i nie chce go urazić. Czy naprawdę tańczyła tylko przez kilka sezonów? Zawstydział się. Poczuł dla niej przyływ ciepłych uczuć. Powiodło się jej w życiu i tylko z dobrego serca udawała, że go nie zna. Przejrzała go na wylot i postanowiła oszczędzić. Tylko życzliwa osoba mogła się tak zachować.

- Balet to ciężki zawód - powiedział Eliot. - Nadal jest nim pochłonięta. Godzinami ćwiczy. W apartamencie mamy studio, w którym udziela lekcji.

Kiedyś Ken szukał jej nazwiska w recenzjach, które ukazywały się po każdym nowym wystawieniu baletu. Nigdy go nie znalazł. Doszedł do wniosku, że Carol albo inaczej się nazywa, albo wyjechała za granicę. I

najwidoczniej tak się właśnie stało. Dlaczego nie próbował jej odnaleźć? Nie musiał specjalnie dumać nad odpowiedzią: po prostu upokorzyła go własna porażka. Zbyt dotkliwie ją odczuł, by mógł się do niej przyznawać. Tak, na pewno to było powodem. A może obawiał się sukcesu Carol? On - człowiek przegrany, a ona - u szczytu sławy. Czy o to mu chodziło?

Teraz już wiedział. Zaskoczyła go własna reakcja. Nie spodziewał się po sobie tak wielkiej wspaniałomyślności: to dobrze, że jej się powiodło. Wziął do ręki szklanę z alkoholem i w myślach wzniósł toast za powodzenie Carol.

Być może na jego wielkoduszność miało wpływ jej skromne stwierdzenie: "bardzo krótko". Nie zdobyła światowej sławy, to prawda. Ale odniosła sukces, który dowodził talentu i był ukoronowaniem ciężkiej pracy. Dokołała więcej niż on. Co wynikało z jego wysiłków? Kilkaset stron rękopisu i nie dokończone szkice literackie. Próbował się pocieszać i przekonać samego siebie, że jest talentem niedocenionym. I wynajdował dla tego faktu szereg logicznych usprawiedliwień: zły okres, zmiana gustów, schyłek w amerykańskiej kulturze, nie mówiąc już o całej zgrai nikczemników i głupców, którzy nie potrafili odróżnić cyrkonu od diamentu, ale byli władni zarygłować mu przed nosem drzwi. Teraz jednak, gdy opróżnił kolejną szklanę, wiedział, że w czasie minionych dwudziestu lat wszystkie te usprawiedliwienia zdążyły się już mocno zużyć.

Pojawił się kelner, typ podrzędnego aktorzyzny z nieodzownym katalogiem specjalów, który zaczął recytować poważnym i dobrze wyszkolonym głosem. Ken prawie go nie słuchał. W przeciwieństwie do Maggie nie znośił rytuału odczytywania menu. Widział w tym formę zachęty i wpływu na decyzję konsumenta. Podobną do reklamy. A on, gdy tylko to było możliwe, zdecydowanie wystrzegał się wszystkiego, do czego usiłowano go nakłonić.

Carol ukryła wzrok za menu. Ken zauważył, że zaledwie umoczyła usta w winie. Dyscyplina, w jakiej przez lata utrzymywała swoje ciało, stała się najwidoczniej jej drugą naturą. Czas obszedł się z Carol wyjątkowo łaskawie. Musiała mieć teraz dokładnie czterdziestkę. Była cztery lata młodsza od niego. A wyglądała o ponad dziesięć lat młodziej.

- . . . przysmażane ciasteczka z krewetek na ziołowym maśle i sałata - zachwalał monotonna kelner. - Inna przystawka to łosoś na grzance, wędzony po swojsku z kremem koperkowym.

Eliot i Maggie z nabożną uwagą przysłuchiwali się wyjaśnieniom kelnera.

- Specjalnością z potraw mącznych są ravioli z masłem rozmarynowym, nadziewane kaczym mięsem i ziołami.

- Czy nie są ciężko strawne? - zapytał Eliot.

- Już je tu kiedyś jadłam - powiedziała Maggie. - Są lekkie jak puch.

- Jeśli chodzi o pizzę - ciągnął kelner - to szef kuchni poleca pizzę z karczochami, grzybami shiitake, bakłażanami i karmelizowanym czosnkiem.

- Pod warunkiem, że szef nie lubi nadużywać czosnku - powiedział z powagą Eliot.

- Eliot jest smakoszem - wtrąciła Maggie.

- To się rzuca w oczy - zauważył Ken nie bez sarkazmu. - Ja raczej zaliczam się do żarłoków - dodał zaraz.

- A to pewna różnica - powiedział Eliot rozbawionym głosem, który brzmiał tak, jak gdyby Eliot miał skierowany czubek nosa prosto w górę.

- Z głównych dań polecamy kurczaki z włoską pietruszką i parzonym czosnkiem - kontynuował kelner. - Mamy również nerkówkę w wiśniowym occie z sałata.

Ken poczuł mdłości. Przeplukał gardło roztopionym lodem ze swojej szklanki.

- Jak jest przyrządzona? - dopytywał się Eliot. - Mam nadzieję, że nie jest zbyt tłusta?

Kelner wdał się w szczegółowy opis, który spotkał się z różnymi komentarzami ze strony Maggie i Eliota. Kena uderzyło spostrzeżenie, jak temat jedzenia potrafi ujawnić charakter ludzi. Nigdy przedtem nie zauważył, żeby Maggie przywiązywała taką wagę do wyboru potraw.

- Zdecyduję się na nerkówkę - oświadczył Eliot. - A zacznę od łososia.

- Ja poproszę o kurczaka, a na przystawkę ravioli.

- A na co ty masz ochotę, kochanie? - zwrócił się Eliot do Carol.

- Poproszę o zieloną sałatę z sosem i spaghetti z czosnkiem i bazylią.
- Mdle, ale dobrze dobrane - westchnął Eliot. Carol zignorowała jego uwagę. Nadal nie patrzyła w stronę Kena.

- Popieram wybór tej pani - powiedział Ken, wskazując na Carol, a potem na swoją szklankę. - I jeszcze raz to samo.

Spostrzegł uniesione w górę brwi Eliota i błysk nagany w jego oczach.

- Proszę podać białe wino - powiedział Eliot z ledwie zauważalną nutą pogardy.

Na skutek działania alkoholu Ken stał się nadmiernie pobudzony i rozdrażniony. Zaczął odczuwać dziwny niepokój i irytację. Dlaczego udawała, że go nie poznaje? Gubił się w domysłach. Może niewłaściwie ją zrozumiał i "bardzo krótkotrwały" sukces był powodem jej zażenowania. A kontuzja, która rzekomo skróciła jej karierę, miała tylko usprawiedliwić porażkę? Albo Carol rzeczywiście go nie poznała. Ale jeśli wiedziała, kim jest, mógł to odebrać tylko jako osobistą zniewagę. Teraz, kiedy była żoną tego wyniosłego ośla, szefa jego żony, po co by miała odnawiać dawny i banalny związek? Przypominałby jej tylko o własnym niskim pochodzeniu. Alkohol może doprowadzić człowieka do obłędu, doszedł do wniosku Ken, z trudem odzyskując równowagę.

Kelner przyniósł białe wino. Eliot dokonał degustacji. Miał dosyć dziwną minę, gdy przelewał płyn w ustach.

- Za kwaśne - orzekł.

- Może powinienem polecić panu ggrich - powiedział kelner.

- Szkoda, że nie zrobił pan tego od razu - rzekł wyniosłe Eliot. Wszyscy przystali na ggrich i kelner się ulotnił.

- Pewnie bierze prowizję od sprzedaży tego cienkusza - zadrwił Eliot.

- Typowo amerykańskie podejście do sprawy - zachichotał Ken, zastanawiając się, czy jego mowa nie staje się już bełkotliwa. Sięgnął po nowego drinka. W oczach Maggie rozbłysło srogie napomnienie. Nie bez powodu. Nieczęsto bywał tak źle usposobiony i pozwalał sobie na równie uszczypliwe i obraźliwe uwagi. Wszystko w porządku, nie denerwuj się, odpowiedział jej wzrokiem. Zrezygnował z głębszego łyku; zamiast tego zanurzył palce w alkoholu i zaczął wyławiać cebulki. Kątem oka obserwował Carol. Chciał się przekonać, czy aby nie dostrzegła jego porozumiewawczych spojrzeń z żoną. Nie zauważył na twarzy Carol żadnej zmiany. Przyniosło mu to ulgę: nie powinna wiedzieć, że on, mężczyzna, który pozbawił ją dziewictwa, pozwolił się zdominować Maggie.

- Od jak dawna jesteście małżeństwem? - zapytała Maggie, gdy kelner posypywał pieprzem jej ravioli.

- Od dziesięciu lat - odparła Carol, delikatnie przeżuając liść sałaty.

Ken obliczył, że wyszła za mąż mając trzydzieści lat; w wieku, który jest punktem zwrotnym dla większości tancerek bez osiągnięć.

- Czy pochodzisz z Nowego Jorku? - nacierała Maggie. Fascynowały ją osobiste historie ludzi. Ken doszedł do wniosku, że po raz kolejny potwierdza tym ich społecznie niższą pozycję. Poślubił kobietę wścibską. Kiedyś ta cecha wydawała mu się atrakcyjna. Uważał, że odzwierciedla otwartą i wielkoduszną naturę Maggie.

- Urodziłam się we Frankfurcie - odpowiedziała Carol. - Mój ojciec przebywał tam jako amerykański oficer.

- Carol ma francuskich przodków. I to utytułowanych. Z domu nazywa się Le Roc. A jej pradziadek był markizem - oznajmił Eliot.

Ken był wstrząśnięty. Le Roc. Oficer amerykańskiej armii. Pradziadek markiz. Co za skończona bzdura. Carol pochodziła z Forest Hills. Urodziła się tam i wychowała. Gdy niespodziewanie spojrział jej prosto w twarz, nie odwróciła głowy, ale miała spuszczone wzrok. O co tutaj chodzi, zastanawiał się, patrząc na Maggie i Eliota, ale oni nie zwracali na niego uwagi. Eliot pochłonięty był degustacją ravioli z talerza Maggie. Najwiśdoczniej wypadła zadowolająco, gdyż pokiwał z uznaniem głową.

- Gdzie studiowałaś? - zapytała Maggie słodkim tonem.

- W Paryżu - odpowiedziała Carol. - Moja mama na to nalegała. A potem w San Francisco. Do Sydney wyjechałam dopiero, gdy miałam dwadzieścia trzy lata.

- Wcale nie wyglądasz teraz na wiele więcej - powiedziała szczerze Maggie.

- Mam trzydzieści jeden lat.

Chryste, pomyślał Ken, odjęła sobie dziesięć lat. Zamroczenie alkoholem osłabiło. Nie wykluczał błędnej oceny własnych zmysłów.

- Wykradłem ją z kołyski - powiedział Eliot. - Jest zaledwie o kilka lat starsza od mojego syna.

Ken sięgnął po szklankę i znad jej brzegu obserwował Carol. Czy to naprawdę była ona? Carol Stein? A może tylko jego urojenie wywołane działaniem alkoholu. Tamta Carol, która wryła mu się w pamięć, nie miała w sobie nic z obłudy. Ale jeśli to rzeczywiście była ona, to kłamała w żywe oczy.

- Ojciec Carol zginął w Wietnamie - powiedział zdawkowo Eliot.

Oświadczenie padło w chwili, gdy Ken przetykał drinka. Ledwie zdołał powstrzymać kaszel. Pan Stein, ojciec Carol, był z zawodu księgowym. Trudno wyobrazić sobie jako żołnierza tego starszego pana w grubych szklach, ze źle dopasowaną sztuczną szczęką; a z racji jego podeszłego wieku już na pewno nie jako uczestnika wojny w Wietnamie.

- Brutalny sposób odejścia w stan spoczynku - usłyszał Ken własne słowa.

- Moje ty biedactwo - powiedziała Maggie z tą swoją szczerością Matki Ziemi.

Ken był zdecydowany wszcząć śledztwo, nawet jeśli tylko po to, by dowieść samemu sobie, że jeszcze nie stracił zdrowych zmysłów. Badał jej twarz. Wciąż miała spuszczone oczy, ale przeźrocyste ręce z błękitnymi żyłkami pod powierzchnią skóry były takie jak kiedyś, bez śladu plam, które zaczęły już pokrywać wierzch jego dłoni. A kiedy mówiła, dostrzegł skrzywiony kieł, o którym zwykła sądzić, że szpeci jej uśmiech, chociaż on nigdy tak nie uważał.

Innym znakiem szczególnym była otoczka z brązowych pieprzyków tuż nad aureolą idealnie kształtnej prawej piersi. W obecnych okolicznościach nie mógł jednak zweryfikować swojej wiedzy. Pamiętał też drobną bliznę w kształcie półksiężyca po wewnętrznej stronie uda, w miejscu, gdzie zaczynało się owłosienie łonowe. To tyle w sprawie szczegółów, pomyślał, gratulując sobie dobrej pamięci, i pociągnął łyk alkoholu. Nie czuł się jednak usatysfakcjonowany. Zaczął gorączkowo szukać jakiegoś sprytnego pytania, które by rozwiązało ten niedorzeczny mit. I znalazł.

- Czy byłaś przy Ścianie Pamięci w Waszyngtonie, Carol?

Zupełnie nie zareagowała. Nie podniosła nawet wzroku na dowód, że pytanie do niej dotarło. Całą uwagę skoncentrowała na swojej ledwie napoczętej sałacie. Odczekał chwilę, a gdy wciąż nie odpowiadała, naciskał dalej.

- Wiesz, o czym mówię. O Ścianie Pamięci Ofiar Wietnamu. Z wygrawerowanymi nazwiskami poległych.

- Obawiam się, że to dla mnie zbyt bolesne - wyszeptala.

- Być może pojedę tam w przyszłym tygodniu. Mogę odczytać nazwisko twojego ojca. - Uznał swój pomysł za prawdziwe olśnienie. Wyjął długopis z wewnętrznej kieszeni marynarki.

- Wybierasz się do Waszyngtonu, Ken? Nie wspominałeś mi o tym - zdziwiła się Maggie.

- Muszę przeprowadzić badania. - Ken wzruszył ramionami. Gorączkowo zastanawiał się nad odpowiedzią, czujny i nagle całkiem trzeźwy. Ani razu oczy Carol nie napotkały jego wzroku. - Chodzi o nowy produkt. O marcepanową monetę. Chcą, żeby wyglądała jak prawdziwa srebrna dolarówka. Potrzebuję opinii pracowników mennicy.

- I pomyśleć, że za coś takiego jeszcze otrzymujesz pieniądze - powiedział sardonicznie Eliot, popijając małymi łykami wino. Ken zignorował jego komentarz.

- Jak nazywał się twój ojciec? - zwrócił się do Carol.

- Zdaje się, że Le Roc, prawda?

Dopiero wtedy spojrzała na niego, a w jej oczach błysnęło wyraźne ostrzeżenie, żeby zaniechał tematu. Popelniła błąd. Odstłoniła się. Teraz miał już całkowitą pewność. Wcale go nie zapomniwała. Ukrywała się. Dla przyczyn, które były znane tylko jej, wymyśliła sobie nowy życiorys. Z gardła wyrwał mu się zduszony chichot.

- Naprawdę wolałabym, żebyś tego nie robił - powiedziała.

- Oczywiście, skoro tak sobie życzysz. . . - Wzruszył ramionami i, wycofując się pośpiesznie, wsunął długopis z powrotem do kieszeni. Zdobył to, o co mu chodziło.

Kelner serwował główne dania.

- Cudowne - powiedziała Maggie, wbijając wzrok w produkt sztuki kulinarnej na swoim talerzu.

- Musisz tego spróbować - powiedział Eliot, odrywając kawałek nerkówki i wsuwając go Maggie do ust.

Maggie zrewanżowała mu się kawałkiem kurczaka. I oboje zaczęli się rozpląwać w zachwytach nad potrawami.

Ken i Carol w milczeniu dłużyli w talerzach, ustępując pola Maggie i Eliotowi, którzy prowadzili ożywioną rozmowę, najpierw na temat komputeryzacji, a potem życia w warunkach naturalnych. Carol słuchała ze skupioną uwagą, gdy Eliot coraz bardziej zapalał się w swoich wywodach. Ken nie miał wątpliwości, że ten człowiek to fanatyk.

- Chciwość toczy Afrykę jak nieuleczalna choroba. Całe stada słoni są masakrowane dla ich kłów. Nosorożców prawdopodobnie nie da się już uratować. A lampartowi trudno odzyskać własne królestwo. - Eliot prowadził wykład swoim wyniosłym i nosowym głosem, przyjmując pompatyczny ton belfra. Maggie była oczarowana. Ken zauważył, że jej zainteresowanie zachęca Eliota do dalszych wywodów.

- Afryka - ciągnął Eliot - jest kryterium, na podstawie którego będziemy sądzić. To najbardziej zagrożony kontynent. Jeśli nasza chciwość go zniszczy, wszyscy będziemy skazani na zagładę. Na niebezpieczeństwo narażone jest nie tylko życie poszczególnych dzikich zwierząt, istnieje wręcz groźba wyginięcia całych gatunków.

- Afryka jest przedmiotem szczególnej uwagi Eliota. Razem z Carol odwiedzili ją już trzykrotnie - powiedziała Maggie, zwracając się do Kena, jak gdyby ten wykład był przeznaczony wyłącznie dla niego, co pewnie pokrywało się z prawdą. Był jedynym obcym w tej grupie.

- Carol kocha ją tak jak ja - dorzucił Eliot, spoglądając w stronę żony. A potem wygłosił długą diatribę przeciwko metodycznemu unicestwianiu przez człowieka Afryki, "najcenniejszego skarbu naszej planety".

Maggie słuchała z wyważoną uwagą.

- Eliot pobudza moją wyobraźnię - powiedziała Kenowi.

W przeciwieństwie do ciebie. Ken przypuszczał, że to właśnie miała na myśli. Zdawał sobie sprawę, że blado się prezentuje w porównaniu z chłodną elokwencją Eliota, jego niewątpliwą bystrością umysłu, dobrze pojętym celem w życiu oraz realizacją osobistych dążeń. Był pewien, że Carol też tak uważa. W każdym razie nie ulegało wątpliwości, że Maggie jest właśnie takiego zdania. Po chwili namysłu Ken doszedł jednak do wniosku, że Eliot wcale nie jest taki sprytny. Nie zorientował się przecież, że padł ofiarą sfigowanej historii życia Carol. Jest zbyt zapatrzony w siebie, by dostrzec prawdę, pomyślał Ken, czując nawrót złego humoru.

Kłamstwa Carol wprawiły go w zdumienie. Podane do publicznej wiadomości nieprawdziwe fakty można było bez trudu sprawdzić. Chociażby datę urodzenia. Podobnie jak cały ów pokrętny życiorys. Nie mówiąc już o nazwisku "Le Roc" na Ścianie Pamięci. Co zdarzyło się w życiu Carol, że musiała się uciec do takich łgarstw?

- Za kilka miesięcy znowu wybieramy się do Kenii - powiedział Eliot. - Na safari. Staram się jeździć tam co dwa lata. Afryka przyciąga mnie jak magnes. Smutno mi tylko, że muszę patrzeć na jej upadek. Byliście już kiedyś w Afryce? - zwrócił się do Maggie.

- Nie, ale marzę o tym, żeby tam pojechać - powiedziała Maggie i spojrzała na Kena.

- Mieszkamy w namiotach - rzekł Eliot. - Warunki gorsze niż u Ritza, ale jest dosyć wygodnie. I mam fantastycznego przewodnika. Był kiedyś myśliwym. Dopiero w 1977 roku wprowadzono zakaz polowań. Jack Meade nie ma równego sobie, prawda, Carol?

- Jest najlepszy. Ma spartańską duszę i pewnie by się lepiej czuł w minionej epoce, ale to właśnie decyduje o jego uroku.

- Ken nie jest typem ujeżdżacza koni. - Maggie roześmiała się. - Nie lubi rozstawać się z wygodami.

Masz ci los. Teraz zrobiła z niego wymoczek, który pobjęła własnym słabościom.

- Czy prymitywne warunki nie są dla ciebie uciążliwe, Carol? - zapytała Maggie.
 - Trzeba się do nich przyzwyczaić. - Przez krótką chwilę była znów dawną Carol, która niczego nie udaje.
 - Jeśli nie zastosujemy jakichś drastycznych środków, zagłada jest nieuchronna - stwierdził Eliot.
 - W takim razie, lepiej się z tym pośpieszmy - rzekł Ken. Nie potrafił dłużej ukrywać własnej urażonej ambicji. Nie rób tego, pomyślał, i nawinąwszy makaron na widelec, zatkał sobie nim usta.
 - Dzielimy naszą planetę z wieloma współzależnymi formami życia - powiedział Eliot. - Potrzebny jest nam plan równowagi biologicznej, lecz najpierw musimy uznać, że jest on niezbędny. - I coraz bardziej zagłębiał się w wywodzie, prezentując im wyniki swoich zawitych przemyśleń.
- Podczas gdy Eliot mówił, przerywając niekiedy tylko po to, żeby przełknąć, myśli Kena podążały innym torem. Tropem wspomnień.

Rozdział II

Konkurs, który sponsorowało Nowojorskie Towarzystwo Baletowe, wygrała dziewczyna z naszego miasta. Nagroda wynosiła pięćset dolarów i była przeznaczona na opłatę czesnego w działającej pod auspicjami towarzystwa szkole baletowej. W "New York Times" ukazała się krótka wzmianka o zwyciężczyni konkursu i Jack Holmes, redaktor naczelny "Mid-Queens Post", wysłał Kena, żeby przeprowadził z nią wywiad. Dziewczyna z Forest Hills wygrywa nagrodę baletową. Dwa centy od słowa plus prawa autorskie. Holmes lubił robotę Kena. Tym bardziej, że chłopak dopiero co zaczynał. Studiował wtedy na ostatnim roku miejscowego uniwersytetu i okazywał graniczącą z arogancją pewność siebie. Był niezbitnie przekonany o własnym talencie. Czynie zahipnotyzował kolegów studentów, gdy przed zajęciami z wprawek literackich, na dwa dni przed owym przełomowym wywiadem, przeczytał im krótkie opowiadanie swojego pióra zatytułowane "Inni ludzie?". Zabawne, że szczegół odgrywał tak ogromną rolę w jego wspomnieniach. "Fantastyczne", powiedział wtedy nauczyciel o jego opowiadaniu. "Przejrzyste i dynamiczne jak górski potok wiosną". Nawet to kwieciste porównanie utkwilo Kenowi w pamięci. Jego praca trąciła Hemingwayem. Podnosiła problem samotności człowieka, i to nie gdzieś w Michigan, ale tu, w dzikiej głuszy Nowego Jorku. Wysłał opowiadanie do jednego z prestiżowych czasopism literackich, wierząc, że zostanie dobrze przyjęte. Miał wyjątkowe szczęście, że dostał tę pracę. Do diabła, dziennikarstwo było też pisarstwem i choć może znajdowało się o stopień niżej w literackiej hierarchii, wymagało umiejętności, których Kenowi nie brakowało. A własne nazwisko pod artykułem dobrze się prezentowało w teczce z wycinkami z gazet. Wbrew pisarskim ambicjom nie mógł zapomnieć o przestrojach ojca, któremu nie powiodło się w życiu. Ciągle słyszał jego słowa, że planując swoją przyszłość, człowiek musi kierować się praktycznymi i ekonomicznymi przesłankami. Ken, mimo przeświadczenia, że jego talent zostanie wcześniej odkryty, nie lekceważył potrzeby zabezpieczenia się na wypadek przeciwności losu.

- Nie pozwól, by inni zostawili cię w tyle. Tak jak mnie - ostrzegał go ojciec.

Świętej pamięci matka, najbardziej oddana z czytelniczek Kena, ani przez chwilę nie wątpiła, że syn osiągnie to, do czego zmierza. Pani genealog z zamiłowania, wysledziła skłonności literackie cztery generacje wstecz, u pradziadka stryjecznego, który pochodził z Kozina - wioski leżącej w pobliżu Kijowa, gdzie w lokalnej prasie ukazywały się jego zabawne opowiadania. Pieczołowicie przechowywane w celofanie, zostały przywiezione do Stanów przez prababkę Kena, która z biletem czwartej klasy przybyła tu na pokładzie U. S. S. "St. Louis". Ken przeczytał opowiadania w tłumaczeniu z nowohebrajskiego. Wydały mu się nadzwyczaj mądre, a matka bez przerwy wbijała mu do głowy, że tego rodzaju ciągotki i zdolności dziedziczy się w genach.

Wyjaśniało to pogłębiające się przekonanie Kena o tajemniczej i nieodpartej potrzebie tworzenia oraz o wewnętrznej sile, która go pcha w kierunku powieściopisarstwa.

- Zawsze uwielbiał wymyślać różne historie - mówiła matka każdemu, kto jej się nawinął pod rękę, gdyż dla niej kariera literacka syna była sprawą przesądzoną. Od najmłodszych fascynowało go posługiwanie się słowem. Wcześniej zaczął mówić i czytać. Często zaglądał też do biblioteki publicznej.

Już w szkole podstawowej wykazywał pierwsze oznaki pisarskiego talentu, a w siódmej klasie zdobył nawet nagrodę poetycką. W liceum został redaktorem gazety szkolnej oraz czasopisma literackiego. Kiedy trzeba było napisać satyrę klasową albo przemówienie dla kandydata ubiegającego się o przyjęcie do rady studenckiej, zawsze zwracano się z prośbą do Kena Kramera. Czy ta działalność nie była zapowiedzią przyszłości?

- To bardzo utalentowany chłopiec - wciąż powtarzano matce na wywiadówkach.

Dzięki zdolnościom pisarskim cieszył się dużą popularnością wśród kolegów, szczególnie w okresie dojrzewania, kiedy pisał wiersze miłosne dla ich dziewczyn. Przyjaciele w jego talencie upatrywali powód, dla którego Ken jako pierwszy z ich grona zdobył prawdziwe doświadczenia seksualne. Zaczął wtedy piętnasty rok życia. Tak wczesne sukcesy sprawiały, że myśl o błyskotliwej karierze literackiej wydawała się zupełnie naturalną i oczekiwaną kolejną rzeczą. Przekonanie to wpłynęło na decyzję wyboru języka angielskiego jako kierunku specjalizacji studiów. Ojciec Kena, bezrobotny księgowy, bardzo się tym zmartwił. Bał się, że syn pójdzie w jego ślady. Wolał, żeby Ken, tak jak mąż jego siostry, został przynajmniej urzędnikiem państwowym.

Z drugiej strony matka, mimo że nie skończyła żadnych studiów, była bardzo odczytana i zawsze popierała dążenia chłopca.

- Pisarstwo nie jest karierą, którą się sobie wybiera - powtarzała ojcu. - To ono wybiera ciebie. - Takie wyjaśnienia zwykle wprawiały tego nieszczęsnego i przegranego człowieka w zakłopotanie. Doświadczenia życiowe nauczyły go, że konkretny zawód jest najpewniejszą gwarancją bezpiecznej sytuacji finansowej. I niewątpliwie logika była po jego stronie. Ken upajał się wyjaśnieniami matki i w pełni się z nimi zgadzał. Jak inaczej mógł tłumaczyć sobie owo pasjonujące oderwanie się od rzeczywistości, gdy czytał opowiadania Ernesta Hemingwaya, Johna Dos Passosa, Williama Faulknera, Scotta Fitzgeralda i innych? Miał wrażenie, że wszyscy ci pisarze wciągają go do swojego grona. Ale już wtedy dostrzegał mroczną stronę bojowego wsparcia matki. Ojciec był człowiekiem miłym i delikatnym, ale mało zaradnym. Obce mu były twórcze porywy. Znajdowało to odbicie w jego skromnych dochodach i stosunkowo niewielu udogodnieniach w ich domu. Ken od wczesnego dzieciństwa słyszał nieustanne utyskiwania matki, rozczarowanej niepowodzeniami męża. Kojarzyły mu się z dudnieniem werbla. Nie potrafił znaleźć na nie bardziej trafnego określenia.

- Jak możesz zadowalać się okruchami i żyć ze świadomością, że jesteś nikim? - wygłaszała tyrady matka. - Gdzie twoja duma? Czy nasze dzieci mają brać z ciebie przykład?

- Robiłem, co mogłem - zwykle bronił się ojciec. - Nigdy nie miałem sprzyjających warunków.

- Bo nie chciałeś ich mieć - odparowywała matka.

- Ken zdobywa za darmo wykształcenie - argumentował ojciec. - Może mieć konkretny zawód. Spójrz na mnie. Jestem przykładem na to, jak kończą ludzie bez zawodu.

- Pisarstwo też jest zawodem - stwierdzała matka.

- Nie. Pisarstwo jest hazardem. Ken może się nim zajmować dla przyjemności. Najpierw jednak musi zarobić na chleb.

- Tak jak ty?

- W tym właśnie rzecz.

- Nic nie rozumiesz. Kiedy człowiek urodzi się pisarzem, nie ma wyboru. Ken jest inny niż ty. Musi się poświęcić tej karierze. Pisarstwem nie można zajmować się połowicznie. Trzeba mu się oddać całkowicie. Całkowite oddanie. Oczywiście. Pewnie miała rację. Doświadczenie nauczyło jednak Kena, że poświęcenie i pasja to jeszcze za mało. Ale wówczas, gdy był nastolatkiem, psychologiczny ping-pong rodziców, który stał się treścią ich życia, nie pozostał bez wpływu na niego. Chłopiec nie wtrącał się do ich małżeńskich wojen. Za bardzo ich kochał i miał na to zbyt wiele taktu. Ich słowa zapadły mu jednak głęboko w pamięć i wpłynęły na sposób samookreślenia się.

Gorące wsparcie matki, które nie pozostawiało miejsca na wątpliwości, było czynnikiem niezwykle pobudzającym. Jej przedwczesna śmierć z powodu raka pozbawiła Kena ostoi, jaką miał w jej osobie. Za to jej oszczędziła bólu ostatecznego uznania jego porażki. Choć pewnie ona sama by tak tego nie nazwała. Suk-

ces pisarski zawsze był sprawą dyskusyjną, czyż nie tak? Ken czuł się winny. Starał się jednak łagodzić wyrzuty sumienia wspomnieniami o chwili pożegnania. Gdy umierała, czytał jej Marcela Prousta. Chciał zaspokoić jej gorące pragnienie poznania wszystkich siedmiu tomów "W poszukiwaniu straconego czasu".

- Dzięki Bogu mój Ken nigdy nie zatrzymuje się w pół drogi - powiedziała, odchodząc z uśmiechem na ustach i trzymając go za rękę. Zdażył zaledwie skończyć "W stronę Swanna", pierwszy tom dzieła.

Taki uczuciowy bagaż wniósł Ken Kramer do domu Carol Stein owego rozstrzygającego dnia na początku lipca.

Skromny szeregowy dom rodziców Carol, z czerwonej cegły, znajdował się na 108th Street w Forest Hills. Matka dziewczyny wprowadziła Kena do salonu, gdzie na kanapie siedziała z podwiniętymi pod siebie nogami Carol.

Kobieta wskazała mu fotel, jeden z dwóch, które stały przy małym stole przed kanapą. Sama usadowiła się w drugim.

Ken rozejrzał się po pokoju i uderzyła go jedna prawidłowość: życie i los tej rodziny były całkowicie podporządkowane aspiracjom dziewczyny. Zauważył zdjęcia w srebrnych ramach - niemal wyłącznie jej podobizny. Carol na kucu. Carol jako małe dziecko w stroju baletowym. Wyjątek stanowiło ślubne zdjęcie dwojga ludzi, którzy pewnie byli jej rodzicami; nalana męska twarz za grubymi szklami oraz uśmiechnięta, z dołeczkami w policzkach twarz matki. W rzeczywistości kobieta wydała mu się o wiele poważniejsza i bardziej energiczna. Przeczucie mówiło Kenowi, że się nie myli. Kariera córki była jedyną prawdziwą iskrą w bezbarwnym życiu tych ludzi.

- Jesteśmy bardzo dumni ze zwycięstwa córki - powiedziała pani Stein, patrząc w stronę Carol.

W domu było dużo roślin, które w promieniach wpadającego oknem słońca odbijały się w oczach Carol, dodając im zielonego blasku. Ken nie dostrzegł jednej zbytecznej fałdki na jej delikatnej kocij twarzy, którą okalały ciemne włosy przedzielone pośrodku głowy. Miała na sobie szarą spódnicę, opiętą na doskonale krągłych kolanach, i białą jedwabną bluzkę, wyciętą z przodu aż do biustu. Przywodziła mu na myśl żywą dreздеńską lalkę o kremowej cerze, skromnym uśmiechu oraz czujnym i zaciekawionym spojrzeniu, w którym nie było cienia nieśmiałości. Przypominał sobie, jak pociągające wydały mu się wtedy jej oczy. Od pierwszej chwili jej widok go poruszył.

- Czy nie jest stworzona do roli Kopciuszka? Mówię o drugim akcie, który rozgrywa się na balu i. . .

- Jestem przekonana, że pan Kramer zna tę historię, mamó.

- To bardzo ciężka praca - powiedziała pani Stein. - Ta dziedzina sztuki wymaga żelaznej dyscypliny.

- Bez niej żaden artysta nie może myśleć o sukcesie - zauważył Ken. Nie był w stanie oderwać wzroku od oczu Carol. Wyrażała na to milczącą zgodę. Zastanawiał się, jak ona go odbiera. Doskonale wiedział, że takie rozważania nie mają nic wspólnego z dziennikarskim podejściem do sprawy. To on występował w charakterze obserwatora. Nie miało znaczenia, jakie wrażenie wywiera na osobie, z którą przeprowadza wywiad.

- Jak się pani czuje w roli zwycięzcy, panno Stein? - zapytał. Miał przygotowany długopis i otwarty notatnik na kolanach.

Carol zawahała się. Spuściła wzrok. Uważnie przyglądała się swoim dłoniom. Była wyraźnie speszona, gdy szukała właściwych słów.

- Jest jeszcze wciąż podekscytowana sukcesem - pośpieszyła z pomocą pani Stein, nerwowo przesuując w palcach sznur pereł.

- Nie spodziewałam się, że wygram - powiedziała skromnie Carol.

- Ma niezłomną wolę, panie Kramer - stwierdziła pani Stein.

- To jedyna szansa na powodzenie - orzekł ze znajomością rzeczy Ken.

- Pracuje dzień i noc - zapewniała pani Stein. - Prawie nic nie je. Od samego rana jest już przy drążku.

- Mamó, czy mogłybyśmy zaproponować panu Kramerowi herbatę? - zapytała Carol i uśmiechnęła się.

Pani Stein z trudem dźwignęła się z głębokiego fotela i wyszła do kuchni, zostawiając Kena i Carol samych.

- Mam w rodzicach wielkie oparcie - westchnęła Carol.

- Może nawet zbyt duże. Biorąc jednak pod uwagę, przez co jeszcze muszę przejść, nie zdołam się obejść bez ich pomocy.

- Kariera baletowa ma dla ciebie duże znaczenie, prawda? - zapytał Ken.

- Obawiam się, że jest dla mnie wszystkim, całym moim światem.

Znowu napotkał jej oczy i wyczuł w nich szczerość. Jej zaangażowanie dominowało nad wszystkimi innymi uczuciami, chociaż wydawało mu się przez chwilę, że dostrzegł w jej spojrzeniu coś jeszcze, czego nie potrafił rozszyfrować, ale co go zniewoliło. Nagle wyprostowała nogi, wstała i zaczęła chodzić po pokoju. Zaskoczył go jej wzrost. Była o wiele wyższa, niż mu się wydawała, kiedy siedziała na kanapie. Teraz, gdy spacerowała po pokoju, przypominała trzcinę kołyszącą się w delikatnych powiewach wiatru. Częściowo zakryte spódnicą nogi miały doskonałe proporcje i wspaniale rozwinięte mięśnie. Pośladki poruszały się rytmicznie i Carol zdawała się płynąć. Widok dziewczyny niespodziewanie podniecił Kena.

- Stypendium trochę odciąży finansowo rodziców - powiedziała do siebie.

W tym momencie weszła do pokoju pani Stein z tacą, na której niosła herbatę, filiżanki i ciastka w czekoladzie.

- Nie ma takiej rzeczy, której byśmy dla niej nie zrobili - stwierdziła. - Ale i tak nasze poświęcenie jest niczym w porównaniu z jej oddaniem się pracy. Kariera baletnicy wymaga stuprocentowego zaangażowania, prawda, Carol? A nawet więcej. Studziesięcioprocentowej mobilizacji. Proszę mi wierzyć, gdyby nie to, że daję z siebie wszystko, musielibyśmy się nad tym dobrze zastanowić.

- Szkoda, że nie można osiągnąć celu mniejszym kosztem - zauważyła Carol, wracając do kanapy. Usiadła na niej i ponownie podwinęła pod siebie nogi. W przelocie mignęła mu jej biała bielizna. Zmieszał się, jak gdyby oczekiwał tego widoku. Wiedział, że tak właśnie było. Poczuł, że się rumieni. Odwrócił twarz w drugą stronę.

- Zaczęłam posyłać ją na balet, gdy miała trzy lata - powiedziała pani Stein. - Dzięki stypendium jeszcze przed ukończeniem osiemnastego roku życia zostanie członkiem Nowojorskiego Zespołu Baletowego. -

Pani Stein spojrzała ostro na córkę. - Jestem pewna, że tego dokona.

- To nic wielkiego, mamó. Baronowa, Riabuszyńska i Tumanowa zdobyły sławę nie mając jeszcze piętnastu lat.

- Często przeraża ją upływ czasu. Nie zapominaj, że Pawłowa nigdy nie przeszła na emeryturę i tańczyła aż do samej śmierci, do pięćdziesiątki.

Pani Stein naląka Kenowi herbaty, podała mu filiżankę i zaproponowała ciastko w polewie czekoladowej. Potem naląka filiżankę herbaty dla Carol i na końcu dla siebie. Z powrotem usadowiła się w fotelu i postawiła sobie na kolanach talerz z ciastkami.

- To mój pierwszy wywiad - powiedziała Carol. Miała miłą modulację głosu. Popijała herbatę, ale nie sięgnęła po ciastko.

- Jestem przekonana, że masz ich jeszcze mnóstwo przed sobą - rzekła pani Stein.

- A więc zajmujesz się baletem od najmłodszych lat - stwierdził Ken, obrzucając wzrokiem zdjęcia na bocznym stoliku.

- Nawet wcześniej - oświadczyła pani Stein. - Chyba tańczyła już w moim łonie. Przysięgam, że to czułam.

- Mamó - przerwała jej Carol, prosząc wzrokiem Kena o wyrozumiałość.

- Wprowadzam ją w zakłopotanie, jak sądzę - rzekła pani Stein.

- Mamó, proszę cię, zrozum. To mój wywiad. - A po chwili dodała już bardziej łagodnym tonem: - Jak na matkę tak zwanego "cudownego dziecka", moja mama zachowuje się dość nietypowo.

- Tak, to prawda. Często muszę ją wręcz powstrzymywać od pracy. Proszę mi wierzyć, Carol nie potrzebuje zachęty. Powinien ją pan zobaczyć, panie Kramer. Jest cudowna. Absolutnie cudowna.

- O niczym innym nie marzę - powiedział Ken.

Opowiadanie zaczęło układać się w całość. Ogarnięta pasją tańca córka i poświęcająca się jej rodzina. Wiedział już, co napisze, i w myślach ułożył sobie tytuł. Potrzebował jeszcze kilku informacji i starał się wydobyć je od Carol. Lata ćwiczeń, nieustanny wysiłek, ciągły trening. Wszystko skrupulatnie zanotował.

- Jak myślisz, skąd wzięło się u ciebie zamiłowanie do baletu?
- Carol długo zastanawiała się nad odpowiedzią.
- Gdy miała trzy lata - wtrąciła się matka - zaprowadziłam ją na "Jezioro łabędzie" Czajkowskiego. Oglądała je jak zahipnotyzowana. Nigdy nie zapomnę. . .
- Przedstawienie na pewno wywarło na mnie wrażenie, ale chodzi o coś więcej - przerwała jej Carol. Pokręciła głową. - Nie potrafię tego wyjaśnić. Nigdy o niczym innym nie marzyłam. Balet zawsze był dla mnie wszystkim.
- Co będziesz robić po ukończeniu tutejszej szkoły? - zapytał.
- Pójdę do Nowojorskiej Szkoły Baletowej na Manhattanie. Podobnie jak mama łudzę się, że zostanę przyjęta do Nowojorskiego Zespołu Baletowego.
- To sprawa przesadzona - wtrąciła matka.
- Rozumiem. Chcesz zostać zawodową tancerką - stwierdził Ken.
- I to primabaleriną, panie Kramer - podkreśliła pani Stein, wymieniając spojrzenia z córką.
- Mamo, proszę - powiedziała Carol, rumieniąc się. Nie chcę na razie nawet o tym myśleć. Jedno, co mogę zrobić, to bardzo dużo pracować. I właśnie na tym zamierzam się skoncentrować. Nie można lekko traktować tytułu "baleriny", panie Kramer - zwróciła się do Kena. - Niewiele tancerek zdobywa go, i to dopiero tuż przed trzydziestką. A na to, żeby go potem utrzymać, też trzeba sobie ciężko zapracować. Tytuł "primabaleriny" jest jeszcze trudniej osiągalny. To prawdziwe marzenie każdej baletnicy.
- Przypuszczam, że w tej szkole panuje ogromna konkurencja. Przecież przybywają tam zewsząd dziewczęta o równie palących ambicjach. Carol wzruszyła ramionami.
- Dlatego właśnie staram się zachować rozsądek, oceniając własne szanse.
- Nagły przebłysk zwątpienia był jak zgrzyt.
- Carol jest przesadna - wyjaśniła pani Stein. - Uważa, że nadmierny optymizm i pewność siebie mogą jej przynieść pecha.
- Pewnie wie, co robi. Wygrała przecież konkurs - zauważył Ken. Myśl o współzawodnictwie wydała mu się dziwnie bliska. Czy nie był w podobnej sytuacji? I nie mierzył równie wysoko?
- Tak naprawdę, to Carol chce być najlepsza na świecie - powiedziała pani Stein. Dziewczyna spojrzała na nią z wyrzutem i zmarszczyła brwi.
- Chce być mistrzynią - podsumował Ken. Niech się tak stanie na miłość boską, pomyślał. Czuł, jak cała aura dziewczyny, wszystkie pory w jej skórze emanują potrzebą pogoni za doskonałością. Ale także wątpliwości.
- Zamierzam bardzo ciężko pracować, ale to nie gwarantuje jeszcze sukcesu - powiedziała Carol. - Zrobię, co będę mogła.
- Wytlumacz panu Kramerowi, co to znaczy, kochanie - rzekła pani Stein. A po chwili milczenia sama udzieliła wyjaśnień. - Osiem godzin ćwiczeń dziennie. Gimnastyka i żelazna dyscyplina. Ciało jest instrumentem. Staranna dieta. Wczesnie do łóżka. Żadnych spotkań towarzyskich. To nie hobby. To samo życie.
- Czy to aby nie za ciężko? - Ken zwrócił się do Carol.
- Za ciężko? - zaczęła pani Stein.
- Nie ma potrzeby, żeby wyręczała pani córkę w odpowiedzi - przerwał jej Ken, mrugając do Carol. W oczach dziewczyny dostrzegł błysk aprobaty. Czekał w milczeniu przez długą chwilę.
- Taniec to praca tancerki - odpowiedziała spokojnie Carol. - Postanowiłam poświęcić mu moje życie. Jest dla mnie wszystkim. Mam nadzieję, że dzięki niemu zrobię karierę. W każdym razie taki mam zamiar.
- To mi się podoba - stwierdził Ken.
- Nie sądzi pan, że Carol jest wyjątkową osobą? - wtrąciła pani Stein, ale Ken nie zwracał na nią uwagi.
- A więc twoje życie jest nierozdzielnie związane z tańcem? - zapytał, jak gdyby matka dziewczyny przestała nagle istnieć. - Czy to wyklucza wszystko, co nie ma z nim związku?
- Tak - odpowiedziała zdecydowanie Carol.

- Nawet chłopców? - upewnił się. Pomimo własnego ukrytego motywu, z dziennikarskiego punktu widzenia pytanie było dobre.

- Tak, nawet ich - odparła Carol. Zjrzał jej w oczy. Pragnął w nich znaleźć zaprzeczenie tych słów, ale nie znalazł. Z trudem ukrył rozczarowanie.

- Nie w głowie jej chłopcy. Nie ma na to czasu - powiedziała matka.

Oczy Carol były roześmiane.

- Czy nie obawiasz się, że staniesz się. . . towarzysko wyobcowana? - spytał przebiegle Ken.

- To się okaże. W tej chwili nie ma to dla mnie znaczenia - oświadczyła Carol, a jej matka z aprobatą pokiwała głową.

- A więc tylko sztuka - stwierdził Ken.

- Sądzę, że w pewnym sensie tak. Właściwie to nigdy się nad tym nie zastanawiam - powiedziała Carol. Teraz, gdy słońce chyliło się ku zachodowi i do pokoju wpadało więcej światła, jej oczy stały się jeszcze bardziej zielone. - Nie będę się oszczędzać, ponieważ pewnego dnia mam zamiar dopiąć swego. Doskonale rozumiał, o czym mówi. Ken uważał, że napisał dobry artykuł. Holmes, który go wydał, zgadzał się z tą opinią.

- Myślisz, że jej się powiedzie? - zapytał Kena.

- Życzę jej tego z całego serca - odparł chłopak.

- Pewnie jeszcze o niej usłyszymy.

Młoda adeptka sztuki baletowej zrobiła na nim wrażenie. Artykuł zatytułowany "Dziewczyna z Forest Hills najlepiej kręci piruety" został wzbogacony o zdjęcie Carol, która w krótkiej baletowej spódniczce wykonuje taneczny półobrót.

W dniu, w którym artykuł się ukazał, Ken zaniósł Carol gazetę i przyglądał się jej, gdy ją czytała. Na szczęście matki nie było w domu. Zastał Carol przy drążku do ćwiczeń. Miała zroszoną potem twarz. Ken zwrócił uwagę na jej figurę, która doskonale prezentowała się w obcisłym baletowym kostiumie. Czuł do tej dziewczyny niezaprzeczalny pociąg fizyczny.

- Jestem zażenowana - powiedziała, odkładając gazetę.

- Napisałem prawdę - stwierdził.

- Jesteś pewien, że osiągnę sukces?

- Nie mam żadnych wątpliwości.

- A ja tak. I to całe mnóstwo.

- Intuicyjnie w ludziach wyczuwam, kto jest typem zwycięzcy.

Zaprosił ją na kawę w taki sposób, żeby nie wzięła ich spotkania za randkę. Najbardziej się bał, że mówiąc o braku miejsca w życiu na rozrywkę, myślała o tym poważnie. A on właśnie chciał odciągnąć ją od pracy. Chciał z nią jak najdłużej przebywać. Kilka bloków dalej znajdowała się kawiarnia.

- Czuję się trochę winny, że oderwałem cię od pracy - powiedział gdy usiedli i kelner przyjął zamówienie.

- Nie bądź niemądry. Czasami muszę mieć chwilę wytchnienia.

- Wszyscy musimy - roześmiał się Ken. - Miło, że to mówisz, po tych wszystkich stwierdzeniach o żelaznej dyscyplinie.

Zauważył, że ma szczupłe i delikatne palce oraz długą i zgrabną szyję. Była bardzo atrakcyjna i zachowywała się w naturalny sposób. Wyczuł w niej łatwowierność i bezbronność. Cechy te wyzwoliły w nim drażące myśli. Było oczywiste, że Carol nie ma doświadczenia z płcią przeciwną. Chociaż sam nie uważał się za eksperta, jego zakres wiedzy w tej dziedzinie był niewątpliwie szerszy niż jej. Zastanawiał się, czy w ogóle przyszło jej do głowy, że zapraszając ją na kawę, zamierza z nią flirtować. Nawet w myślach nie ośmielił się użyć słowa "uwieść". Chciał ją sobą zainteresować. Okazało się to jednak trudniejsze, niż się spodziewał.

- Poznałem twoją historię. Jeśli chcesz, opowiem ci teraz o sobie.

- Tak, jestem ciekawa. - Skinęła głową.

Zamówiła kawę i popijała ją małymi łykami, głównie jednak wodziła opuszkami palców wzdłuż brzegu filiżanki. Pomimo jej uprzejmego zachowania Ken czuł, że czas, który mu poświęca, jest ograniczony.

- Rozumiem, co miałaś na myśli, mówiąc, że dopniesz celu. . . Widzisz, ja chciałbym pisać. . .

- Przecież już to robisz.

- Myślę o twórczości literackiej. W pewnym stopniu przypomina sztukę baletową. Tancerka tańczy. A pisarz pisze.

- Oczywiście - powiedziała, potwierdzając skinieniem głowy, że go doskonale rozumie.

- "W Michigan" jest moim "Jeziorem łabędzim" - powiedział.

Spojrzała na niego zdziwiona.

- Gdy obejrzałaś "Jeziro łabędzie", wiedziałaś, że chcesz zostać tancerką. Ja natomiast po przeczytaniu "W Michigan" Ernesta Hemingwaya zrozumiałem, że chcę zostać pisarzem - wyjaśnił. - Zaliczamy się do szczęściarzy. Wiemy, czego chcemy w życiu.

Potem opowiedział jej o swoich zamierzeniach, jak gdyby to ona była dziennikarką, która przyszła przeprowadzić z nim wywiad.

- Pierwsza publikacja w wieku dwudziestu pięciu lat. To mój cel - wyznał. - Odczuwam potrzebę wyrażenia wielu prawd, słyszę doniosły wewnętrzny głos.

- Tak, wiem - powiedziała Carol.

Chociaż nie zapytała, co Ken dokładnie zamierza wyrazić, był pewien, że dobrze go rozumie.

- Pisarstwo jest formą wyrazu. Podobnie jak balet.

- Masz szczęście - powiedziała. - Twórczość pisarska nie jest ograniczona barierami czasu. Karierę tancerki limitują możliwości ciała: - Spojrzał na jej szczupłe, delikatne przeguby rąk i na opinający drobne kości wąski pasek zegarka. Ale mimo to, gdy patrzył na nią, wcale nie odniósł wrażenia, że jest krucha.

- Twoja matka powiedziała, że upływ czasu napawa cię lękiem - rzekł, jak gdyby przypominał mu o tym widok zegarka dziewczyny.

- To rodzaj zawodowego ryzyka - stwierdziła Carol.

- Tancerka zawsze mierzy się z czasem.

- Nawet w wieku siedemnastu lat?

- Prowadzę z nim wyścig od trzeciego roku życia - odparła.

- Jesteś taka silna - stwierdził.

- Muszę być.

Patrzył na nią przez długą chwilę, badał wzrokiem jej twarz i myślał, jak zdobyć jej zaufanie. Wiedział, do czego zmierza. Chciał nawiązać z nią kontakt. Być może nawet intymny. Odpowiedz na moje zabiegi, błagał ją w duchu.

- Muszę to powiedzieć. Uważam. . . że jesteś piękna. Bardzo piękna.

- Naprawdę? - Sprawiała wrażenie zdziwionej. - Bardzo dziękuję.

- To miło z pana strony.

- Słucham? - Zmieszała się.

- Powinnaś jeszcze dodać: "To miło z pana strony". Byłaby to elegancka i kokieteryjna formułka.

- Nie bardzo znam się na tych sprawach - powiedziała rumieniąc się. Nerwowo zamrugła powiekami.

Kusiło go, żeby dotknąć jej ręki. Ale nie zrobił tego. Pokręcił tylko głową.

- Czy myślisz kiedykolwiek o czymś innym poza baletem?

Zawahała się i uśmiechnęła.

- Wszystko ma związek z baletem - powiedziała.

- Niemożliwe, nawet chłopcy?

- Nie, oni nie - odparła, dając mu niewielką szansę.

- Nie trzeba wystrzegać się wyjątków - powiedział śmiało.

Roześmiała się, ale nie potrafiła się odciąć.

- Jakie masz dalsze plany? - zapytał.

Nie spodziewał się odpowiedzi, którą usłyszał.

W przyszłym miesiącu zamierzała rozpocząć studia na Manhattanie. Wynajęła tam małe mieszkanie, żeby nie tracić czasu na dojazdy.

- Dopiero co cię znalazłem, a już mi się wymykasz - powiedział. Dokładnie tak myślał. Budziła w nim tęsknotę. I ból. Czy tak właśnie czuł się człowiek zakochany?

- Jestem pewna, że kiedyś się znowu spotkamy - powiedziała uprzejmie, ale bez przekonania, pogłębiając jego zawód.

Szukał odpowiednich słów. Chciał dodać coś więcej, sprowokować jej reakcję. Czy budził w niej jakieś uczucia? Wątpił w to. Był zniechęcony.

- Czy twoja matka nie ma nic przeciwko temu, że zamieszkaż na Manhattanie? - Świadomie zadał banalne pytanie.

- Oczywiście, że nie. Rozumie, że to mi ułatwi życie i zredukuje wydatki na przejazdy. Będę miała więcej czasu na pracę i naukę. Moi rodzice pokryją wszystkie koszty. Oczywiście stypendium bardzo im w tym pomoże.

- Czy mógłbym kiedyś zobaczyć, jak tańczysz?

- Oczywiście. - Zawahała się. - A ciebie poproszę o to, żebyś dał mi do przeczytania swoje prace. Wiesz, mam na myśli. . . twoje prace literackie.

Niewielki krok do przodu, pomyślał. Uderzyła w osobistą nutę. Chociaż trudno nazwać to przełomem, osiągnął chyba jakiś postęp. Spojrzał na nią, ale spuściła oczy.

- Czy możemy nadal utrzymywać ze sobą kontakty? - zapytał. - Naprawdę chciałbym cię lepiej poznać.

- Tak, oczywiście.

- Dasz mi swój numer telefonu?

- Mama będzie go znała.

- Zechce mi go podać? - Zająknął się na moment, starając się uderzyć w odpowiednią strunę. - Nie chcę, żeby myślała, że zamierzam z tobą chodzić. Masz we mnie po prostu oddanego przyjaciela. Carol uśmiechnęła się.

- Przekażę jej twoje słowa.

Czy naprawdę zamierzała to zrobić? Pragnął wierzyć, że wbrew wszelkim przeciwnościom, dyscyplinie i unikom, działanie potężnej siły narzuci im w końcu swoją nieubłaganą wolę. I tak się miało stać, tylko że on wtedy jeszcze o tym nie wiedział.

- Do zobaczenia - powiedziała na pożegnanie, gdy wymienili mocny uścisk dłoni. Nie ma w niej nic kruche-
go, pomyślał patrząc za nią.

Do zobaczenia? Wątpił, czy się jeszcze kiedyś spotkają.

Niedługo potem Ken odczuł pierwszy lodowaty powiew literackiej porażki. "Inni ludzie", opowiadanie, które wysłał do jednego z czasopism, zostało odesłane z dopisanym odręcznie komentarzem na formularzu o odrzuceniu pracy:

"Znajdź swój własny głos, Kramer. Hemingway nie znosił kiepskich naśladowców".

Pocieszał się, że niepowodzenia były udziałem wszystkich wielkich pisarzy, dopóki nie nadszedł ich czas. A wierzył, że swój ma jeszcze przed sobą.

Po ukończeniu uniwersytetu Ken podjął pracę w "Daily News" jako kopista. Pracował na zmianie od czwartej po południu do północy, dzięki czemu mógł pisać w ciągu dnia i nie narażać własnego stylu na wypaczenie z powodu wypisywania bzdur za dwa centy od słowa. Zamieszkał w pracowni na Houston Street w Greenwich Village. Tak naprawdę, był to zaledwie jeden kwadratowy pokój z niewielką lodówką i piecem gazowym oraz z regałem w jednym kącie i łóżkiem w drugim. Przy ścianie stał stół, który służył też Kenowi za biurko. Umeblowanie pomieszczenia dopełniało pojedyncze drewniane krzesło. Mieszkanie było ciemne, ponieważ znajdowało się w suterenie i miało żelazne kraty w oknach. Panowała w nim wilgoć i unosił się nieprzyjemny zapach, ale Kena nie stać było na nic lepszego. Miał za to elektryczną maszynę do pisania i

plik skradzionych w "Daily News" arkuszy papieru. Nic więcej nie potrzebował, żeby tworzyć wiekopomną prozę.

Minęło kilka miesięcy od czasu spotkania z Carol. Przymilnym zachowaniem zdołał wyłudzić od pani Stein numer telefonu do córki. Przy okazji dowiedział się, że Carol mieszka na Prince Street, zaledwie kilka bloków dalej od jego pracowni przy Houston Street.

Gdy się z nią skontaktował, sprawiała wrażenie ucieszonej. Nie był pewien, czy szczerze. Chociaż uprzejma, jak zwykle zachowywała dystans i okazywała niewielkie zainteresowanie rozmową. Zawsze wyczuwał w niej obojętność i nie dawało mu to spokoju. Od chwili, kiedy ją poznał, nie mógł przestać o niej myśleć.

- Piszę powieść - oznajmił jej z powagą człowieka, który wypełnia święte powołanie.

- To cudownie - odpowiedziała tylko.

- O historii rodziny z Brooklynu - ciągnął mimo braku zachęty z jej strony. - Nie myśl, że to jakiś banał początkującego powieściopisarza, który odkrywa drzemiące w człowieku zło. Piszę o tym, jak śmierć matki wpływa na rozpad rodziny. - Będą tam elementy autobiograficzne, to prawda, pomyślał. Ale przecież można je znaleźć we wszystkich powieściach. Liczył na to, że Carol zainteresuje się jego pracą i zacznie go o nią wypytywać. Ale nic takiego się nie stało. Powiedział jej, że pracuje w "Daily News" i że mieszka kilka bloków dalej, na Houston Street. Po chwili stwierdził jednak, że dziewczyna wcale go nie słucha. Mówił jak do ściany.

- Ale dosyć o mnie. Co nowego u ciebie?

- No cóż, tancerka tańczy - westchnęła. Jej stwierdzenie nie zabrzmiało entuzjastycznie.

- Nie przemęczasz się aby?

- Nie jest mi łatwo, Ken. Mam wielką konkurencję.

- Nie zamierzasz chyba zrezygnować?

- Nie, myślę, że nie.

- Masz szansę dostać się do zespołu?

- Chyba tak - odpowiedziała.

- Mogę do ciebie przyjść, jeśli chcesz. Pośmiejemy się trochę i zjemy wspólnie pizzę. Jeżeli ostatnio w ogóle coś jadasz.

- Niewiele. Śmieję się też nieczęsto.

Odpowiadała ważąc słowa i milkła na długie chwile. Martwiło to Kena, ale nie chciał na nią naciskać.

- Kiedy będę mógł cię zobaczyć?

Kolejna długa przerwa, a potem westchnienie.

- Sama nie wiem, Ken. Jestem całymi dniami zajęta. A kiedy wracam do domu, padam ze zmęczenia.

- Czy możemy ustalić jakąś datę? Określ przynajmniej rok.

- Przykro mi, ale nie, Ken.

- Czy mogę do ciebie telefonować? Dialog jest moją mocną stroną.

Żadnej reakcji.

- Będzie mi miło. Dobrze, zostaniemy w kontakcie.

Widoki nie były zbyt zachęcające.

Myślał o niej często. Prawdę mówiąc, myślał o niej więcej niż o własnej powieści, która utknęła w martwym punkcie. Czasami, wracając po północy z pracy, wałęsał się po ulicach i nieodmiennie przychodził pod jej dom. Zatrzymywał się przed nim i długo wpatrywał w ciemne okna na piętrze, które, jak sądził, należały do jej mieszkania.

Wyobrażał ją sobie, jak śpi w pozycji embrionalnej, a jej umysł krąży gdzieś po bezkresnych drogach baletu, śniąc o wzbijaniu się w przestworza bez ograniczeń ciała i krępujących sił grawitacji.

Aby pogłębić wiadomości z zakresu baletu, przeczytał używaną książkę poświęconą tej dziedzinie sztuki.

Dowiedział się, czym różni się arabesque od developp, i entrechat od piruetu. Skrycie marzył o chwili, w której będzie mógł zaskoczyć Carol swoją wiedzą.

Wielokrotnie słuchał nagrań z "Jeziora łabędziego", "Popołudnia fauna", "Giselle" i "Dziadka do orzechów". Chociaż nie miał słuchu, zdołał zapamiętać muzykę i niecierpliwiał się, żeby zaimponować Carol jej znajomością.

Żałował, że nie jest w stanie zaszczepić w marzeniach dziewczyny myśli o sobie ani sprawić, żeby go dostrzegła. Zwróć na mnie uwagę, błagał ją w duszy.

Potem, zamiast pisać, zaczął spacerować po mieście również i w ciągu dnia. W końcu zawsze trafiał pod jej dom. Kiedyś zadzwonił nawet do drzwi, ale nikt mu nie otworzył. To zrozumiałe. Carol była przecież w szkole baletowej. Często telefonował, ale zwykle nikt nie podnosił słuchawki. A kiedy zastawał ją w domu, sprawiała wrażenie, że się dokądś śpieszy. Zawsze była bardzo uprzejma.

- Przepraszam cię, Ken. Nie mam teraz czasu. Bądźmy ze sobą w kontakcie.

- Dobrze - zgadzał się. Niczego bardziej nie pragnął jak kontaktu z nią.

- Przechodziłem dziś koło twojego domu - mówił, gdy znajdowała czas, żeby go wysłuchać. Wczoraj też. I przedwczoraj. I dwa dni temu, dodawał w myślach.

- Naprawdę?

- Miałem ochotę zadzwonić do drzwi.

- Dlaczego tego nie zrobiłeś?

- Akurat było południe.

- Och tak, o tej porze zwykle jestem w szkole.

- A o jakiej nie jesteś?

- Niestety, spędzam tam większość czasu.

- Jak postępy?

- Zgodnie z oczekiwaniami.

- To nie zabrzmiało zbyt optymistycznie.

- Ależ nie. Wszystko w porządku - powiedziała trochę zbyt pośpiesznie. Był pewien, że w ten sam sposób uspokaja swoją matkę.

Dzień ciągnął się za dniem. Kenowi coraz trudniej szło pisanie. Stał się markotny i zamykał się w sobie nawet w pracy. Po raz pierwszy w życiu ogarnęły go wątpliwości. Nie mógł się z nich otrząsnąć i to go przerażało. Którejś nocy, kiedy nie mógł zasnąć, zatelefonował do Carol. Jednak gdy usłyszał jej stłumiony i zaspany głos, opuściła go odwaga i odłożył słuchawkę. Nie chciał ujawniać przed nią swojej słabości. A tym bardziej przyznawać się do zwątpienia.

Ktoregoś dnia zdarzyło się coś niepojętego: ona zatelefonowała do niego. W pierwszej chwili nie wierzył własnym uszom.

- Jestem unieruchomiona w domu na jakiś czas - powiedziała.

- Ja jestem już od wielu dni - zażartował.

- Mam zwichniętą kostkę. Tym razem to poważna sprawa. Zwykle mogłam z tym pracować. Teraz nie mam wyboru: muszę leżeć z nogą w górze.

- I pewnie palisz się z niecierpliwości, żeby mnie zobaczyć - powiedział zuchwale, jednak zaraz umilkł, czekając na jej odpowiedź.

- Żebyś wiedział. Umieram z głodu.

- Dobrze. Postaram się dla ciebie o jakąś karmę.

- Zgoda, tym bardziej, że mogę tylko skakać jak ptak na jednej nodze. Chętnie bym też zjadła kanapkę.

Ken był zdumiony, że nie zatelefonowała do swojej matki. Kiedy jednak przypomniał sobie, jak rodzice Carol poświęcili i podporządkowali swoje życie jej marzeniom, zrozumiał, że chciała oszczędzić im rozczarowań i niepokoju. Dostrzegł w ich stracie swoją szansę.

Skrupulatnie wypełnił polecenie. Pszenna bułka z białym serem, mrożona herbata i pomarańcza.

Drzwi do jej mieszkania zastał otwarte. Było małe. Upiększyła je wymyślnymi poduszkami w nowoczesne wzory, reprodukcjami baletnic Degasa i plakatem z postacią Nurejewa. Przy jednej ze ścian salonu stało lustro z nieodzownym drążkiem do ćwiczeń.

Carol leżała na kanapie. Przypominała potłuczoną porcelanową lalkę. Jej uniesiona i zabandażowana w kostce noga spoczywała na zagłówku. Gdy wszedł do pokoju, Carol podciągnęła się w górę, wspierając się na łokciu.

- Przedstawiam sobą dość żalony widok, prawda?

- Wcale tak nie uważam.

- Ominął mnie występ z powodu kontuzji. Miałam tańczyć pas de deux. Niech to diabli.

Drżała jej górna warga i z trudem powstrzymywała szloch. Miał nadzieję, że jeśli się zdecyduje wypłakać, zrobi to na jego ramieniu. W chwili, gdy wszedł do pokoju i zobaczył ją, taką słodką, bezbronną i opromienioną blaskiem odbijających się w lustrze promieni słonecznych, serce podskoczyło mu do gardła.

Miała na sobie biały kostium gimnastyczny. Wyciągnięte na kanapie kształtne nogi były jak wytoczone. Zamiast gestykulować rękami, dla podkreślenia słów poruszała zdrową nogą. Co jakiś czas unosiła ją pionowo w górę, zginała w kolanie i podciągała aż do piersi.

- To upomnienie Natury, żebym nieco zwolniła - powiedziała, odgryzając kęs kanapki.

- Schlebia mi fakt, że zatelefonowałaś właśnie do mnie - powiedział szczerze.

- Byłeś pod ręką - rzekła przekornie i spojrzała na niego prowokująco. A więc w końcu spod powłoki bezgranicznego zaangażowania i poświęcenia się pracy wychynał jakiś figlarny rys. - Przykro mi tylko, że przeszkodziłam ci w pisaniu.

- Dla ciebie zawsze jestem gotów z wszystkiego zrezygnować - zażartował. W rzeczywistości ciągle napotykał jakieś przeszkody. Gdy nie miał przed sobą czystej kartki papieru, a tylko bujające w obłokach myśli, akcja powieści sięgała wyżyn, natchnieni zaś intuicją bohaterowie przechodzili cudowne i zawile koleje losu.

Śmiali się, płakali, kochali i cierpieli. Wzlot kończył się jednak w połowie zapisanej stronicy. Była to nie tyle blokada twórcza, co strach przed rozwinięciem skrzydeł. Prośba Carol przysłała jak słodkie wybawienie. Ken niemal wierzył, że widok dziewczyny przywróci mu wenę i na nowo ożywi świat literackiej fikcji.

-Czy zatrzymałabyś się w połowie piruetu, gdybym zatelefonował?

- Co takiego? Żeby sobie skręcić drugą kostkę? Uniosła stopę i wyciągając ją w górę, dotknęła ramienia Kena, jak gdyby w ten sposób najlepiej umiała wyrazić swoją radość. Tak wyglądała jej pierwsza pieśczoła. Bądźmy w kontakcie, powiedział do siebie, łudząc się, że go usłyszy.

Rozmawiali przez całe popołudnie. Zapamiętał z niego głównie to, jak w promieniach zachodzącego zimowego słońca zmieniała się barwa światła na jej twarzy, od kremowej do różowego alabastru. Zanim wyszedł, wiedział już na pewno, że ją kocha, kochał i zawsze będzie kochać.

Od tego miejsca wspomnienia zaczęły się na siebie nakładać. Upływ czasu zakłócił ich chronologię. Ken zapamiętał tylko, że Carol stanowczo nie zgodziła się na jakiegokolwiek "umówione spotkanie", ale wyraziła gotowość utrzymywania dalszych kontaktów. Była w mniejszym stopniu panią własnego czasu niż on.

Niemniej, po tym spotkaniu przy jej łóżku poczuł, że odnalazł zgubioną drogę. Bohaterowie jego powieści powstali z martwych. Wyobraźnia odzyskała zdolność do intensywnej gimnastyki, akcja posuwała się naprzód i rósł stos starannie zapisanych arkuszy maszynopisu. Prawie już nie pamiętał tamtej historii, chociaż wtedy miała dla niego wagę Biblii, szczególnie wielka scena śmierci - umierająca matka i syn, który jej czyta Prousta.

Carol leżała przez tydzień, a Ken nie zmarnował swojej szansy. Stał się niezastąpiony. Przynosił jej jedzenie, sprzątał mieszkanie, rozmawiał z nią i nie pozwalał się nudzić.

- Byłeś dla mnie wspianały, Ken - powiedziała. - Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

Nie przyznała się rodzicom do kontuzji. Tłumaczyła się tym, że nie chce ich niepotrzebnie denerwować i niepokoić.

- Idzie mi świetnie, mam - słyszał, jak mówi czasami do matki, ale za każdym razem, gdy odkładała słuchawkę, dręczyły ją wyrzuty sumienia.

- To minie. Wcale ich nie zawiodłaś - tłumaczył jej.

- Przecież nie masz na to wpływu.

- Każda przerwa w pracy ich rozczaruje, bez względu na to, z czyjej nastąpiła winy.

- Dlaczego się tym zadreęczasz?

Czuł, że z każdym dniem stają się sobie coraz bliżsi, choć nie rzucało się to w oczy. Ken starannie wystrze- gał się wszystkiego, co by mogło wykraczać poza czysto przyjacielskie stosunki. Przynajmniej na początku. Aż w końcu sprawa przyjęła nieoczekiwany obrót.

Carol leżała w łóżku, z nogą wspartą o zagłówek, i przyglądała się swojemu odbiciu w lustrze. Ken siedział obok niej na krześle. Za oknem padało.

- Czy nadal uważasz, Ken, że jestem piękna? - zapytała.

- Jeszcze to pamiętasz?

- Oczywiście. Jestem artystką. Nie przypuszczasz chyba, że próżność jest mi całkiem obca.

- Podejrzewam, że nie przywiązujesz wielkiej wagi do tego typu spraw.

- Obawiam się, że masz rację - zgodziła się z nim. - Głównym powodem jest przeciążenie pracą. Poza bale- tem mam zasłony na oczach.

- Zawsze?

- Nie wiem sama.

- Czy będę zbyt śmiały, jeśli poproszę, żebyś je zdjęła i rozejrzała się wokół? - Czekał na ten moment od chwili, kiedy ją poznał. - Chciałbym, żebyś mnie zobaczyła.

- Przecież cię widzę. - Zdziwiła się.

- Chcę, żebyś naprawdę mnie zobaczyła - powiedział, podchodząc do łóżka. Usiadł obok niej i głęboko spoj- rzał jej w oczy. - W taki sposób, w jaki ja widzę ciebie.

- Widzę cię bardzo dokładnie.

- Czy dostrzegasz też to, co czuję?

- Być może - odparła.

Pochylił się nad nią i przez chwilę delikatnie muskał jej wargi. Po chwili, gdy rozchyliła usta, pocałował ją mocniej. Czuł, jak łomocze mu serce w piersi.

- Uwielbiam cię - wyznał. Zamierzał powiedzieć "kocham", ale się powstrzymał. Pragnął jej wzajemności. Na niczym innym mu nie zależało. Czy istniał jakiś sposób, żeby wpłynąć na jej uczucia? Pokochaj mnie, błagał ją w duchu. Pokochaj mnie.

A potem znowu ją pocałował. I jeszcze raz. Po chwili odwróciła głowę. Z jej oczu wymknęła się łza i spłynęła po policzku.

- Dlaczego płaczesz?

- Boję się.

Nie nalegał na dalsze wyjaśnienia. Domyślał się, czego najbardziej może się obawiać.

- Jesteśmy przecież ludźmi. Czy widzisz w tym coś złego?

- Więcej, niż myślisz - odparła. Całymi dniami łamał sobie głowę nad tą odpowiedzią.

Nie próbował się już z nią całować. Rozumiał jej obawy i nie chciał, żeby wpadła w panikę.

Po tygodniu, gdy kontuzja została w miarę wyleczona, Carol powróciła do swoich zajęć. Dla Kena rozpoczął się kolejny okres daremnych prób nawiązania z nią kontaktu, chociaż ośmielał się już telefonować do niej późnym wieczorem. Wiedział, że postępuje okrutnie. O tej porze zwykle była skrajnie wyczerpana, wprost umierała ze zmęczenia.

- Jest mi bardzo ciężko, Ken - mówiła często. - Trudno mi będzie dostać się do zespołu.

- Na pewno ci się uda.

- Robię, co mogę.

- Wiem.

Była całkowicie zaabsorbowana sobą. Nie tyle przez egoizm, co wskutek bezgranicznego podporządkowa- nia się wytyczonemu celowi. Nie pozostawało mu nic innego, jak ją zachęcać, podtrzymywać na duchu i po- cieszać.

- A co u ciebie?

Za każdym razem jej troska zaskakiwała go i zawsze zastanawiał się, czy jest szczerą.

- Myślę o tobie nieustannie, Carol.

- Pytam o twoją pracę.

Z jakiejś przyczyny, sprawy przyjęły lepszy obrót. Być może Ken czerpał inspirację z umiejętności Carol koncentrowania się na celu. Praca posuwała się do przodu. Oczywiście to go nie zadowalało. Pragnął Carol i boleśnie za nią tęsknił. Niech mnie pokocha, zaklinał niewidzialne siły. Czy tęsknota ma swoje granice? - zastanawiał się.

Przychodził taki moment, zawsze po okresie zapamiętałego oddania się pisarstwu, że Ken zaczynał wystawać pod szkołą baletową. Zwykł zaglądać przez szybę w drzwiach do sali gimnastycznej i patrzeć na Carol, jak ćwiczy przy drążku albo na parkiecie razem z innymi delikatnymi lalkami-tancerkami oraz muskularnymi lalkami-tancerzami. Nosila ciepłe getry do połowy łydek. Ken nie miał wątpliwości, że jest najlepsza w zespole. Gdy tańczyła na czubkach palców, wydawała się najwyższa w grupie.

Któregoś wieczora przyznał się jej, że ją podgląda.

- To okropne - powiedziała.

- Okropne?

- Pewnie wydaję ci się bardzo niezdarna, gdy widzisz wszystkie moje niedociągnięcia. Przez ciebie będę teraz jeszcze bardziej zdenerwowana i mniej pewna siebie.

- Nic takiego nie zauważyłem.

- Poza tym jestem najwyższa w grupie, a to nie przemawia na moją korzyść. Na puentach baletnica nie powinna przewyższać wzrostem swojego partnera.

- Uważam, że jesteś normalnego wzrostu. To mężczyźni wydają się zbyt mali.

- Tak, to prawda. Są za niscy - mruknęła. - Tylko że mnie to może zaszkodzić.

- Moim zdaniem jesteś wspaniała.

- Nie rozumiesz tego. Dostrzegasz tylko formę i styl. Nakłanianie własnego ciała, by poruszało się wbrew naturze, jest straszliwą walką. To rodzaj bitwy, z której baletnica musi wyjść zwycięsko, by stać się naprawdę wielką tancerką. Nawet najdrobniejszą niedoskonałość nauczyciel poczytuje za porażkę.

- Ja żadnych nie zauważyłem - zaprotestował.

- Nic dziwnego. Nie jesteś tancerzem.

Oczywiście dostrzegał je od czasu do czasu. Walka artysty ma zawsze te same znamiona. Podobnie jak walka, jaką był gotów stoczyć zakochany człowiek dla swojej miłości. Nie znaczyło to wcale, że Ken przystoczył się ze znanego przyszłym pokoleniom wieszczka w zadurzonego Romea. Jego zapał twórczy był wciąż gwałtowny, może nawet gwałtowniejszy teraz, gdy tłumił w sobie szalone uczucie do Carol. Literacka fikcja, dzięki której miał kiedyś zawojować świat, stała się jego ucieczką.

Ken został wystawiony na ciężką próbę. Był opętany myślą o Carol. Nie odwzajemniona miłość nie upoważniała go do niczego. Natchnienie pojawiało się i znikało. Czasami nie przychodziło wcale. Starał się wtedy usunąć ją z myśli, wymazać z pamięci jej obraz, brzmienie głosu i wszystkie związane z nią erotyczne skojarzenia. Całym sobą boleśnie jej pragnął. Dręczyło go pożądanie. Był jak pływak, który walczy z potężnym nurtem.

Doskonale rozumiał jej stanowisko. Nie zamierzała odrywać się od celu. Chciała chronić swoją pasję. Ken bał się, że wcześniej czy później potężne uczucie całkowicie zawładnie jego myślami, zniszczy zdolności twórcze i stłumi wyobraźnię - a z czasem stanie się dla jego rozpalonego, młodzieńczego umysłu sprawą życia lub śmierci.

Równocześnie prześladowała go myśl, że Carol nigdy go nie pokocha. I nigdy nie przedłoży uczucia nad balet, nad ambicję doskonalenia swoich zdolności, nad żądzę nieśmiertelności, rozgłosu i sławy - nad wszystkie te skryte pragnienia, które tak dobrze znał.

Nic jednak nie było w stanie go powstrzymać. Inni mieli miłość i osiągalni zarazem swoje cele. Dlaczego jemu miałyby się to nie udać? Czy Carol nie wpływała pobudzająco na jego zdolności twórcze? Czy zaspokojenie pragnienia nie gwarantowało równowagi?

Mimo to bał się ją ponaglać albo zjawiać się w jej drzwiach bez uprzedzenia. W próbach zdobycia jej musiał zachować umiar i ostrożność. Nie chciał jej zrażać nadmierną natarczywością. Najważniejsze, tłumaczył sobie, to nie tracić nadziei. Czasami, kiedy nie mógł się skupić nad powieścią, pisał do niej długie i rozdieraające listy, w których wyjawiał całą swoją miłość, wszystkie pragnienia i obawy oraz straszliwy ból rozłąki. Oczywiście nigdy ich nie wysyłał. Pomyślałaby, że oszalał.

Na szczęście pozostawał telefon. Ken nazywał go swoją "bronią z konieczności". Nie nadeszła jeszcze era automatycznych sekretarek i zawiedziony Ken czasami dziesięć minut wsłuchiwał się w sygnał. Kiedy zastał ją w domu, rozmowa zwykle była uprzejma, wymijająca i z góry dało się przewidzieć jej przebieg. Ale nawet podczas telefonicznej wymiany zdań odnosił wrażenie, że zabiera Carol czas.

- Czy mogę cię odwiedzić?

- Nie, Ken, lepiej nie.

- Musisz odpocząć, Carol, oderwać się na chwilę od pracy i pomyśleć.

- Nie robię postępów, Ken - przyznała mu się kiedyś.

- Za dużo pracujesz.

- Nie mam innego wyboru.

Była coraz bardziej udręczona i przygnębiona. On też znalazł się na rozdrożu. Natknął się na nowe przeszkody. Okres natchnienia minął. Muza zacięła się. Jego bohaterowie przeżywali kryzys z powodu braku akcji i nudy we wzajemnych stosunkach. Ken znał przyczynę: Carol całkowicie zawładnęła jego życiem.

- Proszę cię, Carol, pozwól się pocieszyć. - I siebie również, dodawał w myślach.

- To się na nic nie zda.

- Owszem, zda się.

Była przemęczona i pełna obaw. Dopiero później się dowiedział, że baletnice często przeżywają załamanie nerwowe.

Którejś nocy zatelefonowała do niego.

- Przyjdź do mnie szybko, Ken. Proszę cię.

Był zaskoczony jej wyglądem. Miała ziemistą cerę i zapadnięte oczy. Wyglądała niezdrowo. Na jego widok wybuchnęła płaczem. Nie wiedział, czy z miłości, czy pod wpływem ulgi. W wieku dwudziestu jeden lat tego typu różnice zacierają się. Wystarczyło mu, że znalazła się w jego ramionach.

- Nie wybrali mnie - szlochała, odkrywając przed nim cały ból swojego rozgoryczenia. Porażka, którą odebrała jako katastrofę, okazała się w rzeczywistości, jak wynikało z jej wyjaśnień, zaledwie drobnym niepowodzeniem. Jedna z dwunastu studentek zespołu baletowego została wybrana do solowego tańca.

- Wybiorą cię następnym razem - powiedział. Miał nadzieję, że zdoła jej dodać otuchy.

- Czy ty nic nie rozumiesz, Ken? Nie potrafię nadrobić zaległości.

W tym nagłym odkryciu zobaczył całą jej nieporadność. Rozumiał jej ból i rozczarowanie, jak i fakt, że stała się bardziej otwarta. Dostrzegł w tym drogę do jej serca. Doszedł do wniosku, że Carol potrzebna jest jego miłość, która ją natchnie i podniesie na duchu. Nadszedł czas, żeby działać.

Dotychczas ukrywał swoje prawdziwe uczucia. Wyraziła się jasno, że w jej życiu nie ma miejsca na nic innego poza tańcem. Takie stanowisko miało swoją logikę i słuszność. Ale miłość też miała swoje racje.

Była w jego ramionach i pieścił ją, na początku po bratersku. A potem mocno ją pocałował. Odwzajemniła pocałunek.

- Chcę cię kochać. Pozwól mi - szepnął.

- Kochać mnie?

Na moment zeszywniała, ale zaraz znowu do niego przylgnęła.

- Jest ci potrzebna moja miłość - przekonywał ją. Zgódź się.

Pocałowali się znowu, mocniej niż przedtem. Jej ciało topniało w jego objęciach.

- Nie zrobię nic wbrew twojej woli. Obiecuję - powiedział.

Westchnęła, ale nie protestowała. Reakcja jej ciała nie budziła wątpliwości. Zawirowała biodrami, wywołując tym jego erekcję. Był zaskoczony. Zaczął pieścić jej jędrne pośladki. Zerwała się nagle i próbowała usiąść, ale nie wypuścił jej już z objęć.

- Jesteśmy ludźmi, Carol, a nie maszynami - szepnął.

- Nie możemy żyć tylko w jednym wymiarze.

- Boję się - wyznała i kapitulując, z powrotem przysunęła się do niego. Podniósł jej rękę do ust i obsypał pocałunkami.

- Mnie? - zapytał.

- Nie, siebie - wyszeptała. I nagle udzielona Kenowi odpowiedź coś w Carol odblokowała. Stała się bardziej namiętna, aktywna, gorąca. Zaczęła go badawczo dotykać. Oddychała krótko i urywanie.

- Może pora przekonać się, że jestem kobietą, Ken - powiedziała.

Przypomniał sobie własne zdziwienie. I podniecenie. Miał w głowie wszystkie szczegóły tamtej chwili sprzed ponad dwudziestu lat, obrazy, dźwięki, uczucia. We wspomnieniach były zawsze tym, co się kryje pod pojęciem radości.

Chciała widzieć i być widzianą. Nalegała na pełne oświetlenie. Przedtem, gdy biegł do jej domu, padał deszcz. Ale teraz roz pogodziło się i znad drapaczy chmur wyłoniło się, niczym ogromna dynia, zachodzące słońce. Carol podeszła do okna. Powoli się rozbierała. Podciągnęła zasłony do samego sufitu i pokój wypełnił się złotym blaskiem.

Zbliżyła się do niego, a jej zgrabne ciało baletnicy połyskiwało jak atlas. Wstał z łóżka i szedł do niej, zdejmując z siebie po drodze ubranie. Przyglądała mu się z uwagą. Okrążyli się nawzajem i znowu złączyli w uścisku. Obejmując go, stanęła na palcach. Przypominało to jakiś osobliwy rytualny taniec.

- Nie wolno nam zapomnieć tej chwili - powiedziała.

- To wykluczone.

Nigdy przedtem ani potem nie widział tak zbudowanej kobiety. Miejsce wewnątrz niej było jak zarumieniona herbaciana róża otoczona gładkim marmurem ciała. W rozchylonych płatkach pojawiła się wilgoć, jak rosa w kwiatowym kielichu.

Nawet trudności z przebicciem się nie zakłóciły poetyki tej chwili. Początkowo w ogóle nie brał pod uwagę penetracji, ale tak nalegała, jak gdyby to było absolutnie konieczne.

- Sprawię ci ból - protestował wycofując się.

- Oczywiście, że sprawisz - odparła. Chwyliła go mocno i z siłą pchnęła ciało w górę.

Jakimś cudem płatki się rozchyliły i mógł się w niej zagłębić. Przypuszczał, że ją zabolalo, ale nie krzyknęła. Przypomniał sobie łzy w jej oczach, które potem scałował z jej policzków.

- Czy jestem teraz kobietą? - zapytała.

- Kobietą, którą kocham.

- Czy to nie urocze?

- Teraz tak.

Do dzisiaj nie mógł zrozumieć, jak to się stało, że tak doskonale zapamiętał romantyczne napięcie tamtej chwili, owo stopienie się dusz i ciał w jedno. Najbardziej zaskoczył go sposób, w jaki potrafiła czerpać z tego przyjemność. Miesiącami marzył o tym momencie, a gdy stał się faktem, przeszedł jego najśmielsze oczekiwania.

Nie spodziewał się, że będzie on aż tak szalony.

Ich świat stał się bardzo ograniczony. Ken nie pamiętał już, czy dochodziło do tego stopniowo, przez powolne i systematyczne plewienie innych zainteresowań oraz pasji, czy też za sprawą nagłego wybuchu - erupcji, która zniszczyła i usunęła z drogi wszystko, co nie było związane z ich miłością.

Otoczenie poza ich orbitą było zamazanym i niezrozumiałym szczegółem. Ich wzajemna relacja przypominała nienasycony i gwałtowny szturm natury.

Wszystko bladło wobec jego potęgi. Ken nie potrafił przypomnieć sobie jednego drobnego wydarzenia z tamtego okresu, które by dotyczyło banalnego problemu przetrwania. Czy kupowali jedzenie, gotowali,

sprzątali? Czy prali swoje ubrania? Czy robili codzienną toaletę? Czy kapali się i myli zęby? Jego pamięć nie zarejestrowała żadnego takiego faktu.

We wspomnieniach wyłącznie kochali się ze sobą. Kochali się przez całą dobę, wykorzystując każdą dostępną powierzchnię w jego suterenie oraz w jej mieszkaniu lub każde inne miejsce o dopuszczalnej konfiguracji elementów, jaką wytyczała ograniczona giętkość ludzkiego ciała. Pamiętał jeden nie kończący się orgazm, nieustanny dreszcz zachwyty i erupcję bezgranicznego pożądania.

Tłumaczyli się nawzajem przed sobą, nazywając ten okres "czasem zawieszonym". Ken nie pamiętał, czy próbował wrócić do pisania ani czy Carol chodziła na zajęcia do szkoły baletowej.

Przypominał sobie słoneczne wiosenne dni, gdy wałęsali się po ulicach miasta, leniwie wygrzewali się w słońcu w Washington Square Park i robili wycieczki do zoo. Ale to było tylko tło, nieistotne dla dramaturgii wydarzeń szczegóły. Poza nimi dwojgiem nic się naprawdę nie liczyło.

Drażek do ćwiczeń wciąż przypominał jej o zaniedbanych obowiązkach. Maszyna do pisania była namacalnym dowodem, że zrezygnował z ambicji.

Oczywiście zdarzały się chwile, gdy gnębiły ich wyrzuty sumienia. Próbowali wtedy wrócić na dawną drogę. Kiedyś obudził się w środku nocy i zobaczył ją przy drażku. Zaskoczyła go własna reakcja: poczuł zazdrość.

- Muszę znów zacząć ćwiczyć - oznajmiła, widząc, że na nią patrzy.

- Tak, oczywiście.

- A ty musisz znowu pisać.

- Tak, ale na razie są ważniejsze sprawy - oświadczył, wstając z łóżka i podchodząc do niej. Zнали sposób na osłabienie twórczych zapałów.

Początkowo sporadyczne, telefony od matki Carol zdarzały się coraz częściej i były błagalne. Ale jak dotąd Carol udawało się łagodzić jej niepokój serią wykrętów i jawnych kłamstw.

- Zatelefonowała do szkoły - wyznała Kenowi Carol któregoś dnia.

- Należało się tego spodziewać.

- Czuję się okropnie. Jak gdybym ich zdradziła.

- To sprawa priorytetów - stwierdził Ken. Chciał, żeby zabrzmiało to rozsądnie, choć dobrze wiedział, że w jego rozumowaniu nie ma cienia logiki.

- Kochamy się, to prawda. - Carol od czasu do czasu siliła się na rozsądek. - Czy to znaczy, że musimy zrezygnować z wszystkiego innego?

- Oczywiście, że nie - zgadzał się z nią Ken.

- Teraźniejszość to nie wszystko. Mamy przecież przed sobą całe życie.

- Też jestem tego zdania.

Jednak próby racjonalnego myślenia na nic się nie zdawały. Gdy tylko kończyli rozsądnie ze sobą rozmawiać, na nowo rozpoczynał się dla nich okres rui. Kochali się ciągle i wszędzie, koncentrując się tylko na sobie.

Mijały tygodnie. Bardzo radosne. Czas przestał się liczyć. Ken porzucił pracę, która odciągała go od Carol i spychała w inną rzeczywistość. Miał trochę zaoszczędzonych pieniędzy, ale niewiele. Szybko się skończyły. Konieczność zmusiła go do rozejrzenia się za inną pracą. Carol wciąż mogła liczyć na comiesięczne czeki od rodziców, przeznaczone na opłatę czesnego w szkole. Nękały ją z tego powodu wyrzuty sumienia i coraz częściej niespodziewanie wybuchała płaczem.

Swoją postawą kusili los. W końcu zaczęli się sprzeczać.

- Mówiłeś, jak mi się zdaje, że możemy mieć jedno i drugie - przypominała mu Carol. - Dlaczego mam zrezygnować ze swoich marzeń?

- Kto ci powiedział, że musisz z nich zrezygnować?

- Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

- Oboje wrócimy do naszych obowiązków.

- Kiedy?

- Wkrótce.

- To nie jest uczciwe stawianie sprawy, ani w stosunku do mojej rodziny, ani wobec mnie.

- Czy przeszkadzam ci pracować?

- Tak.

Pewnego dnia zostali brutalnie sprowadzeni na ziemię. Pod drzwiami mieszkania Carol zjawiała się jej matka i uporczywie naciskając dzwonek, domagała się, żeby wpuścili ją do środka. Być może wypadła akurat zwykła pora jej odwiedzin. Ken i Carol zostali w tym momencie, jak to się zwykle określać, przyłapani in flagranti - u szczytu namiętności, niemal na granicy rozkoszy.

- Wiem, że tam jesteś, Carol! - zawołała matka. - Nie próbuj mnie oszukiwać.

Niebyli już w stanie powstrzymać orgazmu, któremu towarzyszył niepożądany i drażniący głos matki.

- Wiem, co tam robisz! - krzyczała pani Stein.

- Naprawdę wie? - zapytał Ken. Usiłował przyjąć całą sytuację z humorem. Ale bez powodzenia. Carol była przerażona. Krew odpłynęła jej z twarzy. Naga i niezdolna do jakiegokolwiek działania, skuliła się w kącie łóżka.

- W tej chwili mi otwórz! - wrzeszczała kobieta.

- Co mam robić? - zapytała Carol błagalnym tonem.

- Wpuść ją - poradził Ken. - I wyznaj całą prawdę.

- Nie mogę.

Zaczęła płakać.

- Wiem, że tam jesteś, kochanie. Proszę cię. Jeśli masz jakieś kłopoty, jestem tutaj po to, żeby ci pomóc. -

Wszystko w porządku, pani Stein - odezwał się nagle Ken. Pomógł Carol włożyć szlafrok, a sam szybko ubrał się w koszulę i dżinsy. - Powiedz jej, że nic się nie stało.

- Wszystko w porządku, mamó! - zawołała Carol.

Pani Stein odpowiedziała waleniem do drzwi, które Ken po chwili otworzył. Jej twarz była sina z wściekłości, ale gdy Carol rzuciła się matce w ramiona, obie kobiety zaniósł się szloch.

Ken współczuł im obu. Czuł się jak piąte koło u wozu. Przeprósł je i wyszedł się przejść. Kilka godzin włóczył się po ulicach, myśląc o nieuchronności dalszych wydarzeń; w życiu ich obojga brak było równowagi.

Potem wrócił do swojego mieszkania, gdzie przesiedział jakiś czas, czytając powieść i próbując wzniecić płomień wyobraźni. Bohaterowie stali mu się obcy, fabuła wydała mu się niedojrzała, a dialogi banalne. Wtedy właśnie zrozumiał, że to się musi skończyć. Dla ich własnego dobra.

Tamtej nocy, gdy wrócił do niej, wiedzieli już o tym oboje.

- Niczego nie potrafimy zrobić połowicznie, Ken - stwierdziła Carol. - Na tym polega nasz problem. Wszystkim się od razu zachłystujemy.

- Może potem, kiedy dopniemy swego. . . - zaczął.

- Kiedy pozbędziemy się stresów.

Zastanawiał się, czy to kiedyś nastąpi. Nagle pomyślał o czekającej go walce. Po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że sukces wcale nie jest pewny, a realizacja marzeń to jeden wielki hazard. Poczuł w mięśniach przypływ dawnej pasji. Pisarz musi pisać. A baletnica tańczyć.

- Wolałbym, żeby zabrzmiało to mniej rozsądnie.

- Czy chciałbyś, żebyśmy kiedyś, gdy będziemy oceniać nasze życie, musieli sobie powiedzieć: Zrezygnowaliśmy z ambicji, ponieważ za bardzo się kochaliśmy? - Ale wróć po swoją nagrodę - oświadczył. - Spróbuj tego nie zrobić - roześmiała się.

- Wiecznie będę wystawał pod drzwiami twojej garderoby.

- A ja będę twoim najbardziej surowym recenzentem.

Jak długo trwał stan ich wzajemnego zauroczenia?

Ken nie potrafił powiedzieć dokładnie. Dwa, może trzy miesiące. Lata później okres ten, odarty z kontekstu, wydał mu się odchyleniem od normy, chwilowym napadem szału; przypominał sztuczny ogień, który błysnął z trzaskiem, by niemal natychmiast zgasnąć. Rozstali się po intensywnym tygodniu seksu, do którego ponagliła ich zbliżająca się rozłąka. Chcieli zostawić w sobie pustkę, wyczerpać do cna zasoby fizycznych i

uczuciowych możliwości. Kochali się tak jak przedtem, przez całą dobę, podnieceni łzami oraz wzajemnymi przysięgami i zdecydowani nie dać się wyprzedzić ewentualnym następcom w jakimkolwiek nowym doświadczeniu.

Taka energia musiała być właściwie spożytkowana. Postanowili przelać miłość w sztukę, osiągnąć niewyobrażalne szczyty, a potem wrócić do źródeł, do siebie, do jedynej wzajemnej i prawdziwej miłości. Westchnął, wbijając wzrok w kleisty i zimny już makaron.

Doświadczyli zupełnie bajecznych przeżyć. Jednak rozsądek zwyciężył. Pamiętał, że ich rozstanie było nagłe i nieodwracalne jak krok w przepaść.

Rytuał zamawiania deseru przywrócił go do rzeczywistości. Ken zaczął się przysłuchiwać, jak Eliot i Maggie przepytują kelnera z różnych pozycji w karcie, a on zalewa ich potokiem słów na temat każdego wyszczególnionego produktu sztuki kulinarnej.

- Majolalaine z sokiem malinowym, orzechowo-żurawinowa tarta z sosem pomarańczowo-karmelowym, le crême br-l,e. - I tak

dalej, i tak dalej. Ken nie był w stanie o tym wszystkim nawet myśleć.

- Le crême br-l,e nie powinien być zbyt słodki - powiedział Eliot. - Czy jest pan pewien, że nie został przesłodzony?

- To kwestia smaku, proszę pana - odparł kelner.

- A co myślicie o tarcie? - zapytała Maggie. - Wygląda wyśmienicie. Możemy się nią podzielić - dodała kokieteryjnie i popatrzyła w stronę Kena. - Mój mąż nie jest wielkim zwolennikiem łakoci - dodała.

- Carol również za nimi nie przepada - stwierdził Eliot.

- Ken lubi owoce - powiedziała Maggie, wskazując na maliny.

- Ale dzisiaj nie mam na nie ochoty, Maggie - rzekł Ken. Prawie nie tknął swojego dania.

Dyskusja nad deserem trwała jeszcze przez chwilę. W końcu, gdy wybór został dokonany, Maggie i Eliot wyrazili ochotę na kawę z mlekiem, a Ken, podobnie jak Carol, zamówił małą czarną bez kofeiny. Nagle ogarnął go strach. Czekał na tę chwilę od przeszło dwudziestu lat. Niemal graniczyła z cudem. Czasami ludzie, którzy razem wychowywali się w Nowym Jorku i nadal mieszkali w tym mieście, mogli przeżyć całe życie i wcale się nie spotkać.

Spojrzał na zegarek. Posiłek zbliżał się do końca, a ona wciąż go nie rozpoznawała. Ani on jej. Robił to świadomie i dlatego przypuszczał, że ona postępuje tak samo. Nie chciał jej demaskować. Bez względu na to, jakie miała powody, żeby okłamywać własnego męża, Ken zamierzał je uszanować. Wierzył, że ona to doceni.

Dlaczego sięgnął nagle do tylnej kieszeni, wyjął swoją wizytówkę i ukrył ją w lewej dłoni? Zwyczajny odruch.

Postanowił dać ją Carol na pamiątkę jako symbol wspólnej tajemnicy albo ożywić jej pamięć, jeśli go zapomniała.

Obiecał sobie, że nie zatelefonuje do niej. Nie próbował tego robić przez dwadzieścia lat. Co nie znaczy, że nie chciał. Nie było mu łatwo zapanować nad pożądaniem. W końcu czas pomógł mu je poskromić, a potem Ken poznał Maggie. Przez długi czas wierzył, że przeszłość można pogrzebać.

Aż do tej chwili.

Po kolacji, opatuleni w nieprzemakalne płaszcze, chociaż burza ucichła i zamieniła się w niewielką mżawkę, zaczęli się żegnać przed wejściem do restauracji.

- Musimy to powtórzyć - zaszczebotała Maggie. Eliot pocałował ją w policzek, a ona wyciągnęła rękę do Carol.

- Było uroczo - powiedziała Carol.

- Do zobaczenia rano, Maggie - przypomniał jej Eliot. - Punktualnie o dziewiątej.

- Ten człowiek jest gorszy od wyzyskiwacza niewolników - roześmiała się Maggie. - Musimy znowu się spotkać. - Spojrzała w stronę Carol.

- Koniecznie - rzekł Eliot, odpowiadając za nich oboje.

To jeszcze nie koniec, pomyślał Ken, żegnając się z Eliotem. A potem zwrócił się do Carol. I nic. Nawet najdrobniejszego znaku, że kiedykolwiek przedtem go znała.

Gra wymaga udziału dwojga graczy, pomyślał. Nie poddawał się jednak. Przełożył wizytówkę do prawej dłoni i podał ją Carol. Wyciągnęła do niego rękę.

- Miło mi było cię poznać - powiedział. Lekko uściśnął jej dłoń i przekazał wizytówkę. Nic nie dała po sobie poznać. Szybko się odwróciła. Obserwował ich oboje, gdy pędem wybiegli na ulicę, żeby zatrzymać przejeżdżającą taksówkę.

- Są wspaniali, prawda? - zapytała Maggie. - A nie mówiłam, że wieczór będzie udany? - Ken spojrzał na nią. Każde z nich miało swoją własną prawdę.

- Tak. Był bardzo interesujący - powiedział.

Rozdział III

Zdaniem Carol to nie były wielkie kłamstwa. Co z tego, że odjęła sobie dziesięć lat? Mogła uchodzić za jeszcze młodszą. Dlaczego więc miałyby tego nie zrobić? Podtrzymywanie takiego złudzenia kosztowało ją немало pracy. Co się zaś tyczy innych danych z jej życiorysu, upiększyła swoje osiągnięcia po to, żeby Eliot czuł się usatysfakcjonowany, że poślubił kobietę o otwartym umyśle, utalentowaną i obytą w świecie. Czy wyrządziła tym komukolwiek jakąś krzywdę?

Ken oczywiście wiedział, że kłamie. Miała do tego jednak całkowite prawo. Nie powinien zakłócać jej spokoju, raptem zjawiać się znikąd niczym włamywacz. Los sprzysiągł się przeciwko niej. Skąd mogła wiedzieć, że ta kobieta, jakaś tam Maggie, jest żoną Kena Kramera.

Ken ją z pewnością zrozumiał. Pojął, jak się sprawy mają, i zaakceptował jej nowe wcielenie. Sądziła, że jest mu winna wyjaśnienia i wdzięczność za to, że zachował milczenie. Nie była jednak pewna, czy ośmieli się ponownie otworzyć ten rozdział swojego życia.

A zresztą, po co ta cała wrzawa z samo usprawiedliwianiem się? Pozory były przecież strategią. . . jeśli nie przetrwania. . . to awansu społecznego. Ekonomia! Wszystko sprowadzało się do myślenia w kategoriach ekonomicznych.

W żyłach Eliota, absolwenta Yale, płynęła błękitna krew. Jego ojciec był członkiem Towarzystwa Obywateli Cincinnati, potomków oficerów armii George'a Washingtona, a matka aktywną działaczką DAR*. Chcąc usiłowić

*(Daughters of the American Revolution - Córki Amerykańskiej Rewolucji; przyp. tłum.).

Eliota, Carol musiała zaimponować mu swoim pochodzeniem, chociażby tylko po to, żeby zwrócić na siebie jego uwagę.

Nie zdawała sobie sprawy, że tak wymyślony rodowód zostanie gładko przyjęty jako system wierzeń. Eliot bez wahania zaakceptował jej "osiągnięcia". Nie domagał się wycinków z gazet. Dociekliwość byłaby w jego mniemaniu w złym guście.

Balet od czasów Medyceuszy uchodził za rozrywkę arystokracji. Był uważany za subtelny i najbardziej wyszukany dziedzinę sztuki, która przyciągała snobów i bogaczy. Sprytnie przedstawiona przez Carol historia wywołała zamierzony efekt, a Eliot ochoczo w nią uwierzył. Dał temu wyraz, poślubiając Carol i chlubiąc się nią jak cennym trofeum.

Niemal sama uwierzyła w to, że naprawdę była primabaleriną w Sydney. Nauczycielka z taką przeszłością zajmowała wysoką pozycję społeczną. Mistrzyni baletu, która przekazuje własną mądrość i doświadczenie zdobyte w czasie hucznie oklaskiwanych występów. A czy różnica między nazwiskiem Le Roc a Stein, które po niemiecku znaczy "kamień", była aż tak istotna? Mały przedimek miał swoją wagę w świecie Eliota i sugerował arystokratyczne pochodzenie. A życie nauczyło Carol, jaką wartość mają królewscy przodkowie. Można powiedzieć, że spotkała Eliota bardziej wskutek zbiegu okoliczności niż wyrachowania, chociaż przy pierwszej sposobności upiększenia prawdy Carol skwapliwie z niej skorzystała. Poznała Eliota w prozaiczny sposób - na przedstawieniu rosyjskiego zespołu baletowego z Monte Carlo, w City Center.

Dotychczas balet nie przysporzył jej wielu radości. A gdy się weźmie pod uwagę fakt, że poświęciła mu całą swoją młodość i lata pracy, okazał się właściwie prawdziwą katastrofą w jej życiu.

W każdym razie do chwili poznania Eliota.

Przyjechała na przedstawienie z Filadelfii, a bilet dla jednej osoby był "upominkiem" od panny Perkins, która prowadziła w tym mieście szkołę baletową. Carol wiedziała, że nie może uważać go za prezent, gdyż oszczędna panna Perkins uszczupli o jego cenę jej dwumiesięczną odprawę.

Nie można powiedzieć, że Carol została wyrzucona. Był początek maja i zbliżał się koniec roku szkolnego. Carol już ośmiokrotnie w taki właśnie sposób kończyła pracę w szkołach tańca. Czym innym mogła się zajmować baletnica bez sukcesu?

W sierpniu znowu czekało ją rozsyłanie swojego dossier do wszystkich szkół baletowych. Przynajmniej opłacała do perfekcji sztukę pisania życiorysu, a jej listy uwierzytelniające wywoływały należyte wrażenie, głównie z powodu roku w Paryskiej Szkole Baletowej, gdzie, według dokumentu, pracowała jako nauczycielka. W rzeczywistości była tylko asystentką, ale to niewinne kłamstwo umożliwiło jej przemieszczanie się po całym świecie, od Australii po Japonię, a nawet Gwatemalę, gdzie przepracowała dwa lata.

Nie rozmyślała już dłużej nad złamaną karierą. Prawdę mówiąc, nigdy jej nie zrobiła. Największe znaczenie miały teraz dla niej sprawy finansowe. A powołaniem ostatnich ośmiu lat stało się rozwiązywanie problemu, jak przetrwać z pensji objazdowej nauczycielki tańca.

Carol poradziła sobie z własnymi aspiracjami i ambicjami. Jej matka do dnia śmierci całą winą za niepowodzenia Carol obarczała owego dziennikarzynę. Kochane biedactwo. Porażka Carol przyczyniła się do jej zguby. I nic nie mogło przekonać tej kobiety, że to nie Ken Kramer zrujnował jej córce karierę. Gdyby żyła, pewnie by obciążyla winą nie tylko jego.

W życiu Carol byli i inni mężczyźni. Niewielu. Chociaż mogła rozważać możliwość zawarcia małżeństwa, nigdy poważnie o tym nie myślała. Po Kenie świadomie ukryła się za obronną tarczą kłamstwa. Przeraziła się, odkrywając swoją podatność na zranienie, ale nawyk dyscypliny obronił ją przed nią samą i przed bezproduktywnymi rozterkami. To było przedtem, zanim pojęła głębsze prawdy; zanim zrozumiała, że życie mimo porażki toczy się dalej i nie wszystkie stosunki z mężczyznami muszą być uczuciowym wstrząsem i seksualnym szaleństwem.

Można by się doszukiwać wielu usprawiedliwień dla nieudanej kariery Carol. Mężczyźni z jej rocznika byli za niscy, a ona nadmiernie wyrosła. Z powodu nadgorliwości odnosiła kontuzje. Często musiała tańczyć mimo bólu. To wszystko. Ciało nie było w stanie sprostać znakomicie opanowanej technice.

Carol nie winała za to nikogo. Nie była wystarczająco dobra. Z pełnym poświęceniem oddawała się pracy i tylko na niej się koncentrowała, ale nie dorównywała tym, których wybierano. By móc dalej żyć, musiała uznać tę prawdę. Nie było innego sposobu. Samobiczowanie się bez końca nie miało sensu.

Próbowała szczęścia w musicalach i przez rok lub dwa występowała w ulicznych spektaklach. Potem pracowała przez sześć miesięcy w teatrze objazdowym, który wystawiał "Skrzypka na dachu", oraz nieregularnie grywała w Atlancie, w stanie Georgia, w "Chorus Line". Wzywano ją wtedy, gdy inne tancerki były niedysponowane.

Dziwne, ale nigdy nie straciła ambicji ani zapału. Nawet kiedy nie powiodło się jej w balecie i zaczęła uczyć, ćwiczyła zapamiętane, jak gdyby od tego miało zależeć jej życie. Oszczędzała energię, jakby jeszcze wierzyła w możliwość zrobienia kariery. Dopiero w wieku dwudziestu pięciu lat zrozumiała, że wszystko skończone. Rodzice umarli, po części zagryzieni jej niepowodzeniami. Była niezamężna i bez grosza przy duszy. Nawyk dyscypliny okazał się dla niej prawdziwym dobrodziejstwem. Nie było dnia, kiedy by nie ćwiczyła. Dzięki temu zachowała młodą sylwetkę i jędrne ciało. Wieloletnie przyzwyczajenia. Spartańska dieta i gimnastyka. W każdej wolnej chwili stawała przy drążku. W wieku trzydziestu lat, gdy poznała Eliota, miała wciąż dobre nogi i zgrabną figurę. I wyglądała o co najmniej dziesięć lat młodziej.

Oglądali razem balet Strawińskiego o Orfeuszu, który ubłagał boga Zmarłych, by pozwolił mu pójść do Hadesu i sprowadzić z powrotem na Ziemię żonę, Eurydykę. Obiecał nie patrzeć na nią do chwili, gdy znajdą się na Ziemi. Ale złamał przysięgę i skazał tym samym ukochaną kobietę na zesłanie do Królestwa Śmierci.

- Całkiem niezłe, prawda? - zapytał Eliot, gdy przedstawienie się skończyło. Byli obcymi sobie ludźmi, którzy przypadkowo zajmowali sąsiednie miejsca. W jego słowach, które skierował bardziej do siebie niż do niej, trudno by doszukiwać się próby nawiązania flirtu. Carol zauważyła jego dobre maniere, dystyngowany wygląd, siwiznę na skroniach, ostre rysy i stalowoniebieskie oczy. Jej odpowiedź wydawała się w tamtej chwili zupełnie odruchowa. Dopiero później Carol uznała ją za moment, który zmienił bieg jej życia.

- Widziałam już lepsze - odparła i szybko dodała: - Podobał mi się sposób przedstawienia Hadesu.

Opuścili swój rząd. Eliot odezwał się do niej ponownie przy wyjściu z sali.

- Tak, Hades. Chętnie wysłałbym tam moją żonę. To najbardziej odpowiednie dla niej miejsce. - Nagle spojrzął na Carol. - Mówię o mojej byłej żonie.

Przyjęła tę informację z dziwnym uczuciem wewnętrznego podniecenia, jak gdyby antena w jej głowie pochwytiła odległe sygnały.

- Wolę "Ognistego ptaka". Przepadam za szczęśliwymi zakończeniami.

- Mój Boże, widziałem cudowną inscenizację tego baletu z Marjorie Tallchief w roli głównej - powiedział Eliot, gdy wchodzili do foyer. - Chagall zrobił scenografię i kostiumy. A Balanchine choreografię. Strawiński wykorzystał starą rosyjską legendę o głupim księciu, który pokonuje mądrzejszych od siebie wrogów. - I Eliot streścił Carol całą fabułę, gdy ramię w ramię zmierzali do wyjścia z gmachu.

- Francisco Moncion wystąpił w roli "zuchwałego, ale rozbijającego dumnego" księcia Iwana. A Tallchief w roli ptaka "wspięła się na same wyżyny".

Zaimponował jej swoją wiedzą, ale Carol nie spodziewała się, że będzie aż tak gadatliwy. On tymczasem najwyraźniej się rozkręcał. Bez zacerpnięcia oddechu zapoznawał ją z najdrobniejszymi szczegółami inscenizacji. W końcu, gdy schodzili już po schodach, umilkł i zmierzył ją przenikliwym spojrzeniem.

- Ale ja mówię o początku lat sześćdziesiątych. Nie mogła pani widzieć tego przedstawienia. Jest pani na to za młoda.

Wrażenie, jakie na nim zrobiła, miało swoje sprzężenie zwrotne. Tak, jestem bardzo młoda, pomyślała. Nie zamierzała odbierać mu tego złudzenia.

- Ma pan znakomitą pamięć - umiejętnie posłużyła się pochlebstwem.

- Dar natury - odparł z ujmującą szczerością, jak gdyby przywykł do wyrazów uznania. Carol spostrzegła, że komplement sprawił mu przyjemność.

- Czy balet jest pańskim hobby? - zapytała.

- Obawiam się, że tylko jednym z wielu. Jestem wszechstronnym praktykiem.

Nie była pewna, co miał na myśli, i nie podjęła tematu. Uznał to za sygnał do dalszych wyjaśnień.

- Chociaż muszę przyznać, że kilku problemom poświęcam szczególną uwagę. Na przykład ochronie naszej planety.

- I zrobił jej krótki wykład na temat efektu cieplarnianego i nieuchronności ekologicznej katastrofy.

Intelektualista, pomyślała. Trochę zbyt gadatliwy, ale dosyć zabawny. Starła się przybrać właściwą pozę.

Miała nadzieję, że reaguje w odpowiedni sposób. Zdecydowała się na pełne skupienie. Im pilniej go słuchała, tym wylewniejszy się stawał.

Był miły wiosenny wieczór. Szli Fifth Avenue.

- Jak widzę, idziemy w tym samym kierunku. - Jego stwierdzenie przywodziło na myśl konwersację sprzed pierwszej wojny światowej. - Mieszka pani na Fifth?

- Nie, na Madison - odpowiedziała prędko. To było pierwsze spośród wielu kłamstw, do jakich się uciekła w swoim nowym wcieleniu. Uznała to za rodzaj testu. Była ciekawa, jak daleko uda się jej posunąć. Na szczęście nie zapytał o dokładny adres. W rzeczywistości zarezerwowała pokój na Twenty-third Street, w domu Związku Młodzieży Chrześcijańskiej.

- A gdzie pan mieszka? - zapytała.

- Nie uwierzy mi pani, ale od urodzenia mieszkam na Fifth. Teraz, kiedy Mama i Papa odeszli, dom, w którym dorastałem, stał się moją rodzinną spuścizną.

Carol przypuszczała, że to intonacja, nosowe brzmienie głosu i sposób, w jaki powiedział "Mama i Papa", przywiodły jej na myśl określony poziom życia i status społeczny. Duże rodzinne pieniądze! Zadrżały jej nozdrza, jak gdyby zwietrzyła ich zapach.

Postanowiła kłamać dalej i nie wypuszczać z rąk łupu. Zatrzymali się w barze Sherry-Netherland. Dlaczego nie? Przypomniała sobie, że tak właśnie pomyślała, gdy ją tam zaprosił.

Nabożne skupienie okazało się trafnym wyborem. Eliotowi najwyraźniej potrzebne było audytorium i zainteresowany słuchacz. Carol natomiast starała się wychwycić z jego słów informacje. W poprzednim wcieleniu, w dotychczasowym życiu, nie miała do czynienia z zamożnym mężczyzną z wyższych sfer, który dzięki finansowej niezależności mógłby rozwijać swoje zamiłowania i zaspokajać intelektualne ambicje. Carol stała przed wielką szansą.

Dopiero pod koniec wieczoru Eliot zdecydował się postawić ją w pełnym świetle reflektorów. Ale do tej pory wiedziała już, w jaki sposób ma odegrać swoją rolę. Zdażyła też rozważyć aktywa i pasywa oraz sporządzić nowy bilans.

Przedstawiła mu wymaginowaną wersję swojego życiorysu, której osią był taniec w balecie. Carol miała teraz dwadzieścia jeden lat. Ochocho ujęła sobie dziesięć lat. Cały jej świat sprowadzał się do baletu. Gwiazda zespołu baletowego z Sydney. Skróciła swoją wymyśloną karierę kontuzją. W jej rodzinie były tradycje baletowe. Odwołała się do długiej linii genealogicznej rodu Le Roc. Ojciec był wicehrabią, ale nigdy nie zdecydował się na to, żeby używać tego tytułu. Nie w Ameryce. W ten sposób tytułowała siebie paryska gałąź rodziny.

Dostrzegła w jego oczach entuzjazm, który był odpowiednikiem owacji na stojąco. Zahipnotyzowany, uwierzył we wszystko. Przez cały czas, gdy wyprowadzała go w pole, myślała: Dosyć samotnego i nędznego życia, dosyć już zagraconych pokoi, szybkich posiłków, balkonowych leżaków, używanych samochodów i przerabianej odzieży, dosyć podróży autobusami i metrem. Dostyć nie spełnionych marzeń. W tym tańcu zamierzała rzucić wyzwanie siłom ciężkości.

To prawda, że trochę pomogła własnemu szczęściu. Ale było tuż-tuż. Pewnie amator górskiej wspinaczki w ten sam sposób tłumaczyłby swoje pragnienie zdobywania szczytów. A ona miała przed sobą Eliota - cel i wyzwanie.

Kiedy zastanawiała się nad tym później, gdy już doprowadziła Eliota do ołtarza, nosiła jego ślubną obrączkę i dzieliła z nim życie na dobre i na złe, doszła do wniosku, że swój sukces zawdzięcza twardej szkole życia. Jak Ewa wyłoniła się z żebra Adama, tak ona na nowo ukształtowała samą siebie. Stała się taka, jaką ją Eliot chciał widzieć.

Ani na chwilę nie straciła z oczu głównego celu, którym była bezpieczna sytuacja finansowa i komfortowe warunki egzystencji. Przystąpiła do realizacji tego zadania w pełnej charakterystyce, jak do roli w balecie, i dopóty wsłuchiwała się uważnie w muzykę, dopóki nie stała się jej drugą naturą. Tematem przewodnim była pełna szacunku uwaga. Podtekstem oddanie. Uosabiała typ dobrej i wiernej żony, tak jak tego oczekiwał. Poprzedni związek Eliota był małżeństwem z konwenansu. Jego pierwsza żona nie miała wielu zainteresowań, poza jeździectwem, żeglarstwem, tenisem i koktajlami. Nie obchodziły jej intelektualne pasje Eliota. Niewiele czasu poświęcała też wychowaniu ich dwojga dzieci.

Carol robiła wszystko, co do niej należało. Była żywo zainteresowaną słuchaczką, czarującą towarzyszką, namiętą kochanką i oddanym przyjacielem. Spektakl, w którym grała, nigdy się nie kończył. Zadowolenie męża kosztowało ją niemało wysiłku. Eliot Butterfield, pomimo ambicji "udoskonalenia świata", był zapamiętałym snobem. A zdarzały się takie chwile, kiedy spod makijażu Carol przezierało jej prawdziwe oblicze. Napięcie nerwowe z powodu mistyfikacji było czasami wyczerpujące. Carol wciąż musiała podtrzymywać wiarygodność swych kłamstw. Gdy Eliot się z nią żenił, miał czterdzieści dwa lata i sądził, że ona jest o dwadzieścia lat od niego młodsza.

- Moja nieletnia panna młoda - zwykł często mówić o niej do ludzi. Zmuszało ją to do stosowania uników, do fałszowania dokumentów i kontrolowania korespondencji - do umiejętności radzenia sobie z przeszłością.

Do podobnych wybiegów uciekała się w sferze doznań fizycznych - musiała udawać namiętność i symulować zaangażowanie w tak zasadniczych sprawach jak orgazm.

Na szczęście pamiętała swoje doświadczenia z Kenem Kramerem i mogła je wykorzystywać. Z nim osiągnęła pełnię życia seksualnego. Potem jej ciało uległo swoistemu paraliżowi emocjonalnemu. Niemożna powiedzieć, żeby Eliot był nieatrakcyjnym mężczyzną. Wręcz przeciwnie. O tyle miała łatwiejsze zadanie. Jednak współżycie z nim nigdy nie dawało jej satysfakcji.

Stary nawyk życia w dyscyplinie wyszedł Carol na dobre. Liczyła na to, że może kiedyś w przyszłości będzie na tyle bezpieczna, by móc powiedzieć mu prawdę. Przyzna się, że wymyśliła wszystko po to, żeby go zadowolić. Zresztą tak jak i siebie. Miała nadzieję, że poklepie ją wtedy po policzku i wybuchnie śmiechem, a potem będą żyli długo i szczęśliwie.

Rozpoznawanie nastrojów Eliota, odgadywanie jego potrzeb i różnych dziwactw uznała za swój obowiązek, który starała się sumiennie wypełniać. Zapewniała samą siebie, że to tylko jedno z codziennych ćwiczeń. Może było wbrew naturze, tak jak balet, ale dopóki wdzięk i zachowanie równowagi przychodziły jej bez trudu, jak Eliot mógł ją o cokolwiek podejrzewać? Przecież dzięki niej czuł się doceniony.

Zrobiła dobre wrażenie na jego dzieciach, które dzięki Bogu spędzały większość czasu w szwajcarskich szkołach albo przebywały u matki.

Ale zdarzały się też i przykre odkrycia. Ludzie bogaci, jak stwierdziła, są bardzo przebiegali w zabezpieczaniu własnych pieniędzy, a Eliot Butterfield nie należał do wyjątków. Dysponują znakomitymi buforami w postaci księgowych i prawników, którzy potrafią wymyślić setki sposobów, żeby pokrzyżować plany łowcom fortun. Plany Carol zostały zniweczone, gdy w biurze adwokata na dzień przed datą ślubu została jej podsunęta pod nos przedmałżeńska umowa.

- Chroni interesy obu stron - wyjaśnił adwokat Eliota. Carol była zaskoczona prawniczym językiem dokumentu i czytając go, z trudem udawała obojętność.

W myśl umowy, w wypadku śmierci Eliota Carol dziedziczyła wszystko to, co zostało nabyte w czasie trwania małżeństwa wyłącznie na jej nazwisko: podarunki, dzieła sztuki, antyki i nieruchomości. Reszta miała pozostać w depozycie rodzinnym i zostać przekazana dzieciom. Gdyby jednak ich związek został zerwany z powodu jej cudzołóstwa, nic by nie otrzymała. - Mojego cudzołóstwa! - wykrzyknęła Carol. Odwróciła się w stronę Eliota. - Jak możesz, Eliocie? - zapytała. Wzruszył ramionami i nie odezwał się.

-Zwykła przeczność - powiedział prawnik. -Musimy przewidywać wszelkie ewentualności. - Był niskim mężczyzną o drobnych dłoniach. Nosił okulary bez oprawek i miał na sobie garnitur w prążki, białą koszulę i krawat w duże grochy. - Szczególnie w świetle pierwszego rozwodu pana Butterfielda.

- To nie do pomyślenia - powiedziała z oburzeniem. - Żebym ja miała kiedyś. . .

- Wiem, kochanie. To tylko takie formalne nonsensy.

- Dokument zawiera też stwierdzenie, że gdyby małżeństwo zostało rozwiązane z powodu cudzołóstwa pana Butterfielda, nie zgłosi on żadnych roszczeń do majątku, w którego posiadanie weszła pani w czasie trwania waszego związku - podkreślił prawnik.

- Nalegałem, żeby umowę rozszerzyć o ten punkt. Uważam, że to uczciwe postawienie sprawy. - Eliot roześmiał się, uściśnął jej rękę i pocałował w policzek. - Założenia całkowicie naciągane. Nasz związek będzie trwał.

- A co się stanie, jeśli małżeństwo zostanie rozwiązane z innego powodu? - zapytała Carol, starając się, żeby zabrzmiało to żartobliwie.

- Na pani wniosek? - spytał poważnie adwokat. Skinęła głową.

- Będzie pani otrzymywać pięć tysięcy dolarów rocznie przez okres pięciu lat - powiedział prawnik, wskazując odpowiedni ustęp w dokumencie. - Ale nie będzie pani mogła rościć praw do żadnych dóbr.

Umilkł, spojrzał na Eliota i zaczął wyjaśniać dalej.

- Jeśli na rozwód będzie nalegał pan Butterfield, to również otrzyma pani alimenty i. . . - odchrząknął -. . . prawo do dziedziczenia wymienionych w umowie dóbr, pod warunkiem, że nie wyjdzie pani ponownie za mąż przed śmiercią pana Butterfielda.

- To wszystko jest takie skomplikowane - westchnęła Carol.

- A poza tym, nie mamy zamiaru zrywać naszego związku z żadnego powodu - dodał Eliot. - Prawda, kochanie?

Prawnik nie zakończył jeszcze swoich wyjaśnień.

- Pan Butterfield zdecydował się zagwarantować pani prawo do dziedziczenia dóbr nawet w wypadku, gdyby ponownie się ożenił. - W tym miejscu adwokat odchrząknął, dając wyraz swojej dezaprobachie. - Mógłby z nich korzystać, ale bez prawa dysponowania nimi.

Chociaż wspaniałomyślność Eliota wydała się Carol nieco dziwna, nie zakwestionowała jej. Jaki by to miało sens? Wierzyła, że nigdy nie dojdzie do żadnej z wymienionych ewentualności. Poza tym rozumiała punkt widzenia ludzi bogatych. Wiedzieli, jak zabezpieczyć swoje pieniądze. Z ponurym rozmysłem zamykali przed niecznymi zamiarami każdą lukę.

- Można by pomyśleć, że jestem łowczynią fortun - skomentowała całą sprawę Carol i spojrzała urażona na adwokata. - Czy nigdy pan nie słyszał o małżeństwie z miłości?

- Wiele razy.

- Nie oczekuj od prawnika, że zrozumie uczucia - westchnął Eliot.

- Pan Butterfield może oczywiście, za pani przyzwoleniem, w każdej chwili zmienić warunki kontraktu - powiedział prawnik. Ta dyskusja zaczęła już drażnić Carol, ale adwokat nie przerywał swojego monotonnego wywodu.

- Należałoby zastanowić się jeszcze nad jednym punktem - stwierdził, rzucając ukradkowe spojrzenie w stronę Eliota, który skinieniem głowy wyraził zgodę, żeby mówił dalej. - Kwestia dzieci.

- Dzieci? - zdziwiła się Carol. Poznała już córkę i syna Eliota z pierwszego małżeństwa. - Ma pan pewnie na myśli ich zabezpieczenie finansowe. Rozmawialiśmy już o tym z Eliotem. Całkowicie się zgadzam, że powinni otrzymać to, co im się należy.

- Pan mówi o naszych dzieciach - rzekł Eliot, unikając jej wzroku.

W całym oszustwie właśnie macierzyństwo napawało ją największym lękiem. Nie była już młódką. Poza tym wcale nie pragnęła mieć dzieci, i to nie tylko z powodu zagrożenia zdrowia czy możliwości zrujnowania sobie figury. Po prostu nie miała najmniejszej ochoty zostać matką. Gdyby nie kłamstwo dotyczące jej wieku, ta sprawa pewnie w ogóle nie byłaby brana pod uwagę.

Sięgnęła po dokument, żeby sprawdzić, czy czegoś nie przeoczyła.

- Ta kwestia nie jest ujęta w umowie - powiedział adwokat.

- Podałem się operacji wycięcia nasieniowodów - wyznał Eliot. Zdawał się szczerze skruszony. Jej pierwszą reakcją była niewypowiedziana ulga, którą ukryła pod maską tłumionego żalu. - Byłem wtedy żonaty z Helen. Nie mogłem sobie pozwolić na więcej dzieci - wyjaśnił.

Zdziwiła się, że wybrał właśnie ten moment i biuro prawnika jako najbardziej odpowiednie miejsce, żeby jej o tym powiedzieć. Była całkowicie zaskoczona i zbita z tropu. Wzmogła czujność. A więc Eliot też miał na sumieniu swoje małe kłamstwa.

- Mamy już dwójkę dzieci, Eliocie - powiedziała z powagą, przekonana, że uderza we właściwą strunę.

Oczywiście podpisała tę umowę. I tak nie miała ona żadnego znaczenia.

Carol nie zamierzała wycofywać się z małżeństwa. Ani nie potrzebowała zawracać sobie głowy kwestią cudzołóstwa. Długie lata zmagania rekompensowało jej bezpieczeństwo finansowe i pozbycie się stresów związanych z jego brakiem. Postanowiła za wszelką cenę utrzymać ten związek. A dzięki temu, że wyrobiła w sobie nawyk karność, nie miała problemów z nauką posłuszeństwa i pochlebstw. I co z tego, że takie zachowanie odbiegało od postawy współczesnej kobiety? Wyższa świadomość nikomu jeszcze nie zapewniła chleba.

Nie można powiedzieć, żeby to była dla Carol straszna katorgia. Eliot spędzał większość czasu w swoim biurze na Lexington Avenue, w pobliżu domu. Był typem samotnika, myśliciela i intelektualisty. Carol na szczęście nie musiała dzielić z nim tego życia. Niemniej zawsze ochoczo towarzyszyła mu w jego wypadkach do "prawdziwego świata" wyrafinowanych przyjemności.

Nieczęsto wymagał od niej, żeby pełniła honory pani domu. Ale kiedy to się zdarzało, zawsze zachowywała się z gładką elegancją. Sprawnie zarządzała ich domem na Fifth Avenue. Potrafiła naprędce spakować ubrania Eliota i załatwić mu bilety na różne konferencje. Nauczyła się umiejętnie odgrywać rolę niezastąpionej żony, zawsze gotowej towarzyszyć mu w posiłkach i w rozmowie, głównie jako słuchacz - być jego towarzyszem i ozdobą.

Zmysł estetyki Eliota nie ograniczał się do potraw i win. Rozciągał się na sztukę, muzykę klasyczną, operę i oczywiście balet - wszystkie najbardziej wyszukane subtelności kulturalne. Carol opanowała tylko wiedzę z zakresu muzyki i baletu, ale to jej wystarczało, żeby wzbudzić podziw Eliota i udawać, że zna pozostałe dziedziny.

Eliot uważał siebie za człowieka renesansu i, jako taki, miał szeroki wachlarz zainteresowań naukowych. Niektóre problemy, a szczególnie troska o ekologię i ocalenie dzikich zwierząt, wzbudzały jego szczególny zapal. Carol towarzyszyła mu w kilku wyprawach do Afryki na safari, w wyczerpującej wędrówce po krainie ginących zwierząt. Miała okazję się nauczyć, jak być dobrym żołnierzem i nieustannie okazywać żywe zainteresowanie. Zawsze musiała coś udawać.

Nie analizowała swojego życia w kategoriach szczęścia. Jeśli nawet czasami Eliot wydawał się jej nudny i całkowicie zaabsorbowany sobą, humorzysty, nieznośny, roztargniony, zamknięty w sobie i wymagający, wcale jej to nie przeszkadzało. I tak miała teraz o wiele lepsze życie niż przedtem. Była hipokrytką, to prawda. Ale na pewno nie można jej zarzucić, że była nieżyczliwa, podła, okrutna, nieprzyzwoita czy niełojalna. Nie dawała mu żadnych powodów do niezadowolenia. Chciała tylko, żeby widział w niej wypełniającą sumiennie swoje obowiązki, pełną podziwu, troskliwą i kochającą żonę.

Była przebiegła. Miała do tego pełne prawo, zwłaszcza jeśli chodzi o gromadzenie dóbr na własne nazwisko. Pod pretekstem potrzeb estetycznych zawałala ich mieszkanie dziełami sztuki i antykami, które nabywała rozważnie, kierując się radami ekspertów. Czysto legalny z punktu widzenia prawa hokus-pokus. Nie została wprowadzona we wszystkie finansowe sprawy Eliota. Przypuszczała jednak, że skoro nie protestuje, nie ma nic przeciwko temu, żeby wydawała na ten cel pokaźne kwoty. Był dumny z jej dobrego smaku i sprytu w wyszukiwaniu pięknych rzeczy. Z uwagi na olbrzymi wzrost cen na rynku dzieł sztuki i antyków, zgromadziła całkiem pokaźny osobisty majątek. Myślała o nim jako o swoim zabezpieczeniu na starość, ponieważ zarówno względy chronologiczne, jak i biologiczne wskazywały na to, że może żyć dłużej od męża. Dotychczas miała nadzwyczajne szczęście i udawało się jej ukryć przed Eliotem własne sukcesy ekonomiczne. Można powiedzieć, że od chwili zawarcia małżeństwa nauczyła się iść przez życie, przyjmując taktykę obronną. Gdy tylko przeczuwała niebezpieczeństwo, stosowała unik.

Do tej samej strategii uciekła się u Pumpkinsa. Na widok Kena Kramera doznała w pierwszej chwili oszołomienia. Serce podskoczyło jej do gardła i bała się, że za chwilę cała rozpadnie się na kawałki. Na drżących nogach ledwie zdołała podejść do stolika.

Gdyby ją rozpoznał, pewnie by nie przetrwała tego wieczoru. W czasie posiłku całą siłą woli starała się go nakłonić, żeby ją wyrzucił ze swojej świadomości. Miała nadzieję, że nikt nie zauważył jej niepokoju. Gdy próbowała podnieść do ust szklankę wody, trzęsły się jej ręce. To było wystarczającym ostrzeżeniem, żeby je trzymać w ukryciu. Musiała też zapanować nad drżeniem głosu. Najlepszym sposobem było ograniczenie wypowiedzi do minimum.

Ukrywanie się za pośpiesznie przybraną maską było już dostatecznie trudnym zadaniem, a co dopiero gdy Eliot zaczął publicznie przedstawiać jej wymyśloną przeszłość. Pomimo nieprzepartej pokusy, żeby obserwować reakcję Kena, unikała jego wzroku. A gdy, zaznajomiony z jej nową tożsamością, zaofiarował się, że odczyści fikcyjne nazwisko jej ojca na waszyngtońskim pomniku Ofiar Wojny Wietnamskiej, dała już niemal za wygraną. Tymczasem on z wdziękiem się wycofał. Czy naprawdę jej sobie nie przypominał? Może radykalne zmiany w życiu nie pozostały bez wpływu na jej osobowość i rzeczywiście jej nie poznał?

A może, podobnie jak ona, latami nie dopuszczał do siebie myśli o niej. W jej przypadku owe wysiłki okazały się nieskuteczne. Nagle zdała sobie sprawę z tego faktu. Był dla niej jak lodowaty prysznic. Wpadła w pani-

kę. Czowała się bezbronna. Reakcja jej ciała wprawiła ją w zakłopotanie, ale nie mogła zdobyć się na to, żeby odejść od stolika. Bała się, że zemdleje, gdy wstanie.

Na szczęście ani Eliot, ani żona Kena niczego nie zauważyli. Zbyt byli zajęci sobą. Carol zmuszała się, tak jak i do wielu innych rzeczy w małżeństwie, żeby tolerować snobistyczne maniery Eliota. Próbowwała nawet czasami uczestniczyć w owych nadętych wymianach zdań z kelnerami. Ale scena w wykonaniu tej pary wydała się jej całkiem niedorzeczna. Carol drażnił pewny siebie sposób bycia Maggie, jej olbrzymi biust, długie i miękkie blond włosy, słodki entuzjazm i podzielenie smakowych gustów Eliota. Skąd mogła wiedzieć, że Maggie po mężu nazywa się Kramer?

Czyżby przeczuwała, że coś takiego może się zdarzyć? Jak na ironię losu, nie miała ochoty pójść na tę kolację z czysto snobistycznych pobudek. Maggie nie należała przecież do towarzyskiej sfery Eliota. Była tylko jego dobrze opłacanym pracownikiem. Eliot wysoko cenił jej umiejętności w zakresie programowania komputerowego. Godzinami siedzieli razem, zamknięci w jego biurze. Według Eliota praca, którą wykonywała, mogła potrwać nawet i rok. Ale to jeszcze nie było dostatecznym powodem, żeby Carol musiała przechodzić piekło konfrontacji z Kenem Kramerem.

Źródłem jej rozdrażnienia był strach, strach przed zdemaskowaniem. Wewnętrzny i bardzo zmysłowy niepokój budził w niej jeszcze inny rodzaj lęku: stanęły jej przed oczami długo powstrzymywane, erotycznie stymulowane obrazy, nad którymi, co gorsza, nie była w stanie zapanować.

Czy to naprawdę była ona na tym szalonym filmie, który przewijał się jej przed oczami? Zobaczyła swoje nagie, rozpalone ciało. Zobaczyła siebie, jak sięga, dotyka, pieści i przyjmuje. Film to przesuwiał się w dzikim tempie, to znów zwalniał, wybiegał naprzód i cofał się. Chryste. Poczwała coraz szybciej narastające podniecenie. To zrozumiałe, że ją drażniła Maggie Kramer. Powód był oczywisty. Przez cały czas trwania kolacji usiłowała odzyskać panowanie nad sobą. Ale dopiero pod koniec posiłku poczuła wdzięczność dla Kena za to, że uszanował jej tajemnicę.

- Jej mąż wygląda na bardzo spokojnego człowieka - powiedział wieczorem Eliot po powrocie do domu. - Szkoda, że tak niewiele miał o sobie do powiedzenia.

- Cicha woda - stwierdziła z udawaną obojętnością, szykując się do łóżka. - Widocznie wszystko mówi za niego żona.

- Obawiam się, że zbyt surowo wyraziłem się o jego zawodzie - zmartwił się Eliot. - On z pewnością sprawia tylko takie niepozorne wrażenie.

- Być może - zgodziła się. Przypomniała sobie nagle, jak jego obecność wytrąciła ją z równowagi. - Stworzył przecież "Giętkie psotnice" - powiedziała z ironią i natychmiast pożałowała swoich słów. W końcu Ken jej nie wydał. I z pewnością zasłużył sobie na jej wyrozumiałość. - Trudno oceniać kogoś na podstawie zaledwie kilku wspólnie spędzonych godzin. Zrobił na mnie dość sympatyczne wrażenie.

- Chyba masz rację - powiedział Eliot. - Może w przyszłości zdołamy z niego wydobyć trochę więcej. Dobrze się czułem w ich towarzystwie.

- Musimy się znowu kiedyś z nimi umówić - powiedziała, zaskoczona własną przychylnością.

- Tak - zgodził się Eliot. - Myślę, że to dobry pomysł.

- Zresztą zrobimy tak, jak będziesz sobie życzył, kochanie. Znasz się o wiele lepiej na ludziach niż ja - powiedziała, ukradkiem przesuwając w palcach wymiętą wizytówkę Kena.

Tydzień później Carol przewyciężyła onieśmienie i zatelefonowała do biura Kena. Przez cały tydzień zbierała się na odwagę. Przekonywała samą siebie, że chodzi o jej własne dobro. Wszystko przecież wskazywało na to, że przyjaźń i zacieśniające się stosunki służbowe Eliota z Maggie doprowadzą do ponownego spotkania z Kenem. Argumentowała przed samą sobą, że ich wzajemna relacja wymaga ustalenia podstawowych zasad. Nie była jednak pewna prawdziwych motywów swojego działania.

- Dzień dobry, pani Butterfield - powiedział Ken. Wyczuła w jego głosie nutę sarkazmu.

- Daj spokój, Ken - rzekła.

- Carol - zniżył głos do szeptu.

- Ken. Ja. . . sama nie wiem, jak to powiedzieć - zaczęła. Czego właściwie oczekiwała? Utrzymywania z nim mniej intymnych stosunków? - Słyszysz mnie?

Czekała przez kilka sekund. Słyszała jego oddech, a może nawet brzmienie myśli.

- Tak, słyszę cię - odparł.

- Musimy porozmawiać - powiedziała, nie wiedząc nawet, czy ma na myśli rozmowę telefoniczną. Dostrzegła zagrożenie, ale nie chciała bardziej wnikliwie go analizować. Była świadoma swojej reakcji, zarówno uczuciowej, jak i fizycznej. Czy na tym właśnie polegało owo zagrożenie? A może były jeszcze inne niebezpieczeństwa? Takie na przykład jak to, że Eliot bliżej zainteresuje się osobą Kena, ona zostanie zdemaskowana i runie jej starannie zbudowany domek z kart?

- Wybierz jakieś miejsce - usłyszała głos Kena.

Adres nasunął się sam - Pals, kafejka przy Second Avenue. Pamiętała, że biuro Kena znajduje się na East Side. Za godzinę? Zgodził się, ale kiedy odłożył słuchawkę, pomysł tak pilnego spotkania wydał się jej nie do przyjęcia.

Była zażenowana. Kusilo ją, żeby ponownie do niego zadzwonić i wszystko odwołać. I dlaczego zatelefonowała do niego z hallu Pierre'a, jak gdyby coś knuła? Dlaczego pomyślała właśnie o Pals? Czy dlatego, że nie było to małe, ciemne i romantyczne miejsce, a otoczenie nie sprzyjało atmosferze intymnego spotkania? Jak wpadła na ten pomysł?

Godzina wydała się jej wiecznością. Było późne, chłodne popołudnie. Nagle znad East River zerwał się wiatr i Carol przeszył ziąb. A może drżała z innego powodu?

Kiedy weszła do kafejki, odrzuciła pomysł o odosobnionym miejscu i wybrała widoczny stolik na środku sali. Ken spóźnił się kilka minut. Gdy zbliżał się do niej, przyglądała mu się badawczo, porównując go z zapamiętanym obrazem dwudziestojednoletniego chłopaka, jak gdyby nie widziała go tydzień temu. Zauważyła, że razem z długimi włosami i okrągłymi okularami zniknął jego tajemniczy, chrystusowy wygląd. W jakim mógł być teraz wieku? W połowie czterdziestki? Nie roztył się i miał długi, swobodny krok. Rozpięta marynarka odślaniała rytmiczne ruchy jego bioder. Carol przypomniała sobie, że Ken zawsze nosił obcisłe spodnie. Skierowała wzrok na wypukłość w jego kroku i zaczerwieniła się.

- Jaki werdykt? - zapytał, zajmując miejsce na krześle naprzeciwko niej i bezczelnie taksując ją wzrokiem.

- Winny - odparła, wiedząc, że nie o tę odpowiedź mu chodziło. Ale gdyby zdecydowała się powiedzieć prawdę, musiałaby się przyznać, że bardzo szybko odkryła możliwość wskrzeszenia uczucia. Przeraziła się. Nigdy by już sobie na to nie pozwoliła.

Ken potarł się po szczęce.

- Posiwała mi broda. A ja jestem za kultem młodości. Nie podobam ci się ogolony, prawda?

- Ależ skąd - zaprzeczyła, przyglądając mu się. - Wyglądasz wspaniale. - Jego wzrok zatrzymał się na jej twarzy, a potem znalazł jej oczy. Patrzyli na siebie przez dłuższą chwilę.

- Czas się dla ciebie zatrzymał, Carol.

- Pracuję nad tym.

- Dałem się zwieść pozorom. Sądziłem już, że mam przywidzenia. - Poczula na sobie jego spojrzenie, tym razem bardzo wnikliwe.

- Wszystko ci wytłumaczę - powiedziała. Obok ich stolika przechodziła kelnerka i zamówili kawę. Kawiarnia była duża i o ile Carol się orientowała, nie należała do miejsc odwiedzanych przez Eliota. Carol jednak nie mogła się pozbyć myśli, że w pewien sposób go zdradza i wystawia na niebezpieczeństwo swoją pozycję.

- Zaskoczyłaś mnie. Domyśliłem się, że masz swoje powody, i uszanowałem je. Sądziłem, że jestem ci to winien.

- Żadnych wspomnień - zaprotestowała. - Zatelefonowałam do ciebie tylko po to, żeby się wytłumaczyć. Wygląda na to, że od czasu do czasu będziemy się spotykać w tym samym gronie. Dlatego chciałabym wyjaśnić sytuację.

- Twój mąż i moja żona stali się prawdziwymi przyjaciółmi. Maggie rozpytywała się przede mną nad potęgą umysłu Eliota. - Wzruszył ramionami. - Według mnie, jego wiedza jest zbyt encyklopedyczna.

Pozostawiła tę opinię bez komentarza. Ją też drażniła pyszałkowatość Eliota.

- Umiejętności twojej żony też zrobiły na nim niemałe wrażenie. To prawdziwy komplement. Eliot jest szefem, którego niełatwo zadowolić.

- Sądząc po czasie, jaki z nim spędza, wszystko na to wskazuje. Ale gdy pomyślę o stawce za godzinę, nie mam nic przeciwko temu - stwierdził.

- Prawdopodobnie realizacja tego projektu potrwa jeszcze długo - powiedziała Carol. - A Eliot nie należy do tych, którzy zostawiają sprawy zawodowe za drzwiami swojego gabinetu. W grę wchodzi stosunki towarzyskie. W tej sytuacji, skoro mamy się widywać w obecności naszych współmałżonków... chciałabym, żebyś zrozumiał... skąd się wzięły te wszystkie dziwne fakty dotyczące mojej przeszłości.

- Ależ doskonale wiem - stwierdził Ken. - Po prostu je wymyśliłaś.

- Upiększyłam. Tylko upiększyłam.

Kelnerka przyniosła im kawę. Znowu mieli okazję, żeby się sobie dokładnie przyjrzeć. Carol doszła do wniosku, że Ken jako dojrzały mężczyzna jest bardzo przystojny. Lekko przerzedzone z przodu włosy przyprószyła siwizna. Oczy zdawały się być głębiej osadzone, niż pamiętała. A ich wyraz? Dostrzegła w nich młodego człowieka, który kiedyś potrafił w czasie jednej ulotnej, wspaniałej chwili wyrzucić cały jej świat do góry nogami. Wspomnienie głęboko ją poruszyło.

- Bałam się, że mnie wydasz - przyznała się.

- Francuski markiz w rodzinie i ojciec zabity w Wietnamie. Masz bujną wyobraźnię.

- A tobie udało się znaleźć sposób, żeby mnie zdemaskować. Wykazałeś wielką pomysłowość z tym pomnikiem.

- Tak, to prawda. Byłem złośliwy. Przepraszam cię.

- Dobrze wiedziałeś, że mnie przestraszysz.

- Ale zaraz się wycofałem. Czułem się urażony. Zachowywałaś się tak, jakby mnie tam wcale nie było.

- Rozumiem twoją urazę, stąd moje wyjaśnienia. Ken popijał kawę małymi łykami.

- Czy Eliot w to wszystko wierzy?

- Ślepo.

- W twój wiek też?

Skinęła głową.

- Też bym uwierzył - powiedział, przyglądając się jej.

- A czy inne fakty są prawdziwe? O... australijskim zespole baletowym?

- Nie. To też wytwór mojej wyobraźni. Niestety, nie zrobiłam kariery jako tancerka.

- Przykro mi - powiedział, unikając jej wzroku.

- Kiedyś myśl o karierze była dla mnie wszystkim. Całym moim światem. Bóg mi świadkiem, że się starałam. Ale kiedy skończyło się stypendium, zostałam po prostu wyrzucona. Próbowałam szczęścia w innych szkołach i w innych zespołach. Przypuszczam, że to właśnie brak sukcesu załamał moich rodziców. Zdobyli się dla mnie na tak wielkie poświęcenie. - Wzruszyła ramionami i otarła spływające z oczu łzy. - Pracowałam przez osiem miesięcy w objazdowym teatrze muzycznym. - Zmusiła się do uśmiechu. Głównie jednak uczyłam. Pamiętasz stare porzekadło: "Jeśli nie umiesz czegoś robić, to zajmij się nauczaniem tego?"

- Najwyraźniej wyszło ci to na zdrowie - mruknął Ken.

- Zdaje się, że całkiem nieźle wam się wiedzie?

- To tylko dowodzi, że po niepowodzeniach życie toczy się dalej, Ken. Znalazłam sposób na to, żeby po długiej nocy żyć wygodnie i spokojnie. Byłam już zmęczona biedą. Na pewno widzisz mnie teraz w roli tułacza, i nie mylisz się. Ale to złota banicja i nie pozwolę, żeby cokolwiek miało mi ją zakłócić.

- Obecnie sytuacja bez wątpienia wydaje mi się o wiele klarowniejsza niż tamtego wieczoru.

- Musiałam przeobrazić się w kobietę, którą Eliot byłby gotów poślubić. Oczywiście wszystkie te historie to stek kłamstw, Ken. Niegroźnych kłamstw. Prawdą jest tylko to, że uczę dzieci tańca. Jestem przekonująca w roli, w jakiej chciał mnie widzieć. Na spowiedź jest już za późno. Eliot bierze mnie za osobę, którą wymyśliłam.

Nie zamierzała odsłaniać przed nim duszy. Chciała tylko udzielić mu wyjaśnień. I teraz, gdy wyznała prawdę, poczuła się lepiej.

- Często robimy to, do czego zmusza nas życie - powiedział Ken. - Maggie mówiła mi, że Eliot jest bardzo zamożny i że mieszkacie na Fifth Avenue. Stamtąd wszystko musi wyglądać wspaniale.

- Prowadzę o wiele wygodniejsze życie niż przedtem szepnęła. - Ściganie nieosiągalnych marzeń, i do tego bez pieniędzy, nie jest zbyt zachęcającą perspektywą.

- No cóż, dziękuję za wyjaśnienia - powiedział Ken. Nagle wyciągnął rękę i położył ją na dłoni Carol. Była zdziwiona, ale nie cofnęła ręki. - Doceniam je, wierz mi. Nigdy nie mieliśmy przed sobą tajemnic.

Spojrzeni sobie prosto w oczy. To szaleństwo, pomyślała i wysunęła rękę spod jego dłoni.

- Czy sądzisz, że podjęliśmy słuszną decyzję? - zapytał.

- O jakiej decyzji mówisz?

- Dotyczącej nas.

- Daj spokój, Ken. To śmieszne. Chciałam się tylko upewnić, że. . .

- Rozumiem - rzekł Ken, unosząc w górę dłonie. - To twoja bliskość sprawia, że. . . dziwnie się czuję.

Pokręciła głową.

- Proszę cię, Ken. . . - Odwróciła wzrok i jej słowa gdzieś uleciały.

- Nigdy przedtem ani potem już tak nie było - powiedział, na nowo przywołując dawne obrazy.

- To przeszłość - odparowała cios. - Wszystko, o czym mówisz, przydarzyło się innym ludziom, ponad dwadzieścia lat temu. Nie jesteśmy już tacy sami. Żyjemy w innych realiach. Mam męża i pasierbów. Ty masz żonę i dzieci. - Umilkła na moment. - Oraz swoją karierę.

- Z tą karierą to przesada - zaproponował Ken.

- Rozglądałam się za twoimi książkami - powiedziała Carol. Dostrzegła wrażenie, jakie zrobiły na nim jej słowa, i pożałowała ich.

- Bankructwo - westchnął. - Jeśli cokolwiek w sobie miałem, musiałem to gdzieś po drodze zaprzepaścić.

- Może znowu to odnajdziesz - próbowała go pocieszyć.

- A może już znalazłem? - powiedział z sarkazmem.

Nie zareagowała na jego uwagę. Znowu wkraczał na niebezpieczny teren. Czowała na twarzy jego badawczy wzrok.

- W życiu spotkała mnie tylko jedna prawdziwa rzecz. Prawdziwa i wspaniała. - Znów spojrzał jej prosto w oczy. Mam na myśli naszą miłość.

- Czasami wyolbrzymiamy to, co było dobre w przeszłości - powiedziała.

- To zależy, jak było dobre.

- Albo jak byliśmy młodzi. - Miała nadzieję powstrzymać przyływ uczucia, na który najwyraźniej byli podatni oboje. Zamilkła, szukając właściwych słów, które by go otrzeźwiły. - Oraz głupi.

- Tak, głupi - mruknął uśmiechając się blade. - W każdym razie życie potoczyło się dalej. Niektórzy nawet uważają, że osiągnąłem wielki sukces. Ten stary Kramer ma wielkie zdolności twórcze, powiadają. Wymyślam takie rzeczy jak "Giętkie psotnice". To zajęcie daje mi środki do życia. - Milczał przez chwilę. - Ale to wszystko jest nic niewarte, Carol.

- Daj spokój, Ken. Może za wiele od siebie wymagasz - powiedziała.

- Być może - przytaknął zamyślony. - Ale skoro już mamy godzinę szczerości, dlaczego nie spojrzeć na wszystko z właściwej perspektywy? Tak naprawdę, to jestem z siebie bardzo, ale to bardzo niezadowolony, Carol.

- Dla ciebie jeszcze nie wszystko skończone, Ken. Nie jesteś baletnicą i czas nie jest twoim śmiertelnym wrogiem. Ja zawsze mogę powiedzieć, że okoliczności zmusiły mnie do kapitulacji. Ty, jako pisarz, możesz przynajmniej zachować nadzieję.

- To ja, latarnia morska z Przylądka Dobrej Nadziei. Może dawne światło zwabi stracone natchnienie. - Wpatrywał się w nią w takim napięciu, że odwróciła wzrok.

- Przecież dobrze ci się powodzi - rzekła Carol. - Masz żonę i dwie córki. I twoje małżeństwo wygląda na trwałą związek.

- Sądzę, że oboje z Maggie nauczyliśmy się omijać miny. Weszło nam to w krew. Oczywiście nasz związek ma również swoje zalety. Maggie, jak pewnie zdażyłaś zauważyć, jest urodzoną niańką.

- Czy zwierzyłeś jej się z naszej dawnej znajomości?

- Już ci powiedziałem: unikamy pól minowych - rzekł Ken, ponownie sięgając po jej rękę. - To prywatne terytorium. Nasze szlachetne rozstanie nie było warte funta kłaków, Carol. Widzisz sama. Nigdy nie przywyknijemy do życia, jakie w tej chwili prowadzimy. Powinniśmy pozostać na tamtej zwariowanej karuzeli.

- Nic nie trwa wiecznie, Ken.

- To pewne. Czy nie jest ci żal, gdy czasami myślisz o nas?

- Staram się unikać wspomnień.

- I nigdy nie wracają? Nawet w snach?

- Nieczęsto miewam sny - powiedziała, zastanawiając się, czy mówi prawdę.

- A ja tak. Są rzeczy, o których nie można zapomnieć. Postukał się palcem w skroń. - Maggie powiedziałaby, że są tutaj zakodowane.

Carol zrobiła ten sam gest, przedrzeźniając go.

- I tutaj muszą zostać.

- Mieliśmy wznoszenie w naszym życiu. Imponujący, chociaż zbyt krótki. Ilu ludziom jest dane go przeżyć?

- W porównaniu z całym życiem jest jak okamgnienie - powiedziała.

- Może właśnie takie okamgnienie nadaje życiu sens?

Czy to, co przeżyli, było naprawdę czymś aż tak szczególnym i dobrym? Czy w przeciwnym wypadku w ogóle by tu dzisiaj przychodziła? Poczwała dziwny niepokój, jak gdyby w powietrzu wisiała burza. Znów przed oczami zaczęły się jej przewijać dawne obrazy, żywe i sugestywne.

Wzjął jej rękę i przyłożył ją sobie do serca.

- Czujesz? Stara pompa oszalała.

Spojrzeli sobie w oczy. Podniósł jej dłoń do ust i pocałował.

- Mój Boże, Ken. - Wyswobodziła rękę. Ale pod wpływem tego prostego gestu przeszył ją dreszcz. Miała mieszane uczucia. Chciała wyrazić swoje oburzenie, ale nie umiała. Doszła do wniosku, że popełniła błąd, przychodząc tutaj.

- Przepraszam cię, Carol - powiedział i pokręcił głową. - Nie zaznamy już spokoju. Oboje o tym wiemy. A najzabawniejsze, że byłem dobrym i wiernym mężem. Nie powinienem był przywoływać wspomnień. To było bardzo nierozsądne z mojej strony.

Nie wypita kawa ostygła; Carol nakryła dłonią filiżankę, gdy kelnerka podeszła, żeby ponownie ją napełnić.

- Sądziłam, że powinieneś znać całą prawdę, Ken. - Miała nadzieję, że uzna jej słowa za koniec rozmowy.

- Doceniam to. Teraz już wszyscy czworo możemy zostać przyjaciółmi. - Wyczuła w jego głosie sarkazm.

Spojrzała na zegarek. Eliot spodziewał się jej w domu. Ale wiedziała, że to spotkanie nie może się tak zakończyć. Jeszcze nie teraz. Pozostało coś, co trzeba było dopowiedzieć. Zawahała się, zbierając myśli.

- O co chodzi, Carol?

- Nie jestem pewna, czy mogę cię o to prosić - powiedziała. - A i samą siebie.

- Spróbuj.

- Chciałabym z tym skończyć.

- Skończyć? Zrobiliśmy to już przecież ponad dwadzieścia lat temu.

- Wiem, że znowu spotkamy się w czwórkę. Chcę, żebyś mi obiecał, że nie będziesz robił żadnych aluzji na temat naszej przeszłości.

- Mam wymazać wspomnienia. Udawać, że nigdy się nie spotkaliśmy. . . i nigdy. . . - Jego głos zmienił się w zdławiony śmiech.

- Proszę, żebyś zachowywał się tak, jakbyśmy się poznali w zeszłym tygodniu u Pumpkinsa.

Długo milczał.

- Obiecuję - powiedział w końcu, unosząc prawą dłoń.
- Mówię poważnie, Ken. - Poczula na sobie jego badawczy wzrok.
- Nie widziałem cię nigdy przedtem - szepnął.

Przyjrzała mu się uważnie, żeby przekonać się, czy jest z nią szczerzy. Nie, on mnie nie zdradzi, pomyślała.

- No cóż. Miło nam się gawędziło. Czuję się teraz o wiele lepiej.

Wstała. On też się podniósł i podszedł do niej, żeby ją pocałować na pożegnanie, ale się cofnęła. Wyciągnęła do niego rękę.

- Z mojej strony nie musisz się niczego obawiać - powiedział ściskając jej dłoń.

- Teraz już o tym wiem.

Czy jedno kłamstwo więcej mogło mieć jakieś znaczenie?

Rozdział IV

Bardzo się cieszę, że tak wspaniale się ze sobą w czwórkę zgadzamy - powiedziała Maggie, zmywając makijaż z twarzy. Siedziała przed toaletką w sypialni ich szeregowego domu przy Park Slope, w Brooklynie.

Ken leżał na łóżku. Był zmęczony udawaniem, które trwało już od czterech miesięcy. Zastanawiał się, dlaczego musi znosić tortury wypierania się bliskich stosunków z Carol. Ale jej obecność była najważniejsza w jego życiu i usuwała w cień wszystkie inne myśli i problemy. Wyolbrzymiała też trywialne aspekty jego pracy i uwypuklała hańbę porażki.

Wrócili z kolejnego wspólnie spędzonego wieczoru. Bylina "Duchu w operze". Siedział w czasie przedstawienia obok Carol i powstrzymywał się, żeby nie otrzeć się udem o jej nogę, nie pocałować pieprzyka na jej białej łabędziej szyi albo nie objąć jej ramieniem. Wyobrażnia stawała się zbyt żywa i tylko dzięki nadludzkim wysiłkom woli zachowywał panowanie nad sobą.

Tak jak zwykle, odnosili się do siebie z chłodną uprzejmością. Postronny obserwator mógłby przypuszczać, że są dwojgiem obojętnych sobie ludzi. Postępowali zgodnie z umową. Ale przestrzeganie zasad gry przychodziło Kenowi coraz trudniej.

Co gorsza, Eliot za każdym razem wydawał mu się coraz bardziej nadęty i autokratyczny. Ken podejrzewał jednak, że ukrywana i wzrastająca niechęć do Eliota jest wynikiem jego własnej subiektywnej oceny. Musiał się nawet przyznać przed samym sobą do zazdrości, kłopotliwego i źle ulokowanego uczucia, ponieważ jego źródłem był związek Eliota z Carol.

Wspólne wieczory zawsze sprawiały dużą radość Maggie i Eliotowi. Ich zainteresowania przypominały bezdenną studnię, w której ochoczo się zagłębiali. Było to tym bardziej zaskakujące, że spędzali ze sobą przecież większość czasu w ciągu dnia, opracowując dane do programu komputerowego Eliota.

- Przygotowujemy system, który połączy dane w całość - powiedziała Kenowi Maggie. - To piekielnie trudna robota. Ten człowiek ma niesamowity umysł i mnóstwo różnorodnych zainteresowań.

- Ale za to płaci na czas.

- Tak, to prawda - przyznała. - Sądzi, że najwyższy poziom komputeryzacji jest tego wart.

Nie należało lekceważyć finansowych aspektów ich wzajemnych stosunków. Ani kosztów wspólnie spędzanych wieczorów. Ken nalegał, żeby płacić za Maggie i za siebie, co było równoznaczne z pokrywaniem połowy kwoty, na jaką opiewały rachunki i którą właściciele restauracji solidarnie obciążali dwie karty kredytowe - jego i Eliota.

Na początku Eliot chciał za wszystko płacić sam, ale Ken nie mógł się na to zgodzić. Zdawał sobie sprawę, że gdyby zaakceptował jakąkolwiek formę hojności ze strony Eliota, wiele by stracił w oczach Carol. Zresztą Maggie też by do tego nie dopuściła.

Kena nigdy nie przestawało dziwić, że pomimo zupełnie przyzwoitych dochodów mają z Maggie nieustanne kłopoty finansowe i niewiele udaje się im odłożyć na przysłowiową czarną godzinę. Sądził, że przy odrobinie dobrych chęci pewnie by umieli lepiej gospodarować pieniędzmi. Tylko że wtedy do innych napięć w ich ży-

ciu dołączyłoby jeszcze skąpstwo. A zresztą, czy nie należeli do pokolenia, które żyło na kredyt? I choć taka filozofia nie musiała wydawać się godna podziwu, wzniosła ani praktyczna, na pewno była lepsza od chciwości.

Prawdę mówiąc, Ken i Maggie siedzieli po uszy w długach, a sytuacja mogła ulec tylko pogorszeniu. Niebawem czekały ich opłaty za studia córek, które w tym roku spędzały wakacje w Europie na obowiązkowej wybieżce szkolnej dla nastolatków.

- Każde pokolenie ma obowiązek dźwignąć wyżej następne, bez względu na koszty - powtarzała Kenowi Maggie. Była nieczuła na jego protesty, szczególnie gdy próbował się sprzeciwić nadmiernemu uleganiu woli córek. Nie można powiedzieć, żeby nie zdawała sobie sprawy z finansowych realiów. Pochodziła przecież ze Środkowego Zachodu i jak wszystkie tamtejsze kobiety była osobą praktyczną. Poza tym wносиła ponad jedną trzecią wkładu w ich rodzinne dochody. Wierzyła jednak, choć jej optymizm nie był niczym uzasadniony, że sprawy mogą przybrać tylko lepszy obrót.

Nie chciała dyskutować na ten temat z Kenem. Wyznawała filozofię, że to dochody mają wzrastać do poziomu życia, a nie odwrotnie. Zarabiali wspólnie dwieście dwadzieścia pięć tysięcy dolarów rocznie, a podatek płacony przez Kena na koniec każdego roku był większy od kwoty, jaką jego ojcu udało się zarobić w ciągu dwudziestu lat.

Mieszkali we własnym szeregowym domu w pobliżu Prospect Park, który kupili na kredyt. Czesne w szkołach córek wynosiło ponad dwieście tysięcy dolarów rocznie, a koszty studiów miały jeszcze bardziej obciążyć ich budżet.

Ken początkowo nie zdawał sobie sprawy, że w miarę dorastania dzieci ich styl życia pochłania coraz większe kwoty. Coraz bardziej zostawali w tyle. A dawne miary finansowego sukcesu nie znajdowały w ich przypadku zastosowania.

Nie zdali się na nic wygodne wymówki Kena, że zaprzedał swoje artystyczne ambicje dla pieniędzy i wygod. Poniósł podwójną porażkę. Brutalna prawda była taka, że pozostały po odliczeniu podatku roczny dochód stu pięćdziesięciu tysięcy dolarów nie gwarantował tego poziomu życia, jaki powyższa kwota sugerowała. I na nieszczęście, złudzenie przesłaniało im rzeczywistość.

Ojciec Kena, który zmarł wiele lat temu i przeżył wielki kryzys, wyśmiałby narzekania syna. W jego czasach roczny dochód dziesięciu tysięcy dolarów był szczytem marzeń, a skoro Ken zarabiał parę razy więcej, uważałby pewnie sukces syna za Bóg wie jaki wyczyn. Śmiechu warte.

Maggie w równym stopniu co Ken czuła się rozczarowana. Jej dochody, które wydawały się duże, przypominały cenę przed sezonową wyprzedażą. Były jak etykieta, która nie odzwierciedla rzeczywistych nakładów. Oboje postanowili jednak nie zabierać dziewcząt ze szkół ani nie dać się odstraszyć wyższymi kosztami lepszych uczelni. Nie zamierzali też rezygnować z przyjemności, które oferowało im życie w mieście, takich jak teatry, koncerty i restauracje. Musieli się przecież dostosować do swojej coraz wyższej pozycji. Już we wczesnym okresie małżeństwa uznali, że w życiu najważniejsze jest właściwe rozumienie zasad etyki, które chronią je przed zubożeniem i hipokryzją.

Chociaż Carol nie osiągnęła celu i nie została primabaleriną, to przynajmniej miękko wylądowała finansowo, pomyślał Ken. Niewielkie pocieszenie z punktu widzenia zamierzeń artystycznych, ale lepsze niż nic.

Entuzjastyczne zapewnienia Carol, że na pisanie nie jest za późno, roznieciły w Kenie iskierkę nadziei i pobudziły jego wyobraźnię. Znow zaczął myśleć o powieściach i o wzajemnych powiązaniach wątków i postaci. Ponownie sięgnął po lekturę Hemingwaya, żeby znaleźć w niej natchnienie. Nie potrafił się jednak zdobyć na fizyczny akt powrotu do pisania. Niewątpliwy wpływ miała na to finansowa rzeczywistość. Życie Kena ugrzęzło w bagnie odpowiedzialności. Praca w agencji - "namiastka" jego twórczej działalności - była dużym obciążeniem, a dodatkowym brzemieniem stała się teraz obecność Carol.

- Szczerze mówiąc, bałam się, że ty i Carol nie będziecie mieli sobie wiele do powiedzenia - wyznała Maggie, żeby odwrócić uwagę od kosztów, jakie pochłonął wspólnie spędzony wieczór.

- Nie mam nic przeciwko niej - mruknął Ken. A w duszy wołał: Boże, chroń mnie przed wygłaszaniem tak skąpych pochwał.

- Na początku wydawało mi się, że jesteś do niej bardzo źle nastawiony. Po prostu ją ignorowałeś. Cieszę się, że postanowiłeś dać jej szansę. To naprawdę urocza osoba.

- Czy to ma jakieś znaczenie? W tym związku niewątpliwą gwiazdą jest Eliot - powiedział z rozwagą, lojalnie stosując się do życzenia Carol.

- To bardzo intrygujący człowiek, nie sądzisz?

- Tak, to prawda - skłamał. Dostateczny kłopot sprawiało mu już ukrywanie się w obecności Eliota ze swoimi poglądami na temat jego osoby. - I szczodry zleceniodawca - dodał. Na tyle mógł sobie pozwolić wobec Maggie. Jego opinia o Eliocie jako o nudnym snobie tylko by ją rozżłościła i wywołała milczący antagonizm. Po co wchodzić na tę minę, pomyślał.

- Carol ma ciekawą przeszłość - rzekła Maggie. - Szkoda, że jest taka zamknięta w sobie.

- Sądzę, że powinniśmy bardziej się przyłożyć i wywabić ją ze skorupy - powiedział obłudnie Ken.

- Eliotowi bardzo zależy na znajomości z nami. - Maggie spojrzała na Kena i uśmiechnęła się pogodnie. Za przyjaźnijmy się z nimi.

Zasłużyliśmy sobie na parę prawdziwych przyjaciół.

- Co Eliot o mnie myśli? - zapytał Ken, ignorując jej entuzjazm. Zastanawiał się, czy opinia tego nadętego bufona w ogóle ma dla niego jakieś znaczenie.

- Uważa, że jesteś bardzo interesującym człowiekiem - powiedziała bez przekonania Maggie. - Opowiedziałam mu o twoich pisarskich ambicjach.

A więc sprzedała go jako coś więcej niż tylko twórcę "Giętkich psotnic". Nagle pożałował, że zwierzył się jej ze swoich literackich aspiracji, chociaż dzięki nim zyskał nieco w jej oczach, szczególnie na samym początku małżeństwa.

- Wolałbym, żebyś o tym nie wspominała - zaprotestował.

- Zrobiło to na nim duże wrażenie - zapewniła męża Maggie, kończąc wieczorne ablucje. - Kiedyś, gdy zdecydujesz się wydać swoje powieści, może będzie ci potrzebna jego pomoc. Eliot ma rozległe znajomości. Kenowi żołądek wyrócił się na drugą stronę. Prędzej by się poddał torturom, niż skorzystał ze znajomości tego człowieka.

- To wy oboje jesteście sobie duchowo bliscy - powiedział i natychmiast pożałował swoich słów, które mogły zostać przez nią odebrane jako wyraz mężowskiej dezaprobaty.

- W pewnym sensie masz rację - przyznała, studiując własne odbicie w lustrze i nie zważając na jego niezadowolone. Nagle spojrzała na Kena i uśmiechnęła się łagodnie.

- Nie jesteś chyba zazdrosny?

- Nie jestem - odpowiedział zgodnie z prawdą.

- Eliot to tylko mój dobry kolega. A poza tym sam się przekonałeś, że ma uroczą żonę.

- Uważam, że tworzą wspaniałą parę - mruknął Ken.

- To miło mieć takich przyjaciół.

- Szczególnie tak zamożnych.

- To nieuczciwe stawianie sprawy. Względy finansowe nie mają wpływu na ich bogactwo wewnętrzne.

- Tak, oczywiście - wycofał się Ken w obawie, że dalsze okazywanie niechęci może ograniczyć stosunki towarzyskie z Butterfieldami. Obecność Carol, chociaż bolesna, była lepsza od sytuacji, w której miałby zostać pozbawiony na dobre jej towarzystwa.

Musiał też brać pod uwagę względy praktyczne. Eliot, jako klient Maggie, napelniał dolarami ich rodzinną kasę. W zwykłych okolicznościach Ken przystałby z obowiązku na towarzyskie spotkanie z nim i z jego małżonką. Ale tak wywyższającego się i apodyktycznego faceta byłby w stanie tolerować tylko raz. Za nic w świecie by się nie zgodził na ponowne spędzenie z nim wieczoru. Nawet gdyby Maggie usilnie go o to prosiła.

Zresztą ona też odrzuciła rolę żony, która zabiega o dobre stosunki męża ze współpracownikami. Jedynie na początku sporadycznie zgadzała się uczestniczyć w spotkaniach z jego zwierzchnikami. Ale Ken już

dawno nauczył się unikać wszelkich powiązań z polityką firmy. Zdał się na swoje tak zwane "zdolności kreatywne" i stworzył o sobie mit jako o pracowniku neutralnym, który nie zniża się do tak przyziemnych kwestii jak rozgrywki między członkami zespołu.

Maggie i Eliota łączyło poza tematami zawodowymi wiele innych zagadnień. Oboje mieli szeroki zakres intelektualnych zainteresowań, podobne upodobania smakowe i sentymentalne przywiązanie do ruchów społecznych oraz walki o wielkie sprawy. Ken był nawet kiedyś dumny z zaangażowania Maggie, jej bystrego, głębokiego umysłu i, pomimo niezbyt sprawnego zarządzania finansami rodzinnymi, jej godnej podziwu troski o wykształcenie córek oraz sprzyjający ich właściwemu rozwojowi klimat uczuciowy.

Maggie była typem organizatora. Uporządkowała zewnętrzne życie Kena, pozostawiając mu wątpliwy luksus przebywania pośród szybujących wytworów własnej wyobraźni i w chaosie życia wewnętrznego. Ken czasami odczuwał klaustrofobię. Miał wrażenie, że Maggie wzięła go na hol. Wybierała mu ubrania, potrawy i rozrywki, planowała ich wspólne wakacje, czuwała nad jego zdrowiem i uprawianiem ćwiczeń, a zaspokojenie jego seksualnych i romantycznych potrzeb upatrywała w nieograniczonym dostępie do swojego obfitego i pięknego biustu.

Był przekonany, że Maggie nigdy by się nie rzuciła ze skały uczuciowej stabilizacji w wir seksualnego opętania i przesadnej namiętności, jaką charakteryzował się jego epizod z Carol. Co się zaś tyczy fizycznych potrzeb Maggie, Ken przypuszczał, że były nieco mniejsze, niż okazywała. Jej zaprogramowany entuzjazm zawsze wydawał mu się podejrzany, pomimo energicznej techniki i głośnych okrzyków rozkoszy. Rozwinęła, jak sądził, repertuar mechanicznych ruchów, które w połączeniu z żywą wyobraźnią i troską o zaspokojenie potrzeb własnego ciała wystarczały, żeby osiągnąć cel. Było to coś pośredniego pomiędzy namiętnością a masturbacją.

Poślubienie Maggie Ken uważał za jedną z bardziej racjonalnych decyzji w swoim życiu. Kiedyś do tej kategorii zaliczał również zerwanie z Carol. Żeniąc się z Maggie, rozumował, że jest mu potrzebne stabilne życie zewnętrzne, które będzie przeciwagą dla twórczego zgiełku życia wewnętrznego. Przekonał się już, że każdy nadmiar jest niebezpieczny i szkodliwy.

Z drugiej strony Maggie swoją postawą uosabiała "wsparcie dla sztuki". Określenie to obowiązywało od samego początku, od chwili, gdy weszła do biura w ich firmie BBD&O, w której Ken był świeżo upieczonym "towarem na sprzedaż", jak w tamtych czasach jego nieżonaci współpracownicy zwykli się między sobą nazywać.

- To jest Maggie Nielsen - powiedział wiceprezes firmy BBD&O. Ken nie pamiętał już jego twarzy ani nazwiska. - Zamierza nas skomputeryzować.

Kena najbardziej uderzyła jej otwartość i poczucie humoru. Nie traciła go nawet wtedy, gdy padały zuchwałe uwagi ze strony jego przemądrzałych kolegów, którzy podobnie jak on byli zdecydowani stawiać opór komputeryzacji - zwiastunowi nieszczęścia i wrogowi twórczej działalności człowieka.

- Moim celem jest właśnie ułatwienie wam pracy twórczej - oświadczyła Maggie, odsłaniając w uśmiechu duże zęby. Jej długie blond włosy i zaangażowanie, z jakim przekazywała im swoją wiedzę, przywodziły na myśl niezmacony spokój. Ale było w niej też coś nieoczekiwanego. Miała szare oczy, chociaż jej skandynawska uroda sugerowała, że powinny być błękitne.

Wcale nie wyglądała na eksperta od komputerów. W tamtych czasach w tej branży pracowali ludzie nieudolni. A ani w sposobie wystawiania się Maggie, ani w jej aparycji nie było nawet śladu tej cechy. Była wysoką kobietą o dużym biuście, który przy płaskim brzuchu i wąskiej talii wydawał się jeszcze większy. Z chwilą gdy zaczynała wykład, słuchacze zapominali o jej wyglądzie i z wytężoną uwagą przysłuchiwali się wyjaśnieniom tajemnic zaczarowanego świata bajtów, bitów i RAM.

Ken był kiepskim studentem, najgorszym w grupie. Czuł się z tego powodu zakłopotany. Potrafił jednak ukryć trudności z przyswojeniem sobie materiału, hałaśliwie wyszydzając próby zastąpienia kreatywnej działalności człowieka pracą robotów.

Postawa Kena była sygnałem dla Maggie, że powinna mu poświęcić specjalną uwagę.

- Komputer jest tylko narzędziem, i tak jak sztucce nie mają wpływu na smak potrawy ani na zawartość kalorii, podobnie on wspomaga tylko pracę umysłu. Zwiększa tempo powstawania produktu i ułatwia wprowadzenie go na rynek - przekonywała Kena, mówiąc z nosowym akcentem Środkowego Zachodu. Czuł się jak głuche dziecko, które, nakłaniane do dodatkowych zajęć, posłusznie wyraża zgodę, żeby "zostać po lekcjach".

- Nie mam najmniejszej ochoty uczyć się tego wszystkiego - oświadczył jej. - Prawdopodobnie to tylko strata czasu.

- To mój czas - stwierdziła. - Poza tym lubię nowe wyzwania.

Im bardziej się starała, tym bardziej zacinął się w uporze. Ale to jej nie zniechęcało. Napierała dalej. Ken nie dostrzegał w niej jeszcze kobiety; widział w niej tylko nauczycielkę.

- Jesteś wyjątkowo odporny na wiedzę - oświadczyła po tygodniu wytrwałych nadprogramowych lekcji. Był piątkowy wieczór przed weekendem. Zaproponowała, żeby razem zjedli kolację i wspólnie zastanowili się nad tym problemem.

- Sądzę, że to zahamowanie emocjonalne - wyznał.

- Nie możesz zostać w tyle. Niedługo komputery będą wszędzie. Nieznajomość systemu może ci tylko zaszkodzić.

Była szczerze zatroskana.

- Niepotrzebnie zawracasz sobie mną głowę. Powinnaś mnie dawno skreślić. Jestem beznadziejnym przypadkiem.

- Wcale nie!

Była stanowcza. Poszli do restauracji i zamówili kilka drinków. Pamiętał, że niewiele ze sobą rozmawiali, ale przez cały czas czuł na sobie jej taksujący wzrok.

Jego dotychczasowe przygody z kobietami były jednym wielkim niepowodzeniem, jak gdyby doświadczenia z Carol sparaliżowały go pod względem seksualnym. Zdał sobie sprawę, że zrezygnował ze wszystkiego, nie otrzymując nic w zamian. Wiedział już, że jego pisarskie ambicje są mrzonką. Pracę w agencji reklamowej, a przedtem działalność redakcyjną, traktował jako zajęcie tymczasowe. Teraz zrozumiał, że to droga jego właściwej życiowej kariery. Poczul się zraniony.

- To nie problem komputeryzacji - odezwała się Maggie po raz pierwszy tego wieczoru.

- Wobec tego jaki? - zapytał.

- Powiem ci, gdy tylko będę wiedziała.

To dziwne, myślał o tym później, że ludzie tak różnymi drogami zmierzają do tego samego przeznaczenia. Nie przypominał sobie, żeby Maggie wzbudzała w nim pożądanie. I na pewno nie wchodziło też w grę uczucie z jego strony.

Był zaskoczony, że to ona wzięła na siebie rolę strony atakującej.

- Zabierz mnie do domu - poprosiła. To proste życzenie było w istocie rzeczy bardziej sugestią niż rozkazem. Wstawali właśnie od stolika. Nalegała, że sama za siebie zapłaci.

- Po co? - zapytał głupio.

- Ponieważ jest ci potrzebny ktoś taki jak ja.

Później, kiedy leżał w łóżku wtulony w nią i trzymał w dłoniach jej piękne, duże piersi, wiedział, że miała rację. Nie zdawał sobie jeszcze sprawy z rozmiarów własnych okaleczeń.

Po tamtej nocy nie miał już najmniejszych kłopotów z nauką obsługi komputera.

Żyli ze sobą rok przed ślubem. Oboje mieli dosyć czasu na to, żeby podjąć rozsądną decyzję. Była ciepłą i oddaną kobietą. Sądził, że jej zdolności organizacyjne będą go chronić przed przyziemnymi aspektami codziennego życia i zostawią mu czas na ważniejsze zadanie, na przykład takie jak zmaganie się z muzą. Wtedy łudził się jeszcze, że owa walka jest tylko czasowo zawieszona. Potem przyszły na świat dzieci. Dla utrzymania określonego poziomu życia potrzebny był stały przyrływ dochodów. Ken go zapewniał, w każdym razie tak mu się wydawało. Czasami zastanawiał się, czy na poważnie nie spróbować swojego pióra. Ale gdy tylko pojawiał się taki

pomysł, natychmiast wydawał mu się bezcelowy, niemodny oraz niepokupny, i Ken go odrzucał. Maggie nigdy nie wytykała mu niepowodzeń. Zawsze go zapewniała, że era jego "książek" jeszcze nadejdzie. A do tego czasu twórcze wysiłki Kena zostały poświęcone służbie komercji. W tym też mógł liczyć na wsparcie Maggie. Dla niej jego rymy były jak kantaty, nagłówki jak cyzelowane urywki poezji, a rękopisy jak miniatury arcydzieł. Jej zachęty nie pozostawały bez skutku. Podtrzymywały jego wiarę w siebie. Dzięki nim doszedł do przekonania, które podzielali jego koledzy, że jest dobry w tej grze. Umacniała się jego reputacja "błyskotliwego mistrza słowa". Lubił to sformułowanie, chociaż wolał nie zastanawiać się głębiej nad jego implikacją.

- Co Ken o tym sądzi? - pytali często klienci. Tylko powszechna akceptacja umożliwiała mu przetrwanie dnia pracy.

Co się zaś tyczy znajomych Maggie obojga płci, to Ken z trudem ich tolerował. Byli przeważnie intelektualistami oraz miłośnikami komputeryzacji. Maggie gorąco pragnęła znaleźć wśród nich parę przyjaciół, co nie było łatwym zadaniem, nawet gdyby byli zwykłymi ludźmi. Ken zdawał sobie sprawę, że zrzedzającemu i sfrustrowanemu samotnikowi jak on trudno jest dobrać towarzystwo. Nie ujawniał jednak przed nią tych cech swojej natury ani nie przeszkadzał jej w poszukiwaniach. Tak jak powiedział Carol, jego małżeństwo bazowało na unikaniu pól minowych.

Spotkanie z Carol zmusiło go do ponownej oceny własnego małżeństwa i życia. Był to temat, którego do tej pory wolał nie podejmować.

- Co sądzisz o Carol? - zapytał ostrożnie Maggie.

Leżała obok niego w łóżku i czytała książkę. Oderwała się od lektury i zamyśliła.

- Jest bardzo piękna - powiedziała z wahaniem. - I trochę tajemnicza. Prawdopodobnie kryje się w niej o wiele więcej, niż na pozór mogłoby się wydawać.

- Pewnie masz rację - przytaknął, wiedząc, jak bliska jest prawdy.

- Tworzą dosyć osobliwą parę - powiedziała. - Podobnie zresztą jak większość małżeństw, które znam.

Gdy wróciła do lektury, Ken obserwował ją spod przymkniętych powiek i zadawał sobie pytanie, czy miała na myśli również ich związek. Zastanawiał się, czy nie dotknąć jej biodra. Maggie pewnie odwzajemniłaby pieśczętę. Jeszcze nigdy mu nie odmówiła. I jak zwykle by wyczuł, że jest myślami gdzie indziej. Podobnie jak on.

Odwrócił się do niej tyłem i zaczął analizować nowe wydarzenia w swoim życiu.

Pragnął przebywać w towarzystwie Carol. Teraz tylko to się dla niego liczyło. Może właśnie dlatego zdecydował się zachować dla siebie prawdziwe zdanie na temat Eliota? Z wielkim trudem powstrzymywał się od próby nawiązania kontaktu z Carol na własną rękę. Czy w ten sposób celowo opóźniał nieuchronne, jak miał nadzieję, odrodzenie się ich związku? Czy też świadomie chciał zapobiec pożodze w ich życiu - potencjalnej erupcji o niewyobrażalnych konsekwencjach?

Doskonale zdawał sobie sprawę, że Carol broni swojego bezpieczeństwa, zarówno finansowego, jak i uczuciowego. A co on chciał ochraniać? Własny status quo? Odpowiedzialne życie? Materialną i uczuciową przyszłość dzieci? Czego bronił? Kiedyś przynajmniej wiedział, że odrzuca ślepa namiętność dla swoich ideałów. Takie rozważania niepokoiły go i złościły. Pozwolił się jednak Maggie dalej spychać na drogę, która w jej błędnym mniemaniu wiodła do przyjacielskiej zażyłości obu par.

Na początku sierpnia spotykali się już z Eliotem i Carol raz w tygodniu. Czasami była to kolacja w restauracji albo występ, po którym organizowali sobie dodatkowe atrakcje, a czasami otwarcie wystawy. Któregoś dnia w lipcu wypożyczyli rowery i pojechali na koncert Nowojorskiej Filharmonii w plenerze. Maggie przygotowała dla wszystkich piknik.

Każde wspólne spotkanie miało podobny przebieg. Maggie z Eliotem szczebiotali na różne tematy, a ich współmałżonkowie wtrącali tylko od czasu do czasu jakieś życzliwe uwagi, głównie po to, żeby sztucznie podtrzymać przyjacielską atmosferę. Nawet gdy Ken przebywał z Carol na osobności, przestrzegał umowy i zachowywał odpowiedni dystans.

- Musisz przyznać, że dotrzymuję słowa - szepnął jej kiedyś do ucha.

- To zabrzmiało paradoksalnie - rzekła Carol - ale mówiąc o tym, właśnie je łamiesz. - W jej roześmianych oczach dostrzegł przebaczenie. - Niemniej, jestem ci bardzo wdzięczna.

- Naprawdę?

- Nie ma innego wyjścia - powiedziała zdecydowanym tonem.

- Czy rzeczywiście nie ma?

Wydawało mu się, że uchwycił w jej spojrzeniu moment wahania. Pozostawiła jednak jego pytanie bez odpowiedzi.

W którąś z sierpniowych niedziel mieli się spotkać u Butterfieldów, zjeść coś w Tavern on the Green, a potem pójść na "Anything Goes" do Lincoln Center. Pomimo panującego upału weekendy w środku lata były szczególnie ulubionym okresem dla mieszkańców Nowego Jorku, którzy woleli zostać w mieście niż stawić czoło tłumom krążącym jak stada ptaków po plaży.

Niespodziewanie Eliot musiał odwołać spotkanie. Nigdy przedtem to się nie zdarzyło. Zawiadomił Maggie, że ma pilne sprawy do załatwienia.

Maggie doszła do wniosku, że nie można robić Carol przykrości, i zapewniła Eliota, że ona i Ken nie zrezygnują z planów. Jednak w niedzielę rano Maggie dokuczały silne skurcze żołądka i została w łóżku.

- Odwołajmy spotkanie - zaproponował Ken dla zachowania pozorów, chociaż z trudem ukrywał podniecenie.

- Nie bądź głuptasem - powiedziała Maggie, podpierając się na poduszce i trzymając na brzuchu ciepły termofor.

- Może powinniśmy wezwać lekarza? - zapytał Ken.

- Jeśli nie poczuję się lepiej, na pewno po niego zatelefonuję - obiecała Maggie. - Dobrze mi zrobi dzień odpoczynku. Pewnie mam grypę żołądkową.

- To w końcu tylko musical - powiedział Ken, uważając, żeby nie posunąć się za daleko.

- Nie możemy zawieść Carol - rzekła Maggie. - Eliot będzie nam za to wdzięczny.

- Może zrezygnujemy z restauracji i pójdziemy tylko na przedstawienie? - zasugerował. Nie wiadomo dlaczego czuł, że powinien okazać zniechęcenie. Obawiał się jednak, że nadmierne ociąganie się może skłonić Maggie do pozostawienia decyzji Carol, która z pewnością będzie nalegać na odwołanie spotkania.

- Nie bądź głupcem. Spędzicie we dwójkę uroczy wieczór. Nie martw się o mnie. Mam dzisiejsze gazety.

Poza tym wiesz, że gdy jestem chora, nie znoszę, jak się ktoś koło mnie kręci.

- Skoro tak uważasz - rzekł Ken. Uznał, że już okazał należyłą troskę. Wiedział też, że obietnica dana Carol jest poważnie zagrożona.

Rozdział V

Nie było wyjścia - powiedział Ken, gdy Carol wprowadziła go do chłodnego mieszkania, wypełnionego dziełami sztuki i antykami. Obserwował jej płynne kroki baletnicy, gdy szła przed nim na wysokich obcasach, jej wysoko uniesioną łabędzią szyję i białe spodnie opięte na pośladkach. Pomiedzy roślinami, które zwisały z dachu tarasu, sączyło się do dużego salonu słoneczne światło.

Z okien mieszkania Butterfieldów na dwudziestym piętrze przy Fifth Avenue roztaczał się widok na zielone łąki Central Parku i jezioro, aż po linię budynków mieszkalnych z zachodniej strony parku oraz wysokich wąskich budowli, które przylegały do parku od południa.

- Maggie nalegała, żebym przyszedł. - Ken wzruszył ramionami i wziął kieliszek szampana z sokiem pomarańczowym ze srebrnej tacy, którą postawiła na dużym stole koktajlowym, przy fotelach obok kominka.

- Eliotowi też na tym zależało, żebyśmy się spotkali - powiedziała Carol, siadając naprzeciwko Kena.

- Co w tym dziwnego? - zapytał. - Nie daliśmy im żadnych powodów do obaw.

- Tak, to prawda - przytaknęła, sącząc drinka i wyglądając przez okno. Uderzyło go, że celowo unika jego wzroku. Dawało mu to okazję podziwiania jej. Nie miało sensu dalsze zaprzeczanie. Pragnął jej. Odrodzone uczucie było tak samo silne jak przedtem - żar gotowy w każdej chwili wybuchnąć płomieniem.

- Uznałem to za swego rodzaju test - powiedział ostrożnie, obserwując jej reakcję. Wypił do końca drinka i sięgnął po butelkę do kubelka z lodem.

- Mogę?

Skinęła głową i ponownie napełnił sobie kieliszek.

- Spodziewam się, że oboje zdamy go pomyślnie - powiedziała wojowniczo.

- Nie uważasz tego za dobry pomysł, prawda?

Pokręciła przecząco głową.

- Dlaczego? - napierał. - Jesteśmy bez zarzutu. Mamy zgodę naszych współmałżonków. A nawet ich błogosławieństwo.

- Dziwnie się czuję, gdy o tym myślę. - Wzruszyła ramionami.

- Dlaczego?

- No cóż. . . ponieważ. . . - Spojrzała na niego i zaraz odwróciła głowę. - Nie potrafię tego wytłumaczyć.

- Oczywiście, że potrafisz - powiedział, zaskoczony własną napastliwością. Pochylił się do przodu w fotelu i przyglądał się jej wnikliwie. Popijała drinka, trzymając kieliszek tuż przy ustach. Unikała jego wzroku.

- To było tak dawno temu, Ken - rzekła. Wyjrzała przez okno. Wciąż omijała jego oczy. - Jestem już zupełnie inną osobą.

- Naprawdę?

- Wtedy liczyły się dla mnie inne wartości. - Umilkła, a po chwili powtórzyła szeptem: - Inne wartości.

- Tak, zupełnie inne. A to, co było między nami? Czy można o tym całkiem zapomnieć?

- Postradaliśmy wtedy zmysły, Ken. Byliśmy młodzi, wrażliwi, naiwni. - Umilkła, przez moment zatrzymując na nim wzrok. - Mój Boże. To przecież ponad dwadzieścia lat temu.

Znowu pograżyła się w milczeniu, patrząc w stronę tarasu. Ken przyglądał się jej, popijając szampana.

- Dlaczego wobec tego udawałaś, że mnie nie znasz?

- Wytłumaczyłam ci już dlaczego, Ken.

- Czy naprawdę sądziłaś, że mógłbym cię wydać? - Umilkł. - A może chodziło o coś więcej? - Zaczerpnął powietrza. - Czego naprawdę się obawiałaś, Carol?

Spojrzała na niego ze złością.

- Co mi usiłujesz wmówić?

Zawahał się na moment, nie odrywając od niej wzroku. Być może dał się zaślepić własnemu pragnieniu, a Carol była całkiem obojętna na jego względy i nie odwzajemniała jego uczuć. A jednak wydawało mu się, że dostrzega w niej coś więcej. Czyżby się mylił?

- Uważasz, że coś ci wmawiam?

- Tak. I wcale mi się to nie podoba.

- Może dostrzegam rzeczy, które nie istnieją - westchnął. Rozejrzał się po pokoju. - Masz wiele do stracenia, przyznaję. - Ogrom cennych przedmiotów w jej mieszkaniu przywodził na myśl przysłowiowy róg obfitości.

- Cieszę się, że w końcu trafiłeś w sedno - powiedziała pijąc szampana.

Ta nuta dziwnie nie harmonizowała z jego wspomnieniami. Problemy finansowe, pieniądze, majątek. To ostatnie sprawy, jakie zaprzątały jej umysł w tamtych czasach. I jego też. Czy to możliwe, żeby teraz liczyły się dla niej tylko tak przyziemne wartości?

Nie powinien się wywyższać. Sam też był jak wół w ekonomicznym jarzmie.

- Masz teraz wszystko, czego tylko można zapragnąć - zauważył.

- Próbowałam ci wytłumaczyć, że zapewniłam sobie spokojną przyszłość - powiedziała półgłosem. Odwróciła się w jego stronę. - Dokonałam wyboru. To już skończone.

- Z pewnością, jeśli chodzi o baletową karierę.

- Obawiam się, że akurat na to miała wpływ moja przeciętność. - Westchnęła. - I czas.

Ken opróżnił kieliszek. Poczuli, że zarumieniała mu się twarz.

- Wobec tego wybac mi sceny z przeszłości - powiedział.

- Sceny z przeszłości?

- To, że tkwię w tym samym miejscu od ponad dwudziestu lat. W myślach. I w sercu. Przepraszam, że czuję to samo, co czułem wtedy, Carol. - Po raz pierwszy od wielu lat zrezygnował ze środków ostrożności i odsłonił się.

- To wymyśli twojej wyobraźni. Fantazjujesz, Ken.

- Nie ja wymyśliłem sobie przeszłość, francuskich przodków z królewskiej rodziny i ojca zabitego w Wietnamie. To nie ja ująłem sobie dziesięć lat życia. Daj spokój, Carol. Nie zapominaj, do kogo mówisz.

- Chciałam przetrwać, a to różnica - zaprotestowała. Zamyśliła się, trzymając w ustach łyk drinka. Wydawało się, że nigdy go nie przełknie.

- Powiedz mi prawdę - rzekł Ken.

- Już ci powiedziałam - odparła ze złością. Wstała i podeszła do okna z widokiem na taras, żeby nie patrzeć Kenowi w oczy.

- Pewnych rzeczy nie sposób wymazać.

- Nieraz nie ma innego wyjścia.

- Żadnych reminiscencji?

- Żadnych - odparła, ale w jej głosie nie było wielkiego przekonania. I nie odwróciła się do Kena twarzą. Zastanawiał się, czy doszukiwać się w tym pomyślnego znaku dla siebie. Napierał dalej.

- Naprawdę? Nigdy nie myślisz o tym, co było między nami? O naszej namiętności? O sile uczuć? - Przesłuchiwał ją, ale nie potrafił się już opanować. Nie odwróciła głowy.

- Muszę to wiedzieć! - zawołał, a potem szepnął: - Proszę cię, muszę znać prawdę.

Odwróciła się do niego.

- Pamiętam, że to nas niszczyło. - Jej głos lekko drżał. - I postanowiliśmy dać sobie z tym spokój.

- Podjęliśmy niesłuszną decyzję, Carol.

- Sama nie wiem, po co tego wszystkiego wysłuchuję - powiedziała i znów odwróciła się do niego tyłem.

- Dlatego, że ta przeszłość wcale nie jest ci obojętna.

- To szaleństwo.

Przeszła na drugą stronę pokoju, odstawiła opróżniony do połowy kieliszek na stół i spojrzała na swoje odbicie w ściennym lustrze. Ponownie zwróciła się do Kena.

- Nie chcę tego słuchać, Ken. - Pokręciła głową. - Nie jest mi to potrzebne. Wolałabym, żebyś już sobie poszedł.

Dopił szampana i wstał.

- Masz rację - powiedział. - Przepraszam cię, ale nie będę kłamać. Myślałem o tej chwili. Pragnąłem jej.

Wiem, że zakłócam twój spokój. Wiem, że postępuję niewłaściwie, i jest mi przykro. Ale zrozum: od dwudziestu trzech lat nie czułem się tak jak teraz. Nie wiedziałem, że żyję.

- Nie masz prawa tak się zachowywać ani mówić mi takich rzeczy.

- Mówię to, co czuję, Carol. Naprawdę jest mi bardzo przykro.

- Wcale nie jest ci przykro. Próbujesz wskrzesić to, czego nie ma, co umarło wiele lat temu.

- Dla mnie nigdy nie umarło - wyznał półgłosem. Wpatrywała się w niego, a on wytrzymał jej spojrzenie.

- Zrobiłem z siebie cholernego głupca - powiedział w końcu. - Lepiej będzie, jeśli już sobie pójdę.

Ruszył do wyjścia. Gdy przechodził obok niej, zastąpiła mu drogę.

- Boję się, Ken.

- Ja też, Carol.

Podszedł bliżej i zatrzymał się tuż przed nią. Nie dotknął jej. Zajrzał jej tylko głęboko w oczy. Nie śmiał posunąć się dalej. Serce mu waliło i czuł, że cały od wewnątrz płonie. Był tak blisko, że dostrzegał żółte cętki w jej zielonkawych teraz oczach.

- To rzeczywistość - wyszeptał - a nie scena z przeszłości.

- Nie. To nie scena z przeszłości.

Chciała jeszcze coś powiedzieć, ale przygarnął ją do siebie i objął ramionami. Gdy przylgnął do niej ciałem, poczuł dudnienie krwi. Jego wargi miażdżyły jej usta. Jakaś potężna magnetyczna siła zdawała się przycią-

gać ich do siebie i trzymać w żelaznym uścisku. W objęciach osunęli się na kolana. Głaskał ją po włosach i całował jej twarz, czoło, policzki, oczy.

Odpowiadała równie gorąco. Oszałamiające było ich wzajemne zauroczenie sobą. Przywarła do niego biodrami i zmysłowo sięgnęła ręką niżej. Rozpiął i zsunął jej spodnie poniżej kolan. Wyswobodziła się z nich i zrzuciła buty. Zdjął jej bluzkę i biustonosz, a ona sięgnęła po jego twarde, pulsujący członek. Badawczo wodziła ręką wzdłuż jego ciała, a gdy całując się, pieśczołtliwie dotknęli się językami, delikatnie ścisnęła mu jądra. Przesuwali się w stronę kanapy, znacząc ślad rozrzuconymi częściami garderoby. Przez długą chwilę napawali się widokiem swojej nagości.

- Jaka jesteś śliczna - szepnął. Sięgnął do kształtnych piersi, pieścił je, a potem przesunął dłonią wzdłuż jej ciągle młodego ciała. - Nie mogę w to uwierzyć.

Ściskając w rękach jego członek, nakierowała go do wgłębienia w wilgotnej z pragnienia pochwie. Drżała w jego ramionach, całkowicie mu się oddając. A potem, dzięki latom baletowych ćwiczeń, z wdziękiem wspięła się na niego i zaglądając mu w oczy, pieściła członek, ocierając jego koniec o brzegi wilgotnych warg. Gdy wprowadziła go głębiej, ich spojrzenia zatopiły się w sobie. Jej ciało zawiroowało nad Kenem. Zacisnęła mu uda na biodrach, a on objął dłońmi jej pośladki.

Zaczął odczuwać rozkosz w chwili, gdy jej ruchy stały się bardziej skoncentrowane, jak gdyby pragnęła się z nim całkowicie zespolić. A potem zdarzył się cud i, rażeni eksplozją o sile wywołującej dreszcze, jednocześnie wzbili się na szczyty.

- Teraz to już nie tylko wspomnienia - szepnął, gdy leżeli, żeby ochłonać. Trzymała mu głowę na piersiach, a on głaskał ją po włosach. - Mam wrażenie, że przeskoczyliśmy czas. Czy w ogóle upłynęły jakieś lata?

- Według mnie, nie - odparła.

- To było cudowne, tak jak zwykle.

- Może nawet cudowniejsze. - Całowała go po piersiach, przesuwając usta coraz niżej.

- Przykro mi - powiedział nagle.

- Z jakiego powodu?

- Że komplikuję ci życie.

Nie myślał jeszcze o konsekwencjach, to nie był odpowiedni moment. Odezwał się znowu, ale położyła mu palec na ustach.

- Nie teraz - powiedziała.

Podniosła się z kanapy, zebrała ubrania i weszła do sypialni. Ken poszedł za nią. Pokój był duży. Dominoowało w nim olbrzymie podwójne łóżko, które wieńczył wyszukany baldachim. Ken położył się na łóżku, a Carol weszła do łazienki, dając mu czas na refleksje. Tego, co czerpali z siebie nawzajem, nie można było wyjaśnić za pomocą zwykłej biologicznej terminologii ani klinicznego pojęcia seksu. Ich orgazmy były głębokie, gwałtowne, wielokrotne, równoczesne i zawsze wywoływały ekstazę.

Carol wróciła z łazienki i położyła się obok Kena.

- Nie można uciec od przeznaczenia - szepnął.

- Nie potrafię temu zaprzeczyć - powiedziała. - Tylko. . .

- Tylko co?

- Nie możemy stać się niewolnikami uczucia. Jesteśmy teraz dojrzałymi ludźmi, Ken. Musimy umieć nim kierować w sposób dla wszystkich zadowalający.

Umilkła.

- Wymyślimy coś. Obiecuję.

Uniósł się na łokciu i dotykał jej ciała, wodząc palcem po czole, twarzy i pieprzykach na łabędziej szyi. Przesuwał się coraz niżej, przez wysoko uniesiony biust, koronę z piegów na prawej piersi, którą okrążył palcem, i płaski brzuch, aż do wijącego się zarostu łona. Zanurzył palec w spoistej głębi ukwiału. Pochyliwszy się, zaczął pieścić językiem łechtaczkę.

- Jak cię dotykam, nie czuję upływu czasu. Masz ciało młodej dziewczyny.

- A ty młodego chłopca. Dużego i pięknego młodego chłopca. - Przekręciła się pod nim, żeby pocałować jego członek.

Napiął mięśnie brzucha, bardziej wiotkie niż przed laty.

- Nie wszystko jest takie jak kiedyś - powiedział. - To tylko złudzenie.

Pocałunkami na nowo wywołała jego erekcję. Nagle wyprostowała się i z uśmiechem, badawczo przyglądała się jego twarzy i ciału.

- O co chodzi? - zapytał.

- Chcę mieć tylko pewność, że to naprawdę ty, Ken Kramer.

Obserwowała go przez chwilę, a potem zamknęła oczy, dotknęła dłońmi jego twarzy i powiodła nimi po jego ciele.

- I co?

- Ken Kramer, zgadza się. Ale inny.

- Starszy i mądrzejszy?

- Tylko w niektórych dziedzinach - westchnęła. - Na szczęście nie we wszystkich.

- Najpierw obowiązki - powiedział, przyciągając ją bliżej siebie. Ułożyła się obok niego tak, żeby mogli widzieć swoje twarze. A potem zaczęli wykonywać powolne ruchy.

- Żebyśmy tak mogli zostać ze sobą na zawsze - powiedziała.

- Ty i ja. Idealnie dobrana para.

- Tak, doskonale - przyznała. Przez chwilę milczała. Zamknęła oczy. - Czuję tętno twojej krwi, puls twojego ciała.

- A ja czuję, jak cudownie emanujesz ciepło. Wciąż poruszali się w powolnym rytmie, a po chwili wszystko zaczęło się od nowa. Zadrżała, potęgując odczuwaną przez niego rozkosz. I znowu razem wzbili się w przestworza, nieruchomiejąc w objęciach. Nagle Kenowi wróciło poczucie rzeczywistości i spojrzał na wskazówki zegara przy łóżku.

- Nie zdążymy na przedstawienie. Będą nas pytać, czy nam się podobało.

- Sami daliśmy niezłe przedstawienie. Z Carol i Kenem w rolach głównych - zażartowała.

Powoli wracali do rzeczywistości. Carol miała enigmatyczny wyraz twarzy, jak gdyby zagłębiała się w siebie.

- Później - zdecydowała. - Nie psujmy tego dnia. Poszła do łazienki i wkrótce Ken usłyszał, że bierze prysznic. Znowu pograżył się w rozmyślaniach. Czekwały go problemy, którym musiał stawić czoło. Maggie i dzieci, uczuciowy bagaż małżeństwa. Odpowiedzialność w znacznym stopniu ograniczała jego wolność, podobnie jak liczne wydatki i zobowiązania. Z tym dylematem musiał się zmierzyć. Jednak nie mogło być mowy o tym, żeby nowy związek z Carol został sprowadzony do roli drugorzędnej przygody miłosnej. Wykluczone. Nigdy. Jednego był pewien. Dla żadnego z nich nic nie mogło być już takie jak przedtem.

Zerwał się z łóżka, pośpieszył do łazienki i wszedł pod prysznic do Carol. Zachichotała, namydlając ciało. Uśmiechnęła się i wyciągnęła do niego ręce.

- Wyprzedziliśmy ich. Pierwsi byliśmy razem, przed Eliotem i przed Maggie. Nie mają do nas żadnych praw. Poza tym, musimy nadrobić ponad dwadzieścia lat.

Znowu się pocałowali. Pochwyił jej język i ssał go w ustach.

- Wobec tego nie marnujemy już więcej czasu - powiedziała i pchnęła ciało do przodu, wchłaniając go w siebie.

Rozdział VI

Przeszli na drugą stronę Fifth Avenue i znaleźli się w parku. Podmuch orzeźwiającego wiatru przegonił chmury, zza których wyłoniło się zachodzące słońce, roztaczając po niebie złoty blask. Ken wziął Carol za rękę, ale mu ją szybko wyrwała.

- Jesteś moją dziewczyną. Chcę, żeby cały świat o tym wiedział - rzekł Ken.

- Dla świata jestem panią Butterfield, Ken - odparła.

- Na razie - przyznał. Jej uwaga wprawiała go w zakłopotanie, tym bardziej, że nie mógł lekceważyć istnienia pani Kramer.

- Nie wolno nam postępować lekkomyślnie - powiedziała. Szli obok siebie nie dotykając się - krańcowo różne zachowanie w stosunku do niedawnej bliskości. Carol była bardzo zamyślona i Kena to niepokoiło.

- Chyba nie żałujesz? - zapytał, chcąc wyrwać ją z milczenia. Jej postawa wydawała mu się dziwna. Sam odczuwał radość spełnienia, szczęście. Szli dalej, a gdy po dłuższej chwili nie odpowiedziała na jego pytanie, ponownie ją zagadnął:

- Muszę wiedzieć, co myślisz, Carol. Chcę wiedzieć, na czym stoję. Jestem za stary, żeby pakować się w niepewne przedsięwzięcia.

Skinęła ze zrozumieniem głową. Pamiętał, że kiedyś też się zamyślała, ale obce jej były złe nastroje i przygnębienie.

- Co teraz będzie? - zapytał.

- Nic.

- Sądziłem. . .

Tłum niedzielnych spacerowiczów przerzedził się. Żółte światło przybrało jaskrawo pomarańczowy odcień. Snuli się po ścieżkach i głównych alejach parku. Odskakiwali w bok przed rowerzystami i dziećmi na wrotkach, ustępowali miejsca miłośnikom joggingu. Ken nie nalegał już dłużej na odpowiedź i milczał. Carol spojrzała na zegarek. Było po piątej. Musical dobiegł końca.

- Powinieneś zatelefonować do Maggie - powiedziała nagle.

Przed nimi znajdowała się budka telefoniczna.

- Po co?

- Żeby ją uspokoić. Poza tym sam mówiłeś, że nie czuje się najlepiej. Oddany mąż tak właśnie by postąpił.

- Naprawdę nie ma potrzeby. Ale skoro tak uważasz. . .

- Proszę cię, Ken, zrób to. Co ci szkodzi?

- Jak się czujesz? - zapytał Ken, gdy Maggie podniosła słuchawkę.

- Lepiej - powiedziała ochryplym głosem, jak gdyby właśnie przebudziła się z długiego snu. - Jak musical?

- Trochę staroświecki.

- Podobał się Carol?

- Tak jak i mnie.

Poczuł, że wszedł w rolę, wypowiadając kłamliwe słowa, które dotyczą kogoś innego. Był człowiekiem gotowym szukać schronienia w kryjówce, żeby przetrwać.

- Mam nadzieję, że byłeś dla niej miły.

- Bardzo - odpowiedział, wślizgując się głębiej w uczuciowe zarośla.

- Nie zapomnij odprowadzić Carol do domu - rzekła Maggie. - Eliot by tego z pewnością od ciebie oczekiwał.

- Dobrze, odprowadzę ją - obiecał.

- Żadnych problemów? - zapytała Carol, gdy wyszedł z budki. Pytanie wydało mu się dosyć dziwne.

- Problemów? A skąd by się miały wziąć problemy? Czy zmieniło się coś od czasu, gdy wyszedłem z domu?

- Otóż to - szepnęła, biorąc go za rękę - wszystko musi wyglądać tak samo.

Doszli do skraju jednej z łąk parku. Carol usiadła ze skrzyżowanymi nogami pod starym wiązem, który wytyczał granicę zielonej przestrzeni. Przez chwilę Ken stał nad nią. Chwyciła go za rękę i ściągnęła do siebie na dół.

- Najpierw chciałabym ci coś powiedzieć - rzekła, patrząc mu prosto w oczy.

- Dobrego czy złego?

- I dobrego, i złego, w pewnym sensie. Nie ma wątpliwości co do tajemniczej więzi pomiędzy nami, której nie potrafię wytłumaczyć. I nawet nie będę próbować. Nie sądzę też, żebyśmy musieli nadawać jej imię. Wykracza poza. . . granice rozumu. Jestem pewna, że większości ludzi nie zdarza się nic takiego w życiu.

Poza tym okłamałam cię. Często nachodzą mnie obrazy z przeszłości i czasami są bardzo żywe. Zawsze doceniałam wartość tego, co kiedyś było między nami. I doceniam to, co jest teraz.

- Nie odrzucajmy tego znowu - rzekł Ken.

- Nie odrzucajmy. - Zawahała się, ważąc słowa. - Ale nigdy nie zrezygnuję z jednego. - Znowu zawahała się i usiadła sztywno. - Z bezpieczeństwa. . . - szukała właściwego określenia - . . . i ze spokojnego bytu. Nie zamierzam już więcej walczyć. Ani dla ambicji, ani dla ideałów czy przyjemności. A już szczególnie nie dla uczucia, które najbardziej mnie przeraża. Przywykłam. . . do pewnego rodzaju wolności, Ken.

- I ty to nazywasz wolnością? - zapytał. - Z tego, co słyszę, przyzwyczyłaś się do pieniędzy. - Stwierdzenie, które zabrzmiało tak nieromantycznie, nosiło znamiona prawdy. Ken spodziewał się ostrej reakcji ze strony Carol, być może nawet kłótni, ale nic takiego nie nastąpiło.

- Chodzi nie tylko o pieniądze - powiedziała spokojnie, opuszczając wzrok, jak gdyby jego sugestia zawstydzila ją - ale o tak zwane realia. Myślałam o nich od chwili, kiedy zobaczyłam cię w restauracji, Ken. Romeo i Julia byli nastolatkami, dziećmi, które igrały z ogniem. Oboje doskonale rozumiemy, co czuli.

- Chryste, Carol. O czym ty mówisz? Nie namawiam cię przecież do wspólnego samobójstwa.

- Istnieje współczesna forma powolnego samobójstwa. Nazywa się brakiem pieniędzy. Znam ją dobrze i wcale mi się nie podoba.

- A chciwość lubisz?

Zdawał sobie sprawę, że ją dręczy. Nie odcięła się.

- Powiedz mi, Ken, czy jesteś niezależny?

Doskonale wiedział, co ma na myśli.

- No cóż, nie przymieram głodem - stwierdził.

- Założę się, że jesteś przeciążony pracą. I znajdujesz się pod nieustanną presją ekonomiczną. W dzisiejszym świecie powstała nowa forma ubóstwa. A ja z tym wszystkim skończyłam, Ken. Raz na zawsze. I nigdy się nie cofnę. To brzmi okropnie, prawda? Ale musisz wiedzieć, że ja i Eliot mamy przedmałżeńską umowę.

Chciał coś powiedzieć, ale położyła mu palec na ustach.

- Jest bardzo prosta i prawnie obowiązująca. Została opracowana przez najlepszych prawników, jakich tylko można kupić za pieniądze. Mówiąc krótko: w myśl jej postanowień wszystko, co nabędę na własne nazwisko w czasie trwania małżeństwa, stanie się moją własnością po śmierci Eliota, pod warunkiem że będę mu wierna.

- A jeśli się rozwiedziesz z innego powodu?

- Jeśli nie wyjdę powtórnie za mąż, mogę rościć prawa spadkowe do tych dóbr po śmierci Eliota. - Pokręciła głową i machnęła ręką, jakby chciała oddalić od siebie ten temat.

- I zaakceptowałaś to? A co z drugą stroną? Z jego. . . Zastanawiał się nad doborem właściwego słowa. - Z jego postępowaniem?

- Jeśli on byłby stroną winną i dopuścił się cudzołóstwa, co moim zdaniem jest mało prawdopodobne, musiałby zrzec się praw do wszystkiego, co nabyłam w czasie trwania naszego związku.

- Masz rację - rzekł Ken. - Nie ma szans, żeby to mogło się zdarzyć.

- Jak widzisz, już naraziłam się na ryzyko.

- To najbardziej wstrętna umowa, o jakiej kiedykolwiek słyszałam.

- Wtedy niemal na wszystko wyraziłabym zgodę - powiedziała Carol.

- I tak właśnie się stało. Czy to ma być twoje wyobrażenie o wolności? - Spojrzał na nią gniewnie. Nie zareagowała na jego uwagę.

- Muszę uczciwie przyznać, że rozumiem Eliota. Był dopiero co po bardzo kosztownym rozwodzie, który okazał się dużym wstrząsem dla jego rodzinnego majątku. Poza tym ma dzieci, które musi zabezpieczyć.

- Pomimo to, nie wydaje mi się, żeby postąpił wobec ciebie uczciwie - westchnął Ken.

- Ale i nie postąpił całkiem nieuczciwie. Widziałeś nasze mieszkanie. Jak się domyślasz, zdążyłam zgromadzić w nim dostatecznie dużo rzeczy, by ufnym okiem patrzeć w przyszłość. Tym bardziej, że ceny dzieł sztuki i antyków astronomicznie podskoczyły. Przedmioty te mają teraz wartość wielu milionów.

- Przypomina to bardziej transakcję handlową niż małżeństwo. A co z miłością?

- Miłość? - Carol roześmiała się z przymusem. - Obawiam się, że namiętności Eliota są zwrócone w innym kierunku. Na moje nieszczęście Eliot jest typem człowieka, który zanim zacznie działać, dokładnie wszystko rozważy. - Umilkła i wzruszyła ramionami. - Pewnie mnie kocha na swój sposób.

- Nie mówię o miłości Eliota - powiedział ze złością Ken.

- Moje uczucia nie mają tutaj żadnego znaczenia - stwierdziła Carol.

- To pewne - rzekł półgłosem. - Podniosłaś pragmatyzm do rangi sztuki. Miałem nas na myśli. Chciał otwarcie porozmawiać z nią na ten temat, ale zmienił zamiar, zostawiając przemyślenia sobie. Miłość wymaga bliskości, dostępu. Jest naturalną potrzebą człowieka, jak pragnienie czy głód. Życie bez miłości jest jałowe, puste i odrażające. Miłość to istota sił witalnych. Jest wszystkim. Pod wpływem tej myśli Ken poczuł się, jakby znowu miał dwadzieścia jeden lat. Być może już niebawem da na swój sposób wyraz tej prawdzie - swoimi słowami we własnych powieściach.

- Do diabła z pieniędzmi. Zarabiam wystarczająco dużo. - Umilkł i spojrzał na swoje ręce. Poczul się jak hipokryta. Powrócił na ziemię, do rzeczywistości, od której nie było ucieczki.

- Ty też masz dzieci, Ken. Będziesz nękany opłatami za chesne w szkołach, alimentami i różnego rodzaju świadczeniami na ich utrzymanie. Miałam na myśli prawdziwą niezależność finansową. Wiem, że to, o czym mówię, jest zaprzeczeniem pięknych historii o duchowej miłości i wszystkich innych romantycznych wyobrażeń.

- Nie lubię, kiedy ludzie czytają w moich myślach - powiedział, świadomie próbując rozładować atmosferę. Nie chciał jej wystraszyć swoją nagłą uczuciową presją.

- Ludzie rozsądni muszą uciekać się do kompromisów, Ken. Jest jeszcze jedna sprawa, którą trzeba wziąć pod uwagę.

- Nieprzerwany potok złych wiadomości.

- Gdybyśmy kiedyś mieli żyć razem, nakłaniałabym cię, żebyś wrócił do pisania. Przynajmniej próbowałabym. A to by oznaczało rezygnację z dotychczasowych zajęć. Nie byłoby więcej "Giętkich psotnic". Tak, nalegałabym na to. Zastanów się nad tym. Może pojechalibyśmy do Europy, do miejsc, w których mógłbyś znaleźć natchnienie. Tak jak Hemingway. Rozważ to sobie dokładnie, a zrozumiesz, co miałam na myśli, mówiąc o wolności. Jej wyjaśnienia, tak praktyczne i bezceremonialne, wydały mu się zachęcające. Ale równocześnie przygnębiły go. Był pewien, że miały związek z wcześniejszym ponurym nastrojem Carol. Leżał wyciągnięty obok niej z głową wspartą na łokciu, w którym poczuł mrowienie. Usiadł i rozejrzał się po łące, która coraz bardziej się wyludniała.

Po raz pierwszy tego dnia odczuł ciężar lat, brzemień własnych doświadczeń i nieuniknione spustoszenia, jakich dokonało przeznaczenie. Kiedyś zagrażał artystycznym dążeniom Carol. Teraz jej finansowemu bezpieczeństwu. Przewrotność losu. A przecież nie zmieniła się ani ich miłość, ani namiętność, ani tajemnica wzajemnego zauroczenia. Ich pragnienia, serca, a może nawet dusze oparły się upływowi czasu. Ken odkrył, że uczucie potrafi przetrwać wszystko. Tylko że nic nie mogło rozwikłać poplątanych sznurków przeszłości.

- Co z nami będzie, Carol?

- Musimy wybrać najmniejsze zło - westchnęła.

Przyglądał się jej, gdy siedziała niemal nieruchomo ze skrzyżowanymi nogami. Wziął ją za rękę, podciągnął w górę i zaprowadził do cienistego zakątka, jaki tworzyły starannie dobrane do ukształtowania terenu drzewa. Ściemniło się już i miejsce, w którym stali, było zupełnie pogrążone w mroku. Przycisnął ją do pnia i znalazł jej usta.

- Już nigdy nie pozwolę ci odejść, bez względu na wszystko - wyszeptał po długim pocałunku.

- Musimy być bardzo rozważni i dyskretni. Nie możemy ryzykować. To wykluczone. Musisz mi to obiecać.

- Dlaczego zawsze muszę ci coś obiecywać? - zapytał. Poczul na policzkach jej ciepłe łzy.

- Bo wierzę twoim obietnicom, Ken. W twoje ręce złożyłam swoje życie. Udowodniłam ci, co czuję. Podjęłam ogromne ryzyko. Stałam się znowu podatna na zranienie.

- Dotrzymam wszystkich obietnic. Przysięgam.

Zaczęła się śmiać i objął ją mocniej. Scałował słone łyzy z jej wilgotnych policzków.

- A szczególnie jednej, kochana. Tej, że nie zmarnuję już ani jednej chwili. Zamierzam znaleźć na to jakiś sposób.

Rozdział VII

Carol była zdziwiona, gdy Eliot ją poprosił, żeby pojechała z nim do Waszyngtonu na zjazd Stowarzyszenia Obrońców Dzikich Zwierząt.

Był koniec września. Leżeli w łóżku. Eliot czytał książkę, a Carol udawała, że robi to samo. Myślała o Kenie i o cudzie, który się im przytrafił. Obrazy ich dwojga przesuwały się w wyobraźni jak film, którego oglądanie nigdy jej nie nużyło. Gdy Eliot się odezwał, poczuła się tak, jak gdyby nagle ktoś wyłączył projektor i na sali kinowej rozblęły światła.

-Zjazd? Myślałam, że pojedziesz sam -powiedziała, natychmiast wzmagając czujność. Zwykle uczestniczył w zjazdach tylko wtedy, kiedy zamierzał wygłosić referat. Rzadko proponował Carol, żeby jechała razem z nim, gdyż przeważnie wracał do domu tego samego dnia.

- Będziemy tam trzy dni, od piątku do niedzieli.

Piątek, pomyślała i mocniej zabiło jej serce. Tylko nie piątek.

- Sądziłam, że planujesz tam jedynie wygłosić odczyt - powiedziała, zdecydowana zachować spokój.

- Tak, miałem taki zamiar. Postanowiłem jednak zostać dłużej i wziąć udział w kilku sesjach.

- Zawsze myślałam, że cię nudzą.

- Zwykle tak. - Odwróciła się w jego stronę. Nie odrywał oczu od książki, a okulary do czytania zsunęły mu się na czubek nosa. - Ale tym razem niektóre z nich zapowiadają się całkiem interesująco. - Przewrócił kartkę i czytał dalej.

- A co z moimi uczniami? - zapytała załamującym się głosem. Nie wolno mi stracić panowania nad sobą, ostrzegła się w myślach.

- Masz zajęcia w poniedziałki i środy - stwierdził beztrąsko. - A my wyjedziemy w piątek rano i wrócimy w niedzielę wieczorem.

- W ten piątek?

Był wtorek. Eliot skinął głową.

- Piątek? O nie, Eliocie. To mój dzień ćwiczeń. Wiesz, jak są dla mnie ważne.

- Chciałbym, żebyś tam była razem ze mną. Naprawdę, Carol.

- To niesprawiedliwe z twojej strony, Eliocie.

Odwoływanie się do jego poczucia sprawiedliwości zwykle zdawało egzamin, ponieważ Eliot chlubił się podejmowaniem intelektualnie zrównoważonych decyzji, które, jak sam to nazywał, bazowały na bezstronności i uczciwości. Na nieszczęście takie decyzje zapadały tylko wtedy, gdy były mu na rękę; sprawiedliwy osąd wcale nie był jego mocną stroną.

-Równie dobrze możesz poćwiczyć w Waszyngtonie- powiedział. - W końcu to bardzo nowoczesne miasto, mimo że słynie z uprawiania polityki. - Wnikliwie przyjrzał się żonie zza okularów. Nuta sarkazmu była niezawodnym znakiem, że Eliot postanowił dopiąć swego.

- Dlaczego moja obecność ma dla ciebie takie znaczenie?

Pytanie najwyraźniej go zdziwiło.

- Zaplanowano wiele imprez towarzyszących, podczas których będzie mnóstwo okazji do zawarcia nowych znajomości. - Przybrał srogi ton, jakby mówił do dorastającej dziewczyny. - Byłoby mi niezręcznie samemu w nich uczestniczyć.

- Wiesz, Eliocie, jak bardzo tego nie znoszę. Badala, jak daleko może się posunąć. Czuła się tak, jak gdyby testowała parametry. Takie zachowanie było dla niej czymś zupełnie nowym.

- Nalegam, żebyś spełniła moją prośbę - powiedział, nie spuszczać Carol z oka.

Wiedziała, że postępuje w sposób dla siebie nietypowy. Zwykle stosowała się do jego życzeń. Tym bardziej, że jego żądanie było w pełni uzasadnione. W zwykłych okolicznościach wystarczyłaby zaledwie wzmianka i na hasło "jedziemy" natychmiast zaczęłaby sporządzać w myślach listę potrzebnych na podróż rzeczy.

- Zawiadamiasz mnie w ostatniej chwili - opierała się, ale jej protesty były już mniej zdecydowane.

- Zdażysz zmienić swoje plany - mruknął i powrócił do lektury.

- Nie wiem, czy będę mogła - powiedziała.

- Do diabła, Carol! - Ze złości poczerwieniła mu twarz.

- Masz to zrobić, i koniec.

Bała się dłużej stawiać opór. Odwróciła się do niego plecami. Zmuszać ją do rezygnacji z piątkowego popołudnia to jakby odmawiać wody błędzemu po pustyni.

Piątkowe popołudnia były zarezerwowane dla nich, dla niej i Kena. Nazywali je czasem prawdziwym życiem. Trwało to od dwóch miesięcy. Koncentrowali na piątkach całą swoją energię, namiętność i radość. Na dniu, który należał tylko do nich. Po chwili w jej myślach znowu włączył się projektor i Carol zaczęła śledzić przesuwane się obrazy. Ubiegły piątek.

Ken wykazał się przedsiębiorczością i odkrył mały hotel na West Side. Na piątym piętrze znajdował się uroczy pokój z wykuszowym oknem, królewskim łóżem i obrazami Art D,co na ścianach, przedstawiającymi chude damy o figurach w kształcie znaków zapytania. Staromodna łazienka chlubiła się wanną na lwich szponach z porcelany i natryskiem wielkości kapelusza przeciwsłonecznego. Była też toaleta z wysoko umieszczoną splotką, łańcuchem do spuszczenia wody i wielkimi kurkami. Wspaniale utrzymany pokój oparł się nowoczesności. Ken nazwał go symbolem ich miłości, która też nie poddała się upływowi czasu.

- Jak go znalazłeś?

- Prowadziłem poszukiwania - odparł Ken. Zarezerwował pokój na piątkowe popołudnia na trzy miesiące z góry. Wręczył recepcjonistce banknot studolarowy, który miał w przyszłości odświeżyć jego pamięć.

Do tego czasu ustalili już podstawowe zasady: ostrożność w miejscach publicznych, bezpieczeństwo i dyskrecja. Jednakże w ich pokoju-w ich sanktuarium - wszystkie zasady ulegały zawieszeniu, wszystkie hamulce przestawały obowiązywać i oddawali się miłości w sposób szalony i gwałtowny, czerpiąc z niej siłę na następny tydzień.

Butterfieldowie i Kramerowie widywali się teraz regularnie. W sobotnie wieczory chodzili razem na przedstawienia, a w ciągu tygodnia spotykali się na kolacjach, żeby móc ze sobą porozmawiać. Niekiedy też składali sobie nawzajem wizyty w domach. Podczas takich spotkań Carol i Ken odnosili się do siebie z taką obojętnością, że ich wzajemna rezerwa wywoływała komentarze ze strony współmałżonków.

- Ken to naprawdę bardzo miły człowiek - przekonywał Carol Eliot. - A ty czasami traktujesz go tak, jakby w ogóle nie istniał.

-Przesadzasz- powiedziała po pierwszym "ponownym połączeniu" z Kenem. - Nie zapominaj, że całe popołudnie spędziłam w jego towarzystwie.

- Oglądając przedstawienie - podkreślił Eliot.

- Trochę rozmawialiśmy ze sobą - zaprotestowała, ale ton jej głosu świadczył o braku entuzjazmu.

- Nie przekreślaj z góry tej znajomości. Naprawdę uważam, że warto go poznać.

W ustach Eliota dziwnie zabrzmiała tak przychylna uwaga.

- Ależ nie mam nic przeciwko niemu - ucięła rozmowę Carol, żeby zapobiec dalszemu rozwijaniu tematu. - Bardzo lubię towarzystwo Kramerów.

Ken donosił Carol o udzielaniu podobnych odpowiedzi.

- Lepiej nie podejmować niepotrzebnego ryzyka - zauważyła.

Projektor brzęczał w jej głowie, rzucając na ekran umysłu wspaniałe obrazy. Chciała, żeby wspomnienia z zeszłego piątku, gdy intensywnie nadrabiali z Kenem stracony czas, przesuwały się wolniej. Zaciśnęła uda, czując pomiędzy nimi wilgoć.

Leżeli w łóżku naprzeciwko siebie z rozwartymi nogami i obserwowali się nawzajem.

- Patrz na mnie i kochaj się ze mną w myślach - powiedział. - Pozwól mózgowi zrobić zdjęcia, które pomogą nam przetrwać tydzień.

Zachichotała, ochoczo przystając na jego propozycję. Patrzyła na niego z zachwycającym poczuciem nieprzyzwoitości. Skupiała uwagę na intymnych szczegółach jego ciała i obserwowała wzwód członka, podczas gdy Ken dotykał jej wzrokiem.

- Wyobrażaj to sobie - powiedział.

- Tak, wyobrażam sobie - zapewniła go, kołysząc biodrami i myśląc o poruszającym się w niej twardym członku. Nie mogła się powstrzymać, żeby nie sięgnąć ręką do owłosienia na swoim łonie.

- Nie dotykaj - zabronił jej.

- Nie mogę nawet dla ciebie?

- Pozwól działać wyobraźni - nalegał. - Wysuń język.

Zastosowała się do jego prośby, zwiijając język w rulonik. Zrobił to samo.

- A teraz myśl o tym, że cię wszędzie całuję - rzekł. Przyśpieszyła ruchy bioder, unosząc miednicę i wyginając się w łuk. Wpatrywała się w jego pulsujący penis.

- Ken, chciałabym cię mieć w środku.

- Przecież już tam jestem. Musisz to poczuć i wyobrazić sobie, że poruszam się w tobie. A teraz pieszczę twoje piersi.

- Czy mogę ich dotknąć?

- Nie - odparł, wirując biodrami w rytm jej ruchów i obserwując drgania swojego członka. Dostrzegła błyszczącą wydzielinę, która się pojawiła na czubku jego prącia, i ruch języka zwilżającego wargi. Poczowała pierwsze odległe fale, które coraz bardziej się przybliżały.

- Kocham cię, najdroższa - usłyszała i w tym samym momencie oboje poczuli pierwszy skurcz orgazmu.

- Ja też cię kocham, mój ty wspaniały mężczyzno. Gdy jej ciało ochłonęło, przyciągnął ją do siebie i objął ramionami.

- Widzisz - szepnął - teraz mamy swoje zdjęcia. Możemy być z dala od siebie i nadal się kochać.

- Nigdy bym nie przypuszczała, że to jest możliwe.

- Ludzki umysł ma nieograniczone zdolności - powiedział stukając się w skronie.

Dni stawały się coraz krótsze, popołudniowe słońce szybko chowało się za wysokimi domami i pokój wczesnie pogrążał się w mroku.

- Wszystko jest możliwe - rzekł Ken.

- Tak - przyznała. - To prawda.

Odmładzały ich te wspólne chwile w oderwaniu od świata, gdy uciszała się na moment szaleńcza namiętność. Bładły stare żale i odradzał się w nich optymizm. Nawet do dawnych pasji, którym kiedyś całkowicie się podporządkowali, mieli teraz bardziej zrównoważony i dojrzały stosunek.

W zeszły piątek Carol opowiedziała Kenowi o zajęciach baletowych z dziećmi. Nigdy przedtem nie zastanawiała się nad sposobem ich prowadzenia i dlatego z wielu rzeczy nie zdawała sobie sprawy.

- Zwykłam patrzeć na dzieciaki z baletu cynicznym okiem, szczególnie na te z dużym zacięciem, które mają większe ambicje od talentu. Dopingowałam je. Naciskałam najmocniej, jak potrafiłam, doprowadzając je do granicy wytrzymałości. Zachowywałam się podle, jak gdybym chciała wziąć odwet za własne niepowodzenie.

- Gorycz wywołuje dziwne reakcje u ludzi - stwierdził Ken, czytając w swojej przeszłości.

- Ale już wyzbyłam się tych skłonności - wyznała. - Doskonale wyczuwam dzieci chorobliwie ambitne. Niejednokrotnie dostrzegam tę cechę u ich matek. Lecz moje poglądy i metody są teraz bardziej wyważone, stałam się bardziej wyrozumiała i tolerancyjna. A nauczanie naprawdę sprawia mi przyjemność.

-Może na tę wyrozumiałość wpłynęła twoja sytuacja materialna - skomentował Ken, uśmiechając się z przymusem. - Nie musisz uczyć dla chleba.

Radość ich związku wynikała z odrzucenia wszelkich barier. Nie mieli przed sobą żadnych tajemnic i otwarcie mówili o tym, co im leżało na sercu.

- Może za wysoko mierzyliśmy - zasugerował Ken.

- Jak lampart u Hemingwaya - dodała.

- Nie zapomniałaś.

- Nie, Ken. Wszystko pamiętam.

- Może faktycznie oczekiwaliśmy zbyt wiele, tak jak ten przeklęty lampart. I za szybko chcieliśmy to zdobyć. Pewnie bylibyśmy szczęśliwsi zostając ze sobą i nie dając się ponieść wygórowanym ambicjom.

- Nietrudno być mądrym, patrząc na własne życie z perspektywy dwudziestoletnich doświadczeń.

- Dlaczego miała to być akurat wielka amerykańska powieść? A ty? Dlaczego miałaś zostać primabaleriną? Czasami marząc o napisaniu jednego dobrego opowiadania. - Cicho się zaśmiał. - Tak, to jest to. Czuję potrzebę pisania. Ale teraz patrzę na to bardziej realistycznie. Chyba miałaś rację. Znowu chciałbym tworzyć. Umilkł, zmarkotniał, a jego optymizm nagle gdzieś się ulotnił.

- Ale nie bez ciebie - powiedział.

- Proszę cię, Ken.

- Naprawdę tak myślę.

Wyraz jego twarzy świadczył o determinacji.

- Przypomnij sobie lamparta na Kilimandżaro. Chciał dotrzeć na szczyt, tylko że po drodze zamarzł.

- Do diabła z lampartem. Nie oczekuję przecież rzeczy niemożliwych - rzekł stanowczym tonem.

- Do czego zmierzasz, Ken?- Popołudniowe piątki i rozpamiętywanie w myślach intymnych scen to za mało.

- Dostrzegła błysk jego gniewu. Rozumiała i podzielała jego rozgoryczenie.

- Lepsze to niż nic - powiedziała, przyciągając do siebie jego głowę i całując go namiętnie. Najlepiej rozumieli się podczas takich chwil.

- To ekstaza, moja droga. I święto. Ale największa nawet euforia nie zaspokoi głodu.

- Niech wobec tego euforia stanie się stanem normalnym.

Ułożył ciało Carol w poprzek łóżka tak, że z brzegu zwisała jej głowa. Stanął nad nią i położył jej penis na twarzy. Wzięła go, pocałowała i włożyła sobie do ust. Gdy zaczął się w nich poruszać, sięgnęła do pośladków Kena i dopóty ścisnęła je w dłoniach, dopóki nie osiągnął orgazmu. Potem uklękła przed nią i całował jej usta.

Ukośne promienie zachodzącego słońca wpadające do pokoju przypomniały Kenowi, że Carol wkrótce będzie musiała odejść. Powinna być w domu o szóstej, żeby uniknąć podejrzeń. Zwykle o tej porze wracała z ćwiczeń. Gdy się ubierała, Ken leżał z rękami założonymi pod głowę i patrzył w sufit.

- Ciekawe, co też tam się kluje w tej twojej łepetynie - zachichotała, czesząc włosy i przyglądając się jego odbiciu w lustrze. Początkowo nie zareagował na jej uwagę.

- Myślę o Maggie i Eliocie. Jak sądzisz, co mogą robić całymi godzinami w jego biurze? - zapytał po chwili; nie patrząc na Carol

Obejrzała się i spojrzała na Kena, zaskoczona jego uwagą.

- Pracują, to oczywiste. Tworzą bank danych. Przecież dobrze o tym wiesz. - Nie wspominał jej wcześniej o swoich podejrzaniach.

- Sami?

- Nie jestem pewna. Eliot zatrudnia sekretarkę na pół etatu.

- A więc spędzają większość czasu we dwoje.

- Myślę, że tak - przyznała.

- Nie sądzisz. . . - Nie dokończył zdania.

- Chyba żartujesz, Eliot i Maggie? Nie ma mowy. To sprawy ściśle zawodowe. I czysto platoniczne.

- Przypomnij sobie, jak się sobą nawzajem zachwycają.

- Tak, przyznaję, ale nie znasz Eliota. Jego prawdziwe namiętności dotyczą sfery umysłowej, a nie fizycznej. Tygodniami potrafi się obyć bez. . . - Poczuli się zażenowana. Obowiązki i miłość to dwie oddzielne sprawy i jako takie nie powinny być ze sobą łączone.
 - Na początku też tak było?
 - Czy musimy o tym mówić, Ken?
 - Tak tylko pytam - powiedział półgłosem. Doskonale wiedziała jednak, że problem ten zaprzętnął jego myśli.
 - Wierz mi, to niemożliwe.
 - Czy dlatego, że nie jest płomiennym kochankiem?
- Wybuchnęła śmiechem, ale zaraz się opanowała. Była ciekawa, do czego Ken zmierza.
- Daj spokój, Ken.
 - Jak wyglądają ostatnio sprawy między wami?
 - Nie można powiedzieć, żeby seks należał do jego głównych priorytetów. No cóż, jest człowiekiem. I ma takie same potrzeby jak wszyscy zdrowi mężczyźni. - Umilkła i zastanowiła się. - Nie - stwierdziła kategorycznie, wracając do jego osobliwego pytania. - Nie zauważyłam żadnych różnic, jeśli to chciałeś wiedzieć.
 - Jak sądzisz, czy Maggie go pociąga fizycznie?
 - To raczej ty mógłbyś udzielić mi odpowiedzi na to pytanie, Ken.
 - Wiele by można powiedzieć na temat dużego biustu. Każdy mężczyzna chętnie znalazłby w nim ukojenie.
 - A ty go szukasz?
 - Szukałem kiedyś, ale to było dawno temu.
 - A co z nią?
 - Trudno powiedzieć. - Wzruszył ramionami.
 - Czy nie zauważyła?
 - Czego? - zapytał niechętnie.
- Carol skończyła się ubierać i była gotowa do wyjścia. Ken nadal leżał nagi i zamyślony na łóżku. Pochyliła się nad nim i żartobliwie poklepała jego członek.
- Spójrzmy prawdzie w oczy, Ken. Nie zostawiam wiele dla niej.
- Usiadł gwałtownie i wziął ją w ramiona.
- Proszę cię, Ken. - Kokieteryjnie wywijała mu się z objęć. - Robi się późno. - Nie wypuścił jej, tylko jeszcze mocniej przygarnął do siebie.
 - Wyobraź sobie - powiedział - że od czasu, gdy to się stało, czuję się tak, jakbym cię zdradzał.
 - Doskonale znam to uczucie - wyznała.
 - To dowodzi, że seks nie jest tym, co wiąże małżeństwo. Muszą być inne względy. - Umilkł i wnikliwie przyglądał się jej twarzy. - Takie jak umowa przedmałżeńska.
- Zesztywniała i wyswobodziła się z jego objęć.
- To nie fair, Ken. Ty też masz ograniczone możliwości manewru. Z powodu dzieci i odpowiedzialności za rodzinę. Nie powiesz mi, że obce ci są finansowe problemy.
 - Nie w takim stopniu, żebym nie mógł sobie z nimi poradzić. Tym, co nas naprawdę dzieli, jest ta cholerna umowa, że nie wspomnę już o twoich poglądach na bezpieczeństwo finansowe i pojęcie komfortowego życia.
 - Niestety - powiedziała oschle - tych spraw nie da się rozdzielić. Zamilkła na chwilę, opanowując nagły przypływ gniewu. - Czy jeszcze raz muszę ci wyjaśniać, jak wyczerpujące jest borykanie się z finansowymi trudnościami?
 - Mnie nie musisz, Carol. Znam to doskonale. Wstał z łóżka i podszedł do krzesła, na którym piętrzyły się jego ubrania. Włożył slipy. Obserwowała go. Była zaintrygowana jego zachowaniem. Nagle spojrzał na nią, czując na sobie jej badawczy wzrok.
 - Prześladuje mnie pewien pomysł - powiedział, wkładając skarpety.
 - Nikt nigdy nie zarzucał ci braku zdolności twórczego myślenia.

Cicho się zaśmiał, a potem skupił myśli i przestał się ubierać. Carol nie odzywała się, żeby mu nie przeszkadzać.

- Kiedy jesteśmy wszyscy razem - powiedział po chwili - to oni we dwoje wyglądają na małżeństwo. To oni mają sobie najwięcej do powiedzenia i najbardziej odpowiadają sobie charakterami.

- Tak było zaplanowane. Ustaliliśmy przecież, że będziemy okazywać możliwie najmniejsze zainteresowanie sobą.

- To coś więcej, Carol. Oni naprawdę mogą mieć więcej wspólnego ze sobą niż z nami.

Pokiwał głową, przekonany o trafności tego spostrzeżenia. Włożył spodnie, zasunął zamek i zapiął pasek.

- Podatny grunt. - Nagle znieruchomiał i spojrzał na Carol. - Musimy posunąć się o krok do przodu.

- Nie zamierzam robić niczego, na co nie mam wpływu.

- W pewnym sensie oni już są ze sobą razem.

- Tylko razem pracują - poprawiła go Carol. - To nieprawdopodobne, żeby mogło być inaczej.

Pokręcił głową, jak gdyby sam zadał sobie pytanie i czekał na odpowiedź.

- Jak na razie - powiedział, patrząc na nią poważnie. Musimy ich nakłonić, żeby do czegoś pomiędzy nimi doszło.

- Do czego na przykład? Do romansu? Mamy ich zmusić, żeby się w sobie zakochali?

- Dlaczego nie? To się zdarza - powiedział Ken, zapinając koszulę. - Spójrz na nas.

- Ale miłość jest jak... przeznaczenie. Człowiek zakochuje się w sposób tajemniczy i bezwiedny. A ty mówisz o namawianiu ich do miłości. Czy można kogoś nakłonić do uczucia?

- W ludzkich umysłach dają się zaszcześcić pomysły - rzekł Ken, zawiązując szybkim ruchem krawat. - Jago postąpił tak z Otellem. Wszystkie systemy religijne w ten sposób oddziałują na ludzi.

- Mamy wyrzucić nacisk na ich uczucia, żeby pokochali się nawzajem? - zapytała podenerwowana.

- W pewnym sensie tak. Dlaczego nie? Spójrz na to z drugiej strony. Załóżmy, że uda się nam nakłonić ich do cudzołóstwa. Ujawnienie ich romansu oznacza rozwód na twoich warunkach. To rozwiąże wszystkie nasze problemy.

- To niemożliwe - stwierdziła kategorycznie, chociaż pomysł ją zaintrygował.

- Rzućmy ich sobie w ramiona. Stańmy się dla nich mniej atrakcyjni. Sugerujmy i przekonujmy. Zachęcajmy ich i manipulujmy ich umysłami.

- Manipulować umysłem Eliota? Bije nas w tym o głowę.

- Ale nie w tej dziedzinie. Przekonałem się. W sprawach życiowych jest opóźniony.

- A Maggie?

- Pomimo bystrego intelektu jest osobą naiwną.

- To brzmi dziwnie - powiedziała Carol, ale jej sceptycyzm załamywał się.

- Nie zapominaj, że pracuję w agencji reklamowej. Dobrze znam potęgę perswazji, szczególnie w sprzyjających warunkach - rzekł Ken, rozgrzewając się we własnej argumentacji. - Do diabła, Carol. Przyjrzyj się im, gdy są razem. Oprogramowanie komputerowe robi z nich tandem. Idealnie do siebie pasują. Są kompatybilni. - Coraz bardziej się podniecał.

- Najwyraźniej mają do siebie skłonność, którą trzeba tylko umiejętnie pokierować. Przyznaj, że gra jest warta świeczki.

Gdyby pomysł był mniej abstrakcyjny, myślała Carol, to rzeczywiście mógłby rozwiązać im problem. Tymczasem słowa Kena zawisły w powietrzu jak przeźroczyste i nieuchwytnie widmo z majaków sennych.

- Weźmy pod uwagę fizyczny aspekt zagadnienia - powiedziała beznamiętnym tonem. - Czy twoim zdaniem istnieje szansa na to, żeby nakłonić ich do wiarołomstwa?

Sięgnął po portfel i klucze, które leżały na toalecie, schował je do kieszeni, a potem odwrócił się do Carol.

Obrzucił ją figlarnym spojrzeniem i uśmiechnął się rozbawiony.

- Dlaczegoż by nie? Czy tylko my mamy mieć przyjemności?

Roześmiała się.

- Byłaby to wielka wygrana na loterii - powiedziała, wznosząc oczy do nieba.

- Może dla nich też - powiedział półgłosem, z dziwną nutą zadumy.

- Naprawdę uważasz, że potrafimy być aż tak sprytni?

- A nie sądzisz, że jesteśmy? - Wziął ją w ramiona.

- W piątki na pewno - szepnęła.

- To tak, jakbyśmy zaproponowali im lekarstwo, które w rezultacie przywróci im zdrowie. Każdy będzie miał to, na czym mu zależy. Ty rozwód, dzieła sztuki i antyki. A ja? Umilkł i obejmując jej pośladki, przyciągnął ją do siebie. - Ja będę miał ciebie przez wszystkie dni tygodnia. Pocałował ją mocno i wypuścił z objęć.

- To zadanie dla konspiratorów - powiedziała Carol. - Nie mam pojęcia, jak zdołamy je zrealizować.

- Sam jeszcze nie wiem. - Ken włożył marynarkę, i przyglądając ręką włosy, przyglądał się swojemu odbiciu w lustrze. - Najpierw musimy ich obserwować. Uważnie im się przyglądać. A dopiero potem opracujemy strategię. - Głęboko zamyślony, postukał się palcem po zębach. - Obmyślimy różne warianty przekazania im ich wizerunku jako pary. Uwidocznimy to, co oczywiste. Czekać na okazję, pozwolimy, by pomysł w nich dojrzał. Będziemy trzymać rękę na pulsie. - Wciągnął powietrze. - Cholera, podoba mi się to.

- A co z nami? - zapytała. - Jak się mamy zachowywać?

- Musimy odnosić się do siebie z rezerwą i z całkowitą obojętnością - odparł kategorycznie. - Natomiast w stosunku do nich powinniśmy zachowywać się przymilnie i czarująco. Zawsze muszą mieć wrażenie, że jesteśmy niewinni, mało spostrzegawczy i zupełnie nie podejrzliwi. Niech się czują bezpiecznie. Niech będą przekonani, że nie muszą kryć się przed nami ze swoim uczuciem.

- Bardzo dobrze, Ken. - Uśmiechnęła się. - Powinieneś zostać pisarzem.

- Może nadejdzie jeszcze taki dzień. - Roześmiał się. - W każdym razie mam pożywkę dla myśli. Ziarno do przyszłego piątkowego młyna.

- O Boże, Ken. Cały tydzień. Jak ja go przeżyję? - Spojrzała na zegarek. Była prawie szósta. - Już późno - powiedziała. - Nie powinniśmy dawać im najmniejszego powodu do niepokoju. Ani Eliotowi, ani Maggie. Objęła Kena przy drzwiach i pocałowała. Nie mogła się od niego oderwać.

- Musimy być bardzo sprytni, prawda, Ken? - zapytała.

- Będziemy - odparł. - I wyświadczymy im największą przysługę w życiu.

- Cudownie. Czy to nie prawda, że lepiej dawać niż otrzymywać?

Nazajutrz rano Carol nie wstała o zwykłej porze.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Eliot, gdy wpadł do domu i zastał ją w łóżku. Wzruszyła ramionami, nie otwierając oczu głównie po to, żeby uniknąć dyskusji na temat zjazdu. Rozmyślała o tym, co może zyskać symulując chorobę.

- Nie najlepiej - odparła, zaciskając powieki.

- W takim razie powinnaś odpocząć. Masz jeszcze kilka dni, żeby wyzdrowieć do weekendu. Nie niepokoil jej więcej. Słyszała, jak się ubiera. A potem dobiegł ją dzwonek do drzwi. Przyszła służąca, która po chwili zapukała do jej pokoju, żeby zaproponować kawę i grzanki. Carol wstała i ubrała się. Na tym piątku zależało jej szczególnie z powodu tematu, jaki mieli z Kenem omówić. Obserwowała Eliota w ciągu tygodnia, tak jak sugerował Ken. W niedzielę byli w czwórkę na kolacji. Carol potraktowała to spotkanie jako misję zwiadowczą. Przez cały wieczór unikała wzroku Kena. A może to on unikał jej? Jak zwykle w rozmowie dominowali Eliot i Maggie, a tematem przewodnim był plan ogrodzenia rezerwatu zwierząt, opracowywany przez władze w Nairobi w celu zapobieżenia kłusownictwu. Carol zauważyła, że ten problem bardzo zaabsorbował Maggie. Przyglądała się im, zastanawiając się, czy to, co sugerował Ken, jest w ogóle możliwe. Podłoże stosunków tych dwojga miało charakter intelektualny, a w dziedzinie komputeryzacji nawet ezoteryczny. Z wielkim zaangażowaniem rozprawiali o banku danych, bajtach i teorii dwójkowej. Nic jednak nie wskazywało na istnienie pomiędzy nimi fizycznego albo uczuciowego związku. Niemniej od czasu do czasu Carol dostrzegała coś, co mogło być początkiem zażyłości - wymowne spojrzenie, ojcowskie klepięcie czy ramię Eliota na plecach Maggie. Możliwości, szanse, prawdopodobieństwo. Zamierzała przedyskutować je z Kenem w przyszły piątek i porównać z jego spostrzeżeniami. W myślach nadała temu dniu rangę najważniejszego z wszystkich piątków. A teraz jakiś zjazd miał zniweczyć jej plany. Postanowiła omówić ten pro-

blem z Kenem. Zatelefonowała do niego do biura, chociaż zwykle sobie na to nie pozwalała. Nie chciała niepotrzebnie się narażać, że zostanie rozpoznana przez sekretarkę. Nigdy nie wiadomo, jak nieobliczalne skutki może mieć spostrzegawczość osób postronnych. Ludzie są bardzo skorzy do obserwowania siebie nawzajem. Carol doszła jednak do wniosku, że jedna rozmowa telefoniczna nie wyrządzi im wielkiej szkody. Zatelefonowała z budki ulicznej na Broadwayu.

- Eliot chce, żebym pojechała z nim na zjazd Obrońców Dzikich Zwierząt - powiedziała.

Ken roześmiał się.

- Co w tym śmiesznego?

- To prawdziwa manna z nieba - odparł. - Maggie też się tam wybiera. Wygląda na to, że obrońcy dzikich zwierząt jednoczą wysiłki i gromadzą potężny bank danych, który ma obejmować zagadnienia genetyczne wielu gatunków żyjących w różnych krajach. To wszystko jest bardzo skomplikowane. Eliot chce, żeby Maggie tam była razem z nim. A Maggie nalega, żebym z nią pojechał. Twierdzi, że nie chce być piątym kołem u wozu.

- I zgodziłeś się? - zapytała Carol.

- Odmówiłem - odpowiedział Ken, zniżając głos.

- Nie powinienesz być - rzekła Carol.

- Pomyśl, ile czasu razem spędzą. To okazja.

- Niestety, ja też muszę tam jechać. Będziemy spędzać czas we trójkę.

W słuchawce zaległa długa cisza. Carol słyszała oddech Kena.

- W takim razie plany muszą ulec zmianie - oznajmił półgłosem.

- Całe dnie będą spędzać na sesjach - powiedziała wolno.

- To ostatecznie rozstrzyga sprawę, pani Butterfield. Musimy wobec tego stworzyć nowy program - rzekł nagle służbowym tonem. Pewnie ktoś wszedł do jego gabinetu.

- Proszę pracować dalej według planu, który omówiliśmy. Osobiście poświęcam mu wiele uwagi. Mam nawet kilka nowych projektów.

- Też wpadłam na kilka nowych pomysłów - zapewniła go Carol.

Poczuła, jak podskoczyło jej serce. To była rzeczywiście manna z nieba.

- A w wolnej chwili możemy porobić przeżrocza - zaproponował Ken z wyraźnym podnieceniem.

- Oczywiście - podchwyciła z szelmowskim uśmiechem.

- Przygotuję dla pana kilka ujęć.

- To dobrze. Będę mógł je wykorzystać w przyszłym tygodniu.

Zachichotała i rozłączyła się.

Rozdział VIII

Poszli w czwórkę na przyjęcie, które otwierało zjazd i odbywało się w sali balowej hotelu Mayflower. Eliot, w ciemnym prążkowanym garniturze i jedwabnym krawacie w pasy, wyróżniał się wśród towarzystwa. Biały goździk w butonierce niezbitnie wskazywał, że jest najważniejszym delegatem w grupie.

- To moi przyjaciele, państwo Maggie i Ken Kramerowie. A moją żonę, Carol, oczywiście już pan zna.

Z kieliszkami w dłoniach powoli krążyli po sali, a Eliot przedstawiał ich swoim znajomym. Carol trzymała się nieco w tyle, celowo ustępując Maggie miejsca przy boku Eliota. Ona i Ken byli tylko osobami towarzyszącymi, co idealnie odpowiadało ich planom. Eliot nie odstępował Maggie na krok, chełpiąc się nią przed wszystkimi.

- Maggie jest ekspertem od komputerów - dominował w zgiełku jego głos.

Patrząc na tę parę, Ken umacniał się w przekonaniu, że mogliby. . . szukał w myślach właściwego słowa. . . połączyć się. Mieli ze sobą tak wiele wspólnego. Potrzebna była tylko zachęta.

Jak na komendę oboje z Carol skierowali się do przeciwległych kątów sali. Porozumieli się wzrokiem, skinęli do siebie głowami i dalej krążyli wśród gości. Ken obserwował Maggie i Eliota, którego przystojna twarz za-

rumieniła się z podniecenia i pod wpływem pochlebstw. Co jakiś czas zbierała się wokół nich grupa ludzi, którzy z wytężoną uwagą słuchali wypowiedzi Eliota oraz sporadycznych, pełnych szacunku komentarzy Maggie. Wyglądała na szczęśliwą, była w swoim żywiole. Należała do tego świata. Przyglądając się im z boku, Ken doszedł do wniosku, że stanowią idealnie dobraną parę i są dla siebie po prostu stworzeni. Zastanawiał się, czy obrona przez niego i Carol strategia jest słuszna, czy sytuacja nie wymaga raczej postawienia sprawy wprost i nazwania po imieniu oczywistych faktów: Eliot z Maggie o wiele lepiej pasowali do siebie niż do swoich współmałżonków.

W miarę jak do sali przybywali coraz to nowi delegaci, narastał gwar przyjęcia. Ken i Carol krążyli po przeciwległych łukach obwodu, aż w końcu wpadli na siebie przy drzwiach. Na znak Kena, Carol wyszła za nim do dużego, oświetlonego kandelabrami hallu i skierowała się w stronę małych sal bankietowych. Ken zanurkował do jednej z nich, gdy stwierdził, że jest pusta. Carol poszła w jego ślady.

Pograżony w mroku pokój oświetlał tylko wpadający z korytarza strumień światła. Ken wziął Carol za rękę i zaprowadził ją do najciemniejszego kąta. Rzucili się sobie w ramiona i zaczęli się namiętnie całować.

- Widziałaś ich sama - powiedział Ken. - Są dla siebie stworzeni.

- Nie mam co do tego najmniejszej wątpliwości - rzekła. Jej oddech łaskotał go w ucho.

- Potrzebna jest im nasza zachęta. Musimy sprytnie podsunąć im myśl, że mają ze sobą wiele wspólnego i stanowią wybitną parę. Nie wolno nam okazywać zazdrości, tylko dumę.

- I skłaniać do porównań, prawda?

- Tak sędzę - szepnęła. - Nie piszą o tym w podręcznikach.

- A co z nami? Co mamy robić?

- To co zwykle. Musimy zachowywać się w sposób przyjazny i wyrozumiały. Ze spokojem i rezerwą.

Oddech Carol stał się urywany, gdy Ken zaczął głaskać ją po włosach, drugą rękę trzymając na jej pośladku.

- Gdybyś tylko potrafiła z nim usiąść i spokojnie, w sposób cywilizowany omówić meritum sprawy.

- Dla Eliota nie ma żadnego meritum - odparła Carol. W jednej chwili znalazłabym się na ulicy. Nie znasz go.

- Na pewno by się nie zdecydował zostać z kimś, kto chce rozwodu.

- O tak, oczywiście. Na pewno pozwoliłby mi odejść. Pokręciła głową. - Ale nie mam zamiaru ryzykować.

Eliot potrafi być nieszczerzy i przebiegły. Trudno przewidzieć jego reakcję, gdy zaczniesz coś podejrzywać. Jeśli się dowie o nas, może mi wszystko zabrać.

- Znowu to samo - jęknął Ken.

Nie miało sensu wyjaśnianie wszystkiego od początku. Carol była przekonana, że gdyby rozwiodła się z Eliotem i odeszła od niego z pustymi rękami, wcześniej czy później odbiłoby się to negatywnie na jej stosunkach z Kenem.

- To już ustalone, kochanie - powiedziała słodkim tonem.

- Szczególnie teraz, gdy znaleźliśmy wyjście z sytuacji.

A więc przyjęła jego pomysł bez zastrzeżeń. Ken poczuł się dumny i szczęśliwy. Realizacja jego planu wymagała akceptacji dwóch osób.

- Musimy to im uzmysłowić - rzekł Ken. - Oto nasz cel.

- Niewątpliwie już jest między nimi iskra zainteresowania. Żeby tylko potrafili czuć to, co my teraz.

Ken uświadomił sobie narastające w nich pożądanie.

- Teraz? - zapytał.

- O tak. Poza tym dzisiaj jest piątek.

Oparła się o ścianę i rozdygotana zaczęła podkasywać swoją długą suknię. Przyszedł jej z pomocą, gdy toaleta utknęła na biodrach. Carol miała na sobie tylko pończochy i pas z podwiązkami.

- Zgodnie z obietnicą, zawsze jestem dla ciebie gotowa, kochany. - Dźwignął ją w górę, oparł o ścianę i wszedł w nią. W pograżonym w ciemnościach pomieszczeniu panowała cisza, a jedynym odgłosem były ich urywane oddechy. Świadomość, że zachowują się w sposób ryzykowny i niezwykły, podniecała ich jeszcze bardziej. Nagle pokój wypełnił się światłem.

- To jedna z naszych mniejszych sal - powiedział męski głos.
Zaalarmowana, Carol oderwała się od Kena i pośpiesznie poprawiła sukienkę. Chwilę później oboje wyszli na środek sali. W drzwiach stali dwaj mężczyźni; jeden miał wpiętą w klapę marynarki plakietkę pracownika hotelu. Jak można się było spodziewać, obydwu zaskoczył ich widok.

- Będzie nam potrzebna większa sala - rzekł Ken. - Ile ta mieści osób?
- Sto - odpowiedział pracownik hotelu.
- Tak, ta jest za mała - odezwała się Carol. - Na przyjęcie weselne zaproszono ponad dwustu gości. Ruszyli w stronę wyjścia.
- Jeśli państwo sobie życzycie, mogę pokazać większą salę - zaproponował mężczyzna z plakietką.
- Może jutro - rzekł Ken. Nagle spojrzął na lewo od drzwi. - O, jest tutaj.
- Co takiego? - zapytał pracownik hotelu.
- Kontakt - wyjaśnił Ken. - Po ciemku nie mogliśmy go znaleźć.
Wyszli do hallu.
- Tworzymy zgrany zespół - rzekł Ken. - Jak mogłoby się nam nie udać?
- Przed chwilą o mały włos nas nie nakryli - mruknęła Carol.

Niepostrzeżenie wrócili na przyjęcie. W odległym końcu sali Ken wypatrzył Maggie i Eliota, którzy stali w otoczeniu grupy ludzi. Był pewien, że nie zauważyli ich nieobecności. Przyglądał się im przez długą chwilę. Są po prostu dla siebie stworzeni, pomyślał znów. Trzeba im to tylko uzmysłwić. Potem poszli na kolację do Duke'a - dużej restauracji, która była typem staromodnej oberży. Znad rozstawionych na stołach półmisek z piklami unosił się słaby zapach czosnku.

Kelner był starszym mężczyzną o niewątpliwie wieloletnim doświadczeniu w swej branży.

- Patrzcie tylko, co będzie dalej - rzekł Ken, puszczając oko. Zdawał sobie sprawę, że chce się przypodobać Eliotowi, chociaż ten nie przywykł do tego rodzaju restauracji. Ken spojrzął na Carol. Uważaj, zaczynam, powiedział jej wzrokiem. - Jakie specjalności mógłby nam pan polecić, szefie?
- Specjalności? - zapytał z drwiącym uśmiechem kelner.
- Mój przyjaciel uwielbia słuchać o specjalnościach - rzekł Ken. - Bardzo sobie ceni sztukę kulinarną.
- Zauważyłeś to? - odezwał się Eliot, nie bardzo pojmując zamysł Kena.
- Drażni się z tobą - stwierdziła Maggie.
- Specjalnością naszej restauracji są tłuste frankfurterki - odparł kelner. - Takie grube. - Pokazał, dotykając kciukiem palca wskazującego.
- Och tak, to rzeczywiście prawdziwe specjalności - rzekł Eliot i roześmiał się z przymusem. Inni mu zawtórowali. Grono przyjaciół, pomyślał Ken. Jacy wszyscy jesteśmy weseli. I jacy sympatyczni musimy się wydawać przypadkowym obserwatorom.
- Już tu kiedyś byłem - rzekł Ken wymownie.
- Dania nadal wybiera się z menu, a na stole wciąż mamy pikle - chełpił się kelner.
- Niektóre rzeczy nigdy nie ulegają zmianie - stwierdził sentencjonalnie Ken.

Maggie zamówiła gotowanego kurczaka, Carol rybę, a Ken i Eliot steki z polędwicy wołowej, które naprowadziły tego ostatniego na temat Masajów.

- Zamożność członków tego afrykańskiego plemienia z Kenii jest mierzona liczbą sztuk posiadanych przez nich bydła - powiedział. - Znakują swoje krowy i byki, by móc je rozpoznawać. Nadają im nawet imiona. Całe życie plemienia jest skupione wokół bydła. Domy, budowane z bydłowego łajna, stawiają na obwodzie koła, wewnątrz którego trzymają swoje stada.
- Nad wioską musi unosić się ostry zapach - rzekł Ken, postanawiając zachowywać się uprzejmie.
- Zwierzęcy odór jest rzeczywiście bardzo intensywny - stwierdziła Carol.
- Czy mogę im powiedzieć, co jest podstawowym daniem w jadłospisie Masajów? - Eliot zwrócił się z pytaniem do Carol. Ken zauważył, że jego współbiednik jest w nastroju do żartów.
- Mam nadzieję, że macie mocne żołądki - odpowiedziała.

- Przecinają żyłę szyjną krowie - zaczął Eliot, po czym wziął do ręki nóż i przyłożył go sobie do szyi, naśladowując ruch podrzynania gardła. - Łapią krew do bani napełnionej już częściowo mlekiem. Wymieszane płyny stanowią ich główne danie.
- Pewnie ma duże wartości odżywcze - rzekła Maggie.
- Wszyscy Masajowie są wysokimi i pięknymi ludźmi. Prezentują się imponująco w swoich pomarańczowych szatach. I dystygowanie. - Eliot umilkł, w skupieniu przełamał na pół słony precel i starannie rozprowadził po nim masło.
- A wiecie, w jaki sposób czyszczą owe banie? - zapytał, skończywszy przeżuwać kęs pieczywa.
- Jak? - zainteresowała się Maggie.
- Naprawdę chcesz to wiedzieć? - upewniła się Carol.
- Maggie skinęła głową i spojrzała na Eliota.
- Krowim moczem. Myją banie moczem krowy, który jest przez nich uważany za skuteczny środek dezynfekcyjny. Stosują go nawet do mycia ciała.
- To interesujące - rzekła Maggie.
- Uprzedzałam - przypomniała Carol.
- To właśnie cała Afryka - powiedział Eliot. - Kontynent niewiarygodnych zwyczajów, widoków i dźwięków. Ostatnia ostoja przyrody. System ekologiczny w stanie agonalnym, któremu ma właśnie służyć ruch obrony życia w warunkach naturalnych. Chcemy zapobiec masakrze. I dlatego co jakiś czas tam wracamy. Nie tylko po to, żeby upajać się wspaniałością dzikiej przyrody, ale żeby podejmować próby przeciwdziałania jej zagładzie. W oczach Eliota zapłonął święty ogień. Spojrzał na Kena, a po chwili odezwał się znowu, tym razem zatrzymując wzrok na Maggie.
- Purpurowe zachody słońca, czyste i słodkie powietrze - jedyne miejsce na ziemi, gdzie można oddać się kontemplacji nad własnym systemem wartości i skonfrontować prawdę o sobie z napięciami i rozterkami współczesnego świata.
- Ken i Maggie wiedzieli, że Butterfieldowie wybierają się w grudniu na trzy tygodnie do Afryki. W lipcu termin ich wyjazdu wydawał się jeszcze bardzo odległy, ale teraz, w październiku, był tuż-tuż.
- Carol już trzykrotnie towarzyszyła mi w safari - rzekł Eliot. - Opowiedz im o tym - zwrócił się do żony.
- Niezrównane przeżycia - zapewniła Carol.
- W rozmowach z Kenem Carol zwykle określała swoje afrykańskie podróże jako "cudowne na początku, ale nużące po kilku dniach". Teraz opisywała je, używając bardziej płomiennych sformułowań.
- Długo nie można o nich zapomnieć. Za każdym razem dostarczają zupełnie nowych wrażeń. Są jak odkrywanie nieznanych światów. A te wszystkie fantastyczne stworzenia, które żyją na rozległych równinach sawanny i walczą ze sobą o przetrwanie! Ich współistnienie niesamowicie pobudza wyobraźnię. Zamilkła na chwilę, a następnie spojrzała najpierw na Maggie, a potem na Kena, który natychmiast pojął jej zamysł.
- Tak bym chciała, żebyście mogli pojechać tam razem z nami - powiedziała.
- Wspaniały pomysł - poparł ją Eliot. Maggie wymieniła spojrzenie z Kenem.
- Obawiam się, że to przekracza nasze możliwości - zauważyła ostrożnie.
- Ale zawsze miło pomarzyć - rzekł Ken do Maggie.
- Tak, to kuszące - westchnęła Maggie.
- Pomysł godny uwagi - dodał Eliot.
- Po chwili rozmowa została skierowana na inne, bardziej przyziemne tematy. Ale w czasie posiłku Ken nie mógł myśleć o niczym innym, jak tylko o niebywalej okazji, jaką im stwarzał przeblysł geniuszu Carol. Afryka. Oczywiście! Pod koniec kolacji Eliot wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki wydrukowany program.
- Jutro wszyscy spotykamy się na śniadaniu. Potem wygłoszę odczyt. Następnie obiad. Trochę wolnego czasu i o czwartej kolejna sesja. A na koniec uroczysta kolacja w strojach wieczorowych, podczas której będą wręczane nagrody.
- Dzień zapowiada się dosyć bogato - stwierdził Ken, strzelając wzrokiem w stronę Maggie.
- Wy też jesteście zaproszeni - powiedziała Maggie. Prawda, Eliocie?

- Oczywiście - przytaknął Eliot. - Chyba że wolelibyście pozwiedzać miasto.
- Dobry pomysł. Dotychczas przyjeżdżałem do Waszyngtonu tylko w interesach - powiedział Ken. - Wynajmę samochód i pojedę na Mount Vernon. - Był zadowolony ze swojego refleksu. Wycieczka do domu Waszyngtona oznaczała większą odległość i więcej czasu. Poza tym ich nieobecność mogła stworzyć Eliotowi okazję do pławienia się w nieskrępowanym podziwieniu Maggie.
- A co ty chcesz robić, Carol? - zapytał Eliot.
- Sama nie wiem. Czytałam już twój referat - stwierdziła.
- Powinnaś pojechać na wycieczkę z Kenem - zaproponowała Maggie.
- Tak, to wspaniała myśl. W Mount Vernon jest nieprawdopodobnie dużo amerykańskich zabytków - zauważył Eliot.
- Nie przepadam za zwiedzaniem historycznych miejsc - wyznała ostrożnie Carol, doskonale udając brak entuzjazmu. - Zaczekam z decyzją do jutra - dodała obojętnym tonem.
- Brawo, pomyślał Ken. Jedzą nam prosto z ręki. Ale najbardziej intrygowała Kena myśl o Afryce. To było idealne miejsce do realizacji ich planów. Trzy wspólnie spędzone tygodnie. Szansa na intymną zażyłość pomiędzy Eliotem i Maggie w tej romantycznej i tajemniczej krainie piękna. Purpurowe zachody słońca, czyste i słodkie powietrze. Ken nie mógł oderwać się od tych myśli. A także od innych, które podsuwała mu wyobraźnia. Dni spędzone na odkrywaniu nieprzebranych równin sawanny. I noce przy ognisku. Oczywiście problemem były pieniądze i Ken wiedział, że Maggie będzie przeciwna wydatkom. Czy Carol wzięła to pod uwagę? Pewnie tak. Sądząc po stylu życia Eliota, taka eskapada musiała kosztować piętnaście do dwudziestu tysięcy dolarów, kalkulował Ken. Ale w tym wypadku problem finansowy nie mógł być przeszkodą. Carol bardzo sprytnie zaszczerpiła Eliotowi i Maggie ten pomysł. A zrobiła to w tak naturalny i umiejętny sposób, jak gdyby była weteranem w stosowaniu podobnych metod, doświadczonym praktykiem w sztuce perswazji. Ken poczuł nagle ukłucie winy. Metoda przypominała szaradę, tyle że tym razem nie była niewinną grą. Jego myśli podążały niedozwolonym torem. Szybko przywołał się do porządku: przecież cel uświęca środki. Czyż nie tak?
- Później w swoim pokoju Ken zastanawiał się, jaką ma przyjąć postawę i ton. Wiedział, że najważniejsze to trafić we właściwą strunę. Maggie wyszła po kąpieli z łazienki, ubrana w nocną koszulę. Czekał, aż skończy nacierać skórę balsamem. Na czubku głowy miała wpięty jeden wałek. Miła osoba, pomyślał. Obserwował ją. Nie czuł się winny w stosunku do niej. Nie pociągała go fizycznie. Na samym początku pewnie musiało ich coś łączyć, ale wypaliło się tak dawno, że został sam popiół.
- Ten Eliot to świetny facet - powiedział. Siedział na krześle i zdejmował buty. Maggie położyła się do łóżka, poprawiła poduszki i włożyła okulary do czytania. Gdy Ken wspomniał o Eliocie, zdjęła je z powrotem.
- Całkowicie się z tobą zgadzam - przyznała. - To niezwykły człowiek.
- Jest bardzo twórczy.
- Zauważyłeś to?
- Tak, oczywiście. Przebywanie w jego towarzystwie to prawdziwa przyjemność. A jak żywo i interesująco opisuje Afrykę.
- Carol też jest bardzo elokwentna.
- Ken puścił mimo uszu uwagę Maggie i dalej drażył temat.
- Lubisz z nim pracować?
- Tak, oczywiście - odparła. - Jest cierpliwy, a poza tym ma genialny, błyskotliwy i analityczny umysł.
- To prawda - przytaknął Ken.
- Zresztą podobnie jak i ona.
- Podoba mi się ich styl życia - rzekł Ken. - Eliot ma wytworny gust.
- O tak.
- Wystarczy, pomyślał Ken. Nie dodał nic więcej. Maggie ponownie włożyła okulary i zagłębiła się w lekturze. Ale po chwili odezwała się do Kena.
- Ona jest piękna, nie sądzisz?

Ken odwrócił się i spojrzał na żonę. Zdjęła okulary z nosa i bawiła się nimi.

- Jest sympatyczna - stwierdził. - Przyznaję, że ma dosyć miłą powierzchowność.

- Myślę, że to zbyt skromne określenie, Ken. Kobieta, która zdobyła Eliota, nie może być tylko miła, musi mieć w sobie coś więcej.

- Pewnie masz rację.

- Wydaje mi się, że gdyby mogła, całowałaby ślady jego stóp.

Ken przez chwilę milczał. Zastanawiał się, jak wykorzystać okazję, i szukał w myślach najlepszej riposty.

- Dziwisz się? - zapytał. - Mając tak znakomitego męża? - Miał nadzieję, że udało mu się ukryć rozgoryczenie i zawiść.

- Jestem dumna, że mogę uważać go za swojego przyjaciela, a nie tylko klienta - powiedziała. "Swojego" przyjaciela, a nie "naszego", zauważył Ken. Był ciekaw, czy udało mu się w końcu zrobić jakiś krok naprzód. Nagle przypomniał sobie coś, co napisał kiedyś w artykule o pewnym rodzaju trawników: "Pamiętaj o potrzebach gleby. Nigdy nadmiernie nie obsiewaj". Milczał. Dopiero kiedy się rozebrał i włożył piżamę, odezwał się ponownie. Miał nadzieję, że oderwie Maggie od lektury.

- Ten pomysł o wyjeździe do Afryki wydaje mi się bardzo kuszący - powiedział.

Spojrzała na niego znad książki rozpromienionym wzrokiem.

- O mój Boże. Mnie też.

- Pewnie by kosztował majątek. Założę się.

- Na pewno - przyznała Maggie.

- Ale za to wrażenia niezapomniane.

- Tak, z pewnością.

Ken czuł, że Maggie powoli przekonuje się do pomysłu o wyprawie.

- Moglibyśmy pożyczyć pieniądze - zasugerował ostrożnie.

- Tak sądzisz? - zapytała.

Zastanawiał się, jak wcielić projekt w życie. Dojrzewiała w nim decyzja o udziale w safari. Klimat Afryki zdawał się idealnie sprzyjać pomyślnemu rozwojowi spraw pomiędzy Eliotem a Maggie. Może zdoła zaciągnąć pożyczkę w swojej firmie z funduszu emerytalnego? Powiedzmy, na inwestycje?

Po chwili Maggie zgasiła światło.

- Afryka - westchnęła. - Co za romantyczne miejsce. Marzę o tym, żeby kiedyś tam pojechać.

Romantyczne, pomyślał. Trafiała w sedno. Leżał obok Maggie. Nie dotykał jej ani nie miał takiego zamiaru.

Myślał o Carol, która w innej części hotelu dzieliła łóżko z Eliotem. Był ciekaw, czy wykonała swoje zadanie i zasiała pomysł w jego umyśle.

Zdrzemnął się, ale po chwili się przebudził pod wpływem jakiegoś męczącego snu. Próbował go sobie przypomnieć. Wstał z łóżka, usiadł na krześle i przyglądał się śpiącej Maggie. Zastanawiał się, czy metoda przekazywania myśli w czasie snu, nie udowodniona naukowo i określana mianem techniki perswazji, zda w jej przypadku egzamin.

- Pokochaj Eliota - szepnął. - Rozbudź jego uczucie. Wyzwól Carol. Uwolnij nas.

Szeptem powtórzył te słowa wielokrotnie jak tajemniczą mantrę. A potem próbował innych, w tym samym duchu. Maggie się nie poruszyła. W końcu poczuł się głupio, jak indiański czarownik wypowiadający bezsensowne zaklęcia. Jak mógł dopuścić do tego, żeby pragnienia zawałdnęły jego logiką. Ale z jakiegoś powodu ta metoda wydawała mu się mniej groźna i bardziej uczciwa.

Poczuł senność. Wsunął się z powrotem do łóżka i zasnął.

Rozdział IX

Pożyczonym Oldsmobile'em jechali drogą, która biegła wzdłuż Potomacu. Za oknami migwały im drzewa w barwach jesieni. Prowadził Ken. Jedną rękę trzymał na kierownicy, a drugą obejmował Carol. Co jakiś czas podnosił do ust jej dłoń i muskał ją w przelocie wargami.

- Mamy cały dzień tylko dla siebie - powiedziała.

- Tak jak i oni.

- Tak, oni też - przyznała. Czuła się błogo. Jej myśli podryfowały z powrotem do wczorajszych wydarzeń i do rozmowy, którą przeprowadziła z Eliotem, gdy wrócili do pokoju.

Zgodnie z zaleceniami Kena, rozpyływała się w pochwałach nad Maggie.

- To prawdziwa dama - powiedziała, nie patrząc w stronę Eliota. Udawała, że jest pochłonięta rozczesywaniem włosów.

Gdy po kąpieli wróciła do pokoju, Eliot pracował przy biurku. Notował coś w żółtym bloczku listowym. Siedział zgarbiony i skulony, jak gdyby chciał zasłonić przed nią to, co pisze. A może tylko tak jej się zdawało? Kolejny przejaw paranoi. Gdy nie zareagował na jej uwagę, powtórzyła ją raz jeszcze; może jej nie dosłyszał.

- To prawdziwa dama.

- Kto? - zapytał, nie odrywając się od notatek. Pochylał się nad nimi jak uczeń, który zasłania swój test przed kolegami, żeby nie mogli ściągać.

- Maggie - odpowiedziała po długiej chwili.

Na dźwięk tego imienia Eliot przestał pisać. Wydarł z notatnika kartkę i położył ją na biurku, zapisaną stroną do spodu. Jego zachowanie wydało się Carol dosyć niezwykle, prędko jednak odsunęła od siebie tę myśl.

Doszła do wniosku, że to skutki zbyt wnikliwej obserwacji i własnego nieuczciwego postępowania. Ale kiedy się odwrócił i spojrzał na nią, była zaskoczona przenikliwością jego wzroku. Przez chwilę odczuwała paniczny strach. Ale zaraz zganiała się w myślach. Nie powinna przyznawać się przed nim do poczucia winy.

- Jest prawdziwym skarbem w swoim fachu - powiedziała. Uspokoila się, słysząc własne słowa wypowiedziane w sposób rzeczowy i bez śladu emocji. Spojrzenie Eliota, które jeszcze przed chwilą było surowe, złagodniało. Uśmiechnął się do niej życzliwie.

- To prawda - przyznał.

- Jestem przekonana, że ten zjazd dostarczy jej wielu cennych doświadczeń.

- Tak - rzekł Eliot. - Powinien dla nas obojga być bardzo owocny.

- Odnoszę wrażenie, że Maggie jest doskonała w tym, co robi.

- Owszem, świetnie zna się na komputerach. Miał na sobie tylko szlafrok, który się rozchylił, gdy Eliot wstawał, i odsłonił jego genitalia. Przez chwilę myślała, że będzie chciał ją objąć. Byłby to niecodzienny objaw czułości. Ale nie zrobił tego. Carol przyjęła to z ulgą. Odwrócił się do niej tyłem, starannie złożył zapisaną kartkę i schował ją do stojącej obok biurka teczki. A potem poszedł do łazienki umyć zęby.

Carol niechętnie położyła się do łóżka, włączyła telewizor i dla zabicia czasu bezmyślnie zmieniała programy. Gdy Eliot wrócił do pokoju, wyłączyła odbiornik. Eliot wsunął się do łóżka i zagłębił w kartotece, którą rozłożył sobie na kolanach.

- I na dodatek jest taka ładna, nie sądzisz? - zapytała. Miała nadzieję, że Eliot uzna to za kontynuację jej poprzednich rozważań.

- Chyba tak - powiedział z roztargnieniem.

- Według mnie tworzą z Kenem dosyć osobliwą parę - dodała po chwili.

- Dlaczego tak uważasz? - zapytał.

Nie patrzyła na niego wprost, ale widziała go kątem oka. Zamknął kartotekę i z zaciekawieniem się jej przyglądał. Nie odwróciła głowy w jego stronę.

- Uderzyło mnie - powiedziała ostrożnie - że Maggie jest kobietą bardziej w twoim typie niż w jego. - Gra była ryzykowna, ale Carol pomimo wszystko ją podjęła, zapuszczając się w głębszą sferę sugestywnej perswazji.

- W moim typie?

- Wydaje mi się, że macie ze sobą wiele wspólnego.

Roześmiał się i wzruszył ramionami.

- Czyżbyś się czuła zagrożona?

- Nie bądź głuptasem - powiedziała, poklepując go po ręce. Biorąc pod uwagę próżność Eliota, nie podejmowała właściwie żadnego ryzyka. - Myślę o sferze intelektualnej.

Czy nie powiedziała zbyt wiele? Jej uwaga opierała się na mocnych, logicznych podstawach. W przeciwieństwie do Maggie, Carol z całą pewnością nie zaliczała się do intelektualistek; była bardziej ozdobą i pełną podziwu towarzyszką niż partnerem umysłowym. W ten sposób określili swoje role od samego początku. Nie wyglądało na to, żeby Eliotowi był potrzebny pomocnik w sprawach zawodowych czy ktoś, kto by mu dotrzymywał towarzystwa w pracy. Wymagania, które jej stawiał jako żonie, były raczej stereotypowe i nauczyła się je akceptować. Poza tym jego praca miała zbyt ezoteryczny charakter, żeby naprawdę mogła się wydać Carol interesująca.

- No cóż, podzielamy wiele pasji, a poza tym Maggie dobrze się zna na swoim fachu - powiedział. - Sposób, w jaki zorganizowała moją pracę, świadczy o jej dużych umiejętnościach. Jestem z niej bardzo zadowolony.

- Cieszę się - rzekła Carol. - Naprawdę ją lubię.

Widziała kątem oka, że nadal się jej przygląda. Jednego była pewna: przyciągnęła jego uwagę.

- Bardzo sympatycznie razem wyglądacie - powiedziała i natychmiast zrozumiała, że posunęła się za daleko.

- Co chcesz przez to powiedzieć, Carol? - zapytał ostrym tonem. - Maggie i Ken są naszymi przyjaciółmi.

- Oczywiście. Ja tylko. . .

- Maggie jest cudowna, zgadzam się z tobą. Co się zaś tyczy Kena, uważam, że to bystry i rozsądny człowiek. - Umilkł na chwilę. - Nie sądzisz?

- Tak, jest dosyć miły - odparła bez przekonania. Nie okazywała zbytniego entuzjazmu. Doszła do wniosku, że tym razem sfuszerowała robotę.

- Przyznaję, że ludzie jego pokroju są mi raczej obcy - rzekł Eliot. - Pochodzi z innego świata i zajmuje się handlem, co moim zdaniem nie jest chlubnym zajęciem. Pomimo to uważam go za bardzo sympatycznego człowieka.

- Wierzę, że może się podobać. Kwestia gustu - powiedziała Carol, odchrząkując.

- Maggie twierdzi, że jest wewnątrznie głęboki. I nie rozumiany.

- Taki już los ludzi z twórczymi aspiracjami - zauważyła. Uświadomiła sobie, że przyjęła złą taktykę obrony. Nagłe zainteresowanie Kenem zbiło ją z tropu. Gdy byli we czwórkę, Ken rzadko się odślaniał i dlatego zachowanie Eliota wydało się jej teraz zbyt protekcyjalne.

- Pewnie masz rację - skwitował jej uwagę, nie zamierzając najwyraźniej wdawać się w dalszą wymianę zdań.

Usłyszała, jak poprawia poduszkę i ponownie otwiera kartotekę.

- Jest prawdziwym szczęściarzem, że ma za żonę tak ciepłą i otwartą dziewczynę jak Maggie - stwierdziła Carol po długiej chwili. Spodziewała się, że ta uwaga na nowo ożywi rozmowę.

- Gdyby go trochę pociągnąć za język, na pewno by się okazał niezmiernie interesujący. Nieraz trzeba coś z siebie dać, żeby móc lepiej poznać drugiego człowieka.

Ta uwaga dziwnie zabrzmiała w ustach Eliota, który nieczęsto miał na uwadze dobro międzyludzkich stosunków. Zabrał się z powrotem do czytania, a Carol milczała. Nie przychodził jej do głowy żaden rozsądny pomysł.

- Jutro będziecie mieli okazję, żeby się sobie lepiej przyjrzeć - powiedział. - Jestem przekonany, że miło spędzisz czas w jego towarzystwie.

Sprawa posuwa się w złym kierunku, pomyślała Carol. Wymykała się jej z rąk. Ale nawet gdyby Carol lepiej umiała podsuwać sugestie, to i tak sytuacja była trudna. Usilne zabiegi nie trafiały na podatny grunt. Eliot był z natury człowiekiem chłodnym i opanowanym. A skoro nie chwycił zapachu, jak mogła go zwabić w potrzask? Czy jego poparcie dla pomysłu wspólnego wyjazdu do Afryki było szczerze? A może doszukiwała się w jego aprobachie czegoś, co było w istocie tylko jej wymysłem? Robiła sobie wyrzuty. Powinna wyciągać wnioski z własnych doświadczeń. Nakłonienie Eliota do czegokolwiek wymagało zmasowanego wysiłku. Słowa nie wystarczały. Czy nie musiała się swego czasu całkowicie przeobrazić, żeby zostać taką żoną, ja-

kiej pragnął - uległą, serdeczną i gotową w każdej chwili zaspokajać jego próżność, kobietą reprezentacyjną, opanowaną, elegancką i posłuszną? Żałowała, że nie ma Kena, który by jej podpowiedział, co i jak ma mówić. Jej zasób słów i pomysłów już się wyczerpał. Zniechęcona, zamierzała się właśnie odwrócić plecami do Eliota, gdy usłyszała, że odkłada kartotekę na podłogę.

- Nie masz nic przeciwko temu, żeby Kramerowie pojechali razem z nami na safari, prawda, Carol?

Wstrzymała oddech i całą siłą woli ukryła podniecenie. Czyżby się udało? Jej propozycja podczas kolacji miała spóźniony zapłon, ale w końcu eksplodowała. Pomysł wpadł jej do głowy całkiem niespodziewanie. Oczywiście. Afryka. Doskonałe miejsce. Pohamowywała uniesienie. Jeszcze za wcześnie na proklamację zwycięstwa.

- Na pewno pomoc Maggie wydatnie podniosłaby wartość twojej pracy - powiedziała ostrożnie.

- Na pewno - przytaknął.

- Tylko czy zdecyduje się zostawić Kena samego na tak długi czas? - zapytała.

- Myślałem o tym, żeby Ken pojechał razem z nami.

- Obserwowanie reakcji innych ludzi może być zabawne - powiedziała.

Dotychczas Eliot zawsze wolał być tam tylko z nią, z Jackiem Meade, ich wieloletnim przewodnikiem, oraz z jego ekipą.

Meade był dziwakiem, bystrym człowiekiem i, gdy nie pił, najlepszym przewodnikiem w Afryce. Zabierał ich na wyprawy po dzikich parkach Kenii, Zambii i Tanzanii.

Po drugim safari Carol była znudzona Afryką, chociaż na zewnątrz okazywała entuzjazm. Ile lwów, gazeli, słoni, gepardów, żyraf, antylop gnu, bawołów i innych gatunków zwierząt, których nie sposób wymienić, można oglądać bez znużenia? Eliot przeciwnie, nigdy nie czuł się tym zmęczony. Uważał za swój święty obowiązek okresowe kontrolowanie sytuacji i sporządzanie raportów dla organizacji, której był członkiem. Jak w wypadku większości zadań, które spoczęły na niej z chwilą zawarcia małżeństwa, Carol symulowała reakcję. Za podstawę swojego postępowania przyjęła gotowość niesienia pomocy i przydatność.

Afrykańskie sawanny były prawdziwym rogiem obfitości sugestywnych doznań, które oboje z Kenem mieli na uwadze, myśląc o Eliocie i Maggie. W którąkolwiek stronę by się zwrócić, zewsząd dobiegały radosne odgłosy rui. A wszystkie obrazy żywo działały na wyobraźnię. Nawet Eliot im się nie oparł. Na widok lwa, który co dziesięć minut przez kilka godzin pokrywał łwicę, kochał się z Carol, odrzuciwszy wszelkie zahamowania. Jednocześnie Carol pilnowała się, żeby nie myśleć o tym, co ona i Ken mogliby robić w Afryce. Dla nich nakazem dnia musiała być wstrzeźliwość. Szaleństwem byłoby narażanie na ryzyko wspólnej przyszłości.

- Doświadczenia Maggie jako naocznego świadka mogą być bardzo przydatne dla naszego projektu - rzekł Eliot. - Wiesz, że komputeryzujemy moje fotografie.

- Sądziś, że Kramerowie mogą sobie na to pozwolić? - zapytała obojętnym tonem.

- Oczywiście potraktuję to jako wyjazd służbowy. Nie oczekuję od nich, że sami zapłacą za podróż. Tak, dla niej to będzie delegacja.

- I niespodziewany prezent dla niego - powiedziała Carol, rozmyślnie ziewając. Miała ochotę krzyknąć z zachwytu, ale tylko zamknęła oczy i w milczeniu skupiała się na kontrolowaniu oznak odczuwanej przez siebie euforii. Nie było to nic pewnego, ale mogło się udać.

Na szosie panował niewielki ruch, ale gdy minęli przedmieścia Alexandrii, droga zakreślała łagodnym łukiem, dając złudzenie, że ich samochód jest jedynym, który przemierza zaczarowane lasy opisywane w dziecięcych książkach z wierszykami. Carol wtuliła się w ramię Kena, a on głaskał ją po włosach.

- Moglibyśmy pojechać gdzie nas oczy poniosą, nie wracać, nie oglądać się za siebie i wszystko zacząć od początku - rzekł nagle Ken.

- Przecież mamy tę szansę - powiedziała w zadumie.

- Myślę o tym, żeby uciec zaraz, zanim sprawy staną się bardziej skomplikowane.

Uwaga Kena zaskoczyła ją. Skończyła mu właśnie opowiadać o swoim sukcesie i o tym, że Eliot jest gotów pokryć koszty ich wyprawy na safari. Spodziewała się większego entuzjazmu.

- Nie zapominaj, że to twój pomysł, Ken. Ja byłam niewiernym Tomaszem.

Milczał, wpatrując się w drogę, i w zamyśleniu głaskał ją po włosach. Wyczuła, że coś jest nie tak.

- O co chodzi? - zapytała.

Zamiast odpowiedzieć, skręcił w zatokę, która prowadziła do parkingu przeznaczonych dla amatorów spacerów nad Potomakiem. Wysiedli z samochodu i trzymając się za ręce ruszyli w milczeniu w stronę skupisk zimozielonych drzew. Weszli na wzgórze, z którego roztaczał się widok na rzekę i stolicę w oddali. Zimny podmuch wiatru pochwycił stertę suchych liści i tworząc z nich dziwne wzory pognał je w stronę brzegu rzeki. Po chwili Ken się zatrzymał, przygarnął do siebie Carol i zapatrzył się przed siebie.

- Masz wątpliwości, prawda? - zapytała, szukając potwierdzenia w jego oczach.

- To nie to. Czuję pewien niepokój - odparł.

- Boisz się, że się nie uda?

- Uda się, na pewno.

- Wobec tego nie rozumiem.

Pocałował ją w policzek i przygarnął mocniej do siebie.

- Niczego na świecie tak nie pragnę jak ciebie. Chcę cię mieć stale. Każdego dnia. W dzień i w nocy. Aż do końca życia. Wiem, że jesteśmy sobie to winni.

- Zgadzasz się z tobą - powiedziała. - I mamy do nadrobienia całe lata. - Żartobliwie szturchnęła go łokciem.

- W piątki nie da się tego załatwić.

Ken zachichotał i jeszcze mocniej ją przytulił. Ale kiedy podniosła wzrok, przeraziła się. Mięśnie zbolalej twarzy Kena były tak napięte, że aż drgały.

- Ten pomysł wydaje mi się zbyt bezwzględny. - Pokręcił głową i głęboko zaczerpnął powietrza - Chociaż sam go wymyśliłem i doskonale rozumiem, że jest dla nas wyjściem. Nie mogę się jednak pozbyć niepokoju. Nie potrafię zaakceptować procedury manipulowania ludźmi. Właśnie dlatego moja praca, która polega na kreowaniu potrzeb w ludzkich umysłach, wydaje mi się tak odpychająca. Nie nadaję się do niej.

- Pomysł może bezwzględny, ale skuteczny. Przekonałam się na własne oczy. A poza tym, jak sam powiedziałeś, wszystko się dobrze ułoży. Nikt nie ucierpi, a każdy będzie miał to, na czym mu zależy.

Przyciągnął do siebie jej głowę i mocno pocałował w usta. Ich języki splotły się.

- Byłoby o wiele prościej powiedzieć im prawdę - stwierdził, gdy się od siebie oderwali.

Zrobiła krok do tyłu, spojrzała mu prosto w twarz, a potem zaczęła go głaskać po policzkach.

- Znowu to samo - westchnęła i zajrzała mu w oczy.

- Pewnie uważasz, że jestem strasznym człowiekiem, bo za wszelką cenę chcę chronić swoją własność.

Ken zaprzeczył ruchem głowy.

- Uważam tylko, że jesteś praktyczna. Gdybyśmy szczerze i umiejętnie wyjaśnili całą sprawę Eliotowi, może by się zgodził, żebyś zatrzymała swój majątek. Nie jest chyba potworem?

- To zabawne - powiedziała. - Eliot uważa, że ty i on bardzo się różnicie. I ma rację. Nie rozumiesz jego mentalności. Jakim sposobem według ciebie ludzie jego pokroju zachowywali przez pokolenia swoje fortuny? Kierując się sentymentem? Eliot nie jest potworem, ale robi to, co uzna za konieczne, gdy poczuje się zdradzony albo gdy będzie zagrożona jego własność. Jestem tego pewna. Wierz mi. Umilkła, czując przyływ złości. Zacisnęła zęby, żeby nie podnieść głosu.

- Nie opuszczę Eliota Butterfielda bez tego, co mi się należy - powiedziała dobitnie. - Jeśli z tego powodu uważasz mnie za kobietę chciwą i podłą, to trudno. Ciężko na swój majątek zapracowałam i zamierzam go zatrzymać.

Nagły wybuch Carol zaszokował Kena. Jego twarz przybrała barwę popiołu i odmalował się na niej wyraz zakłopotania. Carol targały uczucia złości i żalu. Jak śmiał znowu wkraczać w jej życie, zakłócając spokój, narażając dobrobyt i na nowo rozbudzając w niej uczucia? Właśnie teraz, gdy nauczyła się żyć bez miłości i bez pragnień.

Nagle wyrwała mu się z objęć i pobiegła z powrotem w stronę samochodu. Słyszała za sobą jego szybkie kroki. Dogonił ją, gdy otwierała drzwi.

- To trzeba było sobie powiedzieć - stwierdził, siadając obok niej.

- Nie sądzę, żeby to było konieczne - zaprotestowała, uświadamiając sobie nagłą zmianę ról. - Pamiętaj, że to ty przekonywałeś mnie o słuszności swojej koncepcji. A teraz obleciał cię strach, gdy przekonałeś się, że przynosi rezultaty.

- Rozważam tylko inne możliwości - wyjaśnił półgłosem, nadal wstrząśnięty jej reakcją.

- Mówisz tak, jakbyś się bał dalszego rozwoju wydarzeń. Wcale nie jestem pewna, czy teraz nie zechcesz, żeby Eliot nas przyłapał i zmusił mnie do rozwodu.

- Co byśmy przez to osiągnęli oprócz wzajemnej urazy do końca życia?

Milczeli przez długą chwilę. W końcu Ken przekręcił kluczyk w stacyjce i zapuścił silnik.

- Może rzeczywiście obleciał mnie strach - przyznał.

- Dlaczego teraz?

Był zakłopotany i niezdecydowany, jak gdyby sam szukał w myślach wyjaśnienia.

- Być może przeraziła mnie potęga perswazji. Widok skutków jej działania. I to, jak niewielkiego wymagała wysiłku. - Milczał, błędząc wzrokiem po Potomacu.

Jego słowa przeraziły ją. Nie mogła temu zaprzeczyć. Tak jak nie mogła wyprzeć się wstydu, jaki wywołała w niej własna praktyczność, która cuchnęła chciwością i nie miała w sobie nic bohaterskiego, szlachetnego ani godnego miłości. Ale zaraz przywołała się do porządku. Już zbyt długo była ofiarą. Ken otworzył przed nią szansę obrony i nie miała zamiaru się poddawać. Czy Eliot nie manipulował nią, zmuszając do podpisania tej okropnej umowy przedmałżeńskiej? Nadszedł czas, żeby skończyć z tą parodią.

- Czy widzisz coś złego w trosce o naszą przyszłość? - zapytała. - W pragnieniu, żeby życie dla odmiany potoczyło się po naszej myśli?

- Nie - odparł Ken. Wyglądało na to, że wyszedł zwycięsko z wojny przeciwko własnym wątpliwościom.

- Nie wolno teraz zawrócić z drogi - powiedziała Carol zdecydowanym tonem.

- W żadnym wypadku.

Zaskoczyła ją własna żelazna stanowczość. Była tak inna od decyzji młodej dziewczyny, która dla swoich ambicji zrezygnowała z miłości. Nigdy więcej, przyrzekła sobie. Nie zamierzała już z niczego zrezygnować. Znowu przylgnęła do Kena i całowali się długo, nie mogąc się od siebie oderwać.

Ken prowadził w milczeniu. Zjechał z Waszyngtońskiej Alei Pamięci i skręcił na południe. Po chwili wjechali na dwupasmową autostradę, która się wiała pomiędzy brązowymi żywopłotami i pastwiskami, charakterystycznymi dla krajobrazu Wirginii. Carol znowu wtulała się w zagłębienie ramienia Kena.

- Wiążę duże nadzieje z Afryką - odezwała się nagle.

- Tak jak Franciszek Macomber.

- Macomber?

- Jeden z bohaterów Hemingwaya. Pojechał z żoną do Afryki, żeby odnaleźć swoją męskość.

- I udało mu się?

Ken skinął głową i uśmiechnął się.

Nagle zatrzymał samochód przed budowlą z czasów kolonialnych. Napis na budynku głosił: "Zajazd Stonewall".

- Eliot chciał, żebyś zwiedzała amerykańskie zabytki - przypomniał jej. - Recepcjonista, który rezerwował dla nas pokój, twierdzi, że się tutaj od nich aż roi.

Carol weszła za Kenem do hallu recepcyjnego i gdy Ken wpisywał ich do rejestru, przyglądała się menu wywieszonemu przed wejściem do restauracji.

- Najpierw sprawy pierwszorzędnej wagi - powiedział, gdy szli za pracownikiem recepcji do pokoju. Ken wręczył młodemu człowiekowi pięciodolarowy napiwek i mrugnął porozumiewawczo do Carol. - To za to, że nie zauważył braku walizek.

W pokoju czekał na nich szampan, otwarta puszka kawioru na lodzie, grzanki oraz różnorodne dodatki.

- Jesteś nieuleczalnym romantykiem - stwierdziła Carol.

- Nie całkiem - powiedział, całując ją w ucho. - Próbuję cię po prostu nakłonić, żebyś chciała się ze mną kochać.

- Nie będziesz miał problemów. Jestem łatwą kobietą - roześmiała się.

Ken podpalił drewno, które leżało przygotowane w kominku. Oboje przyglądali się, jak trawi je płomień. Potem Ken otworzył szampana i rozlał go do kieliszków. Rozsmarował kawior na grzance, dodał przypraw i wsunął ją Carol do ust.

- Mhmmm - zamruczała, zachwycona zarówno cudownym smakiem, jak i samym pomysłem. - A widzisz - powiedziała.

- Co widzę? - zapytał.

- Nie wszystko co dobre można dostać w życiu za darmo.

- Nie wszystko - przyznał. Zaczął ją rozbierać, nie przestając całować.

Później Carol leżała zamyślona. Coś nie dawało jej spokoju.

- O co chodzi? - spytał.

Zdała sobie sprawę, że od dłuższej chwili badawczo się jej przygląda. Nagle przypomniała sobie.

- Macomber odnalazł w Afryce męskość. - Odwróciła się w stronę Kena. - A co znalazła tam jego żona?

- Wolność - odpowiedział, sięgając do jej włosów i głaszcząc je. - Zastrzeliła go.

Rozdział X

Eliot siedział na tarasie restauracji hotelu Norfolk i pił kawę. Chociaż na otwarciu lokalu było jeszcze za wcześnie, skromny napiwek wręczony jednemu z pracowników kuchni zapewnił mu kawę i samotność. Nie mógł spać z powodu zmęczenia i niepokoju. Spojrzał na zegarek. Za godzinę mieli się spotkać na śniadaniu z Jackiem Meade, omówić program safari i wyruszyć w ośmiogodzinną podróż samochodem do pierwszego obozu w Samburu.

W ciągu ostatnich kilku miesięcy, od czasu gdy pojawił się pomysł wyjazdu Maggie i Kena do Afryki, Eliota nie odstępowało uczucie niepokoju i zniecierpliwienia. Nie tylko nie zniknęło, ale wręcz przybierało na sile. Nairobi leniwie budziło się do życia. Słońce, które powoli wznosiło się nad horyzont, zwykle już do południa wypalało wszystko na popiół, odzierając stolicę z wątłej powłoki cywilizacji. Eliot nauczył się oceniać kondycję miasta po sposobie obucia jego mieszkańców. Obserwował stopy, które wzbijały kurz na dziurawych chodnikach. Widywał sandały ze zużytych opon, powyginane i popękane półbuty, brudne szpilki, które bez powodzenia chciały uchodzić za modne, i tylko z rzadka zadbane, błyszczące obuwie. Zwykle należało do jakiegoś pozera, który paradował z aktówką, chociaż był kelnerem w którejś z rojących się od much kawiarni czy sprzedawcą u rzeźnika. Raz, a może dwa razy Eliot zauważył całkiem przyzwoite pantofle, ale o tej porze było na nie o wiele za wcześnie. Poza tym ludzie na stanowiskach zwykle nie poruszali się pieszo. Ta część Nairobi zawsze go przygnębiała, chociaż oaza dostatku, jaką był hotel Norfolk, znajdowała się na uboczu, z dala od głównej ulicy, gdzie bieda, bałagan i zła gospodarka idą razem ręką w rękę. Dobrobyt był widoczny przeważnie na przedmieściach zamieszkałych przez rezydujących tutaj Europejczyków, którzy starali się utrzymać wysoki poziom życia. I chociaż nie powodziło się im już tak dobrze jak za rządów Brytyjczyków, to wciąż mogli za nieduże pieniądze pozwolić sobie na służbę i żyć iluzją kolonialnej świetności. Ale dla Eliota ta Afryka była tylko miejscem na geopolitycznej mapie świata. Za prawdziwą Afrykę uznawał dzikie królestwa tych wszystkich wspaniałych stworzeń, które dzieliły Ziemię z człowiekiem i przegrywały z nim wojnę o przetrwanie.

Często wyśmiewał swoje skłonności do rozmyślania o wielkich sprawach i o tak zwanych "problemach o uniwersalnym znaczeniu". Człowiek i jego przyszłość w świecie zmniejszających się zasobów naturalnych. Nienadążanie technologii za stopą przyrostu naturalnego. Kwaśne deszcze, zanik drzewostanu i coraz cieńsza powłoka ozonowa. Przegrana w bitwie o priorytety przetrwania człowieka. I o jego wrażliwość. Potęga chciwości, radość wojny, pokusa heroizmu i pęd do nieśmiertelności. Wielkie pytania, doniosłe kwestie. Eliot całym intelektem oddawał się kontemplacji tych zagadnień, rozszyfrowywaniu zagadek, odkrywaniu coraz

wyższych poziomów wiedzy i świadomości. Poświęcił temu całe życie. Popijał małymi łykami kawę. Wiele by można powiedzieć na temat kenijskiej kawy. Eliot był człowiekiem, który wciąż udoskonaliał swój zmysł smaku, ćwiczył ucho, by było bardziej wrażliwe na muzykę, zatrzymywał wzrok na tańcu i wyrobach artystycznych oraz kształtował intelekt. Zawsze doceniał wartość sztuki, poczucie estetyki i ciekawość umysłu. Przemyslenia i nauka były produktywnymi sposobami spędzania przez niego bezsennych godzin. Wyjął z wewnętrznej kieszeni złożoną kartkę żółtego papieru, rozwinął ją, rozprostował i położył przed sobą na stole. Nie sposób przeczytać cyfr. Nie był w stanie utrzymać dotychczasowego poziomu życia przy nie przekraczającym trzydziestu pięciu tysięcy dolarów rocznym dochodzie netto. To prawda, że ta kwota znacznie przewyższała średnią statystyczną dochodów czteroosobowej rodziny, ale nie wystarczała na sfinansowanie takiego życia, do którego przywykł. Uśmiechnął się kwaśno. Według normy jego przyzwyczajęń znalazł się poniżej poziomu ubóstwa. Miał przed sobą starannie wypisaną przez księgowego kolumnę cyfr. Obejmowała koszty utrzymania biura, alimenty dla Helen, opłaty za naukę i świadczenia na rzecz dzieci, wydatki na podróże, rozrywki, książki, telefony oraz inne udogodnienia, i tak dalej, i tak dalej.

Dwadzieścia pięć lat temu ojciec zostawił mu niebagatelną kwotę czterech milionów dolarów. Eliot sądził wówczas, że powyższy kapitał zagwarantuje mu dochód netto, dzięki któremu będzie mógł się zająć poszukiwaniem odpowiedzi na wszystkie palące i zaprzatające jego umysł pytania. Chciał wieść życie myśliciela, jak sam zwykł je określać. Przed śmiercią ojca rodzinne interesy przynosiły dochód, który nie tylko wystarczał na zaspokojenie ambicji Eliota, ale i na rozwój rodziny. Eliot poślubił Helen, bardziej z chęci przekonania ojca i matki o poszanowaniu rodzinnych tradycji niż z pobudek uczuciowych. Ale do tego wniosku doszedł dopiero po rozwodzie. Do refleksji tej skłoniła go niepodważalna wysokość alimentów jego byłej żony. Mieli dwoje dzieci, których poczęcie, według niej, bardziej należało przypisywać potencji spermy Eliota niż regularności ich prokreacyjnych działań.

Jako powód rozwodu Helen podała psychiczne znęcanie się nad nią Eliota, i pewnie miała swoje racje. Na pozór była obowiązkową żoną, która potrafiła zorganizować Eliotowi dzień codzienny, oszczędzając mu borykania się z realiami współczesnego życia. Matkowała dzieciom, prowadziła mu dom, przygotowywała posiłki, dbała o jego wygląd. Krótko mówiąc, podtrzymywała wrażenie, że są poprawnym małżeństwem, nawet jeśli niezbyt szczęśliwym. Ale w końcu zaczęła się nudzić. Współczuł jej z tego powodu i za namową adwokata, stosownie do swojej pozycji oraz poziom użycia, postanowił hojnie zrekompensować jej własne zaniedbania, żeby mogła wieść szczęśliwsze życie bez niego. Ta wielkoduszność w jednej chwili uszczupliła jego kapitał o blisko dwa miliony. Eliot jeszcze wtedy nie zdawał sobie sprawy ze spustoszeń, jakich miała dokonać inflacja w jego pozostałym majątku.

Dopiero po podpisaniu umowy rozwodowej dotarło do jego wiadomości, że żona wcale nie była mu wierna i że brała sobie za kochanków kolejnych nauczycieli tenisa. Eliot wpadł w furję z powodu swojej naiwności i bezzwłocznie zwolnił adwokata. Przed zawarciem małżeństwa z Carol wynajął innego prawnika, mniej łatwowiernego i o wiele bardziej bezwzględniego; nie miał zamiaru dwa razy popełniać tego samego błędu. W celu zabezpieczenia pozostałego kapitału, o którym Eliot sądził, że jest "fortuna", jego prawnik wymyślił skuteczną umowę przedślubną. Była hermetyczna i w ten sposób pomyślana, żeby uchronić Eliota przed takimi ewentualnościami jak zdrada czy opuszczenie. A teraz ta przedobrzoną przedmałżeńską umowę z Carol spędzała mu sen z powiek. Trudno było o gorsze postanowienia.

Gdy podnosił filiżankę do ust, zadrżała mu ręka. Na jednej z kolumn cyfr spostrzegł kroplę kawy. Nie był człowiekiem przesadnym, ale zdrętwiał na widok miejsca, na które spadła kropla. Właśnie te poplamione kawą liczby były najbardziej zaskakujące. Obrazowały łączną wartość zakupionych przez Carol w ciągu lat trwania ich małżeństwa antyków i dzieł sztuki. Były jej własnością, na co on sam, podpisując umowę, wyraził zgodę. Kwota opiewała w przybliżeniu na dwa i pół miliona dolarów. Właśnie użyte przez księgowego sformułowanie "w przybliżeniu" ostatecznie wyprowadziło Eliota z równowagi. Stał wtedy dęba jak koń prowadzony na rzeź i całkowicie stracił nad sobą panowanie. To nie była wina księgowego. Eliot wyrzucił już z pracy swojego dyrektora handlowego za to, że nazwał jego "fortunę" mitem i przypisywał utratę majątku nierozsądnym decyzjom finansowym Eliota, złym inwestycjom dokonywanym za jego namową, gdyż nigdy nie kie-

rował się radami innych, oraz najwyższemu zaniedbaniu. A teraz była jeszcze ta śmieszna umowa przedmałżeńska.

Księgowy, rosły mężczyzna o nazwisku Bernstein, uspokajał Eliota, tłumacząc mu, że wartość dzieł sztuki i antyków wzrastała o wiele szybciej od wartości pieniądza. Ponad dwieście tysięcy dolarów, które Carol rozważnie wydała zakupując dobra na swoje nazwisko, uległo dziesięciokrotnemu pomnożeniu w ciągu ośmiu lat trwania ich związku. Eliot skrupulatnie sporządził listę wszystkich dwudziestu trzech jej nabytków. Potem potajemnie je sfotografował i przekazał zdjęcia księgowemu, zlecając dokonanie wyceny. W przybliżeniu dwa i pół miliona dolarów, powiedział księgowy. Krew uderzyła Eliotowi do głowy. Trudno w dzisiejszych czasach tę kwotę nazwać fortuną, ale Carol była teraz znacznie bogatsza od niego. Eliot znalazł się na granicy bankructwa, żyjąc z kapitału, który prawdopodobnie mógł się wyczerpać w ciągu kilku miesięcy.

Nie miał podstaw, by twierdzić, że został przez Carol oszukany, choć rachunki sprzedaży były wystawione wyłącznie na jej nazwisko. "Umowa" tego nie zabraniała. Nic bardziej nie mierziło Eliota jak problemy finansowe. Sprawy pieniężne znajdowały się na samym końcu listy jego zainteresowań. Rzadko zaprzętał sobie nimi głowę. Koncentrował uwagę na tematach znacznie ciekawszych. Nie był rozrzutny, w potocznym tego słowa rozumieniu, ani w sposób rzucający się w oczy nie folgował swoim konsumpcyjnym zachciankom.

Chociaż nie da się zaprzeczyć, że lubił dobrze żyć, zawsze korzystał z najwyższej jakości usług i nosił sztytę na miarę ubrania. Przywykł do życia na wysokim poziomie, w takich bowiem warunkach się wychował. Dlatego teraz wpadł w panikę na myśl, że miałyby one ulec radykalnej zmianie. Zupełnie nie był na to przygotowany. Ale i Carol nie można zarzucić rozrzutności. Trzeba nawet uczciwie przyznać, że była oszczędna, chociaż sprytnie wykorzystwała "lukę" w przedślubnej umowie, którą Eliot dopiero teraz zaczął dostrzegać. Ożenił się z Carol przede wszystkim z powodu jej klasycznej urody, artystycznych osiągnięć i gotowości przejęcia obowiązków po Helen. Była oddana, pomocna, towarzyska, skromna i potrafiła właściwie się zachować w każdej sytuacji. Schlebiali mu, że chciała go poślubić, mężczyznę o tyle lat starszego od siebie. Lubiał wszędzie jej towarzyszyć i chwalić się nią przed wszystkimi. Z przyjemnością patrzył na jej sposób poruszania się i pełną wdzięku postawę tancerki. Skąd mógł wiedzieć, że nagle jego uporządkowany świat rozpadnie się na kawałki, że odkryje, iż żył tylko umysłem, gdyż jego serce, ciało i dusza zupełnie zanikły. Intelktualne poszukiwania i oddanie się sprawom wielkiej wagi wstrzymały rozwój całej jego "reszty". Wzdłuż miary ilościowej, została z niego zaledwie jedna czwarta człowieka.

Pieniądze nigdy nie były jego głównym celem. I nawet teraz nie o nie mu chodziło, chociaż stały się powodem jego kłopotliwego położenia. W normalnych okolicznościach pewnie zwróciłby się do Carol i wyznał jej, że jego domniemana fortuna wyparowała, a dotychczasowy poziom życia utrzymują ostatkiem sił. Realistycznie przedstawiona sytuacja finansowa zmusiłaby ją do zwiększenia liczby lekcji, a jego do znalezienia sobie jakiejś pracy. Musiałby też uzmysłwić Carol, że zakupione na jej nazwisko dobra są ich jedyną szansą na zachowanie wysokiej stopy życiowej. W zwykłych okolicznościach udzieliłby jej takich właśnie logicznych i bazujących na faktach wyjaśnień. W normalnej sytuacji. Ale sytuacja była niezwykła. Podobnie jak niezwykle było jego obecne życie. To Maggie je zmieniała.

Przyglądał się zarysowi jej sylwetki, gdy zbliżała się do jego stolika. Za jej plecami jaśniała kula wschodzącego słońca. Maggie wyszła z półcienia. Dostrzegł znajome ruchy mocnego i pełnego ciała, spowitego teraz w kostium khaki, który podkreślał wypukłości bioder i cudownych piersi. Na głowie miała kapelusz z szerokim rondem, mocno zawiązany pod brodą. Była coraz bliżej i na jej widok serce podskoczyło mu do gardła. Naprawdę ta kobieta miała niesamowity wpływ na całe jego... zawsze szukał w myślach jakiegoś wyjątkowego określenia... jestestwo.

Zanim usiadła obok Eliota, rozejrzała się przezornie po pustym tarasie. Wziął ją za rękę. Zaciśnęli palce w uścisku. Jeszcze raz obrzuciła wzrokiem wyludniony taras i dopiero wtedy podniosła jego rękę do ust.

- Tak za tobą tęskniłam - wyszeptała.

- Nienawidzę tego, że muszę być z dala od ciebie - zaczął. - Wolną ręką złożył papier i z powrotem wsunął go do kieszeni.

- Nie wolno ci się tym zadrećzać - upomniła go, wskazując brodą kartkę. W czasie ostatnich ośmiu miesięcy szczegółowo omówili ten temat. - Zobaczysz, rozwiążemy ten problem.

- Wcale się nie zadrećzam, tylko myślę.

- Spał, gdy wychodziłam - oznajmiła Maggie, patrząc na zegarek. - Zamówiłam budzenie, więc pewnie właśnie wstaje. Jesteśmy już spakowani i gotowi do drogi.

- My też - rzekł Eliot. - Wkrótce wyruszamy.

- O Boże, mam nadzieję, że nam się uda - powiedziała przyciskając nogę do jego kolana. - Mój kochany - szepnęła, pochylając się w jego stronę.

- Obawiam się, że już za późno na wątpliwości - westchnął, myśląc o długu, jaki musiał zaciągnąć, żeby się tutaj dostać. Zganił się w myślach za brak optymizmu. To się musi powieść.

Oboje z Maggie zapewniali sobie nawzajem, że w sprzyjających okolicznościach, przy odpowiednim nastroju i okazji, Carol i Ken mogą odkryć siebie nawzajem w sensie uczuciowym, a jeszcze lepiej w erotycznym. Taka możliwość była kusząca. I w idealny sposób rozwiązywała ich dylemat.

W przypadku Maggie zmniejszała ciężar winy, jaki budziła w niej własna wiarołomność. Eliotowi umożliwiała natomiast rozwiązanie finansowych kłopotów dzięki wykorzystaniu umowy przedślubnej. Miała też swoje dalsze plusy. Przerzucała na Kena cały ciężar utrzymania dzieci, co przy optymistycznych założeniach mogło zapewnić jemu i Maggie w miarę wygodną przyszłość. Gruszki na wierzbie? Być może. Ale rozwiązanie było pomysłowe. Oboje w końcu zgodnie postanowili dołożyć wszelkich starań, by zamysł wcielić w życie. Pierwszym krokiem była wspólna kolacja u Pumpkinsa. Wstępne zabiegi nie przyniosły wyników, jakich oczekiwali. To dowodziło, że wykazali za mało sprytu i delikatności w "zbliżaniu" Kena i Carol. Owego letniego popołudnia dosłownie zmusili ich, żeby sami poszli do teatru. Od czegoś trzeba było zacząć. Ale jak dotychczas ich wysiłki nie zaowocowały żadnymi konkretnymi rezultatami. Prawdę mówiąc, nic a nic pomiędzy tymi dwójkiem nie świadczyło o roznieceniu miłosnej pożogi. Eliot i Maggie jednak się tym nie zrażali. Sprawa wymagała czasu. Cierpliwości. I pomysłowości. Dostrzegali u Kena i Carol wiele wspólnych cech. Oboje mieli "artystyczne" i wrażliwe dusze. Pisarskie ambicje Kena na pewno musiały podobać się Carol. A Ken, według Maggie, gustował w pięknych kobietach o artystycznych zamiłowaniach.

Eliot i Maggie naturalnie zdawali sobie sprawę, że nie sposób zmusić człowieka do zafascynowania drugą osobą. Ale można mu wiele zasugerować. Zatrważająca była siła perswazji. Całe narody zdolano nakłonić do przyjęcia nowych ideologii. Oboje wiedzieli, że panowanie nad ludzkim umysłem jest pojęciem naukowo dowiedzionym. Trzeba się tylko skoncentrować na celu i całą siłą woli dążyć do jego osiągnięcia. Oczywiście, miało to również swoje mroczne strony. Eliot i Maggie musieli się uciec do manipulacji, metody groźnej, nieuczciwej i odrażającej. Byli zmuszeni odstawić komedię, a co gorsza kłamać. Gra była jednak warta świeczki, szczególnie gdyby się udało ograniczyć do minimum krzywdy uczuciowe.

Maggie nigdy się głębiej nie zastanawiała, czy Ken jest podatny na względy kobiet, mimo że był atrakcyjnym, zdrowym mężczyzną i pracował w zawodzie, w którym ambicje często krzyżują się ze sprawami płci, nie oszczędzając wielu małżeństw. Ken nigdy nie dał jej konkretnego dowodu, że zblądził, a ona świadomie opierała się pokusie ciekawości. Co się zaś tyczy Carol, to rozumowali, że pracując w balecie, nieustannie narażona była na kontakt ze swobodą obyczajów, chociaż nic nie wskazywało na to, że osobiście miała coś z nią wspólnego. Gdyby jednak udało się tę parę skonfrontować ze sobą we właściwym momencie, wszystko było możliwe. W wypadku niepowodzenia natomiast Eliot i Maggie nie mieli przed sobą przyszłości. Nierealne marzenie? Może tak. Ale tylko w ten sposób mogli rozwiązać swój problem. A jeżeli to miało się gdzieś stać, to tylko w Afryce. Afryka była prymitywna, sugestywna, przesiąknięta erotyzmem i znajdowała się poza zasięgiem cywilizacji.

- Nie uważasz, że już dawno powinni byli wykorzystać okazje, jakie im stworzyliśmy? - zapytał Eliot. Nie potrafił ukryć zaniepokojenia.

- Biorąc z nas przykład - zachichotała Maggie, obejmując go.

- Właśnie - rzekł Eliot - tylko że my, kochanie, musimy teraz być. . .

- . . . czujni, zdyscyplinowani i dyskretni - dokończyła kiwając głową. Wszystkie reguły ustalili już przedtem. Natychmiast oderwała się od Eliota.

- I skoncentrowani - rzekł Eliot. - Nie na sobie, lecz na nich.

- Trzymajmy się planu gry, Mon Capitaine. - Kokieteryjnie zasalutowała.

- Pamiętaj o najważniejszym: dźwięki szybko roznoszą się po buszu - powiedział Eliot. Dla podkreślenia słów pokiwał palcem, który Maggie pochwyliła, włożyła sobie między zęby, delikatnie przygryzła i zaczęła ssać.

- Miłosne też?

- Szczególnie te.

Uśmiechnął się. Obejrzał się za siebie, a potem pochylił się ku niej i pocałował, wsuwając język do jej ucha.

- Umieram z tęsknoty - powiedział. Rozplotła palce i zaczęła go pieścić pod stołem.

- Ja też. Ale przecież nie jesteśmy jeszcze w buszu. Spojrzał jej w oczy i dostrzegł w nich ten sam ból.

Wstał. Zostawił na stole pieniądze i wyszedł przez hall do ogrodu. Minął olbrzymią ptaszarnię z różnymi gatunkami afrykańskich ptaków, a potem skierował się w stronę basenu, który o tej porze był pusty. Maggie szła za nim. W pobliżu basenu znajdowała się przebieralnia i tam właśnie Eliot zmierzał.

- Przemówiłaś mi do ambicji - rzekł. - Dzięki tobie stałem się przebiegły i zaradny.

- Potrzeba jest matką wynalazku - stwierdziła Maggie, biorąc go za rękę i prowadząc w stronę budynku.

Stanęli przy tylnej ścianie pawilonu, poza polem widzenia osób przebywających w ogrodzie, hotelu albo restauracji. Eliot wziął Maggie w ramiona i pocałował.

- Nie tutaj - szepnęła.

Otworzył oczy i zobaczył, że Maggie spogląda w górę. Za wzniesieniem grupa mężczyzn naprawiała drogę. Niektórzy z nich przyglądali się im, błyskając w uśmiechu białymi zębami. Umknęli im z zasięgu wzroku i ukryli się po drugiej stronie pawilonu za pierwszymi lepszymi drzwiami. Znaleźli się w damskiej rozbieralni. Znowu się objęli. I wtedy Eliot zobaczył Carol. Stała do nich tyłem i wkładała kostium, szykując się do swoich zwykłych codziennych ćwiczeń. Eliot zapomniał. W Nowym Jorku była zima i Carol marzyła o kąpielu w ciepłych promieniach porannego afrykańskiego słońca. Powinien był się spodziewać, że ją tu zastanie. Błyskawicznie się wycofał, otworzył drzwi i wybiegł, zostawiając Maggie samą w środku. Miał nadzieję, że zrobił to dostatecznie szybko i Carol go nie zauważyła. Przywarł plecami do ściany pawilonu. Serce waliło mu w piersi jak szalone. Nie mógł wrócić do hotelu. Carol by go dostrzegła przez okno przebieralni. Żeby temu zapobiec, wpadł do wydzielonej dla mężczyzn części budynku. Właśnie w tym momencie z kabiny wyłonił się Ken.

- Dzień dobry, Eliocie - powiedział. - Doszedłem do wniosku, że zdążę jeszcze popływać przed wyjazdem.

- Świetny pomysł - rzekł Eliot, wnikliwie mu się przyglądając. Odchrząknął. - Właśnie zwiedzaliśmy z Maggie okolicę. Piekielne miejsce. Ale basen piękny, nie sądzisz?

- Wspaniały - zgodził się z nim Ken.

- Carol i Maggie są w damskiej rozbieralni - oświadczył Eliot.

- Tak? - powiedział Ken, wkładając kąpielówki.

- Czy nie przyszedłeś tutaj razem z Carol? - zapytał Eliot, czujny na wszelkie pobudzające wyobraźnię niuanse.

- Dlaczego miałbym z nią tutaj przychodzić? - odpowiedział pytaniem Ken i skierował się do wyjścia. Eliot spojrzał na zegarek.

- Za pół godziny mamy się spotykać z Jackiem Meade'em - przypomniał.

- Jesteśmy już spakowani! - zawołał Ken przez ramię i Eliot usłyszał tylko plusk, gdy Ken wskoczył do basenu. W tym samym momencie zobaczył na brzegu Carol. Właśnie zaczęła się gimnastykować.

- O włos uniknęliśmy nieszczęścia - szepnęła Maggie tuż za jego plecami. Odwrócił się do niej i skinął głową. Gdy wracali do restauracji, która była już oficjalnie otwarta, pomachał ręką w stronę Carol i Kena. Ogród powoli zapełniał się gośćmi.

- Nie spóźnijcie się! - zawołał przykładając do ust dłonie złożone w tubę.

- Będziemy na czas! - odkrzyknęła mu Carol.

- Niewiele brakowało, a wszystko byśmy popsuli - rzekł Eliot.

- Właśnie taki jest generalny zamysł - powiedziała Maggie, znacząco mrugając.

Taka błazenada była nie do pomyślenia jeszcze dziesięć miesięcy temu, kiedy zaczął się ich romans. "Wybuchł", jak najchętniej określali to między sobą. Zachowywali się wtedy jak para nastolatków o rozbudzonej zmysłowości. Znając własne charaktery, nie podejrzewali, że są do niej zdolni. Zakochali się w sobie. Było to zarazem niezwykle i cudowne. Zjawisko miłości romantycznej Eliot utożsamiał zawsze z pojęciem intelektualnym, artystyczną konwencją, zagadką filozoficzną, traktował je jako szeroki symbol, wykorzystywany czasami do zilustrowania podstawowej prawdy o naturalnym pociągu płci.

Uznał, że to wszystko, co mu się przytrafiło, zdarzyło się w innym wymiarze. Potrafił nawet dokładnie określić, kiedy to wspaniałe uczucie wybuchło jak wulkan, roztrzaskując powierzchnię jego 'wiadomości'. Potem często przekomarzali się z Maggie i spierali o dokładny moment, w którym to się stało. I zawsze dochodzili do zgodnego wniosku, że miłość zawładnęła nimi równocześnie. Prawdopodobnie tygodniami narastała w ich podświadomości, zanim wyszła na jaw. Do tego czasu, na płaszczyźnie ściśle zawodowych stosunków, zachowywali się wobec siebie nad wyraz poprawnie. W końcu Eliot zatrudnił Maggie po to, żeby uporządkowała i skomputeryzowała dane, które gromadził przez wiele lat. Okazało się jednak, że romans nie tylko nie naraził na szwank ich pierwotnego celu, ale wydatnie wpłynął na poprawę wyników pracy.

Oczywiście już przedtem dało się zauważyć drobne oznaki i wskazówki świadczące o coraz większym wzajemnym zainteresowaniu. Kiedy był sam, prześladował go jej obraz. A gdy byli razem, odbierał jej obecność każdym receptorem. Początkowo próbował wypierać się tego przed samym sobą. Wyśmiewał swoją bujną wyobraźnię, szczeniackie wymysły i erotyczną głupotę. Ale już wkrótce z niecierpliwością szedł do biura, żeby ją zobaczyć i chłonąć jej obecność. Kiedy przelotnie spotykali się wzrokiem, miał wrażenie, że za chwilę rozplynie się w jej spojrzeniu.

Na początku próbował nakłonić umysł do logicznej analizy tego, co według jego przekonania było tylko przelotnym epizodem. Ale choćby nie wiem jak długo i drobiazgowo badał swoje uczucia, i tak nie mógł znaleźć w tym wszystkim sensu. W końcu stało się jasne, że potężne uczucie, jakkolwiek by je nazwać, pochwyliło go w swoje szpony. A żądza spełnienia stała się obsesją.

Może to było światło, pomarańczowy zmierzch, który opromienił ją purpurową poświatą, gdy tamtego popołudnia stała przy oknie. Miała odwróconą twarz i jej rysy przesłaniał cień. Dokładnie widział tylko oczy, które rzucały intensywny blask, jak latarnie morskie w mglisty dzień.

Rozmawiali na temat klasyfikacji danych. Postronny obserwator pewnie by w tym nie dostrzegł nic nadzwyczajnego. Eliot stał niespełna metr od niej. Układał dokumenty na półkach. Nagle zdał sobie sprawę, że nie rozumie ani własnych słów, ani tego, co ona do niego mówi. Całym umysłem i ciałem chłonął tę kobietę, nie jej intelekt czy głos, ale aurę, jaką roztaczała. Pamiętał, że zwinnie odwróciła się w jego stronę. W szybkim półobrocie zdążył dostrzec pełny zarys piersi. Zbliżyła się, jakby chciała mu pomóc przy dokumentach. Na jej twarzy zmieniały się cienie. Reakcja ciała była dla niego zupełnie nowym doświadczeniem, kłopotliwym i żenującym. Słowa więzły mu w gardle. Nagle zapragnął jej dotknąć i wchłonąć ją w siebie.

To było nierozsądne i z pewnością bezwiedne. Eliot nie znosił niezbadanych tajemnic i niezrozumiałych aksjomatów. Ale w tym wypadku czuł tylko zniewalającą i nieprzepartą potrzebę, żeby ją posiąść. Nie zatrzymała się, weszła prosto w jego wyciągnięte ramiona. Przyłgnęli do siebie całym ciałem. Chciwie przywarł do jej ust. Całowali się tak, jak gdyby zamierzali się nawzajem połknąć. Czas przestał dla nich istnieć. Spleceni ze sobą, myśleli tylko o tym, żeby razem utonąć w skórzanej biurowej kanapie.

- Dzięki Bogu. - To były jej pierwsze słowa, gdy skończyli się całować. - Jak długo miałam jeszcze czekać? Jej pytanie zdziwiło go i speszyło.

- Sądziłem, że to tylko ja z niecierpliwością wypatrywałem tej chwili. - Przypomniał sobie własne słowa. Zachichotała jak mała dziewczynka. Przysiadła na chwilę, żeby mu się przyjrzeć. Ale zaraz wstała i patrząc mu prosto w oczy, zaczęła się rozbierać. Był przekonany, że wybrała rytualny sposób wyeksponowania sie-

bie, żeby mu sprawić przyjemność. Wciąż gorączkowo szukał w myślach jakiejś mistycznej interpretacji tego, co się między nimi dzieje.

- O Boże, jaka jesteś piękna - szepnął. Z rozmysłem poruszała się bardzo powoli.

- Od tygodni chciałam ci się pokazać - powiedziała bez skrępowania.

- A ja pragnąłem cię zobaczyć - wyznał.

Zdjęła sukienkę, biustonosz i gładziła piersi w taki sposób, jakby chciała mu je ofiarować. Miała duży i pełny biust, z okrągłymi, stojącymi sztywno brodawkami. Eliot był wciąż całkiem ubrany, gdy sięgnął do jej piersi, zgniół je w dłoniach i pocałował.

Potem zaczął się rozbierać, ale powstrzymała go.

- Nie. Pozwól, że ja to zrobię.

Uklękła, zdjęła mu ubranie i wcisnęła pomiędzy piersi jego twardy członek, obserwując, jak pulsuje. Językiem drażniła jego czubek, aż w końcu, gdy Eliot posadził ją sobie na kolanach, wsunęła go w siebie. Eliot nigdy nie doświadczył tak pełnego przeżycia. Ich orgazm był wzajemną deklaracją istoty każdego z nich.

- Czy to naprawdę ja? - zapytał ją, gdy nieco ochłonęli.

- Tak. To jesteś prawdziwy ty - odpowiedziała. Pocałowali się i wszystko zaczęło się od nowa.

- Ja też jestem prawdziwa - dodała.

Już wtedy wiedział, że nie zadowolony był samym zaakceptowaniem stanu rzeczy - owej przemożnej potrzeby zespolenia się z tą kobietą. To uczucie było zupełnie obce zarówno jego poglądom na temat własnej osobowości, jak i dotychczasowym doświadczeniom. Pragnął je zrozumieć i postanowił odwołać się do systemu logiki.

Od małego dziecka, jak daleko sięgał pamięcią, podążał z góry wytyczonym szlakiem. Wiedział, co ma robić, a czego mu nie wolno. Zawsze były obowiązujące formy towarzyskie i nakazy dobrego wychowania. Poczucie wyższości odziedziczył w genach. Chociaż jego rodzice nigdy nie mówili o tym wprost, było wiadome, że pozycja rodzinna i pochodzenie narzucają pewien określony kodeks postępowania.

- Musimy zawsze nad sobą panować - brzmiał głos matki z najbardziej odległych wspomnień. Eliotowi niewolno było zachowywać się w rozwiązły sposób ani hołdować zwyczajom niższej klasy. Po bolesnym tłumieniu seksualnych potrzeb wieku dorastania, którym nie zdołała przyjść w sukurs nawet swobodna atmosfera lat sześćdziesiątych, wziął do pierwszego ślubnego łóżka dziewczycę. Być może właśnie hamowane potrzeby stały się powodem ucieczki w "myślicielstwo" i rozwiązywanie wielkich problemów. Po raz pierwszy przyszło mu to do głowy, gdy Maggie otworzyła przed nim drzwi do okrytego dotąd tajemnicą życia.

Od pierwszej chwili, gdy tylko zaspokoił swoją namiętność, oboje szukali wyjaśnień.

- Dlaczego właśnie ty? - pytał Eliot, gdy po raz trzeci kochali się tamtego wieczoru. Zmierzch zmienił się w ciemność. Nie zapalili światła i nie odbierali telefonów. Całą uwagę skoncentrowali na sobie, zgłębiając tajemnicę wzajemnej fascynacji.

- Dlaczego ty? - odpowiedziała pytaniem.

- Zawsze uważałem siebie za ostatniego kandydata do takich rzeczy - wyznał.

- To dowodzi, jak niewiele o sobie wiemy. Ja też nie zwykłam w ten sposób postępować. Nigdy dotąd nie zdradziłam Kena. To było nie do pomyślenia. - Wzięła jego twarz w dłonie i mocno pocałowała. - Dopóki nie spotkałam ciebie.

- Jesteśmy niezbyt dobraną parą.

- Bardziej dobraną, niż sądzisz.

Nie wykluczał, że Maggie posiada niedostępny innym wgląd w tajemnice ludzkich postaw, tak jak znała tajemnice komputerów. W każdym razie nie ulegało wątpliwości, że wprowadziła go na nieznaną wyżynę doznań. Ale ona, jak mu wyznała, też po raz pierwszy zetknęła się z tą stroną swojej natury.

- Wychowałam się w rodzinie o tradycyjnych poglądach - powiedziała - wśród praktycznych mieszkańców Środkowego Zachodu norweskiego pochodzenia, którzy do czegoś dochodzą ciężką pracą. - Przerwała wyjaśnienia, uśmiechając się z przymusem. - Jestem pierwszą kobietą w mojej rodzinie, która nie jest gospodynią domową. Czy możesz to sobie wyobrazić? Mojej matce zdrada nawet by nie przeszła przez myśl. -

Leżała naga obok Eliota na jego biurowej kanapie. Nagle sięgnęła do jego członka i zaczęła go pieścić. - A ja kocham się właśnie z mężczyzną, który nie jest moim mężem i którego od pierwszej chwili pragnęłam.

Czy możesz mi to wytłumaczyć?

Roześmiał się w odpowiedzi.

- Sam nie mogę tego pojąć, Maggie.

- Wobec tego nie zwracajmy sobie tym głowy - powiedziała, wprowadzając go w głąb siebie.

Po tym pierwszym epizodzie w biurze nie zastanawiali się jeszcze nad ewentualnym kształtem ich przyszłych stosunków. Rozstali się w konspiracyjnej atmosferze. Ale na skutek tego wydarzenia już wkrótce znaleźli się na grząskim gruncie kłamstw i podstępów.

- Szalałam z niepokoju - powiedziała Carol, gdy Eliot wrócił tamtego. wieczoru do domu. Była prawie dziesiąta, miała więc prawo się denerwować. Eliot prowadził dotychczas regularny tryb życia i skrupulatnie przestrzegał punktualności.

Poczuł wtedy pierwsze wyrzuty sumienia i rozmyślnie milczał w obawie, że wyjaśnienia mogą tylko pogorszyć sprawę.

- Trzykrotnie telefonowałam do twojego biura - dodała. Odetchnął z ulgą, że przyjął właściwą strategię. Mógł jej przecież powiedzieć, że pracował do późna. Kłamstwo zaraz by wyszło na jaw. I pociągnęło za sobą następne. O uszkodzeniu linii telefonicznej.

- Poszedłem się przejść. Musiałem przemyśleć pewne sprawy - powiedział. Doskonale, stwierdził w duchu. Czyż nie jest "myślicielem"?

- Powinieneś być zadzwonić. Martwiłam się o ciebie, Eliocie.

- To się już nie powtórzy. Obiecuję.

Pomyślał wtedy, że łatwo jest kłamać, jeśli powód wydaje się usprawiedliwiony.

Następnego dnia obudził się wcześniej. Nie mógł się doczekać, żeby zobaczyć Maggie. Był ciekaw, czy ona też pragnie być razem z nim. Nie minęło wiele czasu i znów się kochali na biurowej kanapie.

- Nie żałujesz? - zapytała, gdy opowiedział jej o kłamstwach wobec Carol i o własnej reakcji na nie. Zamiast odpowiadać, mocno ją pocałował. A potem pochylił się nad nią, żeby dotknąć ustami każdego centymetra kwadratowego jej ciała.

- Ja nie miałam tego problemu. Wiedziałam, że Ken pracuje do późna. Najdziwniejsze, że potrafiłam zaszukawać swoją winę. Zgoda, powiedziałam sobie. Zgrzeszyłam i czuję z tego powodu wyrzuty, choć niczego nie żałuję. Ale jestem dobrą żoną i matką i dlatego zamknę te sprawy w oddzielnym przedziale. A resztę siebie, wolną od poczucia winy, zostawię dla ciebie.

- Czy to znaczy, że nie mamy sumienia? - zapytał Eliot.

- Uważam, że nie ma sensu tego roztrząsać - powiedziała. W mniemaniu Eliota jej uwaga świadczyła o głębokiej mądrości. - Niech się dzieje, co ma się dzieć.

- A co zrobimy, jeśli się dowiedzą? - zapytał.

- Nie wolno nam do tego dopuścić - odparła, wyraźnie zdenerwowana tą ewentualnością. Eliot zauważył, że jej główną troską jest to, żeby nie zranić Kena i nie doprowadzić do rozpadu rodziny.

- Może to minie. Wypali się - powiedział.

- Może.

Ale nic nie wskazywało na to, żeby tak się miało stać. Sprawy pomiędzy nimi przybrały nawet bardziej intensywny i ryzykowny obrót. Powoli jednak w ich wzajemne stosunki zaczął się wkradać niepokój. Był to strach przed ujawnieniem, lęk, że zdradzą się w domu jednym fałszywym słowem lub gestem. Nie bali się tego, że zostaną nakryci w biurze Eliota. Wiedzieli, że jeśli okażą się sprytni i nie wzbudzą podejrzeń, nikt nie będzie miał powodu, żeby ich śledzić. Coraz głębiej brnęli w obłudę.

- Ta gra wymaga kunsztu aktorskiego - mówił Eliot. - To tworzenie kreacji dawnego Eliota i wczuwanie się w jego rolę. Nie odpowiadam Carol na żadne pytanie, dopóki nie zastanowię się, co by na moim miejscu powiedział dawny Eliot.

- Tak, to prawda - przyznała Maggie. - W podobny sposób porozumiewam się z Kenem.

Świadomość, że radzą sobie z sytuacją w domu, dawała im poczucie względnego bezpieczeństwa. I nie zmuszała do rozważań o przyszłości. W końcu spędzali ze sobą pięć dni w tygodniu, a czasami nawet sześć. Ale potem pojawiły się nowe zmartwienia. Eliot odkrył, że nie może zaznać spokoju, będąc z dala od Maggie. Jego tęsknota urągała logice.

- To miłość, mój drogi - wyjaśniła mu Maggie.

- Przeżywam tortury, kiedy cię przy mnie nie ma. To prawdziwa katorka.

- Znam to doskonale.

Dręczyły go wizje Maggie i Kena w akcie miłosnym. I chociaż takie rzeczy są całkiem naturalne pomiędzy mężem a żoną, nie potrafił opanować zazdrości, która popychała go do jeszcze boleśniejszej analizy wzajemnych stosunków tych dwojga. Zaczął powtarzać w kółko tę samą litanię.

- Co się dzieje pomiędzy wami, kiedy się kochacie?

- Nie powinieneś zadawać takich pytań - odpowiadała. - Zauważ, że ja ciebie nie wypytuję o stosunki z Carol.

- Mogę ci o nich opowiedzieć. Odgrywam rolę dawnego Eliota. Robię to raz w tygodniu, w sposób czysto mechaniczny. Wszystko się kończy z chwilą, gdy osiągam orgazm.

- Czy naprawdę musisz o tym mówić, Eliocie?

- Myślałem, że chcesz wiedzieć.

- Nie, wcale nie chcę.

Naciskał dalej.

- Czy stosunek z Kenem daje ci satysfakcję?

- Nie, udaję tylko.

- Ze mną też?

Poczuła się urażona. Długo milczała. Nie dąsała się, ale najwyraźniej analizowała swoje myśli i uczucia. A potem spojrzała na niego wilgotnym wzrokiem, mocno go pocałowała i od nowa zaczęli się kochać, aż osiągnęła orgazm i nie miała najmniejszej wątpliwości, że przeżyła go naprawdę.

- Nie mogę myśleć o tym, że nadal z nim sypiasz - powiedział jej kiedyś. Ból i napięcie w ich stosunkach stawały się coraz trudniejsze do zniesienia.

- Czy mam jakiś wybór?

- Postaraj się tego z nim nie robić, proszę cię.

- Jest moim mężem.

- Nie mogę tego ścierpieć.

- To stworzy nowe problemy. - Umilkła i westchnęła. - Ja cię nie proszę, żebyś przestał spać z Carol. Taki wyłom w zwyczajach wzbudziłby jej podejrzenia.

A potem Eliot zaczął się bać, że Maggie dłużej nie zniesie takiego stresu i z powodu wyrzutów sumienia będzie chciała z nim zerwać, żeby nie zranić uczuciowo Kena i dzieci.

- Czy chcesz, żeby wszystko pomiędzy nami się skończyło? - zapytał któregoś dnia. Przyznał się jej do własnego narastającego paranoidalnego przeświadczenia o tym, że powie mu "żegnaj", zmuszona do ostatecznego rozwiązania sprawy. Odpowiedź Maggie spotęgowała tylko jego niepewność.

- A ty?

Nie spodziewał się takiego pytania, ale dokładnie się nad nim zastanowił. W głowie zaświtał mu pewien pomysł.

Zaczęli się kochać, a dwa pytania wisiały w powietrzu bez odpowiedzi. Pamiętał, że za oknem szalała burza. Maggie reagowała na każdą błyskawicę i grzmot pioruna, przywierając do niego ciałem. Gorliwie ją obejmował, a ona coraz bardziej gorączkowo odpowiadała na jego pieczyoty.

Nagle odsunął ją od siebie.

- A teraz mi odpowiedz: chcesz ze mną zerwać?

- Proszę cię, Eliocie.

- Odpowiedz.

Zaprzeczyła ruchem głowy i ściskając go za pośladki, mocno przygarnęła do siebie.

- Nigdy! - zawołała. - Nigdy, nigdy, nigdy.

Później mu powiedziała, że w nieuczciwy sposób wykorzystał swoją przewagę.

- A teraz nasuwa się inne pytanie - stwierdził. - Czy to prawdziwa miłość, czy tylko pożądanie?

- Dlaczego o to pytasz?

- Muszę to wiedzieć.

Wkrótce stało się dla nich jasne, że dalsze życie w napięciu i kłamstwie jest niemożliwe.

- Czy potrafisz go rzucić?

Najwyraźniej Maggie rozważała już tę ewentualność.

- Tak, jeśli okoliczności będą sprzyjające - powiedziała. - Ale wolałabym uniknąć drastycznych posunięć.

Dzieci są już w takim wieku, że jakoś to zniosą. Najbardziej się martwię o Kena. Nie chciałabym go zranić.

- Ciężka sprawa.

- A ty? Czy mógłbyś opuścić Carol?

- Prędzej, niż się spodziewasz.

Wszystko już sobie obmyślił. Utrzymywali romans w tajemnicy, więc nie musiał się obawiać przedślubnej umowy z Carol. Po prostu powie jej, że chce się rozwieść. Nie był zobowiązany podawać konkretnego powodu. W dniu jego śmierci Carol, jeśli powtórnie nie wyjdzie za mąż, otrzyma prawo do dóbr, które nabyła na swoje nazwisko w trakcie trwania ich małżeństwa. A nawet, zgodnie z postanowieniami umowy, będzie miała zagwarantowane niewielkie alimenty.

- Czy Carol się nie załamie? - zapytała Maggie, gdy Eliot wszystko jej wyjaśnił.

- Na pewno ją to zabol. Ale czy będzie załamana? Nie sądzę. Carol jest osobą prężną. Zawsze potrafiła się sama w życiu utrzymać.

- Czuję się podle z tego powodu - powiedziała Maggie i zaraz się rozpogodziła. - Ale zrobiło mi się lżej na sercu.

- Patrz na to z praktycznego punktu widzenia - argumentował. - To, co było uczciwe i pożyteczne pomiędzy tobą a Kenem, już się skończyło. Teraz oboje musimy być wolni, żeby się wspólnie cieszyć barwnym życiem, które mamy przed sobą.

Przepajała ją uczucie miłości.

- O Boże, jaka jestem szczęśliwa.

Niestety, sprawy przybrały inny obrót, niż Eliot się spodziewał. Podczas spotkania z dyrektorem handlowym i księgowym został poinformowany o rzeczywistym stanie swoich finansów. A kiedy poznał aktualną wartość nabytków Carol, wpadł w furję.

- To nie było wyrachowanie z jej strony, panie Butterfield - zapewnił go księgowy. - Wiedziała tylko, co należy kupować.

Początkowo myślał, że najlepiej będzie, jeśli zapozna Carol z sytuacją finansową, poprosi ją, żeby się zrzekała niektórych roszczeń, i zadłuży się pod zastaw jej dóbr. Ale odrzucił ten pomysł. Wiedział, że taka decyzja otworzy nie kończący się proces sądowy, szczególnie gdy Carol się dowie, że Eliot chce poślubić Maggie i zależy mu na rozwodzie. Nie, zdecydował. Musi być jakieś inne wyjście. Rewelacje ogłuszyły Maggie.

- Przecież nadal mi płacisz. Jak to jest możliwe? - dziwiła się.

- To się nazywa konsumowaniem kapitału - wyjaśnił. - Zaciągamy kredyty na finansowanie bieżącej działalności, ale nie mamy na nie wystarczającego pokrycia. Niebawem, może za niespełna rok, będę bankrutem.

- A wartość jej własności wzrosła?

- Skromnie powiedziane. Carol stała się bogata.

- To nieuczciwe.

- Masz rację, to nieuczciwe - przyznał.

Właściwe rozumienie pojęcia "uczciwości" pobudziło jego wyobraźnię. Wpadł na pewien pomysł.

- Pobożne życzenie - stwierdziła Maggie, kiedy ją z nim zapoznał po raz pierwszy.

- Czy nie uważasz, że to doskonale rozwiązanie? Jeśli nam się uda, sprawiedliwości stanie się zadość i wszystko wróci do równowagi.

Nielatwo było wykorzenić jej sceptycyzm.

- Ludzi nie da się tak zaprogramować jak komputery, Eliocie.

- Dlaczego nie?

- Nie składają się z bajtów, ich reakcje bywają nieobliczalne.

- Z punktu widzenia nauki to sprawa dyskusyjna.

- Nie da się wyprodukować powabu - upierała się Maggie.

- Można spróbować - rzekł Eliot.

Potrzeba odzyskania majątku Eliota była poza dyskusją. Dla obojga nie ulegało wątpliwości, że ma pełne prawo dochodzić swojej własności. Zgadzała się co do tego, że miłość jest sprawą zasadniczej wagi, wspa- niałą, cudowną i zdumiewającą. Ale to samo tyczyło się pieniędzy. Eliot i Maggie nie żyli zawieszeni w próż- ni ani na bezludnej wyspie. Pieniądze były dla nich równie ważne. Eliot analizował techniki perswazji psy- chologicznej i chociaż większość z nich bazowała na teorii, zastosowane we właściwych warunkach mogły przynieść sukces. Należało tylko wyrwać obiekt z jego normalnego otoczenia i umieścić w środowisku kon- trolowanym. Nieoczekiwana informacja przekazana mózgowi w stosownym momencie mogła naprowadzić na pożądaną kierunek jego myśli. Albo uczucia.

Afryka! Eliot był już bliski odwołania safari, gdy nagle do niego dotarło, że Afryka jest idealnym miejscem do realizacji jego planów. Człowiek zdesperowany nie może sobie pozwolić na odrzucenie szansy. A ta z pew- nością była warta inwestycji. Jeśli to miało się gdzieś stać, to tylko w Afryce.

Rozdział XI

W czasie podróży na południe do Samburu Maggie konfrontowała swoje wyobrażenia o Afryce z rzeczywi- stością. Życie w mijanych wioskach w niewielkim stopniu wyprzedzało epokę kamienia łupanego, ale toczyło się obok silników spalinowych i wszechobecnych anten ery telewizyjnej. Ów dziwny melanz świadczył być może o tym, że współczesna cywilizacja waha się, czy bez reszty pochłonać Afrykę, czy nie.

Osiemdziesiąt kilometrów za Nairobi zniknęły asfaltowe autostrady i podskakiwali na wyboistych drogach w pokładach kurzu, który palił im gardła i nozdrza.

Jack Meade, o błyszczącym i owrzodzonym od alkoholu i słońca nosie, ciągnął nieprzerwany wywód na te- mat skrajnie złej sytuacji Afrykańczyków, których egzystencja balansowała, jego zdaniem, na krawędzi cha- osu i katastrofy.

- Ich zachłanność nie zna granic - wyjaśniał Meade. - Wszędzie króluje chciwość i korupcja. To nie sprawa konfliktu czarnych z białymi, tylko obsesja pełnej kiesy - tłumaczył. - Całkowity brak samodyscypliny. Potra- fią tylko robić dzieci. Tak, to im najlepiej wychodzi. Tyle że potem nie wiedzą, co z nimi począć. Rozumiecie, nie ma roboty. Wskazał na rzędy prowizorycznie skleconych, przeważnie ze zużytych puszek, domów, spo- śród których wiele nie miało dachów.

- A do tego ci nędzarze muszą jeszcze walczyć z przyrodą. I jak sądzicie? Kto wyjdzie zwycięsko z tej rywa- lizacji? Na pewno nie przyroda.

Dalszy wywód dotyczył kłusowników.

- Przybywają tutaj głównie z Somalii i strzelają z karabinów maszynowych do słoni. Zabijają nie dla jakichś lukratywnych zysków. Otrzymują za tę cholerną kość nędzne grosze. W ten sam sposób wybili nosorożce dla ich rogów, z których robi się rękojeści sztyletów i o których krąży mit, że mają właściwości zwiększające popęd płciowy. Lampart też jest na wymarcu. Brakuje strażników rezerwatów. A tymczasem ci cholerni urzędnicy na górze chcą zwiększyć liczbę zwiedzających do trzech milionów ludzi. Jeszcze więcej widzów w pieprzonych autokarach Volkswagena. O Boże, jak ja tego nienawidzę.

- To katastrofa o międzynarodowym zasięgu - powiedział Eliot, solidaryzując się z oceną Meade'a. - Właśnie dlatego tutaj jesteśmy. - Umilkł na moment, przelotnie spoglądając w stronę Maggie. - Zamierzamy skontrolować sytuację i przekazać informacje dalej.

Im bardziej oddalali się od Nairobi, tym droga stawała się bardziej wyboista. Przez otwarte okna wpadały tułany kurzu, który wypełniał im nozdrza i oblepiał twarze.

Meade przywodził Maggie na myśl barwne postacie starego kina, na przykład Humphreya Bogarta z "Afrykańskiej królowej". Spojrzała w stronę Kena. Wyglądał na znudzonego i niezadowolonego. Ze sceptycznym wyrazem twarzy przyjmował monotonną paplaninę Meade'a. Carol zachowywała się jak doświadczona turystka i drzemała. Co jakiś czas podnosiła głowę, żeby sprawdzić, gdzie się znajdują. Nie ulegało wątpliwości, że już słyszała wszystkie opowieści przewodnika.

Gdy przyjechali do Samburu, obóz był rozbity. Na powitanie służący ustawili się rzędem, gotowi natychmiast zaspokajać ich potrzeby. Przydzielono namioty, a Meade zapoznał ich z porządkiem dnia oraz z planem obozu. Trzy duże namioty były przeznaczone dla Kena i Maggie, Eliota i Carol oraz dla Meade'a. Służący spali w warunkach mniej komfortowych, w części roboczej obozowiska. Wejście do dużego namiotu-jadalni znajdowało się od strony ogniska, które buchało wesołym płomieniem.

W każdym z gościnnych namiotów znajdowało się podwójne łóżko, a po obu stronach klapy stały składane stoły turystyczne i lustra - do mycia, golenia się i malowania, oraz innych ablucji. W skład wyposażenia wchodziły też dwa fotele i biurko, przy którym można było posiedzieć, poczytać albo napisać coś w czasie przerw obozowych.

Zamykana na zamek błyskawiczny kłapa z tyłu namiotu prowadziła do płóciennej "przybudówki", wyposażonej w czarną plastikową muszlę toaletową, umieszczoną nad głębokim dołem, i tusz, oddzielony od toalety jeszcze jedną kłapą. Wodę do mycia służący przynosili w wiadrach i wlewali do umieszczonego w górze zbiornika. Zawór otwierał się przez pociągnięcie łańcucha, a siła przyciągania dokonywała reszty.

- Prymitywne, ale wygodne i skuteczne - zauważyła Maggie. Dziewiętnastowieczny wynalazek, pomyślała. Zaczynała pojmować owo oderwanie od świata, które kryło się za tą romantyczną, wiktoriańską przygodą. Żałowała, że nie może być tutaj sama z Eliotem. Obojętność, jaką musiała wobec niego okazywać, i stałe napięcie zaczęły dawać się jej we znaki.

Z powodu wyczerpującej podróży Meade ograniczył rytualny wieczorny posiłek do lekkiej sałaty, gotowanych jarzyn i schłodzonego białego wina, które wybrał Eliot. Usługiwali im służący w białych marynarkach i rękawiczkach. Rozmowa dotyczyła uzgodnień pomiędzy przewodnikiem a Eliotem co do przebiegu safari oraz oczekiwań ze strony uczestników.

Maggie przyglądała się Jackowi. Ten wysoki i tęgi mężczyzna był w drugim pokoleniu Kenijczykiem. Należał kiedyś do bandy białych myśliwych, nieustraszonych legendarnych przewodników brytyjskiego pochodzenia, którzy działali w Afryce Wschodniej, dopóki rząd w 1977 roku nie wprowadził zakazu zabijania zwierząt. Eliot powiedział im wcześniej, że Meade, jak wszyscy biali myśliwi z Kenii, tęskni za starymi dobrymi czasami, a do współczesności odnosi się z cynizmem. Opisał im zwięźle charakter tego człowieka oraz jego przyzwyczajenia i uprzedził o skłonności do alkoholu, którego surowo zabronił mu używać w czasie trwania safari.

Ostrzegł ich również, że Meade potrafi być humorzasty, gburowaty, a nawet niedelikatny, ale jest bardzo doświadczony i w trudnych chwilach można na nim polegać. Maggie dostrzegła w tym człowieku tragiczne piętno, jak gdyby doświadczenia życiowe pozostawiły w nim gorycz i rozczarowanie.

Eliot zastanawiał się nawet, czy nie zmienić przewodnika, ale w końcu postanowił zostać przy Jacku, który mu towarzyszył w poprzednich safari. W krytycznej sytuacji trudno było o lepszego człowieka. A przecież w buszu na każdym kroku czyhały niebezpieczeństwa.

- Nasze życie jest w jego rękach - poinformował wszystkich.

Maggie wkrótce doszła do wniosku, że dla niej najtrudniejszą częścią safari będzie nie brak wygod, ale przymus trzymania się na dystans od Eliota i wywieranie presji na Kena, żeby się zainteresował Carol.

Uzgodnili z Eliotem, że będą się odnosić do siebie w sposób przyjacielski, ale obojętny. W obecności Kena i

Carol wykluczony był nawet dłuższy kontakt wzrokowy, nie mówiąc już o jakiegokolwiek wzmiance, która by mogła sugerować ich intymną zażyłość.

- Żadnych buziaków i uścisków - szepnęła żartobliwie Eliotowi do ucha, gdy stali w cichym zakątku hallu recepcyjnego Norfolk, czekając na załadowanie bagaży. Zachowanie wstrzemięźliwości okazało się trudniejsze, niż myślała.

Na szczęście tego pierwszego wieczoru musiała zgłębić wiele spraw. Jej uwagę zaprzętnęły nowe wrażenia. Czowała paniczny strach. Z oddali dobiegały złowrogie odgłosy afrykańskiej nocy.

- Posłuchajcie - rzekł Meade. - To ryk lwa. Roznosi się na dużą odległość.

Dźwięk był niesamowity, tęskny i pełen udręki. Przepęłnił Maggie lękiem.

- To lwica - wyjaśnił Eliot. - To ona jest biegłym zabójcą i prawdziwym drapieżką.

- Jak wszystkie samice - mruknął Meade. Odprowadzał ich do namiotów, oświetlając latarką drogę. Maggie przyszło na myśl, że niepowodzenia z kobietami mogły być jednym z powodów jego rozczarowania życiem.

- Latarki są zawieszane na namiotach - objaśnił Meade. Każdej parze życzył dobrej nocy i skierował się do swojego, nieco oddalonego od pozostałych, namiotu, przed którym zaparkował ciężarówkę.

- Jesteś bardzo milcząca - zauważył Ken. Włożył piżamę i wsunął się pod przykrycie łóżka.

- Oswajam się z nowościami - odparła Maggie.

- Tu jest cudownie. Dokładnie tak, jak mówił Eliot - szepnął.

- To prawda. Ich szczegółowe i obrazowe opisy przygotowały nas na to, czego możemy się spodziewać.

- Mam dla tego człowieka coraz większy podziw - powiedział Ken po długiej chwili. - Autentycznie wierzy, że niektóre rzeczy da się ocalić dla potomności. W jego zaangażowaniu jest coś wzniosłego i wzruszającego zarazem.

Maggie zgadzała się oczywiście z tą opinią, ale nie odezwała się. Czekwała na okazję, żeby wystąpić ze swoim komentarzem.

- Nie sądzisz, że Carol wygląda zachwycająco w stroju safari?

- Myślę, że tak - odparł z rezerwą.

- Jest taka spostrzegawcza i inteligentna - powiedziała obojętnym tonem. - Zauważyłeś to?

Czekając na odpowiedź, zastanawiała się, co jeszcze może dodać. Wkrótce usłyszała jego rytmiczny oddech: Ken zasnął. Leżała na pościeli w koszuli nocnej. Nie była śpiąca. Próbowwała uporządkować wrażenia dnia, ale wszystkie myśli skupiały się wokół Eliota. Nie zamierzała się nim dzielić. Należeli do siebie, razem pracowali i oboje byli oddani wielkim ideom. Poczucie uczciwości powstrzymywało ją przed dokonywaniem porównań między Eliotem a Kenem. Sądziła, że to by było niepotrzebne i podłe.

Eliot i Ken byli odmiennymi ludźmi. Różnili się wrażliwością. Zresztą teraz i tak nie miało to znaczenia. Ken był zamkniętym rozdziałem jej życia. Życzyła mu jak najlepiej. Miała nadzieję, że pewnego dnia odkryje w sobie ambicje i zostanie nowym Hemingwayem. Albo kimś równie wielkim.

Jeśli chodzi o nią, dokładnie wiedziała, czego pragnie. Chciała Eliota Butterfielda. Potrzebowała go. Jakiegokolwiek próby tłumaczenia pożaru, który wybuchł między nimi, nie miały sensu. Eliot wydawał się najmniej odpowiednim kandydatem na kochanka. Zaśmiała się w duchu, przypominając sobie pierwsze wrażenie, jakie na niej zrobił. Odebrała go jako mężczyznę przesadnie pedantycznego, zbyt opanowanego i wymagającego, zepsutego przez pieniądze oraz folgowanie własnym słabościom, a także, tak, dostrzegła w nim pyszałkowatego snoba. Dziwne, że ludzie potrafią widzieć tylko to, co chcą. Maggie była oczywiście szczęśliwa, że Ken też zobaczył Eliota w nowym świetle. Nie mógł jednak wiedzieć, że ona i Eliot są połowami jednej całości, bo i skąd.

Łagodne nocne powietrze pobudzało do rozmyślań. Jej umysł wypełnił się erotycznymi obrazami z Eliotem. Nie mogła uwierzyć, że osiągnęli wyżyny zmysłowości. Była już przecież kobietą w wieku dojrzałym. Jak to możliwe, że dała się ponieść radosnemu szaleństwu pożądania i miłosnych pragnień? To było niesamowite, tajemnicze i zachwycające.

Nagle zrobiło się jej gorąco, a usta wykrzywiły się w kwaśnym uśmiechu. Uważała się dotąd za nienaganną matkę dwóch nastolatków, które prychały i otwarcie między sobą komentowały staroświeckie zachowanie ro-

dziców, święcie przekonane, że są za starzy na przeżywanie namiętności. Gdyby one wiedziały, pomyślała Maggie, przywołując na myśl obraz intymnej sceny z Eliotem. Mój Boże!. . . Czy aż tak podnieciła ją Afryka? A może była kobietą zdeprawowaną?

Rozwarła gołe nogi pod koszulą, pozwalając, by nocne afrykańskie powietrze igrało w jej wilgotnym centrum kobiecości. Pragnęła Eliota, swojego mężczyzny. Przyjdź do mnie, szeptała, wyciągając ramiona.

Gdyby tylko starczyło jej odwagi, żeby wejść do jego namiotu i wykopać stamtąd uzurpatorkę, tę bezpłciową Carol o mocnym jak twarde drewno ciele i chłopięcej sylwetce. Dosyć już wstydu, udawania i kłamstw.

Ponownie rozległ się ryk lwicy. Maggie w obronnym geście zsunęła nogi i naciągnęła na kolana koszulę.

Nie, nie, nie. To nie było uczciwe. Jak Carol miała czelność odbierać Eliotowi prawo do własnego życia i powstrzymać go w jego dążeniach naprawy świata!. . . Maggie postanowiła nie poddawać się pesymizmowi i depresji. I nie krytykować Eliota za to, że bierze pod uwagę praktyczne względy. Miał na uwadze też jej dobro. I ich wspólne życie.

Rozumiała jego nagłą troskę o pieniądze. Nigdy nie stanowiły w jego życiu problemu. Dzięki nim miał możliwość służenia wzniosłym ideałom. Kłopoty finansowe nadwątlily jego siły. A co gorsza, piętrzyły przeszkody na drodze do ich wspólnej przyszłości. Żałowała, że obarcza ją ciężar macierzyństwa i że nie jest młodsza. W głębi serca wierzyła, że miłość pokona wszystko. Ale pomimo uczuciowej wiosny nie mogła uciec od realiów i odpowiedzialności. Niewesołe rozważania przygnębiły ją, ale zaraz skarciła się w myślach za uleganie atakom przygnębiania. Rozwiązanie było przecież w zasięgu ręki. Mogli pokierować własnym losem. W końcu, po tym optymistycznym spostrzeżeniu, zmorzyła ją senność. Wślizgnęła się pod prześcieradła i zasnęła.

Jakiś czas później powietrze rozdarł głośny, poruszający ziemię odgłos, który przypominał pisk opon gwałtownie hamującego samochodu, poprzedzający zwykle katastrofę. Wystraszeni, oboje z Kenem usiedli na łóżkach. Po chwili znowu zapanowała cisza.

- Cholerny słoń - dobiegł ich głos Jacka Meade'a. - Niebezpieczeństwo zażegnane. Wyniósł się już gdzie indziej.

- Podoba mi się - rzekł Ken, kładąc się z powrotem do łóżka.

- Co ci się podoba? - zapytała Maggie. Serce wciąż łomotało jej w piersi.

- Poczucie zagrożenia - mruknął, odwracając się do niej tyłem. - Jest dokładnie takie, jak opisywał je Hemingway.

Niebezpieczeństwo ma różne kształty, dźwięki i rozmiary, stwierdziła, myśląc nagle o innym rodzaju zagrożenia - o groźbie życia bez uczucia. Brakowało jej Eliota. I jego słów pociechy. Leżał w swoim łóżku, zaledwie kilka metrów od niej.

Och Boże, jak tęskniła za życiem z Eliotem, z takim Eliotem, jakim był dotychczas i jakim musiał pozostać - Eliotem, który podąża za swoimi skłonnościami do "myślicielstwa"; Eliotem targanym filozoficznymi niepokojami. Podziwiała go. Był tak inny od Kena, który się ciągle uciekał do wymówek i pielęgnował zawiedzione nadzieje.

Potrafiła wyobrazić sobie radosne życie w partnerskim związku, zarówno pod względem intelektualnym, jak i fizycznym. Ich role się ze sobą zazębiają. Eliot będzie nadal zbierał myśli, pojęcia, dowody i zjawiska. A ona je usystematyzuje, powiąże ze sobą i przygotowuje do dalszych rozważań. Doszła do wniosku, że Ken jest przypadkiem patologicznym. Czerpał z ich związku tylko przyjemność, której mu nigdy nie skąpiła, sądząc, że ma do niej małżeńskie prawo. Eliot nie tylko brał, ale i dawał. Maggie rozkoszowała się ich wzajemną radością. Rozbudzenie seksualne nastąpiło u nich jednocześnie. Miało to głęboką magnetyczną wymowę, która wykraczała poza logikę. Kiedy Eliot ją pieścił, reagowała na jego dotyk wszystkimi receptorami ciała. I teraz, leżąc, marzyła o tym, żeby wessać go w siebie i pochłonać.

Ken był balastem w jej życiu. Dał jej dzieci i zapewnił przeciętną egzystencję. Statystycznie rozpada się ponad połowa takich małżeństw. Czy go kiedyś kochała? Nie, stwierdziła zdecydowanie. To było złudzenie, błędna interpretacja tego, czego powszechnie oczekiwano od kobiety w jej wieku i z jej pozycją. Prawdziwa miłość była potężna, gwałtowna, fundamentalna i nieskrępowana. Nie mogąc zasnąć, wślizgnęła się z łóż-

ka, rozsunięła zamek, wyszła na zewnątrz i usiadła pod zadaszeniem namiotu. Wpatrywała się w nieprzeniknącą ciemność, z trudem dostrzegając zarys wysokich drzew, które półkołem otaczały obóz. Nie opodal namiotu służby różowo jarzył się żar ogniska, który w sporadycznych podmuchach wiatru wśród gałęzi i niskich krzewów przybierał czerwoną barwę. Obóz otaczała czarna pustka ożywiona dźwiękami afrykańskiej nocy.

Maggie znowu usłyszała ryk lwicy. A może tym razem to był ryk lwa? Dochodził z bardzo bliska. Usłyszała kroki i dostrzegła sylwetkę jednego ze służących, który obchodził obóz z latarką i omiatał ciemność promieniami światła. Wpadł jej do głowy niezdrowy pomysł, który przeszył ją dreszczem. Początkowo, ze względu na jego szkaradność, w ogóle nie chciała go do siebie dopuścić, ale w końcu wytłumaczyła sobie, że to przecież tylko fantazja i ulotna myśl. Załóżmy, że dwie groźne i głodne lwice wejdą na teren obozu, cicho, ostrożnie, krok po kroku. Z jakiegoś osobliwego powodu, równie przypadkowego jak dobór kochanków, lwice rozdzielią się i skierują w stronę Kena i Carol. Śmierć będzie szybka, cicha i bezbolesna. A potem zaciągną ich martwe ciała z powrotem do stada, jak padlinę antylopy gnu. Po tych rozważaniach Maggie wróciła do namiotu i wślizgnęła się do łóżka. Drżała. Na jej ciele pojawiła się gęsia skórka. Oskarżała się o brak serca i okrucieństwo. Przrzekła sobie, że już nigdy nie zatruje studni swojej miłości do Eliota tak strasznymi myślami.

Rozdział XII

Przez następne trzy dni o brzasku wyrывał ich ze snu znajomy i liryczny okrzyk "Jambo". Służący w ten sposób zapraszali ich na gorącą herbatę. Potem przynosili im ciepłą wodę, żeby, umyci i ubrani, mogli zaraz po śniadaniu wyruszyć na safari, gdy tylko wszędzie nad horyzont ognista kula słońca.

Przemierzali kilometry po rozległych równinach Samburu, wśród stad gazeli, antylop, afrykańskich bawołów, zebra, żyraf, pawianów i słoni. Spotykali guźce, prostorożne oraz małe antylopy południowoafrykańskie, man-gusty i szakale, a każdemu z tych zwierząt Meade z Eliotem poświęcali szczegółowy opis.

Stali w ciężarówce, z głowami w otworach dachu, i pstrykali setki zdjęć. Przeczesywali zagajniki i zarośla. Napotykali gepardy i lamparty. Widzieli lwy, które obgryzały szkielety upolowanych zwierząt, i posilające się padliną sępy. W górze nad nimi krążyły orły, myszolowy, przepiórki, gołębie, perliczki, gdzieś tam pojawiały się też czaple.

To prawdziwa uczta duchowa, pomyślała Maggie. Dzikie stworzenia, które kierując się prawami natury, potrafią harmonijnie ze sobą współżyć w naturalnym środowisku. Zastanawiała się, dlaczego te same reguły nie obowiązują ludzi. Na przykład jej i Eliota. Byli przecież najlepszym przykładem doboru naturalnego.

Wracali do obozowiska, żeby schronić się przed palącym słońcem południa i zjeść obiad. Po sjeście, późnym popołudniem, wyruszali na poszukiwanie nowych gatunków zwierząt i bajecznych widoków. Wracali do obozu zwykle dopiero wieczorem, zmęczeni długą jazdą. Potem, po kąpieli, pili alkohol przy ognisku, a gdy purpurowy zachód słońca przechodził w zmierzch, szli do namiotu-jadalni na kolację.

Po posiłku wracali do ogniska. Znowu pili alkohol i prowadzili ożywione rozmowy. Życie na safari było dokładnie takie, jakim je opisał Eliot: pobudzające, romantyczne i tajemnicze.

Eliot i Maggie nie mieli wiele czasu na omówienie zasadniczego porządku dziennego. Dotychczas nie zrobili nic, żeby zostawić Kena i Carol samych. Najbardziej irytujące było to, że nie zdołali znaleźć dla siebie jednej wolnej chwili. A także to, że nie mogli się kochać, i to akurat tutaj, pod osłoną owej okazałej i podniecającej afrykańskiej krainy cudów. To ograniczenie najtrudniej im było znosić. Maggie co jakiś czas napomykała przy Kenie o urodzie Carol, jej czarującej osobowości i wdzięku. Używała wszelkich pochlebstw, jakie przychodziły jej na myśl.

- Wygląda cudownie, nie sądzisz? - mówiła do Kena, gdy Carol wyłaniała się z namiotu, który dzieliła z Eliotem. Carol rzeczywiście wyglądała jak prawdziwa afrykańska królowa, w swoich szytych na miarę spodniach khaki i marynarce z tego samego materiału, z epoletami i kieszeniami, oraz w myśliwskim kapeluszu z sze-

rokim rondem, który nosiła zawadiacko na bakier. Maggie miała podobny kapelusz, ale nigdy nie prezentowała się w nim tak dziarsko jak Carol.

Można powiedzieć, że wszyscy wyglądali wspaniale w strojach safari i w skórzanych butach. Nawet aparaty fotograficzne i lornetki, które nosili zawieszane na szyjach i ramionach, potęgowały złudzenie, że są istotami wyższymi. Byli jak członkowie rodziny królewskiej, którzy przybyli po to, żeby obserwować swoich poddanych - zwierzęta. A te spoglądały na nich ze spokojem, gdy przejeżdżali obok nich ciężarówką - królewską karocą.

W samochodzie były dwa rzędy wymoszczonych skórą siedzeń. Eliot zwykle siadał z przodu obok kierowcy. Maggie tak manewrowała, żeby stać tuż za nim, z głową w tym samym otworze dachu, zostawiając Kenowi i Carol ławkę z tyłu oraz jeden otwór do wyglądania. Bliskość tych dwojga sprzyjała ich planom. Ken i Carol musieli się ścisnąć we wspólnym otworze, jeśli chcieli równocześnie robić zdjęcia. Ale jak dotąd, po trzech dniach, w ich wzajemnych stosunkach nie były widoczne żadne istotne zmiany.

Maggie czekała na sygnał od Eliota.

- Nie śpiesz się na obiad - szepnął jej, gdy wysiedli z samochodu po porannej wyprawie.

Maggie, posłuszna jego życzeniu, długo siedziała pod zadaszeniem namiotu, ociągając się z robieniem makijażu. Eliot wyłonił się ze swojego namiotu dopiero wtedy, gdy inni już byli w jadalni. Ruchem głowy wskazał Maggie, gdzie ma się udać. Natychmiast weszła do środka, rozsunęła tylną klapę i opuściła namiot drugim wyjściem. Spotkali się przy skupisku drzew, które ich zasłaniały przed widokiem z jadalni.

Maggie rzuciła się Eliotowi w ramiona. Pocałowali się, a potem delikatnie ją od siebie odsunął.

- Nie wolno nam - powiedział.

- Długo już tego nie zniosę.

- Ani ja.

- Czy nie możemy odejść stąd na chwilę i pójść się przejść? - szepnęła, rozglądając się po bezkresnej równinie za drzewami.

- Nie teraz - rzekł. - Wieczorem zamierzam wcześniej położyć się spać. Powiem, że nie czuję się dobrze i że jest mi potrzebny wypoczynek. Wyjdę w połowie kolacji.

- A co ja mam robić?

- Chodzi o to, żeby zostawić ich samych przy ognisku.

- A Meade?

- Na pewno jak zwykle zajmie się dłubaniem przy silniku.

- Co wymyślimy jutro?

- Będziesz miała dolegliwości żołądkowe - rzekł Eliot. - A ja wykręcę się z jakiegoś innego powodu. Już moja w tym głowa. - Miał ze sobą kilka książek i gazet. Przez chwilę coś notował.

Zanim odszedł, ponownie ją objął.

- Co z nami? - zapytała.

- Jeśli oddalą się gdzieś sami, skorzystamy z okazji.

- Mój namiot czy twój? - dopytywała się, pieszczotliwie muskając go językiem po uchu.

Ale wieczorem sprawa przybrała niespodziewany obrót.

- Idź beze mnie. Jestem trochę zmęczony. Może później do was dołączę - powiedział Ken do Maggie.

- Musisz coś zjeść, Ken.

- O niczym innym nie marzę jak tylko o tym, żeby się trochę zdrzemnąć. Idź sama.

- Nie wypada, Ken.

- Jestem naprawdę zmęczony. Przyjdę później.

- Czekamy na ciebie - powiedziała Maggie ze złością i jak huragan wypadła z namiotu.

Zajęła swoje miejsce przy stole i skrzyżowała spojrzenia z Eliotem. Carol siedziała z obojętną miną.

- Ken niebawem do nas dołączy - powiedziała Maggie.

- Mam nadzieję, że nic mu nie dolega? - zaniepokoił się Eliot.

- Nie wyglądał zdrowo - stwierdziła Carol, rozsmarowując w skupieniu pasztet na grzance.

- Ja tego nie zauważyłam - rzekła Maggie, patrząc na Eliota pytającym wzrokiem. - Jest tylko trochę zmęczony.

Ciężar konwersacji przejął siedzący u szczytu stołu Meade i zapoznał ich z planami na następny dzień.

- Będziemy wypatrywać w porannym słońcu lamparta. Ale to może nam się nie udać. Niełatwo go znaleźć. Za to na pewno spotkamy inne gatunki zwierząt. Po południu natomiast pojedziemy na słońce. Postaramy się dotrzeć nad rzekę w chwili, gdy wszystkie schodzą się tam na herbatę z plackiem.

- A to dopiero widok - powiedział Eliot. - Jeśli utrafimy we właściwy moment, możemy zobaczyć równocześnie ponad sto słoń. Ósmy cud świata.

- Czy to nie jest niebezpieczne? - zapytała Maggie.

- Nie, pod warunkiem, że nie rozwścieczymy cioteczki - powiedział Meade, śmiejąc się ze swojego żartu, który prędko wszystkim wytłumaczył.

- W tej społeczności panuje matriarchat. Zwykle wszystkim zarządza jakaś apodyktyczna cioteczka. Samce robią wiele hałasu, ale nie mają nic do gadania. To damy zaganiają je do stada. Zdarza się jednak, że samiec wpada w szał, tak jak ten ubiegłej nocy.

- Rzeczywiście wydawał się bardzo rozsierdzony.

- Był wściekły jak wszyscy diabli.

- Dlaczego? - zapytała Maggie.

- Z powodu samotności. Zawodu. Niezadowolenia - odparł Meade. - Ludziom czasami też to się zdarza. Komentarz był zbyteczny. Jedli w milczeniu. Po chwili Meade znowu się odezwał.

- Chyba nie przyjdzie? - rzucił pytająco, gdy już nikt nie wątpił, że Kenowi przepadnie kolacja. Wszyscy skończyli posiłek. - To niedobrze. Nasz szef tak bardzo się starał. - Meade chlubił się posiłkami przyrządzanymi na safari. Były zdrowe, smaczne i tak "wyszukane", jak tylko mogły być potrawy gotowane na ognisku z węgla drzewnego. - Czy mam polecić któremuś z chłopców, żeby mu zaniósł tacę?

Maggie kipiała z wściekłości. Cholerny Ken.

- Pójdę i sprawdzę, jak się czuje - powiedziała, wstając od stołu.

Wróciła do namiotu. Ken leżał na łóżku z zamkniętymi oczami. Potrząsnęła nim.

- Dostyc tego, wstawaj - powiedziała gniewnie.

Powoli otworzył oczy.

- Już ci powiedziałem, że wolałbym się przespać. Nie rób z tego problemu.

- To niezbyt uprzejmie z twojej strony.

- Jestem zmęczony - upierał się, odwracając się twarzą do ściany namiotu.

- Wszystko psujesz - stwierdziła Maggie.

Odwrócił głowę w jej stronę, otworzył jedno oko i przyjrzał się jej badawczo.

- Na miłość boską, wracaj do nich. Niczego mi nie potrzeba.

- Zachowujesz się jak gówniarz. Pomyśl o kosztach, jakie poniósł Eliot z naszego powodu.

- To opóźniona reakcja organizmu na zmęczenie podróżą - stwierdził.

- Raczej brak elementarnych zasad dobrego wychowania - obstawała przy swoim Maggie. Narastało w niej poczucie zawodu. Miała ochotę znów potrząsnąć Kenem, ale się powstrzymała. Jeszcze przez chwilę stała w namiocie, przyglądając mu się, i odzyskiwała panowanie nad sobą.

- Przyślę ci tacę z kolacją - powiedziała.

Wzruszył ramionami i odburknął coś wymijająco. Wyszła przed namiot i głęboko zaczerpnęła czystego nocnego powietrza. Nie wolno mi się zniechęcać, pomyślała. Trzeba wrzucić inny bieg i na nowo opracować strategię. Wróciła do jadalni, ukrywając rozdrażnienie. Na deser podano już pudding i ciasto czekoladowe. Carol obojętnie popijała kawę. Maggie usiadła i spojrzała na Eliota.

- Jest zmęczony - powiedziała.

- To się zdarza po kilku pierwszych dniach. - Wzruszył ramionami, uspokajając ją wzrokiem.

- Sądzę, że powinniśmy mu posłać tacę - zwróciła się do Meade'a, który wydał polecenie w języku suahili jednemu z kelnerów.

- Kawa i brandy przy ognisku? - zapytał Meade, gdy skończyli deser.
Zwykle przesiadywali przy ognisku, dopóki nie ogarniała ich senność. Meade chwilę porozmawiał z nimi i odszedł, żeby sprawdzić samochód przed planowaną nazajutrz wycieczką.
Po nim jako pierwsza poderwała się Carol.
- Jestem bardzo zmęczona. Nie miejcie mi tego za złe, ale już pójdę spać, dobrze?
- O tak wczesnej porze? - zdziwił się Eliot, wymieniając spojrzenie z Maggie. Teraz to już i tak nie miało żadnego znaczenia. Plan diabli wzięli.
- Jutro trzeba być wcześniej na nogach - odparła Carol. Posłała całusa Maggie, cmoknęła Eliota w policzek i odeszła. Słyszeli jej kroki, gdy oddalała się w stronę swojego namiotu.
Eliot i Maggie siedzieli w fotelach, sącząc brandy i obserwując, jak gra płomieni i liści tworzy żywe cienie. Przed oczami Maggie rozpościerał się ponad drzewami zdumiewający zbiór gwiazd - firmament wszechświata.
Zgodnie z przewidywaniami, Meade poszedł do swojego namiotu. Widzieli go w jasnym świetle, jak majsterkuje przy jakimś mechanizmie.
Eliot dorzucił polano do ogniska, które trzaskając stanęło w płomieniach.
- Szkoda - westchnął Eliot. - Taka śliczna noc.
- Wprost widowiskowa - powiedziała Maggie, patrząc na gwiazdy.
- Może jutro - rzekł Eliot. Popijał brandy i był zamyślony.
- Irytujące - stwierdziła Maggie. - To oni powinni tu teraz siedzieć i wdzięczyc się do siebie, a nie my. Uśmiechnęła się i spojrzała na Eliota. Podniósł głowę i też się uśmiechnął.
- Zauważyłeś, jaka jestem zalotna? - drażniła się z nim. Brandy rozgrzała ją od środka. Zakręciło się jej w głowie.
- Mhm - mruknął. I znowu się zamyślił.
- Może jutro oboje będziemy mieć niedyspozycję żołądkową. Niech sami pojedą oglądać słonie. - Umilkła. - Zyskamy czas, żeby ponownie rozważyć sytuację. - Ale Eliot jej nie słuchał. Był zatopiony w myślach.
- Wymyśliłem coś - mruknął w końcu. Odwrócił do niej twarz, ale widziała tylko jej zarys, a nie wyraz.
- Jaka szkoda, że nie jesteśmy nastolatkami, którzy się po raz pierwszy spotkali, bez tych wszystkich komplikacji.
- Tak - przyznał Eliot. Słyszała, jak westchnął. - Ale przy odrobinie szczęścia, możemy mieć przed sobą jeszcze dwadzieścia pięć, a nawet trzydzieści wspaniałych lat życia.
- Liczę na to.
Maggie zmartwiła się, że Eliot myśli w takich kategoriach. Dwadzieścia pięć lat naprawdę dobrze wyglądało jedynie wtedy, gdy się patrzyło wstecz.
- Gdybym był młodszy, nie zaprzętałbym sobie głowy pieniędzmi. Tylko miłość miałaby dla mnie znaczenie.
- A czy nie o nią teraz nam właśnie chodzi? - zapytała, dobrze wiedząc, o czym Eliot mówi. Na pozór ze spokojem przyjął zmianę planów, ale zdawała sobie sprawę, że w nim wrze. Czynnikiem czasu coraz bardziej go niepokoił i nasuwał ponure myśli.
Rozejrzała się dookoła. Ogień przygasał. Płomienie leniwie lizały ostatni kawałek drewna na stosie żaru. Zmniejszył się krąg światła. Spojrzała w ciemność. Dostrzegła zarysy namiotów.
- A teraz powinniśmy dopić alkohol, wstać, wrócić do namiotu i przytulić się do siebie na jednym z tych niewygodnych łóżek - powiedziała.
- Nie ma takiej niewygodności, która by nas odstraszyła - roześmiał się.
Maggie była szczęśliwa, widząc, że Eliot otrząsnął się z przygnębienia. Miała ochotę go dotknąć, ale się powstrzymała w obawie, że ktoś mógłby zobaczyć. Nagle od strony namiotów dobiegł ich jakiś szmer.
- Słyszałeś? - zapytała, patrząc w tamtym kierunku. Eliot podążył za jej wzrokiem.
- Może jakiś zagubiony pawian szuka odpadków - odparł. - Często nocą słychać takie dźwięki.
Rozmowę przerwały im odgłosy szwendającej się w pobliżu służby. Meade nadal majstrował przy samochodzie. Spojrzeli na siebie.

- Powiedz, że mnie kochasz - szepnęła.
 - Kocham cię.
 - To niesprawiedliwość losu. Nie powinniśmy natrafiać na takie przeszkody, teraz, kiedy znaleźliśmy siebie.
 - Przykro mi - rzekł Eliot. - Żałuję, że nie jest inaczej.
- Długo milczeli, przyglądając się sobie w dogasającym żarze ogniska.
- Dołożyć drewna? - zagadnął jeden ze służących.
 - Nie - odpowiedział Eliot i dopiero gdy chłopiec odszedł, odezwał się ponownie.
 - Mają nas na oku, zauważyłaś?
 - To zabawne, ale czuję się tak, jak gdyby ktoś mi się przez cały czas przyglądał - powiedziała Maggie. Oboje pograżyli się w milczeniu, wbijając wzrok w tłący się żar.
 - Naprawdę, nie chciałabym ich zranić - odezwała się nagle Maggie.
 - Zadać im ból? Nie. Myślę o czymś bezbolesnym, szybkim i ostatecznym.
- Maggie poczuła nagły chłód. Nie wiadomo dlaczego była zadowolona, że nie widzi wyrazu jego twarzy.

Rozdział XIII

Przez okno znajdujące się najbliżej ogniska obserwowali Eliota i Maggie, którzy siedzieli w kręgu światła i cicho ze sobą rozmawiali. Nie można było zrozumieć ich słów. W innym niewielkim snopie sztucznego światła widzieli pracującego przy samochodzie Meade'a.

Kłęczeli w namiocie Carol na łóżku Eliota, skąd mieli najlepszy widok na parę przy ognisku.

- Dobrali się jak w kocu maku. To nie ulega wątpliwości - szepnęła Carol. - Zawsze tak uważałem - powiedział cicho Ken. Szepcząc jej do ucha, za każdym razem delikatnie muskał je wargami.

- Jak sądzisz, czy mogą nas usłyszeć? - zapytała.

- Nie, jeśli będziemy zachowywać się cicho.

Ken kłęczał z tyłu za nią i ścisnął ją z obu stron kolanami, splótłszy przed sobą dłonie.

Eliot i Maggie byli pograżeni w rozmowie i nic nie wskazywało na to, że zamierzają odejść.

- Najwyraźniej dobrze czują się w swoim towarzystwie - powiedziała Carol.

- Tak jak zwykle.

- Jak myślisz, o czym mogą ze sobą rozmawiać?

- O czymś, co dotyczy ich pracy - rzekł Ken. - Może o ochronie dzikich zwierząt.

Rozplótł palce i zaczął masować Carol piersi.

- Maggie była bardzo zirytowana, że nie przyszedłeś na kolację.

- W inny sposób nie zdołalibyśmy ich nakłonić, żeby zostali ze sobą sami. Im bardziej będziemy dawać się im we znaki, tym lepiej dla nas.

- Naprawdę sądzisz, że to się może udać? - zapytała Carol. Powtarzała wątpliwości jak refren. Sam też je miał, ale nie tracił optymizmu. Widok Maggie i Eliota popijających brandy i rozmawiających ze sobą półgłosem był dobrym znakiem.

- Coraz mi trudniej zachowywać obojętność, Ken. Gdy siedzimy obok siebie w samochodzie, przychodzą mi do głowy różne kosmate myśli.

- Mnie też.

Pocałował ją w szyję i w płatek ucha, a ona sięgnęła za siebie i zaczęła pieścić jego sztywniejący w spodniach członek. To było ryzykowne. Wszedł tu przez tylną klapę, którą mu otworzyła, i mógł wrócić tylko tą samą drogą. Gdyby Eliot i Maggie zdecydowali się nagle odejść od ogniska, mogli go zauważyć, gdyż przez ułamek sekundy musiał się znaleźć na otwartym terenie. Istniało też prawdopodobieństwo, że Meade oderwie się od pracy i zobaczy Kena, jak zmyka do swojego namiotu. To oczywiście jeszcze by nie przesądzało sprawy, tyle że Meade nie wydawał się najlepszym na świecie kandydatem na powiernika.

- Co z jutrzejszym dniem? - zapytała Carol. - Jedziemy razem z nimi?

- Rano tak. Ale po południu wykręcimy się jakoś - powiedział. Jeszcze tego do końca nie obmyślił. Nie mogli niestety liczyć na samotność z powodu Meade'a. Jednak przy odrobinie szczęścia przewodnik też mógł się wybrać na poobiednią wyprawę.

Carol odwróciła się nagle i sprowadziła Kena z łóżka. Objęła go, rozpięła mu spodnie i przytuliła się do niego.

- Czy dobrze ich widzisz? - upewniła się.

Pochylił się nad jej ramieniem. Z miejsca, w którym stał, miał dobry widok.

- To świetnie - powiedziała, wprowadzając sobie do ust jego sztywny członek i rozpoczynając akt miłosny. - Nie spuszczaaj ich z oka. Posłusznie obserwował parę przy ognisku, ale myślami był gdzie indziej i robił, co mógł, żeby zapanować nad oddechem, który stawał się coraz bardziej nieregularny. Po chwili Carol oderwała się od ukochanego i sama zaczęła się rozbierać.

- Chcę cię mieć w środku - szepnęła.

W tym momencie Ken spostrzegł poruszenie przy ognisku. Eliot i Maggie podnieśli się z miejsc.

- Och nie - jęknął bezgłośnie. - Idą tu. - Podciągnął spodnie, szybko podbiegł do klapy i wydostał się na zewnątrz. Ale zanim zdążył zapiąć rozporek, potknął się o linkę namiotu i z głuchym odgłosem runął jak długi na ziemię. Carol podbiegła, żeby zobaczyć, co się stało, ale on był już na nogach i pokonywał przestrzeń pomiędzy namiotami, tuż przed snopem światła latarek zbliżającej się pary. Wskoczył do łóżka, podciągnął prześcieradło pod brodę i udawał, że śpi.

Rano Ken nie mógł myśleć o niczym innym, jak tylko o niedorzeczności całej sytuacji. Wszystko tu było fałszem. W niczym jednak nie zmieniło to jego postanowienia.

- Lepiej się czujesz? - zapytała Maggie, gdy siedząc na brzegu łóżek, popijali poranną herbatę.

- Tak. O wiele - powiedział pogodnie. Badawczo przyglądał się jej twarzy, żeby sprawdzić, czy zauważyła coś poprzedniej nocy.

- To dobrze - rzekła. Przez chwilę milczał.

- Jak było wczoraj przy ognisku? - spytał obojętnym tonem.

- Och, bardzo sympatycznie.

- Wstawałem do toalety i widziałem was pogrążonych w rozmowie. Aż było miło popatrzeć. Sprawialiście wrażenie bardzo zadowolonych.

- Tak, było bardzo przyjemnie.

- To cudownie, że Eliot może poświęcić się swoim fantastycznym zainteresowaniom. Miał rację co do Afryki. To wspaniały człowiek.

Mówiąc to, przyglądał się Maggie.

- Zgadzam się z tobą - rzekła. Przelotnie spojrzeli na siebie, ale zaraz odwróciła wzrok.

- Mamy szczęście. Możemy się czuć bezpieczni w jego rękach - dodał Ken.

- Masz rację.

- Ten człowiek rzeczywiście zna Afrykę.

- Tak, to prawda.

- Dobrze wyglądaliście razem przy ognisku. Tak, jak gdybyście. . . - szukał w myślach właściwego słowa - . . . do siebie należeli.

Wydawała się trochę zakłopotana. Odstawiła filiżankę.

- Dzisiaj zobaczymy słonie - powiedziała wstając.

- To brzmi bardzo obiecująco.

Czy było w niej coś, czego przedtem nie dostrzegał, czy tylko mu się wydawało? Nie, nie mylił się. Różnica była całkiem wyraźna: Maggie zachowywała się w stosunku do niego z powściągliwością i rezerwą. Zdziwił się, ale to spostrzeżenie zdenerwowało go. A przecież sam pragnął tej odmiany: zmierzał do dystansu w ich wzajemnych stosunkach i do jej zbliżenia z Eliotem.

Meade wcześniej odszedł od śniadania, żeby przygotować samochód. Maggie poprosiła Eliota, żeby jej pomógł załadować film do aparatu. W przeciwieństwie do niej Eliot był z mechaniką za pan brat. Carol i Ken zostali sami przy kawie.

- Uważam, że posuwamy się naprzód - rzekł Ken.

- Na jakiej podstawie tak sądzisz?

Spodziewał się tego pytania, ale nie wiedział, jak na nie odpowiedzieć.

- Czuję to - odparł. Z miejsca, w którym siedział, widział wejście do namiotu i Eliota z aparatem Maggie.

Eliot coś powiedział, pochłonięty zakładaniem filmu. Ken nie dosłyszał słów z powodu zbyt dużej odległości. Zobaczył jednak, że Maggie się uśmiechnęła, spojrzała w ich stronę i zaraz się odwróciła.

- Sprawy pomyślnie się rozwijają. Jest to szczególnie widoczne, gdy są razem. Nie zauważyłaś?

- Obawiam się, że nie - odparła Carol. - Eliot nieustannie naprowadza rozmowę na twój temat. Wydaje mi się to dosyć osobliwe.

- Na mój temat? - zdziwił się Ken.

- Chcę, żebym okazywała ci większą przychylność - powiedziała zniżonym głosem.

- Wciąż to samo, prawda?

Ken był przekonany, że wie, o co chodzi. Pewnie Eliot podobnie jak Maggie ubzdurał sobie, że mają być gronem szczęśliwych przyjaciół. Ken i Carol czuli jednak, że to by mogło przynieść uszczerbek ich planom, które przewidywały tylko udział dwojga.

-Może powinniśmy okazywać sobie więcej sympatii- zasugerowała Carol. - Pokazać im sposób.

- Dać przykład.

- Tak - przytaknęła. - I liczyć na to, że zaczną nas naśladować.

Spojrzała mu w oczy i zaczęła się śmiać. Śmiech nasilał się, a po chwili nie mogła już nad nim zapanować.

- Czy opowiadacie sobie dowcipy? - zapytała Maggie, wchodząc do namiotu. Nalała sobie jeszcze jedną filiżankę kawy. Za nią przyszedł Eliot. - Też chcemy je usłyszeć, Carol - powiedziała.

- Zachowam je na właściwą okazję - rzekła Carol, uspokajając się.

- Cieszę się, że się dobrze czujecie w swoim towarzystwie.

Znowu ta sama chęć zrobienia z nich jednej dużej szczęśliwej rodziny. Obładowani aparatami fotograficznymi i lornetkami wsiedli do samochodu i wyruszyli na długą wycieczkę po rozległych równinach sawanny. Jechali drogą porytą koleinami, która przecinała skały i wyschnięte koryta rzek. Co jakiś czas Meade zatrzymywał pojazd, przyglądał się badawczo stwardniałej powierzchni i szukał śladów zwierząt.

- Lampart - mruknął, wbijając wzrok w ziemię w czasie jednego z takich postojów. - Co za bandyta. Tutaj najtrudniej go będzie znaleźć. - Rozejrzał się uważnie po równinie i ruszył w stronę kotliny. Najpierw prowadził powoli, spoglądając to przed siebie, to na ziemię w poszukiwaniu śladów, a potem przyspieszył, jakby zwietrzył trop.

Wszyscy czworo wytknęli głowy z otworów dachu, a Meade pędził przed siebie w poszukiwaniu drapieżnika. Trzymali się mocno uchwytów. Przewodnik dociskał pedał gazu, aż podskakiwały zawieszony na ich szyjach aparaty fotograficzne, a opony żłobiły ślad w wyschniętej trawie.

Ruch pojazdu i ciasne otwory powodowały, że przy każdym szarpnięciu Ken napierał na Carol. A chwilami, gdy samochód jechał w przechyle, ich ciała były ze sobą niemal zlepione.

Nagle Eliot uderzył pięścią w dach i Meade zahamował.

- Jeśli się teraz zatrzymamy, umknie nam - uprzedził Eliota.

- Nie szkodzi. Spójrzcie na to.

Pośrodku doliny, nie dalej niż dwadzieścia metrów od nich, stał olbrzymi i dziwny ptak. Wyglądał karykaturalnie ze swoją nadmiernie rozdętą szyją i haczykowatym dziobem, który przekrzywiał, kracząc skrzekliwie.

- To drop - rzekł Eliot.

- Co on robi? - zapytała stojąca za jego plecami Maggie.

- Nadaje sygnał - wyjaśniła jej Carol.

- Co za sygnał? - dopytywała się Maggie.

- Stary jak świat: "Chodź się ze mną pieprzyć" - powiedziała Carol.

Przebieg rozmowy zaniepokoił Kena. Pochwycił spojrzenie Carol i skarcił ją wzrokiem. Meade zarechotał rozbawiony.

- A gdzie dama? - zapytała Maggie, rozglądając się wokół. Wszyscy utkwili wzrok w horyzoncie, szukając samiczki. Drop na pewno nie nadymał się bez potrzeby.

Nagle Eliot ją dostrzegł. Wyjaśnił, że samica zwykle porusza się ostrożnie, często się zatrzymuje, nasłuchuje i znowu rusza na sygnał nadętego i napuszonego z żądz samca.

- Samo życie - stwierdziła Carol. - Jego wezwanie podnieca ją seksualnie.

- Wygląda na to, że to podstawowy rodzaj działalności w Afryce - zachichotał Ken. - Wszyscy zachowują się tu naturalnie i bez zahamowań. Ciekawe, czy to udziela się ludziom.

Ken i Carol spojrzeli na siebie i nie dodali już nic więcej. Obserwowali samiczkę, która szła do samca, odpowiadając na jego skrzekliwą demonstrację męskości oraz na głos własnego instynktu.

- Na pewno zaraz rzuci się na nią - powiedziała Carol, pieszczotliwie przyciskając nogę do uda Kena. Gest ten był niewidoczny z punktu obserwacyjnego ponad dachem pojazdu. Siedzący za kierownicą Meade mógłby go zobaczyć, gdyby się odwrócił, ale i on z zapartym tchem przyglądał się przez przednią szybę widowisku.

Ken, mimo że wiedział, do czego zmierza Carol, zareagował zarówno na sugestywny widok parzących się zwierząt, jak i na jej dotyk. Poczł mrowienie w kroku i wzwód członka. Wprawilo go to w zakłopotanie. Na miłość boską, to przecież tylko ptaki, pomyślał.

Aparaty były przygotowane i ostrość wyregulowana, gdy samica powoli zbliżała się do swojego lubieżnego kochanka.

- No dalej, włóż go jej - syknęła Carol przez zaciśnięte zęby, trzymając uniesiony w górze aparat fotograficzny.

Ken udawał, że robi zdjęcia, ale kątem oka obserwował Eliota. Wydawało mu się, że dostrzegł na jego twarzy osłupienie. Czy Carol nie posunęła się za daleko, odsłaniając się przed Eliotem z tej strony, którą znał tylko on? Nie zniósłby, gdyby sprawa niespodziewanie przybrała niewłaściwy obrót.

W końcu samiczka dotarła do nadętego dropa, podstawiając mu kuper. Wziął ją szybko. Wszystko skończyło się po upływie kilku sekund. Odeszła, a on dalej tkwił w tym samym miejscu. Był wciąż nadęty i nie przestawał krakać.

- Znakomite przedstawienie - rzekł Ken.

- Nietypowe - przyznała Maggie.

- Wręcz przeciwnie - powiedziała Carol. - W zwykłym stylu i w typowym układzie.

- On ciągle tam stoi - zauważyła Maggie. - I wciąż się nadyma.

- Niektórzy nigdy nie mają dosyć - stwierdziła sentencjonalnie Carol.

Eliot zastukał w dach pojazdu i Meade ruszył w dalszą drogę. Ale wyglądało na to, że stracił cały entuzjazm do tropienia lamparta.

Ruszyło mnie to - rzekł Ken do Carol, gdy wracali we dwoje do swoich namiotów. Maggie i Eliot zostali jeszcze w samochodzie, marudząc z przewijaniem filmu.

- Mnie też - przyznała Carol. - Ale nas rusza i bez tego.

- Poszłaś na całość - mruknął Ken. Odwróciła głowę, szukając jego twarzy.

- Trzeba pchać sprawę do przodu - powiedziała. Oczywiście miała rację. Należało brać pod uwagę czynnik czasu. Kiedy pomysł wpadł mu do głowy, niewiele uwagi poświęcał temu problemowi. Myślał tylko o tym, co należy zrobić, o procesie wykorzystania całej potencjalnej siły perswazji. A przecież czas był równie ważnym celem.

- Sądziś, że to podziałało? - zapytała Carol.

- Na nich czy na nas? - odpowiedział pytaniem, uśmiechnął się niewinnie i oboje zniknęli w swoich namiotach.

Przemierzali tego ranka wiele kilometrów. Spotkali kilka słoń i dwa gepardy. Łudzili się, że zobaczą te ostatnie w czasie żeru, ale zwierzęta nie miały najmniejszej ochoty na polowanie. Bawiły się wokół ciężarówki, skakały do dachu i łapami czepiały się opon jak dwa zaciekawione i zupełnie niegroźne kociaki.

Po powrocie Ken zamówił prysznic. Namydlił ciało, pociągnął za łańcuch i splukał mydliny. Umył włosy i wyszedł z "przybudówki" z ręcznikiem owiniętym wokół bioder.

- Niezłe widowisko - stwierdziła Maggie. Była tylko w biustonoszu i w majtkach. Też zamierzała wziąć prysznic. Nagle przyszło mu na myśl, że jest podniecona. Bał się, że zmusi go do aktu, na który on nie ma najmniejszej ochoty, a w każdym razie nie z nią. Zupełnie nie był w nastroju owego dropa.

- Prawa natury - powiedział, odwracając się do niej plecami i wciągając slipy.

- Carol zawsze robiła na mnie wrażenie damy - rzekła Maggie. - Założę się, że jeszcze nie wszystko o niej wiemy. Nie sądzisz, że ma gorący temperament?

- W takim razie Eliot jest prawdziwym szczęściarzem.

- Nie sądzę, żeby go zajmowały takie rzeczy.

- Jakie rzeczy?

- No wiesz, seks. Ale założę się, że nie są obojętne Carol. Zawsze to w niej wyczuwałam. Kobiety mają w tych sprawach intuicję. Widać to w jej ruchach. I w jej postawie.

Ken słyszał, jak służący napełnia zbiornik wodą.

- Kąpiel gotowa! - zawołał chłopiec.

Maggie włożyła frotowy szlafrok i skierowała się w stronę wydzielonego pomieszczenia z prysznicem.

- "Chodź się ze mną pieprzyć" - powiedziała roześmiana, powtarzając uwagę Carol. - To mi się podoba.

Rozdział XIV

Nie weźmiecie mi za złe, że pozbawię was towarzystwa Maggie w popołudniowej wyprawie? - zapytał wesoło Eliot. Maggie podniosła wzrok, szukając jego twarzy. Zeszłego wieczora wspomniał o możliwości zorganizowania czegoś. Nie uprzedził jej jednak dokładnie o swoich zamiarach.

Właśnie wyszli z namiotów, gotowi do jazdy.

- Wpadłem na pomysł, jak ulepszyć bazę danych komputerowych o dzikich zwierzętach - wyjaśnił i zwrócił się do Maggie. - Mam nadzieję, że nie sprawiam ci kłopotu. W czasie sjeisty, gdy wszyscy inni spali, Eliot siedział pod zadaszeniem namiotu i robił notatki.

- Ależ skąd, Eliocie. To dla mnie prawdziwa przyjemność.

- W Masai Mara będzie o wiele więcej słoń - rzekł Meade.

Wkrótce mieli pojechać do krainy Masajów, która zdaniem Eliota była o tej porze roku o wiele bardziej malownicza, zielona i kusząca od wypalonego słońcem Samburu.

Epizod z dropem dziwnie na niego podziałał. Czuł się ograbiony. A nawet gorzej - osamotniony. Jedyna kobieta, którą naprawdę kochał, stała kilka kroków od niego, uwięziona w pułapce jego absurdalnego projektu. Zazdrościł bezrozumnemu ptakowi, że może kierować się nakazami instynktu.

Spojrzał na Kena i Carol, zastanawiając się, jak przyjęli jego wytłumaczenie. Zależało mu na tym, żeby pomysł wyprawy we dwójkę nie wyglądał na ukartowany spisek. Oczywiście obecność Meade'a ograniczała skuteczność jego podstępu. Plan lepiej by się powiódł, gdyby byli ze sobą sami. Miał jednak swoje zalety. Stwarzał okazję do zadzierzgnięcia się pomiędzy tymi dwojgiem uczuciowych więzi.

- Jeśli o mnie chodzi, nie mam nic przeciwko temu - powiedziała Carol i ruszyła w stronę ciężarówki. Ken poszedł za nią. Odwrócił się przy drzwiach samochodu.

- Mam nadzieję, że nie straciecie niczego godnego uwagi! - zawołał do nich. Pomachali mu na pożegnanie. Meade zapuścił motor i samochód wyjechał z obozu, kierując się w stronę równin.

- Sprytnie pomyślane - pochwaliła Eliota Maggie, gdy odjechali. Nie zrobiła żadnego czulego gestu. Obok kręcili się służący, sprzątając po obiedzie.

- Wolałbym, żeby byli ze sobą zupełnie sami - powiedział, wstając od stołu. Wyszli z jadalni i usiedli pod daszeniem namiotu Eliota.

- No cóż, mamy wspaniałe popołudnie tylko dla siebie. To też coś.

- Usiłuję wygrać dla nas całe życie - stwierdził Eliot. Spojrzał w kierunku służby krzątającej się przy myciu naczyń i praniu ubrań. Jeden ze służących prasował żelazkiem na duszę spodnie rozłożone na płaskiej skale.

Maggie wzięła Eliota za rękę.

- Do diabła - zezłościła się. - To jest nieuczciwe.

- Uczciwość przestała mnie interesować. Więcej uwagi poświęcam temu co osiągalne.

- Tak jak my jesteśmy dla siebie w tej chwili - powiedziała Maggie, podnosząc jego rękę do ust.

- Chyba nie z nimi wszystkimi naokoło - zauważył Eliot, wskazując na służących.

- Prawie nie mówią po angielsku.

- Mają oczy i uszy. A Meade rozumie język suahili.

- Co nas obchodzi Meade?

- Każdy może przysporzyć nam kłopotów - odparł Eliot.

- Jesteśmy w Afryce, a tutaj wieści rozchodzą się bardzo szybko. Zbyt szybko.

- Co wobec tego proponujesz?

Zdawał sobie sprawę, że trudno jej to zrozumieć. Nie pochodziła przecież z wyższych sfer. Nigdy nie wolno zapominać o obecności służby, która węszy plotki i nie spuszcza swoich pracodawców z oka. Nie należy jej dawać powodów do strzępiania sobie języków. Wielu panów znalazło się w tarapatkach za sprawą służących, którzy wiedzieli zbyt dużo.

- Chcesz powiedzieć, że spędzimy wspólnie resztę dnia i nie skorzystamy z okazji?

W jej słowach zabrzmiała nuta sarkazmu. Eliot uśmiechnął się.

- Właśnie wybieramy się na spacer.

- Czy będziemy bezpieczni? - zapytała Maggie.

- O tej porze dnia, tak. Drapieżniki mają teraz pełne brzuchy po nocnych łowach. Poza tym nie figurujemy w menu większości z nich.

Poprowadził ją okrężną drogą za namiotami. Przystanął, żeby się upewnić, czy nikt ich nie widzi, i skierował się w stronę gęstwiny drzew, które oddzielały równinę od obozu. Drzewa stanowiły kryjówkę, niewidoczną nawet z okien przejeżdżających przez sawannę samochodów.

Eliot szedł prędko, dokładnie zapamiętując drogę. W czasie poprzednich podróży poznał różne naturalne punkty orientacyjne - najwyższe pasmo gór wskazywało północ, wijąca się rzeka południe, a zachód określało miejsce słońca na niebie.

- Nie marnujesz czasu - powiedziała Maggie za jego plecami. Wybierał drogę w cieniu drzew. Unikał męczących wzniesień, żeby nie tracić sił. Widzieli po drodze zwierzęta. Stado zebr wymieszane z grupą żyraf z wdziękiem poruszało się w plamach światła, przystając co jakiś czas, żeby poskubać liście z gałęzi.

W oddali wolno przesuwały się po równinie stada słoni. Ale Eliot wiedział, gdzie czai się prawdziwe niebezpieczeństwo. Wypatrywał lwicy z małymi. Ten rzadko spotykany o tej porze dnia widok niósł ze sobą poważne zagrożenie. Każda kotka z małymi była niebezpieczna. W tej części świata instynkt macierzyński popychał do zbrodni.

- Czy nie uważasz, że oglądana w ten sposób Afryka jest zachwycająca? - zapytał. Szli gęsiego, chociaż nie było wyznaczonego szlaku. Prowadził Eliot.

- Wprost brak mi słów - powiedziała Maggie.

- Nie jesteś zmęczona?

- Jestem pobudzona. Mogłabym tak iść bez końca.

Obejrzał się, spojrzawszy na nią i uśmiechnął się. Nie mógł oprzeć się wrażeniu filozoficznej wymowy ich obecności tutaj, na tej bezkresnej przestrzeni, pośród egzotycznych gatunków zwierząt. Chociaż darzył wszyst-

kie stworzenia wielką czcią, cieszyła go myśl, że to człowiek - z powodu złożoności swojego umysłu oraz zdolności logicznego rozumowania i przyswajania wiedzy - jest istotą wyższą i dlatego najsilniejszą. Otaczająca przyroda pozwalała mu odczuć własną potęgę. Do osiągnięcia celu potrzebował teraz każdej odrobiny sprytu, każdej szczypty pomysłowości. Musiał być przebiegły. Nie zamierzał dać się ograbić. Szli po trawie w stronę łagodnego wzniesienia, z którego widać było rzekę połyskującą w dole jak wstążka. Nad jej brzegiem bawiła się rodzina pawianów. Eliot i Maggie przykucnęli i obserwowali przez chwilę skaczące pomiędzy drzewami zwierzęta, dopóki nie zniknęły im z pola widzenia i nie zaszyły się głęboko w gęstych zaroślach. Nie opodal, na kopcu mrowiska, stała samotna prostorożna antylopa afrykańska. Jej sylwetka odcinała się w słońcu, które powoli obniżało się na niebie i rzucało wydłużone cienie.

- Czarujące, nie sądzisz? - zapytał Eliot, śledząc wzrokiem wgłębienia w ukształtowaniu łądu. Wiedział dokładnie, gdzie się znajdują. Dostrzegał w oddali wierzchołki drzew, które otaczały ich obóz. Nagle usłyszał głos Maggie.

- Eliocie! - zawołała.

Obejrzał się. Była naga. Ubrania leżały rozrzucone wokół niej na ziemi. Wyciągnęła do niego ramiona. Słońce połyskiwało na jej skórze i Eliot przez dłuższą chwilę wpatrywał się w nią, czując narastające pożądanie.

- Nareszcie jestem wolna! - wykrzyknęła. - Och, Eliocie, tak bardzo cię pragnę.

Zdarł z siebie ubranie i pobiegł w jej stronę. Rozpierało go poczucie swobody i niepohamowana radość z powodu bliskości wszystkich stworzeń zamieszkujących tę rozległą sawannę.

Kiedy był już prawie przy Maggie, niespodziewanie odwróciła się do niego tyłem i pobiegła w kierunku rzeki. Obejrzała się, zapraszając go do rytuału godów. Podążył za nią, ciesząc się promieniami słońca na gołej skórze i chłodnym podmuchem powietrza wywołanym ruchami ciała.

Nie zatrzymała się na brzegu, ale brnęła dalej w wodę. Skaczące pawiany obejrzały się za nią, ale zaraz powróciły do zabawy na drzewach. Eliot zauważył, że tylko samotna antylopa obojętnie tkwi nadal w tym samym miejscu.

Narastało w nim podniecające uczucie zagrożenia, gdy za przykładem Maggie szedł w bród przez rzekę. Strumień był płytki. Sięgał mu zaledwie kolan, ale woda była czysta i przyjemnie chłodziła ciało. Spoglądając w dół, wyraźnie widział palce u nóg. Maggie obejrzała się i pomachała mu ręką. Pośpieszył za nią. Zmierzała do szerokiej i płaskiej skały, która tworzyła suchą wyspę w nurcie wąskiego strumienia.

Maggie dotarła do celu, usiadła na skale i podwinęła pod siebie nogi. Odwróciła się w jego stronę. Przyglądając mu się, czekała na niego uśmiechnięta. A kiedy był już całkiem blisko, podała mu rękę, pomagając podciągnąć się w górę.

W jej objęciach poczuł pełnię swojego pożądania. Uświadomił sobie nagle, że zrzucił z siebie resztkę pozostałości cywilizowanego świata, stając się kimś zupełnie innym. Miał wrażenie, że urodził się na nowo jako człowiek pierwotny w dzikim i niczym nie skrzepowanym świecie.

Kiedy go dotykała, pieszcząc jego męskość i całując go, stracił poczucie czasu i w pełni pojął znaczenie pierwotnej siły ludzkości. Zadośćuczyniając własnemu pragnieniu oraz potędze kobiecości Maggie, wszedł w jej ciało, jak gdyby była wielką Matką Ziemią, która przygarnia z powrotem do swego łona jednego z synów. A potem przyszło sensacyjne odkrycie, że dla obojga jest to pierwsze prawdziwe spełnienie, dopięcie świętego celu i rozkosz możliwa tylko na szczycie ekstazy.

Ich ciała chciwie zmierzały do punktu kulminacyjnego, poruszając się w przyspieszonym rytmie. Równocześnie krzyknęli, wstrząsani dreszczem orgazmu. A potem długo milczeli, patrząc, jak nurt rzeki wiruje wokół skały. Obserwowali ptaki, które co jakiś czas wskakiwały do wody, by po chwili znów szerokim łukiem szybować w powietrzu. Przyglądali się wydłużonym cieniom drzew, gdy słońce coraz niżej chyliło się ku zachodowi.

Eliot czuł, jak jego ciało astralne unosi się w górę i z wysoka obserwuje zachowanie swojego drugiego ja, które jest związane z kobietą leżącą u jego boku. Dryfująca świadomość wierzyła, że tych dwoje po to zostało rzuconych w bogactwo afrykańskiego kontynentu, by dać na nowo początek światu i stać się zaczątkiem ludzkości.

Maggie leżała z głową na piersi Eliota i wodziła palcami po jego ciele.

- Czy musimy wracać? - zapytała. - Czy nie możemy po prostu zniknąć w buszu, zostać jednymi ze stworzeń równiny? Uniknęlibyśmy w ten sposób wszelkich trosk i obarczających nas obowiązków. - Spojrzała w stronę drzew, gdzie odpoczywało stado pawianów. - Ucieknijmy razem z nimi.

- Za późno - rzekł Eliot. - Wygraliśmy z nimi w wyścigu ewolucji.

- Wygraliśmy? - Roześmiała się. - Przecież to my cierpimy z powodu cywilizacji i obowiązku ponoszenia odpowiedzialności, chociaż dobrze wiemy, że nasze miejsce jest tutaj.

- Dlatego właśnie nic nie może nas powstrzymać, Maggie. - Znowu obudził się w nim optymizm i pewność siebie.

- Nic. Należymy do siebie.

Pocałowali się mocno i wyciągnęli na skale jak dwa lwy morskie zażywające słonecznej kąpieli.

Ale myśli Eliota przesłonił cień. Przypomnił sobie cywilizację i wszystkie jej złowieszcze symptomy. Najbardziej pielęgnowane przez Eliota wartości zostały bez jego winy w nieuczciwy sposób zbezczeszczone. Carol uzurpowała sobie prawo nie tylko do jego materialnych dóbr, ale i do jego szczęścia. Widział ją teraz jako osobę, która go oszukała i podle wykorzystała.

Nagle przestraszył ich przeraźliwy pisk pawiana. Zerwali się na równe nogi. Najwidoczniej krzykliwy pawian wyśledził samca, który usiłował pokryć jego partnerkę. Wrzeszcząc, zagonił konkurenta do rzeki. Eliot i Maggie obserwowali pogoń, dopóki zwierzęta nie zniknęły im z pola widzenia.

- Ich nie dotyczą umowy przedmałżeńskie - powiedział figlarnie Eliot. Myśl ta na nowo natchnęła go determinacją.

- Mają szczęście - westchnęła Maggie.

Wrócili w bród do brzegu. Znaleźli miejsce, w którym zrzucili garderobę. Ubrali się i ruszyli w drogę powrotną do obozu.

Rozdział XV

Meade opowiadał przy ognisku, jak podążali za niewyobrażalnie olbrzymią gromadą słoni, które zeszyły się z różnych stron sawanny i zmierzały do tego samego punktu w rzece.

- Bardzo żałuję, że tego nie widziałam - powiedziała Maggie.

- To był fantastyczny widok - stwierdziła Carol. - Prawda, Ken?

- Tak, wspaniały.

W oczach Meade'a błyskały iskierki ognia. Przerzywał opowieść tylko po to, żeby się napić i ponownie napełnić szklanek whisky. Siedział na ziemi, obok swojego fotela. Dotychczas zachowywał się bez zarzutu, ograniczając łączne spożycie alkoholu przed i po kolacji do dwóch, najwyżej trzech drinków. Ale teraz przekroczył ten limit i jego bulwiasty nos zaczerwienił się jak papierek lakmusowy.

Carol wiedziała naturalnie, że Meade lubi whisky i że od lat w czasie safari pohamowuje swoje skłonności do alkoholu, w myśl cichej umowy, jaką zawarł z Eliotem, który go podziwiał za doświadczenie i zaangażowanie, ale nie znosił jego słabości.

Za każdym razem, gdy Meade chciał przeprosić i odejść, Maggie zatrzymywała go, pragnąc dowiedzieć się czegoś więcej na temat popołudnia spędzonego wśród słoni. Carol zdawała sobie sprawę, że zachęcanie Meade'a do snucia opowieści o tej porze jest równoznaczne z nakłanianiem go do picia. Meade był człowiekiem, który kochał życie w buszu, dziką przyrodę oraz zwierzęta i uwielbiał drobiazgowo rozprawiać o swoich wyczynach.

Carol rozumiała też, że jako stary myśliwy głęboko ubolewa nad wprowadzeniem zakazu polowań. Często wyjaśniał ideę myślistwa, istotę tajemniczego i naturalnego związku, jaki łączy zabójcę z ofiarą, oraz poetykę posłannictwa tego zawodu - konieczności zapewnienia człowiekowi statusu króla wszystkich drapieżników. Rytuał zabijania, tłumaczył, jest symbolem ludzkiej potrzeby dominacji nad wszystkimi gatunkami zwierząt. Człowiek jest prawdziwym królem dżungli, głosił.

W jego przekonaniu, za starymi zwyczajami przemawiały też względy praktyczne. Stada powinny być przetrzebiane. Walka o terytorium i o pożywienie stawała się zbyt drastyczna. Śmierć na polowaniu była honorowa i bardziej godna od pozbawionej wdzięku i poniżającej śmierci poniesionej z głodu albo na skutek mordu dokonywanego przez kłusowników. Jak wszyscy prawdziwi myśliwi, Meade czuł odrazę do tych, którzy zabijają dla trofeów, i zawsze, choćby nawet symbolicznie, spożywał upolowaną zwierzynę.

Wyjaśnienia oraz poglądy Meade'a zawsze wydawały się Carol pretensjonalne i błędne, ale zarazem fascynujące. Jak zwykle miała ochotę go zapytać, w jaki sposób dokonuje wyboru, kto ma żyć, a kto jest skazany na śmierć. Ale pewnie by jej odpowiedział bez wahania, że zdaje się na swój instynkt. Myśliwy wie, kto musi umrzeć. Ta myśl nigdy nie dawała jej spokoju, choć Meade był niezachwiany w swoim przeświadczeniu.

Zasoby jego opowieści były niewyczerpane. Umiejętnie podgrzewany alkoholem, szklanką lub dwiema ponad normę, mógł opowiadać nawet i całą noc. I trzeba przyznać, że dopóki jego język nie stał się bełkotliwy, facet był zajmujący i zabawny. Eliot wcześniej położył się spać.

- Zaparkowaliśmy samochód z dala od brzegu rzeki - mówił Meade. - Słonie schodziły w dół łagodnym zboczem. Co to była za parada. Ile ich naliczyliśmy? - zwrócił się do Kena, który siedział obok niego w fotelu.
- Och Boże, chyba ze dwieście.

- Dwieście cholernych słoni. Zeszła się cała ich wspólnota, żeby ze sobą poplotkować i pospacerować.

Dzieci bawiły się nad rzeką pod czujnym okiem cioci, mam i nianiek, a kilkunastoletnie wyrostki waliły się głowami. To był naprawdę zniewalający widok.

Opróżnił szklankę i nalał sobie następną.

- Nie baliście się? - zapytała Maggie.

Meade pogardliwie wzruszył ramionami.

- Ja się bałam - odparła Carol.

- Czasami cioteczkom się wydaje, że ktoś chce skrzywdzić młode. Jeśli błędnie oceniam zamiary człowieka, machnięciem trąby rozwalą go na kawałki. Słoń jest największym zabójcą. Zjrzyjcie do statystyk zoo. Najwięcej śmiertelnych ofiar znajdziecie wśród strażników słoni. Przekonałem się na własne oczy, jak bardzo te zwierzęta potrafią być agresywne. Mogę wam o tym opowiedzieć.

Jakimś cudem mówił wyraźnie, jak gdyby był całkiem trzeźwy.

- W jaki sposób odróżniają przyjazne zachowanie od złych zamiarów? - napierała Maggie.

- Zdarza się, że miewają urojenia - odparł Meade.

- Paranoja u słoni? - zdumiała się Maggie.

- Wywołuje ją lęk. Kłusownicy przychodzą z bronią automatyczną i dla zdobycia kości kładą pokotem całe stada. Słonie straszliwie się boją. Potrafią w jakiś sposób komunikować się ze sobą i przekazują strach innym. Cholerna sprawa.

- Ci kłusownicy to wyjątkowe kanalie - powiedział Ken, kręcąc głową.

- I najgorsze szumowiny - podchwycił Meade, wzmacniając się kolejnym drinkiem. - To właśnie z powodu cholernej kości słoniowej ja i moi kumple zostaliśmy wykurzeni przez tych łotrów z interesu. Najpierw z polowań na nosorożce, a potem na słonie. My, ludzie, jesteśmy bandą szubrawców.

Carol wiedziała, że Meade za chwilę straci wątek. Ale nie było sposobu, żeby go powstrzymać, tym bardziej że Maggie nie wyczerpała jeszcze wszystkich pytań.

- Jak pan sądzi, czy zobaczymy je jeszcze? - nie dawała za wygraną.

- To tylko kwestia liczby - odparł Meade. - Na pewno je zobaczymy, ale trudno powiedzieć, ile ich będzie.

Nie co dzień trafia się taka gratka.

- Takie już moje szczęście - westchnęła Maggie, wrzucając do ognia szczapkę drzewa, która w jednej chwili stanęła w płomieniach, rozlewając jasny krąg światła, za obrębem którego panowała ciemność, i nie sposób było niczego dostrzec.

- Pewnie jest pan już bardzo zmęczony - zwróciła się do Meade'a Carol.

- Coś trzeba zrobić z kłusownikami, to pewne - oświadczyła Maggie, otwierając nowy temat, w który Meade się ochoczo zagłębił, analizując wszystkie powody kłusownictwa oraz środki przeciwdziałania temu zjawisku.

- Pieniądze, pieniądze, pieniądze. Kość słoniowa, róg nosorożca. Obok zwykłej konkurencji o pastwiska dla zwierząt hodowlanych. Ci cholerni dranie na górze nie mają pojęcia o zarządzaniu ziemią. To straszne, że tak wspaniałe zwierzęta zostały skazane na zagładę z powodu ignorancji rządu. Powinno się z miejsca rozstrzelać tych nikczemników. - Mówił niemal na jednym wydechu, milknąc tylko po to, żeby ponownie napęłnić sobie szklankę. Ale z powodu podniecenia i alkoholu zaczynał się już powtarzać i robił się zgryźliwy.

- Sądzi pan, że to rozwiązałoby problem? - zapytała Maggie.

Czy ona nie widzi, w jakim jest stanie? - zastanawiała się Carol.

- Mam to gdzieś - odparł Meade. Wyglądało na to, że wkrótce stanie się jeszcze bardziej wojowniczo usposobiony.

- Myślę, że lepiej będzie, jeśli pójdziemy już spać - powiedziała Carol, podnosząc się i patrząc na Maggie, która odwróciła wzrok.

-Mogłabym słuchać tych opowieści przez całą noc- oświadczyła.

- Czas się zbierać - rzekł Ken, wstając i przeciągając się.

- Nie powinienes zrobić tego samego, Meade?

- Nie jesteś moją niańką - wypalił Meade.

- Uchowaj Boże - odparł Ken.

Meade prawdopodobnie zdał sobie sprawę ze swojego stanu. Wstał i zachwiał się na nogach. Był bardzo pijany. Miał trudności ze zrobieniem kroku. Wyciągnął przed siebie ręce, asekurowując się przed upadkiem.

- Idziemy, chłopie - powiedziała Maggie, zarzucając sobie na ramię jego rękę. Meade mruknął coś, protestując, ale nie stawiał wielkiego oporu.

- Pomogę ci - zaproponował Ken.

- Nie, dziękuję - powiedziała Maggie, odprawiając go machnięciem ręki. - Nie ma problemu. Poza tym czuję się odpowiedzialna za jego stan. Wy zostańcie. Odprowadzę wielkiego białego myśliwego do namiotu i położę go spać.

I odeszła, znikając razem z przewodnikiem w ciemności. Carol i Ken usiedli z powrotem. Cały wieczór bez powodzenia próbowali znaleźć się przez chwilę sam na sam.

- Nie bez powodu poczuwa się do winy. Podtrzymywała wywody Meade'a, a to najpewniejszy sposób, żeby się zalał na umór - rzekła Carol.

- Kiedy się czymś zainteresuje, nie można jej powstrzymać.

- Powinna wziąć pod uwagę jego słabość. Już od godziny był pijany - oburzyła się Carol.

- Mniejsza o to. Czy zauważyłaś po powrocie coś obiecującego pomiędzy nią a Eliotem? To dla nas najważniejsze.

- Trudno powiedzieć - szepnęła.

- Eliot wyglądał na wyczerpanego. Przez całą kolację ziewał.

- To niekoniecznie musi o czymś świadczyć - rzekła Carol.

Podczas kolacji Eliot powiedział im, że on i Maggie wybrali się na krótki spacer po sawannie.

- Musieliśmy trochę rozprostować kości - wyjaśnił.

- Sądzisz, że do czegoś mogło pomiędzy nimi dojść? - zapytała Carol.

W ciągu dnia nosiła się z zamiarem użycia jakiegoś fortelu. Chciała nakłonić Meade'a do wcześniejszego powrotu do obozu. Łudziła się, że nakryją Eliota i Maggie w niedwuznacznej sytuacji. Ale na widok słoni pomysły wyleciały jej z głowy. Poza tym, mimo obecności Meade'a dobrze się czuła w towarzystwie Kena.

- Jak by było wspaniale, gdybyśmy tu byli sami - rzekł Ken.

- Tak, cudownie.

- Wrócimy tu, gdy tylko będziemy wolni - szepnął. Też wypił kilka drinków i z optymizmem patrzył w ich wspólną przyszłość. - Może wybierzemy się do Tanzanii i zapolujemy na grubego zwierza.

W Tanzanii polowanie było wciąż dozwolone.

- Namiętność starego Meade'a naprawdę zrobiła na tobie wrażenie - roześmiała się Carol.

- Nie tylko Meade'a - zauważył Ken. - Hemingway też dostrzegał mistyczny charakter tego miejsca. Już sama obecność tutaj zbliża człowieka do prawdy. I właśnie Hemingway sformułował odwieczne pytanie dotyczące Afryki.

- Jak ono brzmi? - zapytała Carol.

Ken milczał, pochłonięty myślami. Jego wzrok stał się zamglony.

- Dlaczego lampart wspiał się na Kilimandżaro powyżej wysokości, która gwarantowała mu przetrwanie. Hemingway zadał je we wprowadzeniu do opowiadania zatytułowanego "Śniegi Kilimandżaro".

- A co ty o tym sądzisz? Dlaczego lampart to zrobił? - zaciekała się Carol.

Ken wzruszył ramionami, ale zaraz twarz mu pojaśniała.

- Nietrudno uwierzyć w tak cudownym miejscu jak to, że wszystko jest możliwe.

- Czy ufność lamparta znalazła uzasadnienie? - dociekała Carol.

- Nie. Odkryto jego zamrożony szkielet tuż pod zachodnim szczytem - mruknął Ken, patrząc w ogień. - Najwidoczniej próbował dosięgnąć gwiazd. Może właśnie w tym tkwi sedno problemu?

Carol zadrżała i rozejrzała się dookoła, obrzucając wzrokiem świetlisty obwód, jaki wytyczały płomienie ogniska. Miała ochotę wyciągnąć rękę i dotknąć Kena. Ale zamiast tego wymyśliła inny rodzaj pieczyoty.

- Pewnego dnia nasza historia i to miejsce zostaną uwiecznione w książce. W powieści Kramera. Ludzie powiedzą, że znalazł natchnienie w Afryce. Tak jak Hemingway. - Nagle przypomniała sobie własne stracone marzenia. Tak, pomyślała, gdy będą wolni, poświęcą temu wszystko co konieczne. Wreszcie, nie mogąc się oprzeć pokusie, wzięła go za rękę.

- Ejże - zganił ją Ken. Wyrwał dłoń, zaskoczony, i spojrzał w stronę pogrążonych w ciemności namiotów.

Pewnie Maggie już zdążyła odprowadzić Meade'a i wróciła do siebie. - To niepotrzebne ryzyko.

- Jestem zmęczona kontrolowaniem się na każdym kroku - powiedziała Carol.

- Nie wolno ci upadać na duchu.

- Szczerze mówiąc, nie widzę w ich stosunkach żadnej zmiany.

- Jestem innego zdania. Dostrzegłem subtelny różnicę w sposobie, w jaki na siebie patrzą.

- Nic nie zauważyłam.

Postukał się palcem po czole.

- Zdaj się na oko pisarza.

- Może masz rację. Ja jednak nie widzę nic nowego i zaczyna mnie to przygnębiać.

Odkryła w sobie niebezpieczną kombinację cech: małostkowości ze zniecierpliwieniem. Uczucie złości, które powstrzymywała od chwili przyjazdu do Afryki, ponownie zawładnęło jej umysłem. Pozwoliła, żeby miłość zagroziła jej bezpieczeństwu. Może ich początkowy sukces w zaaranżowaniu tej podróży był tylko fałszywą obietnicą losu, domkiem z kart, i na nic nie mogły się zdać wszystkie zawile strategie. A co będzie, jeśli afrykańska podróż okaże się fiaskiem?

Carol nie chciała nawet myśleć o tym, że może stać się - o paradoksie! - ofiarą praworządności. To byłoby nieludzkie i wbrew naturze. Dlaczego miałyby ją spotkać kara za uczucie? Każde inne rozwiązanie, na przykład konfrontacja z Eliotem i zaproponowanie mu porozumienia, przerażało ją. A może Ken miał rację i istniała szansa na kompromis? Znowu wróciła do początkowych rozważań. Eliot był zbyt surowy i zbyt opanowany, żeby zrozumieć potrzeby serca i namiętność. Z drugiej strony był człowiekiem, którego zainteresowania wiązały się ze zrozumieniem ogólnych problemów ludzkości. Tylko że to szczególne uczucie na pewno by rozpatrywał z punktu widzenia jednostki. A to nie wróżyło nic dobrego. Nawet gdyby w pełni pojął jej motyw, chęć zatrzymania przez nią dóbr tłumaczyłby jako wyraz jej chciwości i zaborczości. Mógł też twierdzić, że przelewając jego pieniądze na swoje tajemne cele, świadomie go okradała. Na tej podstawie sprawa mogła trafić nawet do sądu. Rzeczywiście nabywała rzeczy na swoje nazwisko, licząc na wzrost ich wartości. Ale czy istniał jakiś inny sposób, żeby obejść tę straszliwą przedślubną umowę?

Eliot miał mnóstwo pieniędzy. Pewnie stać go na gest litości i na zgodę, żeby wycofała się z kontraktu zachowując w całości własny majątek. Może powinna postawić sprawę otwarcie: pozwól mi zabrać co moje jako rekompensatę za lata wiernej służby. W tym kontekście to brzmiało tak logicznie. A może powinna domagać się mniej? Ale myśl o negocjowaniu tego, co się jej słusznie należy, zdenerwowała ją. A miłość? Też miała swoją niewymierną wartość. Życie bez uczucia jest jałowe i samotne. A co z życiem bez pieniędzy i poczucia bezpieczeństwa? Jedno i drugie dobrze знаła, jedno i drugie jest równie okropne.

Rozzłościła ją własna bezradność i poczucie całkowitej zależności od decyzji Eliota. Czy miała jakiś wybór? Spojrzała na Kena. Tak. Postanowiła, że wyzna Eliotowi prawdę. I to zaraz.

Wstała. Zagubieni w myślach zapomnieli podłożyć do ognia; wygasła.

- Dziś w nocy kochaj się ze mną w myślach - szepnął Ken.

- Zrobię to - obiecała.

Teraz absorbowowała ją inna sprawa. Była roztrzęsiona, ale pełna optymizmu. Czyż Eliot nie był zawsze w stosunku do niej uczciwy? A ona, czyż nie odgrywała swojej roli z wdzięczną pokorą i ze zrozumieniem, cierpliwie trzymając się na uboczu i czekając na sygnał? W miarę potrzeby wcielała się w postać żony, gospodyni i towarzyszki życia, ozdoby i serdecznej przyjaciółki. Tak postrzegana rola żony powinna być rozumiana jako praca, za którą należy się rekompensata obejmująca emeryturę i udział w zyskach. Dobiliśmy targu, pobierając się, pomyślała Carol. Dlaczego nie mielibyśmy zrobić tego samego, rozwodząc się? Ostatnia myśl natchnęła ją odwagą. Byle prędzej mieć to już za sobą!

Skierowali się w stronę namiotów. W namiocie Kena paliło się światło. Pewnie Maggie jeszcze nie spała, czekając na swojego mężczyznę. Tylko że on jest mój, nie jej, pomyślała Carol z goryczą. W oddali rozległ się ryk lwa. A gdy dotarli na miejsce, znów ich dobiegł rozzwierający krzyk słonia - przeszywająca dreszczem skarga samotności i zawodu.

- Nieszczęśnik godny współczucia - wymamrotał Ken.

- Tak ja my - szepnęła Carol.

Po chwili usłyszała, jak Ken mówi coś do Maggie. Zdjęła z haka latarkę, zapaliła ją i weszła do namiotu, który dzieliła z Eliotem. Zobaczyła go w nikłym pomarańczowym świetle. Leżał na plecach, miał zamknięte oczy, a jego pierś unosiła się rytmicznie.

Pochyliła się nad nim i potrząsnęła go za ramię, najpierw delikatnie, a potem nieco mocniej. Postanowiła, że to się musi stać teraz. Żadnego odkładania na później.

- Śpisz? - zapytała.

Zamrugnął powiekami i otworzył oczy.

- Och, Carol - powiedział, przelękniętym głosem i przecierając powieki. - Czy już pora wstawać?

- Jeszcze nie - odparła, siadając na swoim łóżku i patrząc mu prosto w twarz. Raptem opuściła ją odwaga.

Musiała pośpiesznie wyrzucić z siebie słowa, nie dopuszczając, żeby zamarzyły jej na ustach.

- Czy ja w ogóle liczę się w twoim życiu? - zapytała.

Spojrzał na nią ze spokojem. Oczy mu się zwężiły, gdy wpijał się w nią wzrokiem.

- O co ci chodzi?

Natychmiast wyczuła, że wzmógł czujność. Powtórzyła pytanie.

- Dlaczego o to pytasz?

- Muszę wiedzieć.

Nadal badawczo się jej przyglądał. Znała ten wyraz jego twarzy. Umysł Eliota przystąpił do szczegółowej analizy.

- Czy zrobiłem coś niewłaściwego? - badał.

- A jak sądzisz? - zapytała z nadzieją.

- Coś cię niepokoi, Carol?

Niech szlag trafi całą tę prostolinijność, pomyślała. Ogromnym wysiłkiem woli zatrzymywała wzrok na jego twarzy. Uwolnij mnie, wołała w myślach. Pozwól mi wziąć co moje i odejść.

- Chciałam cię prosić. . . - Umilkła. - Czy poradzisz sobie beze mnie?

Zamyślił się.

- Chcesz wrócić do domu? O to ci chodzi, prawda? Chcesz wyjechać z Afryki?

- Nie.

- Czy nie spędzasz mile czasu?

- Ależ tak, jest bardzo sympatycznie.

- Tylko coś cię trapi, prawda?

Milczała. Jej odwaga rozwiła się na dobre. Zawsze ją onieśmiał jego sposób bycia.

- W pewnym sensie tak - mruknęła.

Odwróciła wzrok, ale czuła, że Eliot wciąż intensywnie się jej przygląda.

- Czy Maggie coś ci powiedziała? - Pytanie wprawilo ją w zakłopotanie.

- Ależ skąd, oczywiście że nie Maggie - odparła rozdrażniona. Jej odpowiedź w sposób widoczny uspokoiła Eliota.

- Wobec tego pewnie chodzi o Kena?

- O Jezusa.

Pytanie uderzyło w nią jak dobrze wymierzona i celnie rzucona włócznia. Czyżby coś podejrzewał? Mój Boże. Czy widziano ją razem z Kenem? W przypiływie paniki analizowała w myślach każde ryzykowne posunięcie. Wiedział? Czy ktoś mu o czymś doniósł? Nie była pewna, czy gra na zwłokę, czy też szykuje się do natarcia i zastawia pułapkę.

- A cóż, u diabła, Ken może mieć z tym wspólnego? Usiłowała odczytać coś z twarzy Eliota, wewnętrznym buntując się przeciwko temu kłamstwu.

- Sam nie wiem. Spędziliście razem dzień. Dopiero co wróciłaś. Pomyślałem, że może się pokłóciliście.

- Dlaczego mielibyśmy się ze sobą kłócić?

- Rzeczywiście nie ma powodu. Ken to naprawdę świetny facet.

Testujesz mnie, co? Poczwała narastającą złość.

- Nie chodzi o Kena - powiedziała.

- A więc o co? - zapytał.

Coś podejrzewa, pomyślała. Lepiej się wycofać.

- Chciałabym, żebyś mi czasami okazał trochę uczucia. - Zważywszy na okoliczności, przyjęła dosyć zuchwałą strategię, ale musiała rozwiązać jego podejrzenia.

Wyciągnął rękę i dotknął jej kolana. Z trudem się opanowała, żeby nie okazać wstrętu.

- Tylko że nasze łóżka są cholernie niewygodne do tych rzeczy - powiedział wesóło.

Chryste, pomyślała, wszystko nie tak. Eliot odwrócił się do ściany namiotu, podciągnął koldrę pod brodę i nie odezwał się już więcej. Rozebrała się i położyła się spać, całkowicie wyzuta z odwagi.

Rozdział XVI

Wyjechali z obozu. Prowadził Meade. Miał przekrwione oczy, lepił się od potu i cuchnął alkoholem. Siedzieli we czwórkę wewnątrz ciężarówki w takim układzie jak zwykle: Eliot obok Meade'a, z tyłu tuż za nimi Maggie, a na środkowym siedzeniu biodro w biodro Carol z Kenem.

Meade nie zjawiał się na śniadaniu. Eliot widział, jak jeden z chłopców zanoszą mu do namiotu kawę.

- Przygotujcie się na ostrą jazdę - uprzedził wszystkich, przyglądając się balansującemu z tacą chłopcu. - Na kacu nie zważa na wyboje.

- To moja wina - wyznała Maggie. - Zatrzymywałam go wczoraj przy ognisku i namawiałam, żeby opowiadał o słońcach.

- A rzeczywiście było o czym posłuchać - przyznał Ken.

- Nie możesz mieć do siebie o to pretensji, Maggie - powiedziała Carol. - Nie ma rady na Meade'a, kiedy postanawia się upić. To nie zdarzyło się już od lat, prawda? - zwróciła się do Eliota.

Eliot pokręcił głową. Nie miał zamiaru podtrzymywać tematu. Rzucił Maggie ukradkowe spojrzenie i mrugnął porozumiewawczo, dodając jej ducha.

Wszystko było zainscenizowane. Maggie sumiennie wywiązała się ze swojego zadania. Miała zatrzymać Meade'a przy ognisku, nakłaniając go, żeby jak najdłużej plótł niestworzone historie. Zwykle potrzebował dużo oliwy; gdy w ten sposób zabawiał towarzystwo.

- Spróbuję - obiecała poprzedniego dnia Eliotowi. Poprosił ją o to, gdy wracali do obozu. Nad rzeką wpadł mu do głowy pewien pomysł. Powiedział Maggie o skłonności Meade'a do alkoholu i wyprzedził jakiegokolwiek pytania z jej strony.

- Zaufaj mi, Maggie.

- Przecież wiesz, że ci ufam.

- To dla naszego dobra - zapewnił ją. - Chcę przyspieszyć rozwój wydarzeń.

Potrzebna mu była jej pomoc, ale nie zamierzał we wszystko jej wprowadzać; chciał oszczędzić jej stresów.

- Nie wolno nam ich skrzywdzić. Przede wszystkim o tym musimy pamiętać - powiedziała Maggie.

- Możesz być spokojna.

Ze swojego namiotu obserwował ożywienie przy ognisku; widział jak Meade, coraz bardziej odurzony alkoholem, rozkręca się w swoich opowieściach. Czekał na bezpieczny moment, by zacząć działać. To prawda, że wykorzystywanie słabości drugiego człowieka jest okrutne. Tym bardziej że w sprzyjających okolicznościach upicie Meade'a nie stanowiło najmniejszego problemu, a rezultaty łatwo dało się przewidzieć.

W stosownej chwili Eliot pochylił się nisko i dał susa w ciemność. Zakradając się od strony lasu, podszedł od tyłu do namiotu Meade'a. Zatrzymał się, wyjrzał, i bacznie obserwując grupę przy ognisku, podczołgał się do ciężarówki. Przeżył chwilę grozy, gdy rozległ się trzask przy otwieraniu maski. Zamarł w bezruchu. Nie zauważył jednak żadnej reakcji ani ze strony osób zgromadzonych wokół ognia, ani chłopców w roboczej części obozu.

Przez moment przyglądał się skomplikowanemu mechanizmowi silnika, osłaniając dłonią wąski strumień światła kieszonkowej latarki. Cicho otworzył skrzynkę z narzędziami i wybrał potrzebne mu części. Czasami pomagał Meade'owi i na tyle zgłębił budowę silnika, żeby wiedzieć, które nakrętki na gwincie należy poluzować i jak trzeba to zrobić, żeby na pierwszy rzut oka wydawały się mocno dokręcone. Zamiast trwale uszkadzać pojazd, zdecydował się na tę metodę, żeby nazajutrz mogli opuścić obóz. Miało to wprawdzie wszelkie znamiona sabotażu, ale Eliot przypuszczał, że Meade obarczy za to winą któregoś z chłopców. Generalny zamysł był taki, żeby w drodze spowodować awarię samochodu. Eliot miał nadzieję, że nastąpi to raczej wcześniej niż później.

Gdy wykonał robotę, wczołgał się z powrotem do swojego namiotu, położył na łóżku i tak długo gimnastykował umysł, aż logiczne argumenty i oczywiste racje utwierdziły go w słuszności jego desperackiego posunięcia.

Uciekanie się do takich metod było dla niego zupełnie nowym doświadczeniem. Nigdy nie widział siebie jako człowieka czynu, a tym bardziej jako konspiratora w podobnej scenerii. Ale przecież nie widział też siebie dotychczas w roli kochanka ani nie znał potęgi miłosnej fascynacji. Przeszedł metamorfozę. Takie były fakty. W sferze uczuć przekroczył Rubikon i dostąpił boskości.

Doskonale potrafił wyobrazić sobie siebie z Maggie na jakiejś sielankowej wyspie, gdzie pielęgnują miłość z dala od szalejących tłumów. Czy nie doświadczył podobnego przeżycia nad rzeką? Odczuwał tam wspaniałość, niczym nie zmaconą radość. Dziwiło go tylko, że tak późno zagościła w jego życiu. Alena nieszczęście dla niego, mrzonki nie mogły przetrwać w zimnym świetle rzeczywistości. Wiedział też, że nie zdoła uniknąć pułapek, jakie mu szykował wrodzony nawyk logicznego rozumowania. Najbardziej się obawiał, żeby finansowe niedostatki nie pokonały w końcu uczucia. Postanowił nigdy do tego nie dopuścić.

Zapadł w niespokojną drzemkę. Po chwili usłyszał Carol, która weszła do namiotu i postawiła mu to dziwne i niepokojące pytanie. Przez moment sądził, że zamysł jego i Maggie trafił cel. Przepelniła go radość.

Wzmógł czujność. Czyżby bogowie w końcu się do nich uśmiechnęli, a ich gorące pragnienia miały się spełnić?

Ale zaraz odczytał z twarzy Carol, że wie o jego uczuciowym związku z Maggie, i myśl ta zmroziła go. W mózgu mu kipiało, gdy analizował każde słowo żony, badał jego odcień i zastanawiał się, jakimi mogła się kierować pobudkami. Czy coś zaszło między nią a Kenem, czy też odkryła wiarołomstwo męża? Musiał koniecznie się tego dowiedzieć.

Rano problem stracił na znaczeniu. Pocętkowane rosą zarośla, trawa i liście migotały srebrzyście w promieniach wschodzącego słońca. Widok ten wprowadził Eliota w optymistyczny nastrój i umocnił w przekonaniu, że jego wyczyn z ubiegłej nocy musi przynieść oczekiwane rozstrzygnięcie. Tak piękny poranek nie sprzyjał rozmyślaniom o kłęsce.

Podczas śniadania Carol nie okazywała oznak niepokoju. Postronny obserwator widziałby dwie zaprzyjaźnione ze sobą pary, podekscytowane przygotowaniami do kolejnej wspaniałej wycieczki po okolicy.

Tylko Meade wydawał się zmęczony. Ciężką stopą nacisnął pedał gazu i skierował ciężarówkę na wyboistą drogę przez równinę. Pojazd wpadał w głębokie dziury i, zgodnie z przewidywaniami Eliota, wszyscy nawzajem objali się o siebie, a twarz Meade'a przybrała zielonkawy odcień.

Eliot całą uwagę skupiał na bolesnych i pożądanym dla jego celu wstrząsach, podczas gdy inni podziwiali paradę znajomych już gazeli, afrykańskich antylop i zebr, do których sawanna o tej porze dnia należała.

- To harem antylop - wyjaśnił Eliot, wskazując grupę samic pasących się pod czujnym okiem samca. - Czasami jeden taki gość rządzi stadem nawet i stu pań.

Meade, który zwykle wszystko komentował, nie kwapił się dzisiaj do zabierania głosu.

- Biedaczysko - powiedziała Maggie. - Upilnować i obsłużyć tyle żon!

- On jest tylko stróżem - sprostował Eliot.

- Eunuch haremu - zauważył Ken.

- To znaczy, że tę grupę dam pokrywają inne samce - wyjaśnił Eliot.

- Które nie gardzą też samicami z innego stada - zarechotał Meade.

Według obliczeń Eliota przejechali z półtora kilometra, gdy ciężarówka zaczęła brykać i pobrzękiwać, a po ostatecznym wstrząsie, któremu towarzyszył metaliczny loskot, definitywnie stanęła.

- Cholera jasna! - zaklął Meade, wysiadając i podnosząc maskę. Gdy badał mechanizm silnika, Eliot i Maggie wymienili ze sobą znaczące spojrzenia. Meade wrócił z poczerwieniałą z wściekłości twarzą. Uprzejmość w tej sytuacji przerastała jego siły.

- Jak to się tak mogło, do jasnej cholery, oblużować? Gdzie się, u diabła, podziały nakrętki? Odczepił się cały blok. - Zanurzył ręce w motorze pojazdu. - Pogubiliśmy śruby. Nie widziałem jeszcze czegoś podobnego. Niech to szlag trafi! - I w przyływie złości kopnął jedną z przednich opon. - Trzeba wrócić po części zapasowe. - Obejrzał się w stronę obozu i przymrużył oczy. - To może potrwać nawet z godzinę.

- W takim razie wysiadamy - powiedział Ken.

- Może pójdziemy się przejść i porobimy zdjęcia - zaproponował Eliot.

- Idźcie, ale bądźcie cholernie ostrożni - przestrzegł ich Meade i, mrużąc coś pod nosem ze złości, ruszył w drogę powrotną do obozu.

- O tej porze to niewielki problem - powiedział Eliot, patrząc na Carol, która przytaknęła mu skinieniem głowy.

- Podczas wczorajszego spaceru czułam się całkiem bezpiecznie - stwierdziła Maggie, żeby rozproszyć obawy pozostałych osób.

- Może być całkiem miło - zauważył Ken, śledząc linię horyzontu. - Dzień jest taki cudowny.

- Pójdziemy nad rzekę - zdecydował Eliot i ruszył przed siebie. Reszta podążyła za nim. Prowadził ich nieśpiesznie w kierunku linii drzew, pomiędzy stadami gazeli i antylop, które najpierw przyglądały się im z ciekawieniem, a potem w popłochu rzucały się do ucieczki. Od czasu do czasu zatrzymywali się i fotografowali krajobraz albo zwierzęta. Wczesny poranek na równinie, bez śladu nocnych aktów przemocy, był uroczy, spokojny i pogodny. Eliot badał teren, szukając odcisków kopyt bawołów lub słoni, z którymi konfrontacja mogłaby się okazać kłopotliwa.

Szedł wydeptanym przez zwierzęta szlakiem, który przecinał zarośla, biegł pomiędzy skupiskami drzew i prowadził w stronę niewielkiego wzgórza po drugiej stronie równiny. Eliot dokładnie wiedział, gdzie się znajduje. Zdawał sobie też sprawę, że obcy mógł tutaj łatwo stracić orientację. Afrykańskie widoki niewiele różniły się od siebie, a znaki w terenie były ledwo zauważalne i często mylące.

- Okolica jest piękna, to prawda - zauważył Ken. - Szkoda tylko, że nie ma tu znaków drogowych.

- Jeśli się zgubimy, wezwiemy taksówkę - powiedziała Maggie.

- Nie ma lepszego sposobu, żeby poznać Afrykę - stwierdził Eliot. Zwolnił nieco kroku. Prowadził ich krętą drogą, którą miał wrytą w pamięci. Słońce wisiało już wysoko nad horyzontem, ale powietrze wciąż jeszcze było chłodne.

- Nie sądzisz, że powinniśmy wracać? - zapytała Carol po blisko godzinnym marszu.

- Meade nie wróci tak prędko. Dlaczego mielibyśmy tracić dzień? - powiedział Eliot.

- Tu jest tak uroczo - ponownie poparła Eliota Maggie.

- Nie mam nic przeciwko ruchowi na świeżym powietrzu, dopóki wiesz, gdzie jesteśmy - oświadczył Ken.

Eliot poprowadził ich w dół wzniesienia drogą, która wiła się w pętle i zataczała łuki. Minęło następne pół godziny.

- Chyba Meade wrócił już do tej pory - rzekł Ken, patrząc na zegarek.

- Naprawdę uważam, Eliocie, że czas wracać - powiedziała Carol.

- Tylko w ten sposób możemy zobaczyć prawdziwą Afrykę. Nie sądzicie? - rzuciła retorycznie Maggie.

- To niewątpliwie dosyć ryzykowny sposób - zauważył Ken.

Eliot stanął na wysokim pagórku i osłonił wzrok przed słońcem. Podniósł do oczu lornetkę i badawczo przyjrzał się linii horyzontu.

- Stado bawołów - powiedział, wskazując dłonią. Przez cały czas liczył na jakieś potencjalne zagrożenie, dzięki któremu nadłożenie drogi wyda się wszystkim uzasadnione.

- Spójrz na szczyt. - Wręczył Kenowi lornetkę i naprowadził go na kierunek stada.

- Zabawna gromadka - powiedział Ken, siłąc się na wesołość. - Mówiono mi, że zwykle bywają niezbyt przyjaźnie usposobione do ludzi. - Oddał lornetkę Eliotowi.

- Niestety to prawda - przyznała Carol.

- Są daleko - rzekł Eliot - ale idą w tym samym kierunku co my.

- Co to oznacza? - zapytał Ken.

- Że musimy mieć więcej siły w nogach - odparł Eliot, rozmyślnie uśmiechając się i kierując w stronę kolejnego wzgórza.

Po blisko godzinnym marszu odezwał się Ken.

- Mam nadzieję, że wkrótce skończymy ten wyjątkowo długi spacer, Eliocie - powiedział.

- Tak, już niebawem - zapewnił go Eliot. Miał nadzieję, że zabrzmiało to niezobowiązująco.

Oczywiście dobrze wiedział, gdzie się znajdują. Popatrzył na zegarek. Nadeszła pora, żeby działać. Spojrzał w stronę Maggie, zaintrygowanej jego poczynaniami, i ruszył zdecydowanym krokiem przed siebie, wyprzedzając wszystkich. Wspiął się na szczyt wzniesienia i dopiero tam zaczekał na pozostałych.

- Pojawił się niewielki problem - powiedział, śledząc przez lornetkę okolicę. - Stoimy przed trudnym wyborem.

- Jakim znowu wyborem? - zapytał Ken.

- Najkrótsza odległość w Afryce przeczy zasadom geometrii. Nie biegnie wzdłuż linii prostej - odparł Eliot.

- Chcesz powiedzieć, że zabłądziliśmy?

- Niezupełnie. Nazwijmy to chwilową dezorientacją. Powinienem być wziąć ze sobą kompas - rzekł Eliot.

Kompas Meade'a wisiał nad siedzeniem kierowcy w ciężarówce.

- Cholerna Afryka, jak powiedziałaby Meade. Ciągłe się zmienia.

- Tylko się z nami droczysz, Eliocie, prawda? - zapytała niewinnie Maggie.

- To do ciebie niepodobne, żeby się zgubić - zdziwiła się Carol.

Żadne z nich nie wpadło jednak w panikę.

- Niewielki problem, moi drodzy - powtórzył Eliot, nie przerywając obserwacji horyzontu. Dostrzegł w oddali skupisko drzew, gdzie stał rozbity ich obóz. Uznał, że nie ma tu wielkiego zagrożenia.

- Mogę określić dwie rzeczy na podstawie położenia słońca - zażartował Ken. - Tutaj jest wschód. - Wskazał miejsce, w którym, jak przypuszczał, wschodziło słońce. - A zachód jest po przeciwnej stronie. Maggie zachichotała. Eliot zdawał się rozmyślać nad wyborem najlepszego rozwiązania. Nagle podniósł rękę i wskazał kierunek.

- Tędy - orzekł i ruszając przed siebie, poprowadził ich w stronę wzniesienia porośniętego bujnym zagajnikiem. Na równinie przecinały się ze sobą ślady opon, ale nie było wyraźnej drogi. Eliot rozmyślnie zboczył z bardziej uczęszczanego szlaku. Nie zaszkodzi trochę odosobnienia, pomyślał, nuąc w myślach słowa piosenki "Nareszcie cię poznam".

Jakieś pięćdziesiąt metrów przed nimi przecięła im drogę para nakrapianych hien, poszukująca padliny.

- Miło pomyśleć, że nie figurujemy w menu tych zwierząt - uspokoił Eliot. Wiedział, że nie powinien przestraszyć towarzyszy wędrówki. Zaprowadził ich do zagajnika. Zatrzymał się na porośniętej trawą polanie, którą otaczał gęszcz krzewów i drzew.

- To miejsce wydaje mi się znajome. Chyba wiem, gdzie jesteśmy - powiedział. - Sądzę jednak, że powinienem się upewnić. Jakieś osiemset metrów stąd jest wzgórze. Proponuję, żebyście zostali tutaj wszyscy i regenerowali siły, a ja tymczasem wejdę wyżej i rozejrzę się po okolicy.

- Jeśli o mnie chodzi, nie mam nic przeciwko temu - rzekł Ken, sadwiąc się na głazie i rozsznurowując buty. - Wysypię przez ten czas piasek ze skarpet.

- Nie zgubiliśmy się, prawda? - zapytała Carol.

- Oczywiście, że nie - odparł Eliot. - Chciałbym tylko znaleźć krótszą drogę powrotną, teraz, kiedy słońce jest już wysoko i mocno przypieka.

- To brzmi rozsądnie - zauważyła Maggie.

Stali obok zwalonego drzewa. Carol oparła nogę o pień i rozprostowała mięśnie.

- Nie ma powodu do obaw - powiedział Eliot. - Niezupełnie straciłem orientację. Po prostu zaszliśmy odrobinę za daleko. Ciężarówka Meade'a powinna być tuż za wzgórzem. Jeśli będzie blisko, przywołam Meade'a i wkrótce po was przyjedziemy. Nie martwcie się. Możecie czuć się całkiem bezpiecznie.

Zastanawiał się, czy nie okazał nadmiernej pogody ducha. Był pewien, że Maggie właściwie odebrała jego zamiar. Od ciężarówki dzielił ich czterdziestopięciominutowy spacer, ale trzeba było znać drogę.

Musiał się przyznać przed samym sobą do pewnej obawy o bezpieczeństwo, chociaż zagrożenie, przynajmniej ze strony zwierząt, było raczej niewielkie, zważywszy na zbliżające się południe - porę sjeisty dla ludzi i dzikich stworzeń. Poza tym Carol dobrze wiedziała, co trzeba robić w razie niebezpieczeństwa. Gdy schodził ze zbocza, przeleciała mu przez głowę zbląkana myśl: A gdyby jednak pojawiło się prawdziwe zagrożenie? Nie mógł dopuścić, żeby ten pomysł na dobre zakorzenił się w jego umyśle.

- Czy mogę pójść z tobą? - Pytanie Maggie wydawało się całkiem naturalne. Eliot przystanął i odwrócił się.

- Dobra myśl, Maggie - zaszczębiotał Ken pogodnie. - Pilnuj go, żeby się nie zgubił.

- Nie mam nic przeciwko temu - odparł Eliot. - Ale to nie jest konieczne.

- Naprawdę mam wielką ochotę pójść z tobą.

- Na mnie nie liczcie - stwierdził Ken. - Idźcie sobie sami.

- A ja wykorzystam czas na to, żeby się wyciągnąć - powiedziała Carol, przekładając nogę na drugą stronę zwalonego pnia i kładąc się płasko na brzuchu. - A potem pójdem odrobić moje codzienne ćwiczenia.

- Tylko nie zablądź! - zawołał Eliot przez ramię, śmiejąc się w duchu z dwuznaczności tego słowa. A blądź sobie ile dusza zapragnie, pomyślał. I przyspieszył kroku.

- Zaczekaj na mnie - powiedziała Maggie, doganiając go. Szła za nim, dopóki nie znaleźli się na otwartej przestrzeni. - W tym szaleństwie jest metoda.

- Wiedziałem, że ją dostrzeżesz.

- Czy nie grozi im niebezpieczeństwo?

- Minimalne - odparł Eliot. Poza tym Carol dobrze wie, co można, a czego nie wolno robić.

- Strasznie szczwany z ciebie lis - powiedziała wesoło Maggie.
- Zaczekaj. Dopiero po powrocie do ciężarówki pokażemy, na co nas stać. Meade prawdopodobnie już zdążył naprawić pojazd i czeka na nas. Zafundujemy mu wesołą przejażdżkę, zanim ich znajdziemy. A im ofiarujemy kilka wspaniałych godzin we dwoje.

- Zmierzasz prostą drogą do celu.

- Robię, co mogę - odparł ze śmiechem. Był zadowolony. - Może dopisze nam szczęście.

Nie przerywając marszu, weszli na wzgórze, z którego roztaczał się widok na okolicę. Po zachodniej stronie równiny pasły się stada gazeli i zebr. Na wschodzie zobaczyli kilka olbrzymich afrykańskich antylop z długim porożem, nad którymi jak białe puszki wełny płynęły po błękitnym niebie małe obłoki.

- Czy jeszcze nas widzą? - zapytała Maggie.

- Tak, jeśli patrzą przez lornetkę.

- Mogę cię pocałować?

- Dopiero jak znikniemy za wzgórzem.

- Psujesz całą zabawę.

W miarę jak się wspinali, widok na okolicę coraz bardziej się rozszerzał.

- Nie możemy sobie zarzucić, że nie stworzyliśmy im okazji - powiedział Eliot. Jak dotąd wszystko przebiegało zgodnie z planem. Cud mógł się zdarzyć. Niedługo, gdy po nich nie wrócą, Ken i Carol będą zmuszeni razem stawić czoło lękowi. Wspólne poczucie zagrożenia zwiąże ich ze sobą. Stanie się załączkiem ich związku i iskrą, która, jak spodziewał się Eliot, roznieci pomiędzy nimi coś więcej.

- A teraz? - zapytała Maggie, wrywając go z zamyślenia.

Byli już po drugiej stronie wzgórza i gdy schodzili, Eliot rozpoznawał coraz to nowe znaki w terenie.

- Już zaraz - powiedział. Wziął ją za rękę i skierował się w stronę akacji, która rosła przed nimi na niewielkim pagórku. Słońce wznosiło się coraz wyżej, ale silny wiatr chronił ich przed upałem.

Gdy doszli do drzewa, objął ją i mocno pocałował.

- Kocham cię - powiedział.

- Całą swoją duszą, sercem i ciałem?

- Całym sobą.

Kochali się prędko i namiętnie.

- Czy naprawdę wierzysz, że to się uda i będziemy na zawsze razem? - zapytała, gdy przywracali do ładu ubrania.

- Oczywiście!

- Bez względu na wszystko?

- Znajdę jakieś wyjście. Musisz mi zaufać.

- Może. . .

- Nie wolno nam nawet o tym myśleć.

- Skąd wiesz, co chciałam powiedzieć?

- Pomyślałam o tym samym.

- To straszne, wiem.

- Tak, straszne.

Położył jej palec na ustach i powstrzymał przed powiedzeniem czegoś więcej. Byli gotowi do dalszej drogi.

Trzymając się za ręce, szli w milczeniu przez równinę. Za kolejnym wzniesieniem zobaczyli ciężarówkę i Meade'a, który pracował z jednym ze swoich ludzi przy silniku. Rozpletli ręce i skierowali się w stronę pojazdu.

Gdy podeszli bliżej, Meade podniósł głowę i spojrzał na nich z ukosa. Jego koszula khaki była całkiem mokra na plecach, a z brody zwisały mu dwie ogromne krople potu. Patrzył na nich gniewnie, przekrwionym wzrokiem.

- Cholera jasna - warknął. - Przysięgam, że gdybym nie był człowiekiem, który pokłada wiarę w ludziach, uznałbym to za sabotaż. Może zdarzyć się jedna nie dokręcona śruba, dwie, a nawet trzy, ale to, co tu widzę, nie mieści się w głowie.

Człowiek Meade'a, którego czarna skóra też błyszczała od potu, stał z boku i nie zwracał na nich uwagi. Nie ulegało wątpliwości, że ciężko się napracował.

- Z takim przekrzywionym blokiem jest od cholery roboty. Próbuje go naprowadzić na miejsce, ale utknął w fatalnej pozycji.

- Może przydam się na coś? - zapytał Eliot, strzelając wzrokiem w stronę Maggie. Nie spodziewał się, że uszkodzenia będą aż tak rozległe.

- Nie może przy tym pracować więcej niż dwóch ludzi jednocześnie - powiedział Meade, wsadzając głowę pod maskę. Po kilku chwilach szczęku i pobrzękiwań wyprostował się. Trzymał w dłoni młotek. Jego pomocnik stał z olbrzymimi cęgami i ocierał brwi przesiąkniętą od potu chusteczką.

- Gdzie reszta?

- Zostali w tyle - powiedział Eliot, wykonując nieokreślony gest.

Meade był zaskoczony.

- Zostawiliście ich samych? - zapytał i zmarszczywszy brwi, przyglądał się badawczo twarzy Maggie, jak gdyby chciał zapytać: Co ona tutaj robi?

- Sądziliśmy, że do tej pory uporacie się już z naprawą - powiedział Eliot. - Zostawiliśmy ich nie dalej niż kilka minut drogi stąd.

Cuda ulegały rozmnożeniu. Jego plan zakładał, że będą krążyć z przewodnikiem, żeby dać Kenowi i Carol jeszcze kilka godzin, zanim zostaną "odnalezieni".

- Powinien ich pan przyprowadzić ze sobą - mruknął Meade.

- Możemy po nich wrócić - zaproponował Eliot.

Meade spojrział na zegarek i wzruszył ramionami. Potem powiedział coś do swojego człowieka w języku suahili, a następnie zwrócił się do Eliota.

- To bez różnicy. Niedługo się z tym uporamy. Najpóźniej za godzinę.

Ponownie wsadził głowę pod maskę i razem ze swoim pomocnikiem zaczął pod nią pobrzękiwać narzędziami. Ale po chwili znowu wystawił głowę.

- Czy pani Butterfield zna swoje położenie?

- Wie, co należy robić. Gorzej jest z orientacją w terenie - powiedział Eliot ostrożnie. Tak mniej więcej wyglądała prawda.

Meade rozejrzał się po horyzoncie, przyglądając się badawczo zwierzętom. Potrafił odczytać z ich nastroju każde niebezpieczeństwo. Gdy zakończył wnikliwą obserwację, zwrócił się do swojego pomocnika. Zamienili kilka słów w języku suahili.

- Twierdzi, że słyszał przed świtem tego cholernego słonia. Od tamtej pory był spokój. - Meade wzruszył ramionami. - To było daleko stąd, ale te samce potrafią przemierzać duże przestrzenie. Są wyjątkowo groźne, szczególnie gdy ktoś się do nich zbliży. Szybciej rzucają się do ataku, niż zdążą spojrzeć.

- Carol będzie wiedziała, jak należy z nim postępować - rzekł Eliot, przecząc słowami temu, co w istocie czuł. Prawda była taka, że człowiek nie miał wpływu na zachowanie rozwścieczonego słonia. Istniało tylko mniejsze prawdopodobieństwo, że zaatakuje kogoś, kto się nie będzie ruszał i zignoruje jego awanturniczy sposób bycia.

- Niepotrzebne ryzyko - stwierdził Meade. - W końcu to ja ponoszę za nich odpowiedzialność.

- Sam pan powiedział, że słyhać go było daleko - przypomniał mu Eliot.

- No cóż, przygotujmy tego trupa do drogi - warknął Meade, ponownie zanurzając głowę w silniku przy akompaniamencie nie kończących się dysharmonijnych brzęków. Meade i jego człowiek najwyraźniej przyspieszyli tempo pracy.

Maggie i Eliot cofnęli się do cienia pod drzewo akacji i przykucnęli, opierając się plecami o pień.

- Mam nadzieję, że chociaż jedno z nas się nie martwi - powiedziała Maggie.

- W takim razie to musisz być ty, bo ja się martwię. - Umilkł i mrużąc oczy spojrzął w dal. - Carol nie jest tak doświadczona, za jaką chciałbym ją uważać.

- Myślę, że powinniśmy do nich wrócić.

Po chwili Eliot odrzucił pomysł machnięciem ręki. Postanowił, że nie zrobią tego. Zbyt wiele wysiłku kosztowało go stworzenie tej sytuacji.

- Meade wyolbrzymia ryzyko - stwierdził.

Siedzieli w milczeniu, oparci o konar drzewa. Patrzyli, jak Meade z pomocnikiem wałą młotem w blok, żeby go naprostować, pocą się, wpychają go na miejsce i co jakiś czas krótko odpoczywają, ocierając twarze.

- Znowu nachodzą mnie czarne myśli, Eliocie - powiedziała Maggie.

- Wiem - odrzekł. Jemu też nie było wesoło. Czyż nie dopuścił do siebie myśli o śmierci tych dwojga? Szukał w sobie poczucia winy, ale bez powodzenia. To go uspokoiło. - Biorąc pod uwagę okoliczności, to zupełnie naturalne, Maggie.

- Naturalne?

- Twierdzą tylko, że wcale nie myśleliśmy o tym na serio. Poza tym i tak zupełnie nie mamy na to wpływu. Chyba się ze mną zgodzisz?

Nie odpowiedziała. Zatrzymała spojrzenie na jego twarzy. Zajrzał jej głęboko w oczy.

- Tak - przyznała. - Zupełnie nie mamy na to wpływu. Ale nie opuściła wzroku.

Rozdział XVII

Kena wyrwało ze snu niemiłe uczucie. Spojrzął na zegarek.

- Matko boska! - zawołał i potrząsnął Carol, żeby się obudziła. Spała w jego ramionach. Kochali się na samym środku wzgórza, dobre dziesięć minut drogi od miejsca, w którym zostawili ich Eliot i Maggie. Postanowili przenieść się gdzieś, gdzie mogliby się ukryć i skąd widać by było wejście na polanę oznaczone zwalonym drzewem.

Znaleźli miejsce idealnie odpowiadające ich planom. Kochali się, a potem nieoczekiwanie zasnęli.

- Mogli przyjść i odejść - zasugerowała Carol, ale Kenowi wydało się to mało prawdopodobne.

- Na pewno byśmy ich usłyszeli. Nie mieli powodu, żeby się skradać. Pewnie by nas zawołali.

Carol popatrzyła na zegarek. Już ponad pięć godzin minęło od czasu, kiedy Eliot i Maggie odeszli.

- Może ciężarówka nie jest jeszcze naprawiona - snuł domysły Ken.

- Albo zgubili się na dobre.

- Żadna z tych możliwości nie napawa mnie optymizmem - rzekł Ken. Chciał zachować dla siebie rosnące obawy, ale zaraz odrzucił ten pomysł. Żadnych kłamstw pomiędzy nimi. Żadnego udawania i ukrywania cokolwiek. Naprawdę był szczerze zaniepokojony.

- Może przyszli i . . . widzieli, jak się kochamy - powiedziała Carol.

- To trzecia niezbyt wesoła ewentualność.

- Ale mało prawdopodobna, chyba że nas szpiegowali, w co wątpię.

Wstali, poprawili ubrania i wrócili tam, skąd przyszli. Nie mieli problemu z odnalezieniem zwalonego drzewa. Słońce chyliło się już ku zachodowi i polana była pogrążona w cieniu.

- Nie sądzisz, że powinniśmy poszukać drogi na własną rękę? - zapytał Ken.

- Ostrzegano mnie, żeby tego nie robić - odparła Carol.

- Znaczący sugerują, żeby w takich wypadkach nigdzie się nie ruszać. Wiele miejsc w tej okolicy wygląda jednakowo.

- Jeśli Eliot i Maggie zagubili się, to samo można powiedzieć o nas. A jeśli do tego Meade jeszcze nie naprawił ciężarówki, to naprawdę jesteśmy bezradni jak dzieci.

- Przede wszystkim nie wolno nam wpadać w panikę - ostrzegła go Carol. - W takiej sytuacji panika sama w sobie stanowi zagrożenie.

-Zgoda, uznajmy to za pesymistyczno-optimistyczne wiadomości - powiedział Ken. - Czuł się lepiej, mówiąc o tym. - Przez przypadek rzuciliśmy ich sobie w ramiona. W końcu taki był nasz zamiar. Może znaleźli prawdziwą miłość i w związku z tym zmienili plany.

- Nie kracz - prychnęła Carol.

- To z powodu zdenerwowania trzyma się mnie czarny humor - rzekł Ken. Ale pomysł dziwnie go podniecił, chociaż próbował go, z połowicznym skutkiem, od siebie odsunąć. A potem, mimo wszystkich wcześniejszych zapewnień Eliota, znów wróciło poczucie zagrożenia. W końcu przebywali w dzikiej głuszy. Żył tu wiele drapieżników i głód wyznaczał ich rytm dnia. - Prawdę mówiąc, czułbym się o wiele lepiej, gdybym wiedział, jak daleko stąd jest obóz. Skupił się na tej myśli i starał się przypomnieć sobie położenie obozu. Zastanawiał się, czy nie utkwily mu w pamięci jakieś znaki w terenie, miejsce wschodu czy zachodu słońca. Zwrócił się z tym do Carol. Przymknęła oczy, koncentrując się i próbując odtworzyć obraz. Pierwsza podzieliła się swoimi spostrzeżeniami. Stała obok zwalonego drzewa i rozpostarła ramiona.

- Wejście do namiotu-jadalni wychodziło na północ - powiedziała. - Słońce wschodziło po prawej, a zachodziło po lewej stronie.

- Jaki z tego wniosek?

- To znaczy, że obozowisko znajduje się mniej więcej w tamtym kierunku - oświadczyła wskazując prawą ręką.

W ten sam sposób określili położenie ciężarówki, odtwarzając w myślach krótki dystans, jaki zdążyli pokonać o wschodzie słońca. Ken zdawał sobie sprawę, że ich rozumowanie jest prymitywne, ale dawało im jakiś punkt zaczepienia.

- Ciężarówka może jechać z tamtej strony - powiedział Ken, wskazując bliżej nieokreślony punkt na wschodzie. Patrząc w górę, odnotował, że łuk, po którym zniża się słońce, wyznacza kierunek zachodni. - Chodźmy, nic się nie stanie, jeśli nie będziemy tracić tego miejsca z oczu - powiedział.

Gdy szli za Eliotem, nie zwracał wielkiej uwagi na drogę.

- Zgoda, pod warunkiem że nie będziemy się zbyt oddalać - zastrzegła Carol. - Eliot na pewno zapamięta, gdzie nas zostawił. To do niego niepodobne, żeby się zgubić. Dobrze zna tę okolicę.

Kenowi znowu przeleciała przez głowę niewyobrażalna wprost myśl, ale zaraz ją od siebie odsunął.

- Co zrobiliby Meade, gdyby ciężarówka nie dało się jeszcze naprawić, a Eliot wciąż się nie pokazywał? - zapytał.

- Czyżbyś wpadał w panikę? - zaniepokoiła się Carol, przyglądając mu się uważnie.

- Nie, nie wpadam.

Jej oczy stały się ogromne jak spodki i Ken zauważył lekkie drżenie ust.

- Dlaczego mamy się okłamywać? Przecież taka możliwość istnieje - powiedział.

Zamyśliła się na moment i nagle ustało drżenie jej warg.

- W takiej sytuacji wysłałby pieszo swoich chłopców. Dobrze znają Samburu. Polowali z nim w dawnych czasach i są świetnymi traperami.

- Wobec tego powinniśmy wyjść na otwartą przestrzeń i dać im jakoś znać o sobie.

- Eliot poszedł w stronę wzgórza, żeby lepiej rozejrzeć się po okolicy - powiedziała Carol.

- Nie zabłądzimy, jeśli nie będziemy tracić tego miejsca z oczu.

Skierowali się z powrotem na wydeptany przez zwierzęta szlak, którym przyszli. Pół godziny później znów bylina rozległej równinie. Przez chwilę Ken badał topografię terenu, szukając najbliższego położonego wysokiego punktu. Znajdowali się w kotlinie i Ken miał trudność z wyborem wzniesienia.

- Chodźmy w tamtą stronę - powiedział, wskazując jeden z pagórków. Mocno wyciągał nogi. Carol szła za nim bez słowa protestu. W pół godziny dotarli na miejsce.

Stojąc na szczycie wzniesienia, rozejrzeli się po równinie. Ken zobaczył przez lornetkę stada zwierząt, przeważnie zebry, gazy, antylopy, ale po ciężarówce Meade'a nie było nawet śladu. Kiedy się odwracał, wciąż miał w polu widzenia gęste skupisko drzew, z którego wyszli.

- Nic nie widzę - rzucił, wypuszczając z ręki lornetkę. Zawisła na skórzanym pasku, który miał przewieszony na szyi. Zbadał wzrokiem niebo oraz pozycję słońca i stwierdził, że za kilka godzin zacznie się ściemniać. - A teraz pójdziemy tam. - Wskazał na inne wzniesienie. Zeszli w dół, nie tracąc zagajnika z oczu. Gdy przechodzili przez równinę, zobaczyli parę hien, która nie opodal rozdzierała na kawałki mięso zebry.

- Z pełnymi żołądkami nie będą nas już niepokoić - powiedziała Carol. Hieny, z zakrwawionymi pyskami i nadętymi brzuchami, podniosły łby i przyglądały im się przez chwilę, ale zaraz powróciły do swojej uczty.

- O wiele pewniej czułbym się ze strzelbą - oświadczył Ken, chociaż nigdy w życiu nie używał broni. - W czasach Hemingwaya zawsze noszono przy sobie broń, nie tylko po to, by polować, ale i ze względów bezpieczeństwa.

Dotarli do następnego wzniesienia i Ken raz jeszcze zlustrował przez lornetkę okolicę.

- Nada - powiedział, oglądając się za znakami, które zostawił w terenie. Zauważył, że wokół zapanowała dziwna cisza. Nienaturalne, spokojne zachowanie zwierząt zaniepokoiło go. Spostrzegł też duże formacje ciężkich chmur na wschodzie.

- Zanosi się na burzę - powiedziała Carol.

- Dużą? - zapytał Ken.

- Hałaśliwą i na tyle gwałtowną, że przemokniemy do suchej nitki - odparła. - Jeśli Meade nie znajdzie nas do tego czasu, wpadnie w szal.

- To mu się zdarzy dzisiaj już drugi raz.

- Nie powinien pić - stwierdziła Carol. - Maggie głupio postąpiła ubiegłej nocy, zachęcając go, żeby opowiadał. Zachowywała się niemal tak, jak gdyby zależało jej na tym, żeby się upił. Nie pomyślał o tym wcześniej. Maggie została tak jak wszyscy uprzedzona o alkoholowych problemach Meade'a. Musiała wiedzieć, że go nakłania do pijaństwa.

- Może nie zdawała sobie sprawy z tego, co robi - powiedział Ken.

- To niemożliwe. Musiałaby mieć chyba klapki na oczach.

Ken spostrzegł jeszcze jedno wzniesienie po drugiej stronie równiny - ostatni dogodny punkt obserwacyjny, z którego nie tracili z oczu znajomych drzew.

- Zaryzykujemy? - spytał.

- Dlaczego nie? - odpowiedziała uśmiechając się. - Zaszliśmy już razem tak daleko. Przygarnął ją do siebie i mocno pocałował w usta. A kiedy się rozdzielili, spojrzął w niebo.

- Nie boję się - powiedział.

- Ja też nie. Z tobą nic mnie nie przeraża - wyznała.

Uważnie zlustrował otoczenie. Burzowe chmury nadciągały coraz bliżej.

- Najważniejsze, żeby znaleźć drogę jeszcze za dnia - powiedział.

- Zgadzą się z tobą.

Zeszli ze wzgórza do kotliny i znowu znaleźli się na równinie. Stada zbijały się w gromady i wyczuwało się wśród zwierząt poruszenie, jakby nagle coś je zaalarmowało.

- Coś się dzieje - zauważył Ken.

- Obawiam się, że masz rację.

- Co to takiego?

- Przypuszczam, że jakaś lwica szuka kolacji dla stada - rzekła Carol.

- Mam nadzieję, że nie wybierze nas - wysilił się na żart.

- W ostateczności zabierze się i za nas.

Zanim dotarli do wzniesienia po drugiej stronie równiny, ściemniło się. Słońce szybko zniżyło się nad horyzontem, a na wschodzie zebrało się jeszcze więcej chmur. Deszcz był nieunikniony. Ken rozejrzał się. Nie zauważył niczego, co by mu się wydało znajome. Niezbadana kraina. Podobnie jak życie, pomyślał nagle, czując ożywienie w obliczu nieznanego, być może nawet ostatecznego. Dopiero patrząc z perspektywy śmierci, pojął niepokojące piękno tego potężnego ładu oraz często dostrzegany przez przybyszów jego hip-

notyczny urok. Doświadczyl wznioslego uczucia niepokoju zrodzonego pod wplywem nieprzewidzianych wydarzen i kryjacego sie tu na kazdym kroku zagrozenia.

- Fantastyczne - szepnal, odwracajac twarz do Carol, do kobiety, ktora naprawde kochal. Czym byly pieniadze, wygody i materialne bezpieczenstwo wobec majestatu tej przyrody! . . . Albo wobec ich miłości, która też była szlachetna i niebezpieczna.

Spojrzał w górę na groźne niebo i ścisnął Carol za rękę.

- Tam jest droga - powiedział, wskazując kierunek wolną dłonią. Czuł, że wracają mu siły i zdecydowanie, jak gdyby odnalazł tu zgubioną część siebie - istotę własnej męskości.

- Jesteś pewien? - zapytała Carol.

- Nie ma nic pewnego - odparł i odwrócił się, żeby na nią spojrzeć. Wziął ją w ramiona i mocno pocałował. - Oprócz nas - szepnął, gdy się rozdzielili.

A potem wziął ją za rękę i ruszyli przed siebie.

Rozdział XVIII

Niech to wszyscy diabli! - zaklął Meade, kopiąc opony. Zdarł z siebie koszulę i ciało błyszczało mu od potu. Obiecał, że skończą za godzinę, a od tamtej pory minęły trzy.

- Nie sądzisz, że powinniśmy pójść po nich pieszo - zapytała Maggie. To samo pytanie zadała już co najmniej dwa razy.

- To nie potrwa długo - odpowiedział Eliot, obserwując dwóch mężczyzn mocujących się z blokiem silnika.

- Zaczynam się naprawdę niepokoić, Eliocie - powiedziała.

- Kiedy skończycie, Meade? - zapytał Eliot.

- Może wkrótce, jeśli, do cholery, przestaniecie nas odrywać od roboty - warknął Meade, niechętnie podnosząc wzrok znad motoru. - Nie powinniście byli ich tam zostawiać. - Mruczał coś pod nosem, gdy obaj z pomocnikami siłowali się z mechanizmem pojazdu. Teraz, gdy już niewiele zostało do końca, Meade był bliski załamania nerwowego, a nieustanne pociąganie ze srebrnej piersiówki nie polepszało jego stanu.

- Miejmy nadzieję, że whisky w końcu mu się wyczerpie - szepnął Eliot. W normalnej sytuacji domagałby się od Meade'a przestrzegania abstynencji. I na pewno by nie tolerował jego gburowatego zachowania. Teraz jednak wolał go nie drażnić.

W miarę picia Meade stawał się coraz bardziej niemiły i sfrustrowany. Maggie próbowała wytłumaczyć sobie swój niepokój. Nie chciała, żeby coś poważnego stało się Kenowi i Carol, coś, co mogłoby zagrażać ich życiu. To oczywiste. Zresztą Eliot też był zaniepokojony. Z pewnością nie spodziewał się, że niewielki demontaż silnika pociągnie za sobą takie konsekwencje. Doszła do wniosku, że to wina Meade'a, który z powodu pijaństwa nie potrafił należycie wywiązać się ze swoich obowiązków.

- Wygląda na to, że blok wkrótce znajdzie się na miejscu - stwierdził Eliot.

- Miejmy nadzieję - powiedziała Maggie. Spojrzała w kierunku linii horyzontu. Słońce zniżało się bardzo szybko.

- Nic im się nie stanie - rzekł Eliot.

- Robi się ciemno.

- Mój Boże, Maggie, ale z ciebie panikara - stwierdził Eliot z lekkim rozdrażnieniem.

- Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby im się coś stało - powiedziała zagryzając wargi.

- Ale nic się nie stanie. Zaufaj mi.

- Przecież wiesz, że ci ufam.

- Zgodziliśmy się co do tego, że im dłużej są ze sobą sami, tym lepiej - przypomniał łagodnie.

- Tak. Zgodziliśmy się.

Pomysł, żeby wracać pieszo, nie miał sensu, teraz, gdy było już wiadome, że Meade naprawi ciężarówkę, zanim zdążą dotrzeć do miejsca, w którym zostawili Kena z Carol.

- Lekki niepokój to naprawdę niewielka cena - powiedział nagle Eliot. Spojrzała na niego zdumiona, ale odwrócił wzrok. Przestraszył ją. Jaka cenę był gotów zapłacić za ich wolność? A ona? Czy każdą? Przeszyło ją zimne ukłucie winy. A jeśli. . . - zaczęła się zastanawiać, ale zaraz odsunęła od siebie pytanie, zanim w pełni zdążyło się sformułować. Było nie do pomyślenia. Dlaczego w takim razie w ogóle przyszło jej do głowy? Kto będzie winny? Przecież wypadki się zdarzają. Nikt nie jest w stanie przewidzieć zamysłu drapieżcy, który szuka pożywienia, żeby przetrwać. Życie tutaj było jednym wielkim ryzykiem i niebezpieczeństwem. Rozumując w ten sposób, rozgrzeszyła w myślach Eliota. Chciał dobrze. Uspokoila się. Taki wniosek był jej bardzo na rękę.

Zauważyła, że Eliot bada wzrokiem niebo.

- Burzowe chmury - powiedział, wskazując na wschód. - Ulewa będzie krótka, ale silna.

- Czy to nie skomplikuje sprawy? - zapytała Maggie.

- Zależy, którądy przejdzie - odparł Eliot.

Nie wiadomo dlaczego, spodziewała się, że Eliot okaże większą troskę o Kena i Carol.

Chmury na horyzoncie pociemniały i przesuwały się w ich kierunku. Na zachodzie niebo przybrało purpurową barwę, a słońce zniżało się coraz szybciej.

- Mam sukinkota! Uff, nareszcie gotowe! - zawołał Meade. Nieco odzyskał humor. Podniósł piersiówkę i wznosząc w ich stronę toast, otarł usta wierzchem dłoni. A potem, wciąż bez koszuli, wskoczył na siedzenie kierowcy, zapuścił motor, przejechał się kawałek po wybojach, testując sprawność silnika, i cofnął pojazd.

- Dobra, możemy jechać. - Przywołał ich ręką. - Lepiej wskakujcie. Nadciąga burza i najpóźniej za pół godziny zrobi się całkiem ciemno.

Czarnoskóry pomocnik wspiał się na tył ciężarówki i wystawił głowę ponad dachem. Eliot usiadł obok Meade'a, a Maggie stanęła przy środkowym otworze.

- Trzymajcie się mocno! - zawołał Meade i wystrzelił do przodu. Gnał co tchu przez równinę i tylko migwały na wybojach światła pojazdu. Kierując się wskazówkami Eliota, po dwudziestu minutach dotarł do miejsca, w którym mieli na nich czekać Ken i Carol.

- Tam, w głębi - powiedział Eliot, wskazując na wzgórze, na które przedtem w czwórkę wchodzili.

Szybko zapadał zmrok. Purpurowe niebo na zachodzie pociemniało, coraz szybciej zbliżały się burzowe chmury. Wzmógł się wiatr i powietrze ochłodziło się. Maggie włożyła wełniany sweter, a Meade narzucił na goły tors myśliwską kurtkę.

Meade podjechał jak najbliżej wzniesienia i oświetlił reflektorami pojazdu miejsce, w którym zaczynał się szlak.

- Zatrąb, Meade - powiedział Eliot, wyskakując z ciężarówki i kierując się w stronę wydeptanej ścieżki na zboczu wzgórza. Meade posłusznie nacisnął klakson. Ciszę rozdarł przenikliwy dźwięk. Maggie, z głową w otworze dachu, obejrzała się i dostrzegła w zapadającym zmroku stada zwierząt, które pierzchały spłoszone odgłosem sygnału.

- Usłyszą nas, jeśli tam są - powiedział Meade, wpatrując się we wzgórze, którego kontury zacierały się z powodu zapadającej ciemności. - Co za cholerny głupiec - mruknął.

Nagle jedną z deszczowych chmur rozdarła błyskawica i rozległ się ogłuszający huk pioruna.

- Szybko się zbliża - powiedział Meade. - Lepiej niech się pani schowa do środka i zamknie otwór! - krzyknął do Maggie. A potem zwrócił się do swojego pomocnika w języku suahili, prawdopodobnie radząc mu, żeby zrobił to samo.

Oboje zastosowali się do jego rady. Zostawili spuszczone tylko boczne szyby. W krótkich przerwach pomiędzy odgłosami toczącego się grzmotu Meade naciskał klakson. Nagle o metalowy dach pojazdu zaczęły dudnić ciężkie krople. Maggie i pomocnik Meade'a prędko pozamykali boczne okna.

Ryk klaksonu pomiędzy grzmotami i łomotanie deszczu o blachę tworzyły wzbudzającą grozę kakofonię. Nagle czarnoskóry mężczyzna za plecami Maggie otworzył okno i zaczął coś wykrzykiwać, wyrzucając z siebie lawinę słów w języku suahili.

- O co chodzi? - zapytała Maggie, szczerze przerażona.

- Zamknij się, do jasnej cholery! – wrzasnął Meade, wpatrując się w strumień światła, jaki rzuciły reflektory samochodu.

Mężczyzna znowu zawołał coś w języku suahili.

- Proszę, niech mi pan powie - błagała Maggie.

- Kazałem ci się zamknąć! - wrzasnął Meade, przekrzykując hałas.

I wtedy usłyszała ryk zagłuszający wszelkie inne dźwięki. Poznała ten odgłos i szybko pojęła, co się dzieje. Serce zaczęło jej walić z przerażenia, a plecy oblały się zimnym potem. Chciała otworzyć drzwi, ale Meade był szybszy. Chwycił ją za rękę i pociągnął do tyłu.

- Eliocie! - krzyknęła. - Mój kochany!

Zaczęła się wyrwać i Meade musiał się zwrócić o pomoc do czarnoskórego mężczyzny. Obaj przytrzymali ją za ramiona.

- Eliocie! - zawołała ponownie. Próbowała się wyswobodzić, wkładając w to wszystkie swoje siły. Nagle Meade uderzył ją w twarz. Zaszokowana, oprzytomniała. Meade walnął pięścią w klakson.

- O, Boże, błagam, ratuj go - załkała.

- Nie pomoże mu pani, wychodząc na zewnątrz - zauważył Meade.

- Nie możemy tak siedzieć beczynn timer.

Przerażający ryk słonia przybliżał się. Maggie poczuła, że cała drży. Powtarzała błagalną litanię.

- O, Boże, uratuj go. Ocal mojego kochanego. O, Boże, uratuj go.

- Zwraca się pani do właściwej osoby. Tylko On może mu pomóc -zawołał Meade, wpatrując się w ciemność za światłami reflektorów. Nagle czarnoskóry mężczyzna krzyknął coś w języku suahili i wskazał ręką.

- O co chodzi? - zawołała Maggie.

Meade nie zwracał na nią uwagi, słuchając słów podnieconego mężczyzny.

-Gdzie? - zapytał, podążając wzrokiem we wskazanym kierunku.

- Eliot! Czy tam jest Eliot? - Maggie otworzyła okno i żadna siła nie mogła jej już powstrzymać. - Najdroższy! Wracaj do mnie, kochany! Wracaj! - Jej słowa ginęły w lawinie innych dźwięków.

- Na miłość boską, on się zbliża! - wrzasnął Meade i w tym momencie Maggie też go zobaczyła. Pędził w ich stronę. Widziała za plecami Eliota jego sylwetkę i dziko trzepoczące się uszy, gdy ciężko parł naprzód. Burzową noc rozdarł donośniejszy od wszystkich innych, mrozący krew w żyłach, przenikliwy krzyk.

Meade otworzył drzwi. Potężny słoń nagle zwolnił, rażony strumieniem światła reflektorów. Jego wilgotna gruba skóra błyszczała jak heban. Przysiadł na zadzie, zatrzepotał uszami jak oszalały i unosząc w powietrzu zgięte przednie nogi, wydał z siebie dziki z wściekłości ryk.

Widzieli zbliżającą się bezbronną postać Eliota. Był skrajnie wyczerpany z przerażenia i wysiłku. Słoń uderzył o ziemię przednimi nogami i wznowił szarżę. Jak na tak potężne stworzenie, poruszał się z zawrotną szybkością.

Eliot się zachwiał, potknął i upadł na kolana, ale zaraz się poderwał i ruszył w stronę ciężarówki.

- Eliocie, prędejszy! Tutaj, najdroższy! - krzyknęła Maggie i otworzyła drzwi samochodu od swojej strony, próbując wyjść mu naprzeciw.

- Ty cholerna dziwko! - wrzasnął Meade, chwytając ją za sweter i gwałtownym ruchem wciągając do środka. W tej samej chwili Eliot zwałił się z hukiem na przednie siedzenie pojazdu. Nie mógł złapać tchu i nogi wciąż zwisały mu na zewnątrz. Meade, trzymając go z całych sił jedną ręką, zapuścił silnik i pomimo otwartych drzwi cofnął samochód, o centymetry unikając ciosu olbrzymiej trąby szarżującego słonia.

Wolną ręką zarzucił mocno kierownicą w prawo i skręcając pod ostrym kątem, zjechał z linii ataku ogromnego zwierza. Słoń ponownie przysiadł na zadzie, załopotał uszami i wymachując w ciemności przednimi nogami, rozpryskiwał strugi deszczu. Meade, korzystając z sekundy wytchnienia, błyskawicznie ruszył do przodu, ale zataczając łuk, ugrzązł w rozmokłej ziemi. Niemal w ostatniej chwili umknął słoniowi, który wznowił natarcie na ciężarówkę. Meade prowadził pojazd jedną ręką, drugą pomagał Eliotowi wgramolić się do środka.

Maggie przewiesiła się przez przednie siedzenie, żeby przyjść w sukurs Eliotowi. W końcu, gdy już był w środku, zdołała dosięgnąć klamki i zatrzasnąć drzwi. W tym czasie czarnoskóry mężczyzna podczołgał się na czworakach do tyłu i też zamknął drzwi.

- Niezły cyrk! - zawołał Meade. Pędzili przez równinę, umykając przed pościgiem słonia. Od czasu do czasu koła ślizgały się i buksowały, ale zaraz wydobywały się z ziemi i pojazd zrywał się do dalszej ucieczki. Meade mrużąc oczy wpatrywał się w ciemność i szukał gruntu, który jeszcze nie zdążył rozmoknąć.

Zlany potem Eliot z trudem chwycił powietrze. Nagle przed nimi wyłonił się zagajnik, przez który przebiegała wąska droga wytyczona śladami opon. Meade popędził w jej kierunku. Zanurzyli się w gęstwinie. Niemal w ostatniej chwili ciasne przejście zatrzymało słonia, który znowu siedział im na karku.

Pojazd pokonywał zrywami drogę wśród drzew. Wynurzył się z zagajnika, wspiał na szczyt wzniesienia, zjechał w dół i dalej popędził przed siebie. Krzyk słonia był coraz bardziej przytłumiony i wkrótce dla wszystkich stało się jasne, że niebezpieczeństwo zostało zażegnane.

Maggie oderwała połę swojej koszuli i otarła Eliotowi pot z brwi.

- Bogu dzięki - powiedziała, całując go po twarzy. - Już myślałam, że cię stracę.

- Niewiele brakowało - mruknął Meade.

Eliot skinął głową, uśmiechnął się blado i głęboko zaczerpnął powietrza.

- Widziałem już pana jako jedno z ogniw łańcucha pokarmowego - zachichotał Meade. - Chętnie bym się napił. - Spojrzał na Eliota. - Panu też by nie zaszkodził łyk alkoholu.

Przez chwilę jechali w milczeniu. Maggie nie przestawała pieszczotliwie dotykać twarzy Eliota i głaskać go po włosach.

- Sprawdźmy nasze położenie. Wolałbym dziś nie zabłądzić - powiedział Meade, zatrzymując pojazd. Otaaczała ich nieprzenikniona ciemność i dudniący deszcz. Meade wyjął ze schowka latarkę i sprawdził kompas.

- Ugrzęźniemy w błocie, trzymając się tego kierunku - powiedział. Spojrzał na Eliota, którego głowa spoczywała na kolanach Maggie, a jej palce delikatnie masowały jego twarz i czoło. Maggie była świadoma, że zachowuje się niedyskretnie, ale przecież niewiele brakowało, a straciłaby Eliota na zawsze. W jednej pełnej grozy chwili zawisła na włosku cała jej przyszłość. Czuła teraz niewypowiedzianą ulgę i wdzięczność dla wyroków losu. Pochyliła się nad Eliotem i jeszcze raz pocałowała go w usta.

- Widzę, że jesteście w bardzo zażyłych stosunkach - zauważył Meade.

Uwaga ta wywołała natychmiastową reakcję Eliota, który znalazł w sobie dość siły, żeby się wyprostować i odepchnąć od siebie Maggie.

- Nie moja sprawa - mruknął Meade.

Maggie zauważyła, że mężczyźni wymienili ze sobą spojrzenia.

- Nie było ich tam, gdzie ich zostawiłem - powiedział Eliot, a jego głos zabrzmiał prawie normalnie.

- Możliwe, że ten wielki drań ich wytropił - rzekł Meade. - Jeśli znajdziemy ich utłuczonych na papkę, będzie nas to drogo kosztować. Zła fama zabija nasz interes.

- Niezły ma pan do tego stosunek - powiedziała oschle Maggie.

- Nie słuchaj go - rzekł Eliot. - Wyciąga pochopne wnioski.

- Być może - odburknął Meade, patrząc gniewnie na Maggie. - Powinien ich być przyprowadzić razem z panią - powiedział, wskazując kciukiem na Eliota. Czuła na sobie ciężar jego badawczego spojrzenia. Na długą chwilę zapadła cisza. Maggie słyszała tylko deszcz, który walił o dach i zaciął po oknach ciężarówkę. Grzmoty i błyskawice oddaliły się, ale ulewa nie ustępowała.

- Nie twierdzę, że nie masz racji, Meade - powiedział Eliot. - To prawda, postąpiłem głupio.

- Tak. Tylko że ja poniosę za to odpowiedzialność - utyskiwał Meade. - Ja nadstawiam za was tyłka.

- W tej chwili niebezpieczeństwo zagraża przede wszystkim mojej żonie - powiedział Eliot. - I jej mężowi - dodał, wskazując na Maggie.

Meade popatrzył na nich, potrzęsając głową i nadymając usta, kpił sobie z nich w żywe oczy.

- Sprawa trafi do sądu, to pewne - powiedział tonem, który dawał dużo do myślenia. - A winny zawsze się znajdzie. Tylko że ja nie zamierzam dać się złapać za tyłek jakiemuś cholernemu urzędnikowi.

- Co za szalone założenia, Meade - zaprotestował Eliot. Maggie zrozumiała wieloznaczność słów przewodnika, ale była zbyt przerażona i wytrącona z równowagi, żeby się mieszać do rozmowy. Czyżby Meade podejrzewał Eliota o sabotaż? A może jeszcze gorzej? Czowała narastający ucisk w żołądku.

- Tak pan sądzi? - mruknął Meade. - Sprawa jest grubsza, niżby się na pozór mogło wydawać. - Rzucił w stronę Eliota wrogie spojrzenie.

- Więcej w tym domysłów niż faktów - powiedział Eliot zbolalym głosem. - Nie wolno wpadać w panikę, Meade.

Maggie zauważyła, że Eliot zachowuje spokój i rozsądek. Postanowiła zrobić to samo i nie dopuszczać do siebie złych myśli.

- Jak ci wiadomo, Meade, pani Butterfield zdobyła w Afryce niemałe doświadczenie - rzekł Eliot.

- A mój mąż jest bardzo inteligentnym i zaradnym człowiekiem - dodała Maggie. Podobnie jak Eliot, przyjęła strategię obronną i przybrała pozę urażonej godności.

- Który nie ma pojęcia o Afryce - odparował Meade.

W końcu podrapał się po głowie i ciężko westchnął.

- Niech wam będzie, proszę bardzo, nie myślmy o najgorszym - powiedział z ironią, ale było jasne, że ich stanowisko nie pozostało na niego bez wpływu. Wpatrywał się przez przednią szybę w nie kończące się strugi deszczu. - Możemy przez chwilę pokrażyć. Jeśli jeszcze gdzieś tutaj są, zauważą światła.

Zapуścił motor i wyruszyli w dalszą drogę. Opony samochodu pozostawiały zygzaki, grzęznąc w coraz bardziej rozmokłej ziemi. Deszcz znacznie osłabł, a odgłosy grzmotów i błyskawice przesunęły się dalej. Nie słyszeli już rozdzierającego krzyku słonia.

Wydawało się, że godzinami jeżdżą w ciemności. Od czasu do czasu Meade zamieniał kilka słów w języku suahili z czarnoskórym mężczyzną, który stał w tyle ciężarówki z głową w otworze dachu, a także zatrzymywał pojazd, dawał znaki światłami i naciskał klakson. Przez chwilę czekał, a gdy nie było odpowiedzi, ruszał dalej.

- Lepiej wracajmy. Wyruszymy znowu o świcie - powiedział w końcu. - Służba będzie się denerwować.

- Wolalabym, żebyśmy nie przerywali poszukiwań -za-protestowała Maggie.

- Obawiam się, że nie możemy zastosować się do pani życzeń, pani Kramer - powiedział Meade z niesmakiem.

- On ma rację, Maggie - rzekł Eliot. - Wszystkim nam jest potrzebny odpoczynek.

- Będziemy odpoczywać i czekać na cud - mruknął Meade przez zaciśnięte zęby.

Oświetlił latarką kompas, ustalił kierunek i wyruszył w drogę powrotną do obozu.

Z powodu głodu i niepokoju Maggie odczuwała mdłości. Wzięła Eliota za rękę. Odwzajemnił jej uścisk.

- Wolę zachować optymizm - powiedział.

Meade wzruszył ramionami.

- Nie ma powodu, żeby zawiadamiać władze, dopóki jest jeszcze cień nadziei - stwierdził. Jego słowa zabrzmiały złowieszczo. Maggie wyobraziła sobie siebie i Eliota, jak oskarżeni o morderstwo, w strojach więziennych i krótko ostrzyżeni, czekają na proces. Przeraził ją ten obraz. Jesteśmy niewinni, zaprotestowała. Ale czy rzeczywiście byli? Zaczęły ją gnębić wyrzuty sumienia. Spojrzała na Eliota. Napotkała jego wzrok, który coś jej mówił. Domyśliła się, co to za wiadomość. Nie nasza wina? Potwierdziła skinieniem głowy. O, biedny Kenie, załkała w myślach, wybacz mi.

Powrót do obozu trwał ponad godzinę. Deszcz przeszedł w niewielką mżawkę. Czekala na nich grupa ludzi, którzy weszli w krąg światła reflektorów ciężarówki i uśmiechali się niestosownie. Maggie spostrzegła, że w ich namiotach zapraszająco jarzy się pomarańczowe światło.

Gdy ciężarówka stanęła, Maggie zeskoczyła na ziemię i poczuła, że ugięły się pod nią kolana. Eliot złapał ją, zanim zdążyła upaść. Wspierając się na jego ramieniu, skierowała się w stronę swojego namiotu. Meade wysiadł z pojazdu i podszedł do służących czekających na niego pod płóciennym zadaszeniem, które zabezpieczało kuchenny ogień przed deszczem.

- On wie o nas - powiedziała Maggie do Eliota. Zaczęła się trząść.

- Nie będziemy się teraz nad tym zastanawiać - rzekł Eliot.
- I podejrzewa, kto zepsuł ciężarówkę - dodała Maggie.
Nie odpowiedział. Zbliżali się do namiotów. Nagle Maggie usłyszała głos Kena.
- Ale się o was niepokoił! - zawołał z głębi. Przez okno w klapie dostrzegła jego sylwetkę.
Z drugiego namiotu wyłoniła się Carol i skierowała na nich strumień światła latarki.
- Sądziłem, że się zgubiliście - powiedział Eliot. - Albo że znaleźliście się w tarapatkach z powodu słonia.
- Eliot o mało nie został stratowany - powiedziała Maggie z nie ukrywaną urazą, jak gdyby obarczała za to winą Kena. - Poszedł was szukać.
W tym momencie podszedł do nich z tyłu Meade.
- Miał cholerne szczęście - powiedział, patrząc na Eliota z miną człowieka dobrze zorientowanego, i uśmiechnął się chytrze.
- Dzięki Bogu - powiedziała Carol.
- O Jezu! Strasznie mi przykro, Eliocie - mruknął Ken.
- Wiem, że powinniśmy czekać na miejscu. To Ken wpadł na ten głupi pomysł - rzekła Carol.
- Wystarczy raz uchwycić rytm Afryki - powiedział Ken z teatralną skromnością - a reszta jest już łatwa. Trzeba się tylko skoncentrować. Znaki orientacyjne same rzucają się w oczy. Szliśmy na wyczcucie i jakoś wybrnęliśmy z opresji.
- Wzruszył ramionami. - Nie pomyliliśmy się, Eliocie. Byliśmy o wiele bliżej obozu, niż nam się zdawało.
- Tak - powiedział Eliot, wymownie patrząc na Meade'a.
- Sztuka polega na tym, żeby nie ulec panice.
- Udało się nam tego uniknąć - stwierdziła Carol. - Najważniejsze, że znowu jesteśmy wszyscy razem. Tylko to się teraz liczy.
Kiedy Maggie wyszła spod prysznic, Ken leżał na swoim łóżku i trzymał na brzuchu otwartą książkę.
- Wiesz, to się mogło potoczyć zupełnie inaczej. . . Poczula, jak narasta w niej złość, którą z trudem powstrzymywała.
- Odchodziliśmy od zmysłów, szukając was - powiedziała i wyczerpana opadła na łóżko.
- No i w końcu nas znaleźliście - rzekł Ken.
Mam cię gdzieś, pomyślała, kipiąc w środku z wściekłości.
- Sądziłem już, że stratował was słoń. - Nagle umilkła. - Najważniejsze, że wszystko szczęśliwie się skończyło. - Czyż nie tak?
Odwróciła się do niego tyłem w obawie, żeby nie dostrzegł jej rozczarowania.

Rozdział XIX

Coś było nie tak, jak gdyby obraz otoczenia zniekształcały krzywe lustra albo jakby nieznacznie zmienił się rytm muzyki w czasie trwania baletu.
Początkowo Carol przypisywała to nadmiernemu napięciu nerwowemu. Była wyczulona na każde nietypowe zachowanie, które skrupulatnie rejestrowała - uniesienie brwi, ukradkowe spojrzenie, niezwykłą ripostę. Z coraz większym zniecierpliwieniem czekała na wyjazd z Samburu do następnego obozu w Masai Mara. Za-uważała, że Eliot stał się bardziej zamyślony i mniej rozmowny. W czasie dwóch ostatnich nocy mruczał coś przez sen i nerwowo rzucał się na łóżku. Zeszłej nocy, kiedy obudził ją ryk lwa, stwierdziła, że Eliota nie ma w namiocie. Na dworze panowała nieprzenikniona ciemność. Księżyc i gwiazdy zakrywała gęsta powłoka chmur. Carol podniosła klapę, wyjrzała z namiotu i zobaczyła męża, jak owinięty kocem siedzi samotnie przy dogasającym żarze ogniska. Wrócił do łóżka tuż przed świtem. Udawała, że śpi. Ale to wydarzenie umocniło ją w przekonaniu, że coś ważnego się z nim dzieje.
Martwiła się, że plan, za sprawą którego znaleźli się na obcym niezbadanym terenie, przebiega zupełnie opacznie. Postanowiła na razie nie dzielić się swoimi obawami z Kenem. Jeszcze nie teraz. Poza tym, z ja-

kiegoś powodu coraz trudniej było o okazję, żeby się z nim znaleźć sam na sam. Być może przyczyna leżała w jej wzmożonej czujności.

Maggie i Eliot nie obnosili się już tak ze swoją przyjaźnią jak przedtem i oboje mieli sobie mniej do powiedzenia. Prawdę mówiąc, Maggie też wydała się Carol bardziej zamknięta w sobie i inna niż zwykle. Nie przytakiwała każdemu słowu Eliota. Być może w ten sposób reagowała na wczorajszą przygodę ze słoniem, o której opowiedział im Meade przy śniadaniu.

- O włos uniknęliśmy nieszczęścia - relacjonował. - Drań był przy nas tuż-tuż. - Zbliżył kciuk do palca wskazującego, demonstrując minimalną odległość.

- Coś przerażającego. Jeszcze nigdy nie byłem tak blisko Stwórcy - wyznał Eliot i popatrzył na Maggie.

- Wszyscy przeżyliśmy wstrząs. A łobuz był wyjątkowo okazy - powiedział z naciskiem Meade. - Prawda? - Zwrócił się do Maggie, jak gdyby chciał ją zmusić do wyznań.

- Sądzę - powiedziała niepewnym głosem i dziwnie spojrzała na Meade'a - że niepotrzebnie wpadłam w histerię. Bardzo mi głupio.

- To całkiem naturalne - rzekł Meade i zwrócił się do pozostałych osób. - Bałem się już, że wypadnie z samochodu, tak bardzo chciała wciągnąć Butterfielda do środka. - Maggie zaczerwieniła się, jak gdyby jej wczorajsze zachowanie zawstydzalo ją.

Carol wykryła w tonie Meade'a nutę kpiny i lekceważenia, która nie harmonizowała z treścią jego wyjaśnień. Zauważyła też, że twarz przewodnika jest nienormalnie pocętkowana, a gdy mówi, z jego ust dobywa się słaby zapach alkoholu. Nie uległo wątpliwości, że wzmocnił swoją kawę whisky.

- Może nie powinniśmy byli ruszać się z miejsca - rzekł Ken.

- Słoń zrobiłby z was miazgę. Hieny dostałyby dziś smaczne śniadanie - powiedział Meade i ponownie zwrócił się do Maggie. - Albo sępy przekąskę.

- Mieliliśmy szczęście, że udało się nam wrócić do obozu - stwierdził Ken i upił duży łyk kawy.

- Zawsze dopisuje głupcom - mruknął Meade z naganą w głosie.

Jego zachowanie dziwnie odbiegało od wcześniejszej postawy, cechującej się powagą i respektem. Byli przecież jego klientami. Miał obowiązek odnosić się do nich z szacunkiem. Ale i stosunek Eliota do Meade'a wydał się Carol dosyć osobliwy. W czasie poprzednich podróży Eliot na pewno by nie tolerował ani sarkazmu przewodnika, ani jego humorów.

- Co byś zrobił na moim miejscu, Meade? - zapytał Ken, rzucając spojrzenie w stronę Eliota, który się odwrócił, jakby nie zamierzał uczestniczyć w rozmowie.

- Poszedłbym z Butterfieldem. Przecież nie zna pan tego kraju. Co wcale nie znaczy, że Butterfield jest ekspertem, pomimo pewnego doświadczenia. Ale zostając postąpiliście bardzo głupio. - Ostatnia uwaga była zaadresowana również do Carol.

Carol miała już przedstawić swoje racje, ale w ostatniej chwili się rozmyśliła. Zły nastrój Meade'a pogłębiał się. Nie było sensu jeszcze bardziej zadrażniać sytuacji. Odtworzyła w pamięci wydarzenia poprzedniego dnia. Eliot chciał sprawdzić, gdzie się znajdują, i wrócić po nich z przewodnikiem. Maggie wyraziła gotowość towarzyszenia mu. Odpowiadało to planom jej i Kena. A poza tym delektowała się myślą, że zostanie sam na sam ze swoim kochankiem.

To prawda, że w pewnym momencie przestali panować nad sytuacją. Ken zdecydował się szukać na własną rękę drogi powrotnej. Postąpili wbrew wszelkim instrukcjom bezpieczeństwa. Ale przecież Ken miał rację. Wcale nie byli daleko od obozu.

Wykazał się pomysłowością i odwagą. Gdy zauważyli dym ogniska, zatrzymali się, objęli i uczcili przychylności losu długim pocałunkiem. Wydarzenie okazało się cudowną przygodą.

- Meade ma rację - rzekł Eliot. - Nie powinienem był zostawiać was tam samych. Zaoszczędziłoby to nam wszystkim wiele strachu.

Przecież Meade wcale nie robił mu wyrzutów, uświadomiła sobie Carol. To ją i Kena nazwał głupcami za to, że nie poszli razem z Eliotem. Kolejny dysonans, pomyślała. Jej niepokój zaczął wzrastać.

- Zagadką pozostaje dla mnie ta cholerna awaria ciężarówki. - Uwaga Meade'a skierowana była do Eliota.

- Głosuję za tym, żebyśmy nie wracali już więcej do całej sprawy - wtrąciła się nagle Maggie. - Wyciągnijmy z niej wnioski na przyszłość i dajmy sobie z nią spokój. - Uśmiechnęła się z przymusem.

- Jestem za - powiedział Eliot.

- Zróbcie mi jeszcze raz coś takiego, a zostawię was tu samych. Będziecie mieli okazję do woli pobawić się w Tarzana i Jane. Mogłem przez was stracić licencję - mruknął Meade.

- Wobec której nasze życie jest niczym - powiedział pogodnie Ken z nutą sarkazmu.

Na ułamek sekundy twarz Meade'a naprężyła się. Przewodnik popatrzył ze złością na Kena. Carol pomyślała, że konfrontacja jest nieunikniona. Ale on podniósł się z miejsca i ruszył w stronę ciężarówki.

- Odjeżdżamy za dziesięć minut - rzucił tylko.

- Nie jest dzisiaj zbyt pogodnie usposobiony - zauważył Ken.

- Obawiam się, że wczoraj przeżył ciężkie chwile. - Eliot próbował usprawiedliwić zachowanie Meade'a.

- A do tego jest na bani - dodał Ken.

- Wyrzeźwieje - powiedział Eliot, ale jego zapewnienie nie zabrzmiało przekonywająco.

Potulne i ustępliwe zachowanie Eliota było właśnie tym, co dawało Carol najwięcej do myślenia. Jego postawa wydawała się jej nadzwyczaj zagadkowa.

Przez dwa dni włóczyli się po równinach. Robili zdjęcia, tropili stada różnych gatunków zwierząt i bez powodzenia szukali śladów nieuchwytnego lamparta. Każdego popołudnia zbierały się chmury i sawannę zalewały ulewne deszcze, zamieniając jej powierzchnię w błoto. Grząska ziemia udaremniała popołudniowe wycieczki.

- Miejmy nadzieję, że w Masai jest bardziej sucho - powiedział Meade. Jego nastrój pogarszał się wprost proporcjonalnie do ilości wypitej whisky. Zachował na tyle zdrowego rozsądku, że w czasie wypraw ograniczał alkohol do jednej piersiówki.

Z powodu opadów deszczu nie mogli siedzieć przy ognisku i dwa ostatnie wieczory w Samburu spędzili w namiocie-jadalni, co przyprawiło Carol o klaustrofobię. W ciągu ostatnich dwóch dni nie nadarzyła się okazja na bezpieczne "t,te a t,te" z Kenem. Obie pary ani na chwilę się nie rozstawały. Carol zaczęła się czuć niepewnie. Miała wrażenie, że jest śledzona.

Podczas ostatniej kolacji w Samburu jej poczucie zagrożenia osiągnęło punkt zwrotny i wyszła z jadalni w połowie głównego dania, przesyłając Kenowi wzrokiem sygnał.

- Problemy żołądkowe - wyjaśniła.

- Lepiej niech się pani wcześniej położy spać - rzekł Meade. Jutro czeka nas długa jazda do Masai. A droga jest zła.

Perspektywy nie były zachęcające, zważywszy na coraz większe problemy alkoholowe Meade'a. Carol pamiętała, że droga do Masai jest rzeczywiście paskudna.

Czekała na Kena z tyłu swojego namiotu, ukryta przed niepożądanym wzrokiem. Czowała przygnębienie i rozpacz. Coraz trudniej przychodziło jej bagatelizowanie swoich obaw. Musiała chociaż na chwilę znaleźć się z Kenem sam na sam.

Podszedł do niej od tyłu. Odwróciła się i rozejrzała za jego plecami, żeby się upewnić, czy nikt ich nie widzi.

- Co im powiedziałaś? - zapytała szeptem.

- Korzystam właśnie z toalety - odparł Ken. - I tak dyskusja przy stole toczy się bez mojego udziału.

Przygarnął ją do siebie. Rozmawiali półgłosem, szepcząc sobie nawzajem do ucha.

- Boję się, Ken - powiedziała. - Coś jest nie tak.

- Też to wyczułem.

- Nie odniosłeś wrażenia, że uważniej nas obserwują? Myślę, że nas podejrzewają. Może coś wiedzą.

- Skąd mieliby wiedzieć? - zapytał Ken, nie oczekując odpowiedzi. - Przecież byliśmy piekielnie ostrożni.

- Nie, wcale nie - zaprotestowała Carol. - Czasami ryzykowaliśmy.

- Ale nie w ich obecności. Przy nich odnosiliśmy się do siebie w sposób poprawny i obojętny. - Nagle rozejrzała się dookoła. - Chyba że komuś polecili nas śledzić - powiedział i roześmiał się beztrudnie.

- Mogli nas widzieć - upierała się Carol. - Wiesz, wtedy. Oni i Meade. Jest z nimi w zмовie. Będzie ich świadkiem. Czy nie zauważyłeś różnicy w jego zachowaniu? Spiskują. Czuję to, Ken. Wiedzą i bawią się z nami w kotka i myszkę. - Była bliska hysterii. - Eliot zamierza wszystko mi zabrać. Czuję to, Ken. Tylko czeka na odpowiedni moment.

- A niech sobie zabiera - rzekł Ken. - Przynajmniej będziemy mogli być razem.

Zesztywniała i wyswobodziła się z jego objęć. Znowu to samo, jęknęła w duchu, szukając logicznych argumentów.

- Wiem - szepnął Ken i wziął ją za rękę. - Wybacz mi.

Nie zamierzała rezygnować z tego, co jej się prawnie należało. Eliot postępował z nią nieuczciwie. Był podły i niewdzięczny.

- Będziemy musieli coś zrobić - szepnęła. Ken wyciągnął do niej ramiona i znowu do niego przyłgnęła.

- Musisz się uspokoić i wszystko przemyśleć.

Nagle przyszło jej do głowy, że może niesprawiedliwie przypisuje Eliotowi złe motywy. To prawda, że była dla niego dobrą żoną, troskliwą i sprawną. Ale przecież i jemu nie mogła nic zarzucić. Nie był opryskliwy ani okrutny. Rozważny? Tak, ale na pewno nie skąpy. I to ona okazała się wiarołomną żoną. Eliot był stroną pokrzywdzoną. Niezbyt miłe położenie. Wiedziała z własnych afrykańskich doświadczeń, że ranne zwierzę jest najbardziej niebezpieczne.

- To tylko twoje domysły, Carol. Nie masz pewności.

- Dlaczego wobec tego wszystko wygląda inaczej? - zapytała. - Sam przyznałeś, że też zauważyłeś różnicę.

- Domysły a pewność to dwie różne sprawy.

- Moje przeczucie jest bardzo silne.

- Może z powodu pogody - odparł spokojnie Ken. - Warunki atmosferyczne mają duży wpływ na psychikę.

- Nie sądzę - orzekła po chwili namysłu. - Wszystko przebiega nie po naszej myśli.

- Uważam, że nie zostało jeszcze powiedziane ostatnie słowo, Carol.

- Eliot i Maggie od kilku dni nawet nie patrzą w swoją stronę. Nie sposób doszukiwać się w tym oznak rozbudzonego uczucia. A nawet wydaje mi się, że oddalili się od siebie z jakiegoś powodu.

- Albo udają - odparł Ken. - I podobnie jak my odgrywają swoje role.

Jego spostrzeżenia zaskoczyły ją i wytyczyły nowy kierunek myślom. Być może z powodu paniki miała przywidzenia i straciła z oczu główny cel, jakim było zbliżenie Eliota do Maggie oraz stworzenie okoliczności sprzyjających rozwodowi na jej warunkach. Poczuła się nieco raźniej.

- Naprawdę sądzisz, że to możliwe? - zapytała, kurczowo chwytając się tej myśli.

- No cóż, my prowadzimy swoją grę. Uważam, że nigdy nie należy lekceważyć przeciwnika - odparł Ken.

Zamyśliła się nad tym przez moment. Przeciwnik? To sugerowało konfrontację. I wojnę!

- Przypuszczam, że takie są realia - westchnęła Carol.

- Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy, Carol: Eliot jest wrogiem. Przecież próbujemy go przechytryć, prawda?

- Niepokoi mnie odwrotna strona medalu. Eliot może próbować przechytryć nas. Zwłaszcza jeśli on i Maggie znają prawdę. - Podniosła wzrok na Kena.

- Tak, to niezbyt pocieszająca myśl - przytaknął. - Nie można lekceważyć Maggie jako przeciwnika. Jest zdolna do tego, żeby złupić ze mnie skórę.

- Maggie?

Carol nie potrafiła ukryć zdziwienia. Maggie, którą Ken zawsze charakteryzował jako typ opiekunki i wielką Matkę Ziemię, wydawała się osobą najbardziej podatną na ich namowy. Była wielbicielką Eliota, nie szczędzącą mu pochlebstw. I dlatego oboje uważali, że jest otwarta na ich sugestie. W każdym razie dotychczas Ken utrzymywał Carol w takim przekonaniu. Oboje zakładali, że Maggie, ze swoim bujnym, hojnie obdarzonym przez naturę ciałem, a także bystrym umysłem, wyda się Eliotowi fizycznie i intelektualnie pociągająca. A dzięki ich sugestiom i manipulacjom Eliot odkryje potęgę wdzięków Maggie i odwzajemni jej uczucie. Może początkowe sukcesy skłoniły ich do nadmiernego optymizmu? Albo, wbrew pierwotnym zamierzeniom, byli niedyskretni i się zdradzili? Nigdy nie brali pod uwagę możliwości, że ich romans wyjdzie na jaw.

- Nie ma co liczyć na wielkoduszność Maggie - rzekł Ken. - Skwapliwie skorzysta z przysługujących jej praw.
 - Zabierze wszystko, co się jej należy?
 - Oczywiście. Jest kobietą interesu. Nie zapominaj, że są jeszcze dziewczynki. Mówiąc o złupieniu skóry, myślałem przede wszystkim o ograbieniu mnie z ich uczuć.
 - Eliot też będzie bezwzględny. Nic nam nie zostawi.
- Ken wzruszył ramionami. Przez długą chwilę oboje milczeli.
- Sądysz, że przesadzam i doszukuję się rzeczy, których nie ma? - zapytała.
 - Może i tak. Przecież jeszcze nie odkryli przed nami swoich kart.
 - Na wszelki wypadek zachowajmy większą dyskrecję.
 - Rozumiem, że mówisz o przyszłości - powiedział, wyciągając do niej rękę. Przyłgnęła do niego. Objął ją. - Kocham cię, kocham cię, kocham - szeptał, szukając jej ust.
- Szarpnięciem rozpiął jej spodnie i ściągnął je na dół. Zrobiła to samo i po chwili czuli dotyk swoich nagich ciał.
- Spod półprzymkniętych powiek dostrzegła jasny błysk, nagły strumień światła, który na moment ją oświetlił i zaraz zniknął. Gdy otworzyła oczy, już go nie było.
- O co chodzi? - zapytał Ken. Był zwrócony twarzą w drugą stronę i niczego nie widział.
- Powietrze przeszły odgłosy kaszlu, bez wątpienia Meade'a, co potwierdziło przypuszczenia Carol. Przewodnik widział ich w świetle latarki. Przeszedł ją chłód. Od tej pory nie dzielili już tajemnicy tylko między sobą. Carol wyrwała się z objęć Kena. Pośpiesznie poprawili ubrania.
- To był Meade. Skierował na nas światło latarki. - Przywidzenia znowu zawładnęły umysłem Carol. - Mógł nas obserwować na ich polecenie. Szpiegował nas. Czuję to, Ken. Oni wszystko wiedzą.
 - To do niego niepodobne. Meade nigdy by się nie podjął brudnej roboty.
- Carol poczuła w sobie wzbierające uczucie wrogości. Tak, to rzeczywiście była wojna. Musiała coś przedsięwziąć. Sama jeszcze nie wiedziała co, ale czuła, że na pewno coś wymyśli. Tej bitwy nie wolno jej było przegrać.
- Nagle usłyszała chichot Kena. Tak bardzo odbiegał od jej myśli.
- Co cię tak śmieszy? - zapytała, pohamowując złość.
 - Drań szybko się stąd zmył - powiedział Ken. W pierwszej chwili chciała zaprotestować, ale zaraz zrezygnowała. Sytuacja faktycznie mogła wydawać się groteskowa. Ale nie pobudziła Carol do śmiechu ani nie rozproszyła jej obaw.

Rozdział XX

Nie są tacy, jak by się mogło wydawać - powiedział Meade, mierząc Eliota ostrym i wymownym spojrzeniem. Stwierdzenie było jednoznaczne. Stali na wzgórzu w Masai Mara i obserwowali stado bydła, które opuszczało wioskę.

Łagodny wiatr przywiał od strony domostw cuchnące wyziewy. Wysocy i zgrabni Masajowie w barwnych, pomarańczowych szatach szli obok stada i zapędzali bydło na równinę.

- Jacy oni piękni - zachwyciła się Maggie.
 - To plugawa banda. Niech się pani nie da zwieść pozorom. Są chciwi i cuchną gnojem. Do wszystkiego używają gnoju. Nawet budują z niego domy. Centrum wioski - wskazał na rodzaj placu otoczonego chatami z nawozu i gałęzi - jest jedną wielką hałdą krowiego łajna.
 - Meade jest na nich obrażony - wtrącił się Eliot, bardziej z zamiarem wytłumaczenia wrogości przewodnika niż z chęcią udzielenia mu reprimendy za nadużywanie alkoholu. Od dwóch dni, to jest od czasu, gdy rozbili obóz w Masai Mara, Meade stawał się coraz bardziej gadatliwy, wulgarny i coraz więcej pił.
- Eliota bardzo niepokoił stan przewodnika, który w pijackim oszołomieniu zupełnie nad sobą nie panował. W każdej chwili mógł wypaplać informację, którą powinien zachować dla siebie.

- U nich tylko kobiety i dzieci pracują. Mężczyźni przesiadują całymi dniami w domach. Spędzają czas na pi-
ciu i pieprzeniu się.

- W takim razie nie najgorzej im się powodzi - zauważył Ken.

- Ich stada zapaskudzają sawannę, a ci tak zwani dzielni masajscy wojownicy zabijają każde dzikie zwierzę,
które stanie im na drodze.

- Czytałam, że Masaj staje się mężczyzną, gdy przebije dzidą lwa - powiedziała Maggie.

- Pieprzony mit, nic więcej - rzekł Meade. - Noszą włócznie na pokaz. O tak, oni potrafią zabijać. Przedziura-
wiają wnętrze lwa, gdy śpi z pełnym brzuchem. Na tym polega ich odwaga.

Eliot nigdy nie pochwalał ogromnej niechęci Meade'a do Masajów. Ale nienawiść do tego plemienia należała
już do tradycji wśród przewodników safari. Masajowie żądali od nich opłat za przejazd przez swoje tereny
oraz za każde zdjęcie zrobione przez turystów. Często też przepędzali i okradali klientów safari.

Eliot uważał jednak, że zasługują na szacunek jako właściciele ziemi. Wiele razy odwiedzał ich wioski. To
prawda, że paskudnie cuchnęli i pili odrażającą miksturę z mleka i bydłęcej krwi, ale byli fenomenem kultu-
rowym o zróżnicowanych wartościach, godnym ochrony i tolerancji.

Zwykle strofował Meade'a za jego krytykę. Ale teraz sytuacja była nietypowa i Meade w sposób oczywisty ją
wykorzystywał. Odgrywał się w ten sposób na Eliocie za umyślne uszkodzenie ciężarówki. Eliot nie miał co
do tego złudzeń: przewodnik go podejrzewał. I miał rację. Pomysł był głupi. Eliot postanowił wykazać w
przyszłości więcej sprytu.

Nie zamierzał się poddawać ani rezygnować ze swojej własności. Życie roztaczało przed nim uroki, których
istnienia dotychczas nawet nie podejrzewał. Zdawał sobie sprawę z tego, że sytuacja wymaga od niego
większej pomysłowości i bardziej zdecydowanego postępowania. Nadzieja na to, żeby Ken i Carol zakochali
się w sobie, była bardzo nikła. Z każdym dniem stawało się to coraz bardziej oczywiste. Musiał istnieć lep-
szy sposób i skuteczniejsze środki działania.

- Cholerne dranie - powiedział Meade, gdy z powrotem wdrapywali się do ciężarówki, by kontynuować po-
łudniowe safari.

Pomimo pozorów koleżeńskiej atmosfery, zniknęła niefrasobliwość pierwszych dni w Samburu. W sposób
wyraźny wzrastało napięcie. Odczuwali to wszyscy. W drodze do Masai Mara zatrzymali się w Narok, w
upstrzonym przez muchy i zaśmieconym miasteczku, żeby się odświeżyć, kupić pamiątki, gazety i kartki
pocztowe. Maggie przekazała wzrokiem sygnał Eliotowi i odplynęła główną ulicą do urzędu pocztowego,
gdzie ustawiła się w kolejce po znaczki. Eliot poszedł za nią.

- Meade znęca się nad nami - szepnęła.

- Sądzi, że może sobie na to pozwolić dzięki informacjom, które posiada.

- Bardzo mi przykro, Eliocie. Ale tak strasznie się bałam. A potem byłam tak szczęśliwa, że nie potrafiłam
zapanować nad sobą.

- Nie ma w tym twojej winy. Jestem pewien, że Meade podejrzewa mnie o sabotaż.

- Powiedział ci o tym? - spytała zaniepokojona Maggie.

- Jeszcze nie. Jak dotąd bawi się z nami.

- Powie Kenowi i Carol, jak myślisz?

- Kto to wie! Gdy jest pijany, wszystkiego się można po nim spodziewać.

- Czuję się winna.

- Musimy to jakoś przetrwać, Maggie. Meade nie ma żadnych dowodów. A w obecnym stanie jest mało wia-
rygodny.

- Jeśli cokolwiek powie, zasieje w ich umysłach niepokój. I wzmogą czujność.

- Ale jak dotąd jeszcze nic nie powiedział - zauważył bez przekonania Eliot.

Kolejka zatrzymała się przed okienkiem. Jakaś kobieta klóciła się z urzędnikiem w języku suahili. Eliot cze-
kał w milczeniu i nie odzywał się. Po dłuższej chwili Maggie szepnęła do niego:

- Sprawa niezupełnie przebiega po naszej myśli, prawda?

- Niezupełnie - przyznał.

- Może byłoby lepiej wyznać im prawdę i skończyć z tym raz na zawsze?

- Rozmawialiśmy już o tym, Maggie. - Eliot westchnął.

Kolejka znowu zaczęła się przesuwać do przodu. Maggie wyjęła portmonetkę i przygotowała pieniądze, które miała wręczyć urzędnikowi.

- Co zrobimy?

- Wymyślę coś, Maggie, coś absolutnie bezpiecznego. Nie wolno nam tracić serca. Zbyt wiele znaczy dla nas obojga.

- Ten Meade to straszny człowiek. Działa mi na nerwy.

- Damy sobie z nim radę - szepnął Eliot.

Gdy dotarła do okienka, Eliot mimowolnie się obejrzał. Do kolejki dołączył Meade. Od jak dawna ich obserwował?

Maggie odwróciła się i zaczęła coś mówić do Eliota, gdy nagle spostrzegła przewodnika. Z przerażenia zeszytniały jej rysy twarzy. Bez słowa skierowała się do wyjścia.

Eliot nie znosił tego człowieka za to, że wprowadza ich w zakłopotanie i wzbudza uczucie strachu. Postanowił, że znajdzie jakiś absolutnie bezpieczny sposób, by on i Maggie mogli zrealizować swoje zamierzenia. I nie powstrzyma ich przed tym obecność Meade'a, tego wiecznie pijanego i niebezpiecznego drania. Schylił się do okienka i kupił znaczki.

Meade nie przyłączał się już do nich przy ognisku, ani przed, ani po kolacji. Siadywał pod zadaszeniem swojego namiotu, pociągał z piersiówki i, zdaniem Eliota, pilnował samochodu. Rozbił teraz namioty o wiele bliżej siebie niż w Samburu, co również zaniepokoiło Eliota. Zachowywał się tak, jakby chciał ich mieć przez cały czas na oku.

Nie przesiadywali długo przy ognisku. Rozmowa ograniczała się do frazesów albo wiadomości na temat Afryki. Nawet inaczej zajmowali teraz miejsca. Do tej pory Eliot i Maggie siadywali zwykle obok siebie. Było to całkiem zrozumiałe. Jako koledzy po fachu mieli sobie do przekazania najwięcej informacji.

Teraz to się zmieniło. Eliot łapał się na tym, że siedzi obok Kena, a panie zajmują miejsca naprzeciwko swoich mężów. Nie miał pojęcia, jak do tego doszło. Przyszło mu na myśl, że Meade podzielił się podejrzeniami z Carol i że ona rozpisuje teraz na role swoje nowe libretto. Postanowił ostrożnie ją wy badać.

- Wydaje mi się, że Ken i Maggie odnoszą się do nas z rezerwą - napomknął, gdy wrócili do namiotu i szykowali się do snu. Mówiąc to, zniżył głos do szeptu.

- Też to zauważyłam - powiedziała Carol.

- Czy zrobiliśmy coś niewłaściwego, jak sądzisz?

- Pewnie chodzi o Meade'a. Jego pijaństwo działa wszystkim na nerwy.

- Może masz rację.

Odczekał chwilę, zanim odezwał się ponownie.

- Odniosłem wrażenie, że nie tworzymy już tak zgranej paczki jak przedtem.

- Sądziłam, że nadal jesteście z Maggie przyjaciółmi. Wślizgnęła się do łóżka, a on zgasił światło. Odwrócił głowę w jej stronę i czekał, aż wzrok przywyknie do ciemności. Po chwili widział ją wyraźnie. Leżała z otwartymi oczami i patrzyła w sufit namiotu. Nie odezwał się. Był czujny.

- Mówiąc szczerze, sądziłam, Eliocie, że ona pali się do ciebie.

Poczuł się zakłopotany. Co ona mówi? Bada go? Zakłada przynętę? Czy go podejrzewa? A może dowiedziała się czegoś od Meade'a?

- To śmieszne - odparł.

- Jestem innego zdania. Uważam, że doskonale się uzupełniacie.

- Nie zauważyłem tego - powiedział, czując ucisk w żołądku.

- Dlaczego nie? Jest inteligentna, kobieca i ślepo w ciebie zapatrzona. - Carol nieubłaganie drażyła temat. - Uczciwie mówiąc, myślę, że bylibyście wspaniałą parą.

Eliot zdarł z siebie okrycie i zerwał się na równe nogi.

- Co ty wygadujesz, Carol? Czy Ken też tak uważa?

- Nie jest ślepy.
- Co ci powiedział?
- Że pasujecie do siebie. Bardziej niż ty i ja. Albo oni.
- Rozmawiałaś na ten temat z Kenem? - Uwagi Carol przeszły jego najśmielsze oczekiwania. Ogarnęło go zatrważające poczucie niepewności. Zupełnie nie wiedział, jak zareagować na ten nagły wybuch. Czy Carol o wszystkim wiedziała i wybrała ten sposób, żeby mu o tym zakomunikować? - Odpowiedz. Rozmawiałaś? - ponaglał.
- Tak - powiedziała niepewnie.
Czy Ken też rozmawiał na ten temat z Maggie? Czyżby ich związek tak bardzo rzucał się w oczy? Eliot był przekonany, że Carol nie jest pewna swoich zarzutów. Musiał natychmiast je powstrzymać. Nie mógł dopuścić, żeby rozwijała je dalej.
- A więc tu leży pies pogrzebany. To dlatego zachowują się wobec nas z rezerwą. Ale nawarzyłaś piwa, Carol. Naprawdę, wstyd mi za ciebie.
- Wstyd ci za mnie?
Czyżby posunął się za daleko? Widział to teraz całkiem jasno. Meade doniósł o nich Carol i zgodził się być jej świadkiem. Spiskowali przeciwko niemu. Eliot postanowił się wycofać i wszystko spokojnie przemyśleć. Pochopne działanie mogło zakończyć się katastrofą.
Poprawił łóżko i z powrotem wsunął się pod przykrycie.
- To niegodne ciebie, Carol - mruknał. - Twoje supozycje są ohydne. Ta kobieta jest moim pracownikiem i koleżanką. Mam dla niej czysto braterskie uczucia.
Zamknął oczy. Wirowało mu w głowie. Miał nadzieję, że tym wybuchem odeprze jej zarzuty. Jednego był pewien: nie wolno mu lekceważyć Carol jako przeciwnika.
Widział coraz wyraźniej, że zastosowanie drastycznych środków staje się niezbędne.

Rozdział XXI

A niech to szlag trafi! - zaklął Meade, gdy koła ciężarówki ugrzęzły w błocie. Rozhuśtał ją. W końcu opony natrafiły na kamień, odzyskały przyczepność i pojazd pojechał dalej.
Całą noc lało. Powierzchnia równiny rozmokła. Wezbrały rzeki i strumienie wypływające z podnóża gór.
- Sądziłem, że to nie pora deszczowa - zwrócił się Ken do Eliota, ale ten nie wydawał się rozbawiony jego uwagą.
- Kaprysy pogody. To się zdarza - odparł zdawkowo.
Meade był zbyt pochłonięty mocowaniem się z kierownicą, żeby odpowiadać. Wewnątrz pojazdu cuchnęło nieświeżymi wyziewami alkoholu. Tradycyjnie już, przewodnik nie pokazał się na śniadaniu. A gdy się zjawił, jego oczy przypominały dwie mapy poprzecinane siecią czerwonych kanałów, nos natomiast miał spuchnięty i upstrzony purpurowymi cętkami.
- Wyprawiamy się dzisiaj na lwa - zakomunikował, niewyraźnie wymawiając słowa. Na Kena prawie nie patrzył. Czyżby Carol myliła się, twierdząc, że Meade nakrył ich w świetle latarki na uprawianiu miłości? Ken przyjął jej spostrzeżenie za pewnik. Ale przecież mogło się zdarzyć, że strumień światła tylko rozproszył ciemność ponad ich głowami i Meade niczego nie widział.
Ken martwił się o Carol. Dawła się ponieść wyobraźni. A nawet jeśli Meade ich widział, to co z tego? Jako doświadczony przewodnik safari, musiał być świadkiem różnych, nawet najbardziej nietypowych związków. Rozpowszechnianie plotek nie leżało w jego interesie. Miałoby niekorzystny wpływ na biznes.
Urojenia Carol pchały ją do najbardziej dziwacznych wniosków, takich jak ten, że Meade spiskuje z Eliotem i szpieguje ich. Ale ten szalony scenariusz miał swoją logikę. Niewątpliwie w grę wchodziły duże pieniądze. Ken doskonale rozumiał, jakie mają znaczenie dla Carol, a tym samym dla niego samego.

Najbardziej niepokoił go fakt, że jej podejrzenia nie potrzebują dalszej pożywki. Carol była przekonana, że Eliot, Maggie i Meade wiedzą o ich związku. Czy z tego powodu traciła wiarę w powodzenie ich planu? Ken zdawał sobie sprawę, że jemu nie wolno wątpić ani poddawać się. Od tego zależała ich wspólna przyszłość. Zauważył, że Meade przyniósł coś w skórzanej torbie, którą postawił w samochodzie obok swojego siedzenia. Gdy się przewróciła, dźwięk szkła nie pozostawiał wątpliwości, że zawiera butelkę. Mimo to nikt nie zaprotestował. Kenowi wydało się to dziwne. Eliot powinien zwrócić uwagę przewodnikowi. To on organizował safari. I on odpowiadał za jego przebieg. Tymczasem Eliot jakby niczego nie dostrzegał.

Ken wymienił spojrzenie z Carol. Doskonale rozumieli się bez słów. Nie zamierzali się wychylać, szczególnie po wczorajszej historii.

Pomimo podmokłego terenu sawanna aż roiła się od dzikich zwierząt. Gazele harcowały razem z zebami, żyrafami i antylopami gnu. Widzieli małe antylopy południowoafrykańskie i stada afrykańskich bawołów z wiecznie towarzyszącymi im ptakami. Uderzająca była różnorodność gatunków ptaków, wśród których przeważały myszolowy, orły, sokoły, dropy oraz całe eskadry przepiórek.

Żeby tylko Carol nie poddała się lękowi, martwił się Ken. Stali obok siebie, obserwując paradę dzikich zwierząt, które były prawdziwą ozdobą równin, zagajników i terenów przyrzecznych. Ken nadal dzielił środkowe siedzenie z Carol, by uniknąć podejrzeń, że sprawy radykalnie się zmieniły. Maggie, która jak co dzień siedziała z tyłu za Eliotem, nie wiadomo dlaczego straciła nagle zainteresowanie widokami. A Eliot, który zajmował swoje zwykłe miejsce obok Meade'a, wydawał się znudzony i smutny. O co tutaj właściwie chodzi? - myślał Ken.

Słońce weszło, ale było oczywiste, że miną godziny, zanim wysuszy sawannę.

- Może jutro przeprawimy się przez tę cholerną rzekę - powiedział Meade. Woda w Mara River wezbrała i płynęła bystrym nurtem.

Meade ostro skręcił w prawo, w stronę wyżej położonego i bardziej suchego terenu. Pokonał wzniesienie i znowu zjechał w dół. Prowadząc pojazd, wpatrywał się w ziemię. Co jakiś czas gwałtownie hamował i uważnie przyglądał się śladom zwierząt.

- Stado lwów - mruknął i poprowadził ciężarówkę ich tropem.

Samochód trząsał się na wybojach. Nagłe szarpnięcia rzucały Kena i Carol na siebie. Ken czuł ciepło jej ciała. Po co się bać? Po co się niepokoić? Czy warto się przejmować, nawet jeśli tamci o nich wiedzą? Jakie to ma znaczenie?

Piękno afrykańskiej sawanny nie sprzyjało pesymistycznym nastrojom. Człowiek czuł się tu wolny. Problemy finansowe traciły na ważności. A tak zwana cywilizacja, gdzieś w innej części świata, wydawała się zepsuta i skompromitowana. Tutaj możliwości były nieograniczone.

Myśl ta podziałała na Kena pobudzająco. Czuł się tak, jak gdyby wrócił do miejsca młodości, gdzie jeszcze wszystko wydawało się możliwe. Wstąpiła w niego nadzieja. Spojrzał na Carol. Spotkał jej wzrok. Uśmiechnęła się. Czyż jej życie, pomimo obecnych obaw, nie nabrało innego wymiaru dzięki ich miłości?

Kolejny ostry zakręt rzucił ich sobie w ramiona. Dostyc tego, postanowił Ken. Liczy się tylko ich miłość. Po przysięgł sobie, że w żadnym wypadku nie przepuści tej okazji. Coraz bardziej utwierdzał się w słuszności swego przekonania. Miał szansę zaznać szczęścia i nie zamierzał z niej rezygnować.

Powinien bardziej panować nad pokusami, być mniej impulsywny i dyskretniej się zachowywać. To oczywiste. Jeśli sprawy przybiorą obrót zgodny z ich pierwotnymi założeniami, tym lepiej. Ale jeśli potoczą się inaczej, będzie musiał znaleźć inne rozwiązanie. Tak czy siak, Carol musi być moja, obiecywał sobie, posługując się literackim sformułowaniem, jakby utożsamiał się z bohaterem jakiegoś średniowiecznego romansu. Meade jechał zygzakiem, wybierając suche miejsca. Na szczycie wzniesienia zatrzymał ciężarówkę, wystawił głowę przez otwór w dachu i przez lornetkę zlustrował okolicę.

- Mamy parę - prychnął i opadł z powrotem na siedzenie, by ruszyć w kierunku okolicy, którą przed chwilą obserwował.

- O czym on mówi? - zwrócił się Ken do Carol.

- Zobaczysz.

Po raz pierwszy tego dnia uśmiechnęła się pogodnie.

Podjechali do pary lwów, które leżały wyciągnięte obok siebie. Gdy ciężarówka się zbliżyła, zwierzęta spojrzwały na nią obojętnie, ale nie ruszyły się z miejsc. Lew dalej wylegiwał się na swoich wielkich łapach, a odwrócona do góry brzuchem lwica nie przestawała wygrzewać się w słońcu.

Meade podjechał do zwierząt najbliżej, jak mógł. Zatrzymał pojazd, wyciągnął piersiówkę i pociągnął solidny łyk. Cała czwórka wstała z miejsc, żeby przez otwory w dachu obserwować zwierzęta. Były piękne. Zachowywały się swobodnie, zupełnie nieskrępowane obecnością człowieka. Futro lwicy błyszczało, jak gdyby zostało specjalnie na tę okazję starannie wyczyszczone.

Rzucili się do robienia zdjęć. Rozległ się trzask aparatów fotograficznych.

- Nie wypstrykajcie wszystkich. Zostawcie trochę na przedstawienie - poradził im Meade, pociągając z piersiówki kolejny łyk. Eliot nie odezwał się. Ken zauważył tylko, że spojrzął na przewodnika z odrazą.

- O jakim przedstawieniu mowa? - zapytał Ken.

- Wkrótce się przekonacie - powiedział oschle Meade i zarechotał.

Nagle lew się podniósł, potrząsnął grzywą i spokojnie zbliżył się do lwicy, która jak na rozkaz przewróciła się na brzuch. Lew podszedł do niej od tyłu, uniósł nad nią przednie łapy i zagłębił w niej swój sztywny członek. Gdy ją kopulował, napinały mu się mięśnie zadu. Nagle wydał z siebie głośny ryk i chwycił pyskiem lwicę za kark.

- Oto macie prawdziwego jebakę - powiedział Meade, przechylając zawadiacko piersiówkę.

- Wolałbym, Meade, żebyś się nie wyrażał - upomniał go Eliot. Ken pochwyił błagalny ton w jego głosie.

Meade obrzucił Eliota niechętnym spojrzeniem.

- Pan, panie Butterfield, z pewnością wszystko wie na temat dobrego pieprzenia się - stwierdził Meade, a napotkawszy wzrok Kena, porozumiewawczo do niego mrugnął. Ken odwrócił się zmieszany. Ugodowe zachowanie Eliota wydało się Kenowi zagadkowe. Meade był tak pijany, że trudno było przewidzieć, co może powiedzieć. Carol szturchnęła Kena w biodro.

- Jest cholernie zaczepny - szepnął do niej Ken.

- Zostaw go w spokoju, Ken - usłyszał za sobą głos Maggie. Jej uwaga jeszcze bardziej zbiła go z tropu. Ten człowiek ich terroryzował, a oni potulnie na to przystawali.

W tym momencie lew odszedł od samicy, która z powrotem przewróciła się na plecy.

- Robią to wielokrotnie. Co najmniej ze dwadzieścia razy - wyjaśnił im Eliot. - Jaja samicy reagują na stałe pobudzenie, dzięki czemu mogą być zapłodnione. Bardzo rzadko się zdarza, żeby lwica w okresie płodnym nie zaszła w ciążę.

- Nie bez powodu tego cholernego drania nazywają królem dżungli - zarechotał Meade, z bulgotem opróżniając do dna piersiówkę. - Nic innego nie robi, tylko się pieprzy. - Sięgnął na dół po butelkę whisky i pociągnął z niej solidny łyk.

- Spokojnie, Meade - udzielił mu reprimendy Eliot. Zrobił to jednak bez przekonania.

- Uważam, że postępuje pan niemądrze - powiedział Ken i w jednej chwili poczuł na sobie spojrzenia wszystkich obecnych.

- Tak sądzisz, Kramer, stary draniu? - rzekł Meade.

- Nie byłbym tak szybki w sądach na twoim miejscu. - W jego wypowiedzi bez wątpienia zabrzmiała nuta groźby.

- On nie miał na myśli nic złego - powiedziała pośpiesznie Maggie.

- Niezłe przedstawienie, droga damo. Gra pani rolę wiernej żony, co?

Maggie wprost oniemiała ze zdumienia.

- Dobrze się czujesz? - zapytał ją Ken.

- Oczywiście, że się dobrze czuję - odparła.

- Jesteś błada jak śmierć - zauważył Ken.

- Przecież powiedziała, że wszystko w porządku, Ken - upomniała go Carol.

Eliot przyglądał się im bez słowa. Przez długą chwilę nikt się nie odzywał. Wszyscy obserwowali parę zwierząt. Po kilku minutach lew znowu się podniósł i ponownie pokrył samicę.

- Krótkie amory, jak na tak wielkiego drania - prychnął Meade, śledząc widowisko. - Dobrze ci, chłopie, prawda? - zarechotał. - Czujesz, że Ziemia kręci się dla ciebie, co?

- Nie zwracaj na niego uwagi - powiedziała Carol do męża, którego wzrastająca furia coraz bardziej rzucała się w oczy.

- Posłuchaj swojej damy, Butterfield. Odezwała się jeszcze jedna dobra i wierna żona.

- Czy musi się pan w ten sposób zachowywać? - wybuchnął Ken.

- No, no, no. Mógłbym panu zadać dokładnie to samo pytanie. - Meade zaniósł się pijackim śmiechem.

- Myślę, że powinniśmy wracać do obozu. Mamy już wystarczająco dużo zdjęć - powiedział Eliot.

- To przynosi pecha, bracie - rzekł Meade. - Nigdy nie należy odchodzić przed trzecim aktem.

- Jezu!!! - nie wytrzymał wreszcie Ken. Ten człowiek podle i brutalnie ich znieważał.

- Nie wie, co mówi, kiedy jest pijany - szepnęła Carol, z nadzieją, że Meade jej nie dosłyszy. - Wygaduje co mu ślina na język przyniesie. Nie zwracajcie na niego uwagi.

- Nie czuję się zbyt dobrze. Naprawdę wołałabym już wrócić do obozu - zwróciła się do Meade'a Maggie.

- Zdobądź się wobec nas na odrobinę przyzwoitości - nalegał Eliot.

W tym momencie lew znowu się podniósł, pokrył łwicę i zaryczał. A potem odszedł, wyciągnął się na ziemi i zamknął oczy.

- Czy teraz możemy już jechać? - zapytał Eliot.

- Macie już dosyć? - zakpił Meade. - To zadziwiające, zważywszy na okoliczności.

Na jakie okoliczności? - zastanawiał się Ken. Czy na te, że oboje z Carol, poddawani wstrętnej formie szantażu, pozwolili temu człowiekowi obrzucać się obelgami? Co widział? Ken nieustannie zadawał sobie to pytanie. Pewnie bardzo dużo. Ale skąd w tym człowieku było tyle okrucieństwa? I dlaczego Eliot reagował w tak powściągliwy sposób?

Meade zapuścił motor i ciężarówka wystrzeliła do przodu. Wstrząs, spowodowany gwałtownym startem, rzucił ich wszystkich do tyłu.

- Przepraszam was, bracia, za szybki odjazd - mruknął Meade i zmrużywszy oczy zaczął wpatrywać się w przednią szybę. - Wszystko w porządku. Już się skupiam.

Jechał uważnie przez równinę, z przesadną ostrożnością pijaka, który zdaje sobie sprawę z własnej kondycji. Wybrał inną drogę niż ta, którą przyjechali. Zjeżdżając ze wzgórza, zwolnił i skierował się w stronę dwóch rozległych zagajników, przekonując się poniewczasie, że pomiędzy nimi biegnie tylko rozmokły trakt. Ciężarówka posuwała się do przodu sapiąc i zipiąc. Jazda w tych warunkach była bardzo uciążliwa. Ziemia pieniała się pod oponami. W pewnym momencie koła tak się zapadły w błoto, że na nic by się nie zdał nawet największy kamień pod nimi.

- Co za cholerne szambo - warknął Meade, gdy ciężarówka zapadła się jeszcze głębiej.

- Obawiam się, że niezbędna będzie wyciągarka - rzekł Eliot.

- To moja sprawa. I ja do cholery będę decydował, co jest potrzebne! - wrzasnął Meade.

Ken spojrzał na Eliota. Widział go przed sobą z profilu. Twarz mu poczerwieniała, ale przemilczał zuchwałość przewodnika.

- Co za złośliwy drań - szepnęła stojąca tuż za Kenem Maggie.

Na niewiele się zdało wciskanie pedału gazu. Koła wirowały, jakby były zawieszony w powietrzu.

- To szaleństwo - powiedział Ken, podchwytyjąc spojrzenie Carol. Szybko potrząsnęła głową, sygnalizując mu, żeby zamilkł.

- A niech to szlag! - zaklął Meade. Wziął butelkę, która leżała obok siedzenia, i przechylił ją. Cętki na jego nosie zrobiły się jeszcze bardziej czerwone.

- Spieprzać mi stąd, wszyscy! - wrzasnął.

Wyskakiwali gęsiego, próbując ominąć błotnistą drogę. Kenowi lewa stopa ugrzęzła po kostki w błocie i wyciągnął ją z chlupotem.

Meade rozplątał linę, przywiązaną do obrotowego bębna wyciągarki z przodu ciężarówki.

- Nie potrzebujesz pomocy, Meade? - zapytał Eliot.

- Jak zajdzie taka konieczność, pan pierwszy się o tym dowie - warknął.

- Pijany skurwiel - szepnął Ken do Carol, która podniosła palec do ust.

- Jeszcze usłyszysz - szepnęła.

- I co z tego? - mruknął Ken. Był oburzony, że przypadła im rola zakładników tego łążącego ich pijaka.

Meade rozejrzał się za solidnym drzewem, do którego dosięgnęłyby lina.

- Tam - powiedział, wskazując na drzewo w pobliskiej gęstwinie. - To powinno wytrzymać. - I pociągnął za linę, która zaczęła odwijać się z bębna. Zanim zanurzył się w zarośla, odwrócił się do nich. - Tylko nie ważcie się niczego dotykać! - zawołał.

Obserwowali go, jak posuwa się w głąb zagajnika i zmierza do mocnego drzewa, które sobie upatrzył.

- Nie powinniśmy tolerować jego zachowania - rzekł Ken.

- Nic na to nie poradzimy. Jak jest pijany, ma taki sposób bycia - powiedział Eliot, nie wiadomo po raz który.

- Ten człowiek jest niebezpieczny - stwierdził Ken.

- Jeżeli będziemy go strofować, stanie się jeszcze gorszy - ostrzegła Carol.

- Musimy jakoś przetrwać tę burzę - mruknęła Maggie. W tym momencie usłyszeli rozzwierający ryk zwierząt i krzyk człowieka. Na skraju lasu pojawiły się dwa lwiatka.

- Stado lwów! - krzyknął Eliot. - Cholera jasna, natknął się na stado lwów.

Rzucili się z powrotem do ciężarówki i pośpiesznie pozamykali wszystkie otwory. Wciąż dobiegał ich przeciągły ryk wielkich kotów.

- Wyciągarka! - rozległ się ponad zgiełkiem wrzask Meade'a. - Pomóżcie mi!

- Jak sądzicie, o co mu może chodzić? - nieoczekiwanie zapytał Eliot. Był zadziwiająco opanowany.

Ken nie miał wątpliwości.

- Na miłość boską! - wrzeszczał Meade rozpaczliwym i błagalnym głosem. - Wyciągarka!

- Chce, żebyśmy uruchomili wyciągarkę - powiedział Ken. Prośba przewodnika była całkiem logiczna. Wyciągarka, wydobywając ciężarówkę z błota i przyciągając ją do drzewa, dawała mu szansę ucieczki, pod warunkiem, że do tego czasu nie zostanie rozerwany na strzępy przez lwice, które krążyły tuż pod nim i rozwścieczone warczały na intruza.

- Czy to się na coś zda? - zapytał Eliot.

Ken odsunął pokrywę w otworze dachu i spojrzał w kierunku zarośli. Z tego punktu obserwacyjnego tylko częściowo widział Meade'a, któremu najwyraźniej udało się wdrapać na jeden z konarów drzewa. Lwice wciąż awanturowały się na dole.

- Wyciągarka. . . ! - błagał Meade.

Eliot zajął miejsce za kierownicą i przyglądał się tablicy rozdzielczej.

- Nigdy tego nie robiłem - powiedział.

Ken spojrzał na Carol, która stała tuż obok i nie mogła wykrztusić słowa. Była jak sparaliżowana. Odwrócił się do Maggie, która z przerażenia też zamarła w bezruchu.

- Potrzebuję pomocy! - wydierał się Meade. - Nie słyszycie?!

- Słyszemy! - zawołał Ken, przykładając dłonie do ust i przekrzykując ryk zwierząt. Zauważył, że lwiatka zaszły się w gęstwinie.

- Wyciągarka! Uruchomcie wyciągarkę!

Jego błagania były żalosne i rozzwierające.

Ken zanurkował w dół i chwytając Eliota za ramię, odsunął go na bok. Pochylił się nad tablicą rozdzielczą i przyjrzał się uważnie aparaturze. Przy jednym z drążków widniał nie wzbudzający wątpliwości napis "Wyciągarka".

- To nie takie trudne - powiedział Ken, patrząc na Eliota z dezaprobatą.

- Mają pełne brzuchy - rzekł Eliot. - Na razie nie będą go atakować, jeśli nie zbliży się do młodych. Może to go trochę otrzeźwi.

- Ależ ten człowiek jest w prawdziwych tarapatach - oburzył się Ken.

- Dobrze mu to robi - mruknął Eliot.

- Wyciągarka! - darł się Meade. - Uruchomcie wyciągarkę! Dlaczego tego nie robicie?!

Ken pociągnął za drążek. Lina naprężyła się, a ciężarówka zaczęła charczeć i dygotać. Nawijając linę na obrotowy bęben, wyciągarka z trudem wydobywała pojazd z błotnistej pułapki.

Samochód powoli zjeżdżał z grząskiego traktu, przesuając się po skosie w stronę zarośli. Gdy znaleźli się bliżej nich, Ken zobaczył Meade'a, który stał na konarze drzewa. Jedną ręką obejmował pień, a w drugiej trzymał długą gałąź, służącą zapewne do opędzania się od zwierząt. W dole groźnie ryczały trzy lwice.

Obok nich gromada lwiatek pałaszowała antylopę gnu.

Meade obficie się pocił. Zniknęło czerwone zabarwienie na jego twarzy. Był blady i wymizerowany. Miał podartą koszulę i podrapane ręce. Ale poza tym nic mu chyba nie dolegało.

Nagle, gdy ciężarówka podjeżdżała do drzewa, koła zablokowały się, natrafiając na duży kamień. Ken wyłączył wyciągarkę i po chwili ponownie ją uruchomił. Ciężko dyszała i zgrzytała, ale kamień zatrzymał pojazd na dobre w odległości ponad trzech metrów od celu. Chcąc dotrzeć do bezpiecznej kryjówki we wnętrzu samochodu, Meade musiałby zeskoczyć na ziemię i podjąć ryzykowną ucieczkę przed niezadowolonymi lwicami.

- Co teraz? - zapytał Ken.

Trzy dojrzałe samice stały pod drzewem i patrzyły na Meade'a, który z rezygnacją obserwował niepomyślny rozwój wydarzeń.

- Trzeba odwiązać linę od drzewa i uwolnić pojazd - rzekł Eliot. - Wtedy cofniemy się i podjedziemy do Meade'a od drugiej strony.

- Tak, masz rację - zgodził się Ken.

- Czy któraś z was jest gotowa, żeby wyjść i spróbować to zrobić? - Eliot zwrócił się do stojących za nim kobiet. - Czy ktoś zdobędzie się na tak idiotyczne ryzyko? - W jego głosie zabrzmiała dziwnie sardoniczna nuta.

Ken zastanawiał się, jak rozwiązać problem. Meade sięgnął w dół gałęzią, która do tej pory służyła mu do obrony przed lwicami, i próbował rozpiąć klamrę przytwierdzającą linę do drzewa. Jednak wkrótce dla wszystkich stało się oczywiste, że ta metoda na niewiele się zda.

- Wewnątrz środkowego siedzenia jest siekiera - powiedział Meade.

- Co takiego? - zawołał Ken.

Meade powtórzył i Ken kazał kobietom, które tam siedziały, przejść do tyłu. Natychmiast go usłuchały.

Uniósł wieko, zobaczył siekierę, wyjął ją i pokazał Meade'owi. Przewodnik skinął głową.

- A teraz odetnijcie linę! - zawołał.

- Czy on oszalał? - oburzył się Eliot. - Nikt przy zdrowych zmysłach nie wyjdzie na zewnątrz.

- Nie ma mowy - powiedziała Maggie. Ken odwrócił się i spojrzał na Carol, która też odmówiła ruchem głowy.

- Więc co zrobimy? - zapytał Ken.

- Na pewno nie to - odparł Eliot.

- Co wobec tego proponujesz?

- Przypuszczam, że musimy poczekać - mruknął Eliot.

- Na twoim miejscu posłuchałabym Eliota, Ken - powiedziała Maggie. - Ryzyko jest zbyt duże.

- Ludzie, musicie mi pomóc! Proszę! - wrzeszczał Meade. - Ten cholerny konar długo mnie już nie utrzyma.

- Jeden fałszywy ruch i rozedrą cię na kawałki, Kramer - ostrzegł Eliot. Czy to możliwe, żeby Ken wyczuł satysfakcję w jego głosie?

- Co się z tobą dzieje, Eliot? - zapytał Ken. Oceniał ryzyko. Eliot mógł mieć rację. Wstał i otworzył klapę nad głową. Trzy lwice spojrzały na niego, na pewno z niecnym zamiarem.

Ken powoli wyjrzał przez otwór, ciągnąc za sobą siekierę.

- Wystarczy jeden szybki cios - rzekł oszalały ze strachu Meade.

- A co z nimi? - zapytał Ken, patrząc na trzy lwice.

- Żadnych gwałtownych ruchów.

- Sam nie wiem - zawahał się Ken. Musiał wdrapać się na maskę samochodu i zamachnąć ze wszystkich sił. A takie działanie mogło rozjuszyć zwierzęta. Jak na potwierdzenie jego przypuszczeń, zaczęły pomrukiwać z niezadowolenia.

- Ken, wracaj! - krzyknęła Maggie. - Rzuć mu siekierę i niech sam przetnie linę.

W oczach Meade'a zapłonęła pogarda.

- W tych warunkach nie zdołam wziąć zamachu - powiedział.

- Naprawdę nie robiłbym tego, Ken - rzucił niemal obojętnym tonem Eliot.

- Posłuchaj Eliota, Ken - rzekła Maggie.

- Proszę! - błagał Meade, obejmując pień jedną ręką. Ken dostrzegł pęknięcie w miejscu połączenia konara z pniem. - Jeśli zrobię jeden krok dalej, ta cholerna gałąź się złamie.

- O Jezu, rzeczywiście - stwierdził Ken, zaglądając do wnętrza ciężarówki. - Nie zdoła tego zrobić.

- Proponuję, żebyśmy trochę poczekali - rzekł Eliot. - Zwierzęta odejdą po zapadnięciu zmierzchu, gdy tylko zgłodnieją.

- To prawda, że odejdą. Ale najpierw spałaszują mnie na kolację! - wrzasnął Meade. - Ta gałąź nie wytrzyma tak długo!

- Wygląda solidnie - mruknął Eliot.

Ken oceniał odległość. Gdyby udało mu się wyjść ostrożnie z siekierą na zewnątrz, mógłby wziąć zamach, jak tylko stanie na masce.

- Ken! - zawołała Maggie i umilkła, gdy podciągnął się na rękach, usiadł na obrzeżu otworu i obserwował lwice.

- Jeśli tylko przyjdzie im do głowy, że coś knujesz, dobiorą się do ciebie w okamgnieniu - powiedział Eliot. Zaskakujące było jego opanowanie.

- Temu człowiekowi grozi śmiertelne niebezpieczeństwo.

- To twoje życie, Ken.

- Posłuchaj go! - krzyknęła Maggie. - Zatrzymaj się!

W tym momencie Meade się poruszył i Ken usłyszał trzask gałęzi.

- Kilka mocnych uderzeń siekierą, to wszystko - powiedział Meade. Koszula przemokła mu od potu. Ken zawahał się, zaczerpnął głęboko powietrza i dźwignął jedną stopę. Przeniósł ją ponad wycieraczką i postawił na masce. Trzy samice przyglądały mu się dzikim wzrokiem.

- Dobrze - powiedział Meade. - Tylko powoli. Żadnych gwałtownych ruchów.

Ken zaczął posuwać się wzdłuż maski na kolanach, ciągnąc za sobą siekierę. Serce dudniło mu w piersi, a pot lał się z niego strumieniami.

- Cholerny głupiec - usłyszał za sobą mruknięcie Eliota. Ken oddał się teraz całkowicie swojemu zadaniu.

Poruszał się rozważnie, próbując ocenić własne siły. Zważył w rękach siekierę i powoli zaczął ją unosić.

- Chryste, czy ty też oszalałaś, Carol? - syknął Eliot. Ken odwrócił się i zobaczył w otworze głowę Carol. Wyciągnęła do niego ręce.

- Wracaj - rozkazał jej. Ale ona dopóty posuwała się przed siebie, dopóki nie chwyciła go za pasek. Nagle pojął logikę jej działania: zaczepiona stopami o otwór w dachu, asekurowała go.

Ken wyprostował się teraz, nie patrząc na trzy lwice, od których dzieliło go nie więcej niż kilka metrów. Ścisnął mocno trzonek siekiery, zamachnął się i z całej siły rąbnął w linę. Lwice stanęły nieruchomo i przyglądały mu się. Ale lina nie została przecięta. Znow wziął zamach. Czuł, że Carol wzmacnia uścisk. Wiedział, że nie byłby w stanie zrobić tego bez jej pomocy.

- Jeszcze tylko raz, bracie. Jeden jedyny raz - powiedział Meade.

Ken całą swoją moc skoncentrował na tym decydującym uderzeniu, którego siła niemal zwała go z nóg. Ale wystarczyło, żeby przeciąć ostatnie włókna liny. Wypuścił z rąk siekierę, prędko wdrapał się z powrotem do

samochoodu i przewracając się na Carol, zatrzasnął pokrywę. W ostatniej chwili. Jedna z lwic wskoczyła na maskę i zza szyby przyglądała się pasażerom ciężarówki.

Eliot, który z powrotem zajął miejsce kierowcy, cofnął pojazd, ominął kamień i podjechał bezpośrednio pod gałąź, na której stał Meade. Carol wycofała się i usiadła obok Maggie, robiąc miejsce przewodnikowi przy środkowym otworze, na wypadek gdyby udało mu się dotrzeć z powrotem do ciężarówki.

Lwice zrozumiały manewr pojazdu jako zamiar ataku i wszystkie trzy rzuciły się na niego, wskakując na maskę i warcząc przez przednią szybę.

Ken walnął pięścią w klakson i drapieźniki, ogłuszone ostrym dźwiękiem, zeskoczyły z samochodu. Wtedy Ken odsunął pokrywę. Meade z wyciągniętą ręką pochylił się do przodu na niepewnej żerdzi w konarach drzewa. Ken dosięgnął jego ręki.

- Skacz! - zawołał. Meade schwycił leżącą w zagięciu drzewa gałąź, rzucił nią w trzy lwice i wskoczył w odsłonięty otwór w dachu. Ken prędko wciągnął go do środka i zatrzasnął pokrywę, a Eliot wyprowadził ciężarówkę z zagajnika.

Meade leżał na siedzeniu, ciężko dysząc. Cuchnęło od niego potem i alkoholem. Zamknął oczy.

- Muszę się napić - powiedział.

Eliot lewą ręką sięgnął po butelkę, która była już do połowy opróżniona.

- Cholernie mi tego potrzeba - rzekł Meade, wyciągając po nią rękę.

Nagle Eliot mocno skręcił kierownicą, ciężarówką zarzuciło, butelka wyslizgnęła się przewodnikowi z ręki, upadła na podłogę i stłukła się.

- Przepraszam, Meade - powiedział Eliot. - Nie jestem wprawiony w prowadzeniu tak małych samochodów.

Meade otworzył przekrwione oczy, uśmiechnął się i obrzucił go wrogim spojrzeniem.

- Ale tak czy siak, lwy sobie obejrzelśmy - powiedział Ken, łudząc się, że rozładuje ciężką atmosferę. Ale jego żart niewiele pomógł.

Rozdział XXII

Maggie stała w wydzielonej na prysznic przegrodzie namiotu i wycierała się ręcznikiem. Była przekonana, że jedno wiadro wody nie załatwi sprawy, i kusilo ją, żeby poprosić o następne. Ale nie zrobiła tego. Wytarcie się do sucha też nie przyniosło jej ulgi. Wilgoć przyłgnęła do skóry jak całun. Prześladowała ją myśl o śmierci. Czyjej? Przecież, jak na dobrą żonę przystało, okazała niekłamaną troskę o Kena, gdy wspinał się na maskę ciężarówki. Czy mogła zrobić coś więcej, żeby go odwieść od tego zamiaru? Odpowiedź na to pytanie nie dawała jej spokoju. Jak dalece była szczerą wobec siebie? Zaczęła drżeć, a na jej ciele pojawiła się gęsia skórka.

Żadne wybiegi nie mogły wymazać z pamięci dreszczu podniecenia, jaki ją przeszył, gdy Ken wdrapywał się na maskę ciężarówki i wystawiał na straszliwe niebezpieczeństwo. Ale to uczucie było niczym w porównaniu z jej reakcją na widok Carol w chwili, gdy podciągała się w otworze dachu. Serce podskoczyło wtedy Maggie do gardła. Oto miała swoją odpowiedź.

Dopiero wówczas zdała sobie sprawę, że po raz drugi wyzywa los. W pełni uzmysłowiła sobie, że do decyzji o pozostawieniu Kena i Carol na równinie pchnęło ją i Eliota pragnienie ostatecznego rozwiązania problemu.

Jakie to straszne. Ponure. I w najwyższym stopniu egoistyczne. Próbowwała zlekceważyć stawiane sobie zarzuty, ale bez powodzenia. Przypomniała sobie spojrzenie Eliota w owej krytycznej chwili w ciężarówce. Dostrzegła w nim odzwierciedlenie własnego niewyobrażalnie ohydneho życzenia.

Żadne z nich dwojga nie zrobiło nic, żeby przyłączyć się do akcji ratowania Meade'a. Oboje świadomie przyjęły bierną postawę, a jedynym pragnieniem, które zdominowało ich myśli, była wolność i wspólna przyszłość.

Ta sprawa wciąż nie dawała jej spokoju. Przecież nie uważała siebie za podłego człowieka. W przebiegu zdrowego rozsądku doszła do wniosku, że nie żywi wrogich uczuć do Kena. Jak mogłaby nienawidzić ojca

swoich dzieci? To prawda, że blado wypadał w porównaniu z Eliotem, ale ten fakt jeszcze nie tłumaczył zbrodniczych myśli. Poza tym Ken był dobrym mężem i ojcem.

Jednak w stosunku do Carol Maggie nie stać już było na wielkoduszność. To Carol stała jej na drodze i uniemożliwiła realizację skrytych pragnień. Swoim desperackim aktem niesienia pomocy Kenowi dobrowolnie wystawiła się na niebezpieczeństwo i sama podsunęła Maggie myśl o ostatecznym rozwiązaniu problemu. Czyż nie tak? Maggie usilnie próbowała uspokoić własne sumienie wykrętną logiką.

Nawet teraz, gdy całym wysiłkiem woli starała się wymazać z pamięci ohydę ich biernej postawy, zdawała sobie sprawę z okrucieństwa swojego pragnienia, jak i z faktu, że to ono jest źródłem wygodnych usprawiedliwień. Czy wtedy, siedząc w ciężarówce, nie próbowała znaleźć innych logicznych wyjaśnień? W końcu to człowiek wkroczył na terytorium lwów i zakłócił spokój stada. Stworzenia te miały absolutne prawo wyeliminować intruza, który nie respektował ich granic. Maggie była jednak świadoma, że jej przekonanie o słuszności tępienia zła jest wybitnie selektywne. Myślała wyłącznie o wyeliminowaniu Kena, Carol i Meade'a. W nich widziała prawdziwych intruzów i wrogów.

Był taki moment, kiedy działanie Carol obudziło w niej nadzieję i przywiodło na myśl mniej śmiertelne życzenia. Maggie przez krótką chwilę sądziła, że Carol robi to z miłości do Kena. Czyż sama nie postąpiła równie spontanicznie, próbując ratować Eliota przed szalejącym słoniem? Z tą różnicą, że zachowała się niedyskretnie, wyjawiając publicznie swoją miłość do Eliota i zdając tym samym siebie i kochanka na łaskę Meade'a. Carol milczała. I właśnie to skłoniło Maggie do przypuszczenia, że musiały ją kierować pobudki czysto humanitarne - zwykła chęć ratowania ludzkiego życia. Nic nie przebiegało tak, jak to sobie z Eliotem zaplanowali. Ta smutna prawda stawała się z każdym dniem coraz bardziej oczywista. Nieoczekiwane wydarzenia obróciły wniwecz ich pierwotny zamysł. Maggie zaczynała już tracić nadzieję. Miała wrażenie, że równocześnie zatrasnęły się wszystkie drzwi do marzeń o wspólnej przyszłości. Próbowała teraz, niczym Lady Macbeth, wypłukać z pamięci szlam niemłych wspomnień. Broniła się przed nimi w jedyny sposób, jaki przychodził jej do głowy. Wiedziała jednak, że jest grubymi nićmi szyty i bezskuteczny. Potrzebny był jej bezpośredni akt pokuty - konfrontacja z prawdą.

Lęk i niezadowolenie z siebie sprawiły, że nagle zapragnęła z tym wszystkim skończyć. Była już zmęczona nieustannymi kłamstwami. Znużyło ją ciągłe odgrywanie jakiejś roli, udawanie, poczucie zagrożenia, napięcie i strach przed ujawnieniem prawdy. Dostyc tego, pomyślała. Jej skóra zaczerwieńla się, podrażniona nadmiernym tarcieniem. Maggie poczuła przemożną potrzebę oczyszczenia swojego wnętrza z hipokryzji. Na pewno zostało w niej jeszcze trochę dobroci, uczciwości, szczerości i honoru. Ciasnota pomieszczenia z prysznicem nagle zaczęła przyprawiać ją o klaustrofobię. Nie mogła jej już dłużej znieść i prześlizgnęła się pomiędzy połami kłapy do wnętrza namiotu.

Ken leżał na łóżku z rękami pod głową i patrzył w sufit. Przez srebrną siatkę w oknie Maggie widziała służących, którzy przygotowywali wieczorny posiłek. Zaczęła się ubierać, szukając w myślach początku - sposobu na rozpoczęcie aktu pokuty.

- Byłeś bardzo dzielny, Ken - powiedziała. W czasie drogi powrotnej do obozu wszyscy milczeli. Maggie przypuszczała, że każdy interpretował całe zajście na swój własny sposób. Nie miała jeszcze okazji przedyskutować tego z Eliotem, chociaż nadal wymieniali ze sobą ukradkowe spojrzenia.

- Niezupełnie - odpowiedział po namyśle Ken. - Raczej impulsywny i nieroztropny.

- Nie zgadzam się - obstawała przy swoim. - "Odwaga" jest w tym wypadku absolutnie właściwym określeniem. - Zaczerpnęła głęboko powietrza. - To ja powinnam być tą osobą, która ci przyszła z pomocą.

Przyglądała się jego twarzy. Zamrugał powiekami, ale nie spojrzał w jej stronę.

- Zwykły zbieg okoliczności. Po prostu Carol pierwsza znalazła się przy otworze w dachu.

- To nie było tchórzostwo z mojej strony - powiedziała Maggie, ważąc słowa. Wiedziała, że pokuta wymaga wyznania prawdy. Prawdy w granicach rozsądku, dodała w myślach. Czy w ogóle istniało coś takiego? - Ja.

. . - Zawahała się, zbierając się na odwagę. Była żoną tego człowieka od blisko dwudziestu lat. A teraz ich wspólne życie się skończyło i bez względu na wszystko miała obowiązek mu o tym powiedzieć, wyznaczyć przynajmniej to. - Zastanawiałam się właśnie, dlaczego tego nie zrobiłam.

- To nie ma znaczenia - mruknął Ken. Dopiero wtedy odwrócił do niej twarz. - Nie myśl już o tym więcej. Naprawdę nie ma o czym.

- Kiedy to dla mnie ważne - upierała się.

- A dla mnie wcale. W takich sytuacjach niektórzy ludzie szybciej reagują od innych, to wszystko. Gwałtownie usiadł, próbując zakończyć rozmowę na ten temat.

- Być może - powiedziała, czując, jak łomocze jej serce. - Ja jednak doszłam do wniosku, że to nie kwestia refleksu.

- Daj spokój, Maggie - rzekł Ken, wyraźnie zmieszany.

- Obawiam się, że nie martwiłam się o ciebie w takim stopniu, w jakim powinnam. - A więc zostało to w końcu powiedziane, pomyślała.

Czekała na ulgę, jaką powinno jej przynieść to wyznanie. Nie była to pełna spowiedź, ale wolała bodaj częściowe oczyszczenie się od całkowitego brudu.

Ken zmrużył oczy, jakby miał trudności ze skupieniem na niej wzroku. Była pewna, że strzała nie chybiła celu.

- Takie wyznanie to prawdziwy akt odwagi z twojej strony - powiedział.

Spodziewała się, że będzie bardziej przygnębiony. Jego reakcja zabiła ją z tropu.

- Jestem ci to winna. Przynajmniej to - szepnęła. Poczula ucisk w gardle.

- Czy chcesz powiedzieć, że chciałaś mnie. . . - Umilkł.

- Zabić? - Roześmiał się. - Rzucić na pożarcie lwom?

- Oczywiście, że nie - odparła, ignorując jego żarty, nie całkiem zresztą chybione, z którymi wyskoczył zupełnie nie w porę. Miała nadzieję, że nie dostrzegł wahania w jej głosie.

- Wobec tego o co ci chodzi? - zapytał.

Odniosła wrażenie, że spojrzał na nią podejrzliwie.

- Usiłuję cię powiadomić - powiedziała, rozpaczliwie szukając właściwych słów - że tutaj zobaczyłam nasze życie w innej perspektywie. Tak jak i nas samych. - Próba właściwego wyważenia słów była straszliwie trudnym zadaniem. - Nie - zaprzeczyła ruchem głowy - nie chciałam cię zabić. Było mi to jednak na tyle obojętne, że nie zrobiłam nic, by temu zapobiec.

- O Jezu. - Wstał. - Widzę, że naprawdę musiałas to z siebie wyrzucić. - Odwrócił się do niej tyłem i spojrzał w stronę namiotu-jadalni. - W porządku. Czy teraz możemy już pójść na kolację?

- Czy to cię wcale nie obchodzi?

- Nie jestem pewien, czy cię dobrze zrozumiałem. Czyżby świadomie udawał tępotę? - zastanawiała się. A może nie dotarła do niego wiadomość, którą zamierzała mu przekazać.

- To znaczy. . . - zaczęła. Odkryła, że wyznanie części prawdy jest trudniejsze od kłamstwa. Zmusiła się jednak, żeby brnąć dalej. Nie da się już dłużej tego przemilczeć, pomyślała. - Chcę się rozwieść.

Ken podniósł głowę i wnikliwie się jej przyglądał. Czuli się niezręcznie, gdy obserwowali ją z tak bliska. Chciała wykrzyknąć mu całą prawdę. Miała ochotę zawołać całą mocą płuc: Kocham innego mężczyznę!

- Grom z jasnego nieba.

- Musiałam ci o tym powiedzieć, Ken. - Głęboko zachłusnęła się powietrzem. - Przykro mi.

- Czy właśnie dzisiaj doszłaś do takiego wniosku?

- Nie. Myślałam o tym już od pewnego czasu. Przez długą chwilę się jej przyglądał, a potem pokręcił głową i wzruszył ramionami.

- Uważam, że wybrałaś niezbyt odpowiedni moment na tego rodzaju dyskusję.

Zastanawiający był jego spokój i opanowanie. Z czystej kobiecej przewrotności Maggie wolałaby, żeby gwałtownie zareagował, a nawet się rozplakał, chociaż nigdy nie widziała u niego łez.

- Wiem. Ale to mi dokuczalo i musiałam ci o tym powiedzieć. Być może dzisiejsze wydarzenie przyspieszyło całą sprawę. - Mówiła powoli i kiwała głową dla podkreślenia słów. Zaczynała się czuć lepiej. Brzemień zostało zdjęte.

- Czy nie sądzisz, że powinniśmy z tym poczekać i po-rozmawiać po powrocie do domu?

Po raz kolejny ogarnęło ją poczucie winy.

- Na przeprowadzenie tego typu rozmowy pora nigdy nie jest odpowiednia. Może gdy oswoimy się z myślą o rozwodzie, łatwiej nam będzie w przyszłości omówić ten problem z dziećmi. Sądzę, że są już na tyle dorosłe, że zaakceptują naszą decyzję. Wiem, że będziesz w stosunku do mnie uczciwy.

- Wygląda na to, że zdążyłaś już sobie wszystko dokładnie przemyśleć- powiedział Ken, patrząc na nią z figlarnym uśmiechem.

Wyczuła w jego, uwadze sarkazm. Czyżby podejrzewał Eliota? Chyba nie posunęła się za daleko? Nagle zaniepokoiła się tym, że Ken nie zapytał jej o konkretne powody. Należało czym prędzej zamknąć temat.

Powiedziała już wszystko, co było jej wolno.

- Cieszę się, że tak dobrze to przyjąłeś - stwierdziła.

Sięgnął po kurtkę i zaczął ją wkładać.

- Rozumiem, że zatrzymamy ten mały sekret dla siebie do czasu powrotu do domu - powiedział, zasuwając w kurtce zamek.

Rozważała to przez chwilę. Oczywiście powie o wszystkim Eliotowi. Będzie na pewno zachwycony. Przynajmniej jedno z nich odzyska wolność. Chodziło jeszcze o coś innego: Maggie okaże mu w ten sposób swoją prawdziwą miłość, całkowite oddanie duszą i ciałem. Ale zaraz nasunęła się inna myśl, która obudziła w niej wątpliwości. Decyzję o poinformowaniu Kena podjęła na własną rękę, nie uzgadniając jej z Eliotem. Może będzie wściekły, uważając, że w ten sposób obudziła podejrzenia Kena? O Boże, pomyślała. Czyżbym sfuzerowała robotę?

- Nie ma potrzeby niepokoić innych naszymi problemami - powiedział Ken.

- Chyba rzeczywiście tak będzie najrozsądniej - przyznała Maggie, szukając w myślach sposobu na rozproszenie jego ewentualnych podejrzeń. - Masz rację. Bardzo byśmy tym zmartwili Eliota i Carol. Mogliby niepotrzebnie doszukiwać się w naszej decyzji swojej winy.

- Być może - powiedział Ken po chwili namysłu. - Nie ma powodu, żeby psuć im safari.

Ta ostatnia uwaga w znacznym stopniu uspokoiła Maggie.

- Przecież nadal możemy być czwórką dobrych przyjaciół - zasugerowała. Jeszcze nie zdążyła dokładnie przemyśleć tej całej skomplikowanej sprawy. Zrobiła dostatecznie dużo, stawiając pierwszy krok na drodze do odzyskania wolności.

- Przypuszczam, że będziemy musieli pogodzić się z rzeczywistością.

- Jestem dokładnie tego samego zdania.

- Czy mogę o coś zapytać? - odezwał się znowu Ken. Zdjął latarkę z haczyka przy swoim łóżku.

- Oczywiście.

Teraz, uwolniona od brzemienia kłamstw, Maggie wiedziała, że stać ją na wspaniałomyślność. Zebrała się na odwagę, żeby powiedzieć mu prawdę, nie narażając przy tym swojej wolności.

- Czy jest ktoś inny?

Czuła na sobie jego świdrujący wzrok. Nie sądziła, że o to zapyta, chociaż pytanie było całkiem logiczne, niemal rutynowe w tej sytuacji. Przełknęła ślinę. Drżała. Ta odpowiedź musiała być głęboko przemyślana.

Nie wiedziała, czy zdobędzie się na to, żeby mu jej udzielić.

Praktyczna natura mieszkanki Środkowego Zachodu wzięła w niej górę i Maggie powstrzymała się od odpowiedzi. Może działała zbyt pochopnie. Po ostatniej uwadze Kena nadzieja na jego zbliżenie z Carol wydawała się jej bardziej odległa niż kiedykolwiek przedtem.

Zaczęła rozważać konsekwencje ewentualnego przyznania się do winy. Chociaż Ken był uczciwym człowiekiem, to mógł wykorzystać jej wyznanie przed sądem w kwestii powierzenia opieki nad dziećmi albo zemścić się na niej w inny sposób. Taką decyzją otworzyłaby nową puszkę Pandory.

Z powodu tej cholernej przedmałżeńskiej umowy mogła ją czekać w przyszłości rola potajemnej kochanki Eliota. Perspektywa niezbyt nęcąca, szczególnie dla samotnej kobiety z dwójką nastolatka. Zadrzała na samą myśl o tym. Już widziała siebie, jak spędza długie wieczory bez pocrzepiającej obecności ukochanego.

Przychodziły jej do głowy coraz to inne rozwiązania. Otwierały się kolejne puszki. Eliot, w obawie przed utratą praw do swego majątku, mógł odrzucić uczucie dla spokojnego życia intelektualisty i, kontynuując swoje bezbarwne małżeństwo z Carol, całkowicie oddać się swoim zainteresowaniom.

A to by oznaczało koniec ich związku. Życie Maggie byłoby stracone. Musiałyby wszystko zaczynać od początku. Nie miałyby innego wyjścia. Wahając się z odpowiedzią, nie przestawała rozważać jej ewentualnych skutków. Mogła wyznać mu całą prawdę i przyznać się do romansu z Eliotem. Ale w grę wchodziły również pieniądze. Ken czułby się zwolniony z wszelkich finansowych zobowiązań, wiedząc, że jest związana z człowiekiem dobrze sytuowanym. To by za sobą pociągnęło konieczność dalszych wyjaśnień. Czy wyjawiałyby Kenowi prawdę o niepewnej sytuacji materialnej Eliota i o jego umowie przedślubnej z Carol? Pytanie nasuwało się za pytaniem.

Gdyby jednak wymieniła imię swojego kochanka i zdradziła się, że jest mu całkowicie oddana, tym samym zawiodłaby jego zaufanie. I to przede wszystkim musiała brać pod uwagę.

- Mam prawo znać odpowiedź, Maggie - nalegał Ken.

- To całkiem zrozumiałe w tych okolicznościach.

Czy nie wahała się zbyt długo, by jej zaprzeczenie mogło zabrznieć wiarygodnie? Nagle była ciekawa tych wszystkich kłamstw, które usłyszała od Kena w ciągu długich lat małżeństwa. Niewinnych kłamstw, które tkwią u podstaw każdego związku. Być może przyjdzie taki czas, kiedy zwierzą się sobie ze swoich brzydkich drobnych tajemnic i zrad.

Głęboko zaczerpnęła powietrza. Nauczyła się już żyć w kłamstwie. Jakie mogło mieć znaczenie jedno więcej?

- Moja odpowiedź brzmi "nie" - powiedziała, bojowo zadzierając brodę, jak gdyby nie obawiała się jego dalszych pytań. Przyjrzał się jej uważnie, a potem skinął głową.

- Nigdy nie sądziłem, że może być inaczej - wyznał i zbyt prędko odwrócił głowę, by mogła znaleźć potwierdzenie tych słów w jego oczach.

Rozsunął klapę namiotu i ruszył w ciemność. Nagle się odwrócił i spojrzał na nią.

- Hemingway też odkrył swoją prawdę w Afryce - dodał.

Nie zasunął za sobą klapy. Mogła go obserwować, jak podąża za snopem światła latarki do namiotu-jadalni. A ona? Czy również poznała prawdę o sobie? Wcale nie była tego pewna.

Rozdział XXIII

Eliot siedział przy ognisku i patrzył, jak język płomieni liże polana. Spojrzał w kierunku namiotów, wypatrując Maggie.

- Później - szepnęła do niego po kolacji, która upłynęła w wielkim napięciu, ale na szczęście trwała krótko.

Ku zadowoleniu wszystkich Meade nie opuszczał swojego namiotu.

Eliot musiał koniecznie porozmawiać z Maggie. Przygoda afrykańska zaczynała mieć niepokojący przebieg. Przez całe swoje życie Eliot wierzył w wewnętrzny głos rozsądku. Zawsze wystrzegał się uczuć. Sądził, że są wrogiem rozumu i że nie można na nich polegać.

Kiedy jednak odkrył namiętność, kiedy poznał miłość, która ożywiła i wzbogaciła jego życie, stwierdził, że uczucie może zapanować nad rozsądkiem. Przecież logicznie rozumując, Maggie nie była dla niego odpowiednią partnerką ani pod względem pochodzenia, ani pod względem urody. Wrodzona skłonność do snobizmu powinna powstrzymać go przed tym związkiem. Ale uczucie - owa niezbadana miłość - zahipnotyzowało go. Stał się niewolnikiem miłości. Przebudziła go z bardzo długiego snu. Jego ciało rozkoszowało się przyjemnością i radością, jaką ze sobą niosła. Zniewolony, ochoczo poddał się jej potędze.

Niewątpliwie miłość zakłóciła porządek w hierarchii jego priorytetów, chociaż Eliot nie przewidywał, żeby to miało istotny wpływ na jego styl życia. Nie był przygotowany na zmiany.

Przypuszczał, że nawet jeśli nie potrafi im całkiem zapobiec, to przynajmniej zdoła je powstrzymać. Czy jednak nie postępował wbrew naturze? To tak jakby chciał pozamykać w kłatkach te wszystkie gatunki zwi-

rzą, które współżyją ze sobą w idealnej harmonii na obszarach sawannowych Afryki. Może raczej powinien zmobilizować swoje wewnętrzne siły i używając całej mocy rozumu, stworzyć swój osobisty system obrony życia w warunkach naturalnych. Tak brzmiała jego nowa metafora. Może powinien zdać się na rozsądek, wierząc, że wytyczy granice jego przyszłego życia z Maggie i zagwarantuje nieuniknioną tego życia w dogodnym środowisku. Ich miłość tego się od niego domagała. Najpierw jednak będzie musiał wyeliminować niebezpieczeństwo. Meade, rozochocony działaniem alkoholu i wiedzą, że on i Maggie są wiarołomnymi małżonkami, nie czuł potrzeby dalszego liczenia się z jego autorytetem. Eliot rozumiał tę postawę. W ten sposób reagowała każda wolna istota zmuszana do ustępstw wymierzonych przeciwko jej poczuciu wolności. Biali myśliwi tacy jak Meade, którzy zostali sprowadzeni do roli zwykłych przewodników, czuli się rozgoryczeni, co już samo w sobie stanowiło nie lada problem. Eliot był pewien, że Meade zawsze żywił do niego urazę, podobnie jak do wszystkich innych bogatych dyletantów, którzy przyjeżdżali do Afryki, żeby obserwować życie dzikich zwierząt.

A może Meade, prawdziwy myśliwy, czuł antypatię do Eliota za to, że jest prawdziwym myślicielem. Byłaby to w pełni zrozumiała wrogość, wynikająca z naturalnych przeciwieństw. W połączeniu z alkoholem taka uraza mogła okazać się zgubna, a tajemnica, którą posiadał Meade, w każdej chwili mogła wyjść na jaw.

Afrykańska eskapada była wielką pomyłką, a zagrożenie związane z osobą Meade'a utwierdzało Eliota w tym przekonaniu. Szansa na to, żeby Carol i Kena udało się nakłonić do wiarołomstwa, wydawała się mniej prawdopodobna niż kiedykolwiek przedtem. Chociaż, gdy Carol ochraniała Kena przed stadem lwów, w Eliota na moment wstąpiła nadzieja. Nie trwała długo. W drodze powrotnej do obozu i w czasie kolacji Ken i Carol znowu zachowywali się z typową dla siebie rezerwą, bez śladu wzajemnego zainteresowania. Zdrowy rozsądek podpowiadał Eliotowi, żeby natychmiast przerwać safari. Zaświtał mu jednak w głowie inny, bardzo przekonujący pomysł, który mógł wyjaśnić całą sytuację.

Rozum domagał się uczciwego postawienia sprawy. Eliot musiał przyznać się przed samym sobą, że świadomie nic nie zrobił w czasie, gdy Meade walczył z lwami. Ten trudny moment wymagał od niego samodyscypliny. Sprawa nieco się skomplikowała, gdy Ken zaczął odgrywać rolę bohatera. Ale dopiero dzięki reakcji Carol pomysł nabral żywych barw i wywołał w głowie Eliota eksplozję pytań "co by było, gdyby".

Wydarzenie okazało się szczególnie przydatne do analizy własnych wyrzutów sumienia. Eliot wymienił wtedy spojrzenie z Maggie. Co dostrzegł w jej oczach? Gorące pragnienie czy paniczny lęk? Nie był pewien. Cokolwiek to było, nawet nie kiwnęła palcem, żeby ratować życie mężowi. Sparaliżował ją strach? A może zrobiła to całkiem świadomie, tak jak i on? Druga ewentualność wydawała mu się o wiele bardziej prawdopodobna.

Sam mógł być teraz zupełnie pewnym własnej reakcji. Gdyby Carol straciła życie w wypadku albo na skutek innego nieszczęścia losowego, Eliot dałby sobie z tym radę. Rozum rozgrzeszyłby go ze współudziału w zbrodni. Oczywiście miałby niewielkie poczucie winy, które jednak z czasem zupełnie by zanikło. Prawdę mówiąc, wszystko to już raz przeżył, gdy Carol z całych sił obejmowała Kena za nogi.

- Nie wiem, jak zdobyłam się na coś takiego - powiedziała Carol przy kolacji. - Chyba głupota odebrała mi rozum.

- To prawda - odparł Ken. - Jednak nie w większym stopniu niż mnie. - Żartobliwie zasalutował. - W każdym razie jestem ci bardzo wdzięczny.

- Wyboru dokonały okoliczności - kontynuowała Carol. - Eliot siedział za kierownicą, a Maggie zajmowała niedogodną pozycję.

- Powinam była coś zrobić - odezwała się Maggie.

- A to wszystko z powodu tego cholernego pijaka - wtrącił się Eliot, kipiąc ze złości. Przez cały czas się niepokoił, żeby jego bierna postawa nie została zauważona. Teraz poczuł ulgę.

- Jestem zdziwiona, że to wszystko uchodzi mu płazem - oświadczyła Carol. Spojrzała w stronę Kena. - Uważam, że jeden z was powinien mu powiedzieć, co o tym myśli.

- Reakcja z naszej strony jeszcze bardziej go rozjuszy - powiedział Eliot i zwrócił się do Kena. - Nie sądzisz?

- Tak, masz rację - odparł Ken.
- Niewiele brakowało, a doszłoby do masakry - rzekła Carol. - Jestem przekonana, że za chwilę te koty by nas rozszarpały.
- Łut szczęścia - powiedział Eliot.
- Niemal cud - zauważyła Maggie.
- Nie wyobrażam sobie, żebyśmy mogli jeszcze dokądś z nim pojechać - rzekła Carol. - Ten człowiek jest niebezpieczny.
- Rano natychmiast się z nim rozmówię - obiecał Eliot. - Teraz jest w takim stanie, że nie sposób się z nim porozumieć. Chłopcy musieli go zanieść do namiotu.
- Powinniśmy przerwać safari - nalegała Carol. - Meade swoim zachowaniem przekroczył wszelkie dopuszczalne granice.
- Zgadzam się z opinią Carol - rzekł Ken.
- Nie twierdzę, że jestem odmiennego zdania - powiedział Eliot, myśląc jednak o narzuceniu im innego porządku dnia. - Ale to naprawdę pocziwy człowiek, gdy jest trzeźwy. Przewodnicy safari niepokoją się o środki utrzymania z powodu kłusownictwa i skorumpowanej władzy, która niezbyt poważnie traktuje ochronę zwierząt w tym kraju. Przypuszczam, że Meade jest po prostu przemęczony, nadmiernie się tym zamartwia.
- I zupełnie nad sobą nie panuje - dodał Ken. - Uważam, że przede wszystkim powinniśmy mieć na uwadze własne bezpieczeństwo. Najwyżej stracimy kilka dni safari.
- Lepiej stracić kilka dni niż życie - zauważyła Carol.

Eliot spojrział na nią spod zmrużonych powiek, ale się nie odezwał. Nie chciał podejmować tej decyzji. Jeszcze nie teraz. Rozmowa nie kleiła się i wkrótce Maggie, Carol i Ken poszli do swoich namiotów.

Eliot nie był zmęczony. A nawet czuł swego rodzaju ożywienie, gdy siedział samotnie przy dogasającym ognisku. Nowy pomysł całkowicie go zaabsorbował. Szukał w myślach właściwej i niezawodnej strategii, która by raz na zawsze rozwiązała problem.

Zastanawiał się, czy nie powiedzieć o swoim zamiarze Maggie. Pamiętał przecież jej reakcję na incydent z lwami. Maggie pozostała całkiem bierna, tak jak i on. Nie dostrzegł w jej oczach wyrzutów sumienia. Ale co by było, gdyby jego pomysł ją przeraził? Czy potrafiłaby go pomimo wszystko zaakceptować?

Uśmiechnął się, słysząc ryk lwa - jedyny odgłos, który się przebił przez trzaskanie ognia.

- Zrobiłam to, Eliocie - powiedziała Maggie. Zbliżyła się bezszelestnie i usiadła obok niego na krześle. Miała zarzucony szlafrok na koszulę nocną. Jej głos wyrwał go z zamyślenia. I dopiero po chwili dotarł do niego sens jej słów. Poczł ucisk w żołądku.

- Co takiego?

- Mam nadzieję, że nie będziesz na mnie zły - ciągnęła drżącym głosem.

Odwrócił się w jej stronę. Zauważył, że jest zdenerwowana. W blasku ognia jej oczy błyszczały jak agaty.

- Po dzisiejszym wydarzeniu czułam, że muszę to zrobić - wyrzuciła z siebie i gwałtownie umilkła, jak gdyby zabrakło jej tchu. Obawiał się najgorszego.

- Powiedziałaś mu o nas? - zapytał, czując narastającą panikę.

- Ależ nie, Eliocie - zaprzeczyła, ciężko wzdychając. - Po prostu nie mogłam już dłużej żyć w kłamstwie. Dzisiaj przytapałam się na tym, że rozkoszuję się myślą o śmierci Kena i Carol. Zresztą nie po raz pierwszy. Uświadomiłam sobie ten fakt i byłam wstrząśnięta. Przecież tak niewiele brakowało, a moje życzenie by się spełniło.

Doskonale ją rozumiał.

- Nie wolno ci się tym zadrećczać - powiedział ostrożnie. - Przecież to nie byłaby twoja wina.

- Ale ja pragnęłam, żeby to się stało, nie rozumiesz?

- To zupełnie naturalna reakcja w tych okolicznościach.

- Czy ty też o tym myślałeś?

Skinął głową. Człł, że powinien coś dodać. Ale patrząc na Maggie, wiedział, że jej podejrzenia i tak znalazły już potwierdzenie.

- Jest mi przykro, ale wcale nie mam wielkich wyrzutów sumienia z tego powodu - wyznała.

- Przez cały czas ludzie mordują się nawzajem w myślach - powiedział. - Co zaś się tyczy wyrzutów sumienia. . . - Wzruszył ramionami. - Nie można winić siebie tylko za wynik własnej imaginacji.

- A gdyby coś się stało? Co wtedy?

- I tak nie mieliśmy na to wpływu - rzekł Eliot.

- Bo nie chcieliśmy mieć. W przeciwieństwie do Carol.

- Zwykły refleks - próbował jej tłumaczyć. - Carol znajdowała się w najdogodniejszej pozycji. Poza tym jest wygimnastykowana. Niebezpiecznie byłoby doszukiwać się w jej działaniu czegoś więcej.

- Rozumiem to doskonale. Jeśli o tym mówię, to dlatego, że musiałam się oczyścić i wyznać Kenowi przy najmniej część prawdy.

- Co mu powiedziałaś? - zapytał Eliot chrapliwym głosem.

- Powiedziałam mu. . . - zaczęła i umilkła. Spojrzała w stronę namiotów. - Powiedziałam mu, że chcę odzyskać wolność.

Czuł, że badawczo mu się przygląda, czekając na jego reakcję. Zastanawiał się, jaką szkodę mogło wyrządzić jej wyznanie.

Maggie rozejrzała się dokoła. Zniżyła głos do szeptu.

- Kochanie, dlaczego miałam tego nie zrobić? Nie znoszę kłamstw i wykrętów. A poza tym, to ciebie kocham. Nie potrafiłabym już dłużej żyć w ten sposób.

- Jak zareagował? - spytał Eliot.

- Wyrzucił zgodę. Bez sprzeciwów i bez kłótni. Sądzę, że zrozumiał moje uczucia. - Zamyśliła się na moment, a potem zaczęła mówić dalej. - Zapytał mnie, czy jest inny mężczyzna. - U milkła na chwilę. - Powiedziałam mu, że nie ma. Oboje ustaliliśmy, że zachowamy tę wiadomość dla siebie. Ale ja nie potrafię mieć przed tobą tajemnic, Eliocie.

- W ten czy w inny sposób rozwiążemy ten problem - powiedział Eliot.

- Ale jak?

Nagle zrozumiał, że nigdy nie wyjawi jej swojego planu. Była zbyt wrażliwa, zasadnicza, podatna na strach i poczucie winy. Nie miał jej tego za złe. Przypuszczał, że właśnie te cechy w niej kocha.

- Rozmawiałeś z nią? - zapytała z nadzieją.

- Nie, ale zamierzam to zrobić - odparł.

- To najlepszy sposób, mój drogi - zapewniła go Maggie, nie ukrywając uniesienia. - Czuję ogromną ulgę. - Umilkła i zapatrzyła się w ogień. - Cieszę się, że powzięłaś taką decyzję. - Znowu się na moment zamyśliła.

- Porozmawiasz z nią, zanim stąd wyjedziemy czy dopiero po powrocie do domu? - zapytała po chwili.

- Tak szybko, jak tylko to będzie możliwe.

- To dobrze. Powinniśmy to załatwić przed powrotem do domu.

- Jestem tego samego zdania.

- Jak według ciebie zachowa się Carol? - zapytała nagle i zaraz dodała: - Możesz jeszcze być zaskoczony jej wielkodusznością.

- Nie jestem pewien - szepnął. Nie odważyłby się na tak ryzykowną rozmowę z Carol. Nagle zdał sobie sprawę, że jego plan jest już sprawą przesądzoną.

- Zresztą jej reakcja nie ma znaczenia, Eliocie. Najważniejsze jest to, że już zawsze będziemy razem. Oboje zarobimy na to, żebyś mógł dalej rozwijać swoje zainteresowania. Zobaczysz. Moja praca i. . . Och, Eliocie, obiecuję ci. . . - Jej słowa przerwał szloch. Odwrócił głowę i zobaczył łzy spływające po jej policzkach. Pociągnęła nosem i uśmiechnęła się do niego. - To ze szczęścia - szepnęła.

Ogień zupełnie wygasł i tylko żar dawał odrobinę światła. Oprócz zwykłych odgłosów afrykańskiej nocy nie słychać było najmniejszego poruszenia. Z bliska widzieli się dobrze. Przez długą chwilę patrzyli sobie w oczy, a potem Maggie uklękła obok niego i położyła mu głowę na kolanach. Być może po tym, co jej powiedział, uznała, że nie musi już dłużej kryć się ze swoim zachowaniem. Nie protestował.

Nie wiedział, jak długo trwali w tej pozycji. Cisza nocy była rapsodią ich wzajemnego uniesienia. Podniosła na niego wzrok i uśmiechnęła się.

- Kocham cię - szepnęła.

W odpowiedzi przeszkodził mu nagły powiew wstrętnego odoru, który wypełnił ciepłe powietrze nocy. Eliot rozejrzał się i za plecami Maggie dostrzegł bestię - cętkowaną hienę, która za każdym wydechem wydzielała z siebie strumień cuchnącego powietrza.

Maggie podażyła za wzrokiem Eliota. Powoli odwróciła głowę, ale nie wstała. Oboje zastygli w bezruchu. Widział pysk hieny, jej mocne szczęki, czujne i chciwe ciemne spodki oczu oraz niekształtne ciało. Paskudne bydlę, pomyślał, zatapiając spojrzenie w jej oczach. Przez długą chwilę nawzajem mierzyli się wzrokiem. A potem zwierzę zniknęło, równie szybko i cicho, jak się zjawilo. Eliot wstał i podniósł z klęczek rozdygotaną Maggie.

- Już wszystko w porządku - powiedział.

Musiła opanować drżenie głosu, zanim się odezwała.

- Jak sądzisz, co to może oznaczać? - zapytała, mówiąc mu wprost do ucha.

- Nic - odparł zdziwiony jej pytaniem i przez krótką chwilę czuł napięcie, jakie zrodziło się pod wpływem niepewności.

Rozdział XXIV

Eliot spał czujnie. Był kompletnie ubrany. Większą część nocy spędził na rozmyślaniu. Z zewnątrz nie docierały żadne odgłosy. Nagle gwałtownie wyprostował się na łóżku, czując oczekiwane podniecenie, i wyrzwał przez odsłonięty róg okna. Zobaczył słabe światło w namiocie Meade'a. Spojrzał na zegarek. Dochodziła czwarta. Za godzinę zacznie się rozwidniać. Ostrożnie, robiąc długie przerwy, rozsunał zamek w kłapie i niepostrzeżenie wymknął się z namiotu. Była łagodna afrykańska noc.

Meade, nieogolony, ze zmierzwionymi włosami i pocętkowaną twarzą, siedział na brzegu łóżka i naoliwioną gazą polerował błyszczącą lufę dużego sportowego karabinu. Przyjął do wiadomości obecność Eliota ponurym skinieniem głowy. Obok niego stała na podłodze prawie do końca opróżniona butelka whisky.

- Za to też może mnie pan podać na policję - zarechotał ochryple, unosząc broń.

Przepisy regulaminu, który obowiązywał przewodników, zabraniały noszenia broni podczas zdjęciowych safari. Gdyby Eliot zdecydował się skierować oskarżenie przeciwko niemu do odpowiednich władz, byłoby to jedno spośród wielu poważnych wykroczeń Meade'a.

- Dobrze wiesz, Meade, że mogę to zrobić - rzekł Eliot. - A wtedy będziesz skończony.

Przewodnik popatrzył na niego przekrwionym wzrokiem.

- Byłem strasznym głupcem - przyznał. Spojrzał na butelkę, ale nie sięgnął po nią. - To przez tę cholerną wodę.

- Wszyscy chcą się wycofać - powiedział Eliot. I dopiero wtedy usiadł obok Meade'a na łóżku.

- Kto, u diabła, mógłby mieć do nich o to pretensję? - odparł Meade, odkładając na bok strzelbę. Zawiesił jedną rękę w powietrzu. Nie potrafił opanować jej drżenia. - Oto ręce wielkiego białego myśliwego - zadrwił.

- Natychmiast powiem chłopcom, żeby zaczęli zwiijać obóz. Niech nam pan da kilka godzin, Butterfield.

Jeszcze przed południem wyruszymy z powrotem do Nairobi.

Był uosobieniem skruchy i wstydu, człowiekiem, który przez słabość wystawił na szwank swoją godność.

Znając Meade'a i pracując z nim w lepszych czasach, Eliot liczył na taką właśnie reakcję.

- Sądzę, że możemy się z tym trochę wstrzymać - powiedział, nie patrząc przewodnikowi w twarz. - Oczywiście, jeśli dasz radę dalej się tym zająć.

- A co na to reszta?

- Jeżeli wstawię się za tobą, zgodzą się zostać.

- Sam nie wiem - zawahał się Meade.

- Dobrze wiesz - naciskał Eliot. - Mogę ci narobić wiele nieprzyjemności, a może nawet posadzić na dobre za kratkami.

- Nie przeczę. To niewielki problem - westchnął Meade.

- Szczególnie jeśli idzie o nieprzyjemności. Facet mojego pokroju nie ma przed sobą wielu możliwości.

- Szkoda, żebyś się miał zmarnować - powiedział Eliot, uśmiechając się przyjaźnie. - Zorganizuj nam jeszcze jeden udany dzień na safari. - Tak, pomyślał Eliot, jeden dzień powinien wystarczyć. - A będziemy kwita, jak to my, Jankesi, zwykliśmy określać. - I będę wolny? Eliot skinął głową.

- Ale ani kropli alkoholu. - I spojrzał na Meade'a, wnikliwie badając jego twarz. Dla przewodnika ten warunek był bardzo kłopotliwy.

- Nie zamierzam pana oszukiwać, Butterfield. Muszę się napić przed drogą. Ale obiecuję, że nie zabiorę ze sobą alkoholu. Zawsze dotrzymuję słowa. Wie pan o tym.

- Zgoda - powiedział Eliot, choć zdawał sobie sprawę, że trudno wierzyć słowu pijaka. Przez moment patrzyli na siebie, a potem przewodnik odwrócił głowę.

- Niepokoi się pan, prawda? - zagadnął łagodnie, bez złośliwości.

- Z jakiego powodu? - zapytał Eliot wprost.

Obaj wiedzieli, że to pytanie musiało zostać postawione.

- Ludzie przyjeżdżają do Afryki, żeby coś odkryć - powiedział Meade. - Tutaj zdzierają z siebie tak zwaną zewnętrzną powłokę cywilizacji. Widziałem to już tysiące razy.

- Chcesz mnie uraczyć wykładem z filozofii, Meade? - zakpił kwaśno Eliot.

- Tylko stwierdzam fakty. Wiem, że pan jest badaczem.

- Skoro tak to widzisz - odparł Eliot z wyraźną ulgą. Osiągnęli zatem tajemne porozumienie co do wygodnego sposobu interpretacji faktów.

- Boi się pan, że alkohol mógłby przemówić, prawda?

- Przeciągasz strunę, Meade - ostrzegł go Eliot. Oczekiwał głębszej skruchy. - Mogę cię zniszczyć, wiesz o tym.

- To nie mój interes - powiedział Meade, kręcąc głową. - I powinienem na wszystko kichać. A jednak mnie to zirykowało.

- Co takiego? - zapytał Eliot, szczerze zaintrygowany.

- Siedział pan tam i nawet palcem nie kiwnął. Widziałem na własne oczy. Chciał się pan mnie pozbyć, prawda? Pewnie dlatego, że za dużo wiem.

- Głupie gadanie. Ken Kramer miał lepszą pozycję, żeby działać - powiedział Eliot spokojnie. - Poza tym ktoś musiał zostać za kierownicą.

- Jestem wdzięczny im obojgu - rzekł Meade, wnikliwie mierząc Eliota wzrokiem. Wydawało się, że chce dodać coś więcej. Ale tylko potrząsnął głową, jak gdyby odrzucił ten pomysł, i odchrząknął. - Pani Butterfield wykazała się wielką odwagą.

- Tak, to prawda - przyznał Eliot. - Wyciągnęli cię z tarapatów. I to jest najważniejsze.

- Przysługa za przysługę - mruknął Meade. Uwaga ta wydała się Eliotowi całkiem niezrozumiała i dlatego nic nie powiedział.

Meade wzruszył ramionami, podniósł strzelbę i zabrał się z powrotem do polerowania.

- Niech mnie diabli, jeśli kiedyś ruszę się gdzieś bez niej.

- To zabronione, złapią cię - ostrzegł go Eliot. - I to nie z mojej winy.

- Użyję jej tylko wtedy, jeśli będę musiał wybierać pomiędzy karierą a życiem. - Splunął cuchnącą whisky flegmą. - Chociaż prawdopodobnie ani jedno, ani drugie nie ma wielkiej wartości w dzisiejszych czasach. Poza tym to głupi przepis. W jaki sposób, do jasnej cholery, mamy według niego ochraniać naszych klientów?

Eliot klepnął się w uda i wstał. Nie miał zamiaru wysłuchiwać tyrad Meade'a na temat wszelkich nieprawidłowości tego świata.

- A zatem ustalone - powiedział i wyciągnął rękę. Meade odwzajemnił uścisk. Miał rozpaloną dłoń. Eliotowi zdawało się, że wyczuwa wdzięczność przewodnika.
- Będziemy mieli wspaniały dzień - rzekł Meade, podnosząc palce w górę. - Uroczyście obiecuję. I tylko jeden łyk na powstrzymanie drżenia rąk.
- Załatwione, Meade - powiedział Eliot, uśmiechając się. Zanim jednak wyszedł z namiotu, zatrzymał się przy wyjściu. - Staraj się unikać kotów.
- Napatrzyłem się już na nie do syta.
- Myślałem o tym, żeby się wybrać na krokodyle albo na hipopotamy. Co o tym sądzisz?
- Meade skinął głową. - Zgoda. Krokodyle i hipopotamy.

Rozdział XXV

Carol obudziła się i ze zdziwieniem stwierdziła, że łóżko Eliota jest puste. Przez okno widziała niebo na wschodzie, które się jeszcze nie rozjaśniło. Z jarzącego się pomarańczowym światłem namiotu Meade'a dobiegał pomruk głosów.

Eliot poszedł rozmówić się z przewodnikiem, tak jak obiecał. Ale dlaczego o tej porze? I dlaczego potajemnie? Carol zastanawiała się, czy nie podczołgać się pod namiot Meade'a i czegoś nie podsłuchać. Niepokoiły ją przyciszone, ledwo słyszalne głosy. W tej sytuacji głośna kłótnia byłaby o wiele bardziej na miejscu. Zaraz po przebudzeniu przepelniało ją uczucie optymizmu. Miała pewność, że wczorajszy akt niesienia pomocy Kenowi był jej tryumfem. Wcale nie zrobiła tego z głupoty. Leżąc wygodnie w łóżku ubiegłej nocy, głęboko zajrzała w głąb siebie i zobaczyła prawdę. Nie było takiej rzeczy, dla której warto byłoby poświęcić Kena oraz ich miłość. Carol weszła w konflikt z własnymi przekonaniem. Oto po raz drugi miała przed sobą szansę. Czas był ograniczony i musiała skwapliwie ją wykorzystać. Odmowy, niepowodzenia i ubóstwo wycisnęły piętno na jej systemie wartości. A przecież była szczęśliwa, nie powinna wyzywać losu. Nawet chciwość musiała zblednąć wobec miłości. Poza tym umowa przedmałżeńska była spisana w okresie, gdy Eliot ponosił dotkliwe skutki poprzedniego małżeństwa. Z pewnością czas złagodził ból tamtego doświadczenia. Czy nie była dobrą żoną? Nawet jeśli nie kochającą, to na pewno obowiązkową, godną zaufania i lojalną. W każdym razie do chwili, kiedy Ken ponownie wkroczył w jej życie. Do tej pory myśląc o swojej zdradzie, zakładała, że Eliot na pewno ukarze ją za to, co zrobiła - wykorzysta znienawidzoną umowę, wydrze jej wszystkie dobra i wypędzi z niczym.

Ale czy naprawdę byłby aż tak okrutny i bezwzględny? Czy nade wszystko nie cenił sobie prawdy? Zastanawiała się nad tym pytaniem. W końcu doszła do przekonania, że powinna szukać z Eliotem kompromisu nie wspominając mu o Kenie. Był przecież w dobrej sytuacji finansowej. A gdyby okoliczności tego wymagały, z powodzeniem mogła się zadowolić połową posiadanych dóbr. No, to może byłaby nadmierna wspaniałość. Ale z pewnością dałoby się ustalić jakiś rozsądny procent. I chociaż wewnętrznie buntowała się przeciwko pomysłowi prowadzenia negocjacji, to cieszyła się na myśl o ostatecznej konfrontacji z Eliotem. Zdawała sobie sprawę, że trudno jej będzie wykorzenić z siebie dawną obsesję. Wiedziała, że musi jak najszybciej zakomunikować Eliotowi swoją decyzję. Najlepiej natychmiast. Pragnęła wyrzucić ją z siebie, zanim wróci do Nairobi. Zaczęła sobie układać w głowie to, co mu powie. Powoła się na potrzebę wolności, separacji i innego modelu życia. Odwoła się do jego poczucia sprawiedliwości i uczciwości. Jej ufność sięgnęła wyżyn. Czyż Eliot nie był w gruncie rzeczy prawym człowiekiem?

Nie było sensu dłużej z tym zwlekać. Chciała jak najszybciej pozbyć się napięcia. A poza tym obawiała się, żeby do Eliota nie dotarła jakaś złośliwa informacja od innych osób, a szczególnie od Meade'a, który z mściwości mógł się wygadać. Proszę, nie rób tego, błagała go w duszy.

Prawdę mówiąc, Carol wiedziała, że Eliot, nauczony doświadczeniami poprzedniego małżeństwa i przeczułony na punkcie lojalności, nie zniósłby zdrady. Problem wierności został postawiony w umowie przedmałżeńskiej na pierwszym miejscu. Carol była przekonana, że zdrada i wiarołomstwo były dla Eliota grzechami śmiertelnymi. Wyczuwała w nim tę cechę. Ale jak można się było przed nimi obronić?

Bez względu na wynik - zwycięstwo, porażkę czy remis - nawet gdyby Eliot obstawał przy warunkach umowy i Carol miała nic nie wynieść z małżeństwa, będzie mogła być z Kenem i żyć z nim bez kłamstw i sekretów. Wzruszyła ją ta szlachetna myśl. Nigdy nie zakładała, że posunie się w ustępstwach aż tak daleko. Zastanawiała się, czy nie przemówić do poczucia uczciwości Eliota i nie wyznać mu prawdy. Rozważała w myślach tę możliwość. Tak, mogła zdać się na jego łaskę i wypowiadać się ze swojej miłości do Kena. Mogła próbować go przekonać, że uczucie do kogoś innego jest trucizną dla małżeństwa. Ale musiałaby się wyprzeć zdrady. Czy uwierzyłby jej?

- Jambo!

Przestraszyła się. To jeden z chłopców przyniósł jej na tacy poranną kawę i postawił na stole pomiędzy łózkami. Carol zaczęła ją powoli sączyć, gdy do namiotu wszedł Eliot.

- Jeszcze jeden dzień - powiedział. - Rozmawiałem właśnie z Meade'em. Obiecał zachowywać się przyzwicie.

- Sądysz, że to rozsądna decyzja?

Była szczerze rozczarowana. Dla niej safari już się skończyło.

- Chcę dać mu szansę rehabilitacji, a tym samym uniknięcia więzienia.

- W innym razie nie zrezygnowałbyś chyba z podania go do sądu, prawda?

- Oczywiście, że nie. Naraził nas na niebezpieczeństwo. Dzięki Bogu mieliśmy szczęście. Jeśli nie skończy z alkoholem, może stać się zabójcą. Jutro wyjeżdżamy. Może pozostałe dni wykorzystamy w Europie. - Spojrzał na nią i uśmiechnął się. - Wspaniała okazja, żeby spędzić drugi miodowy miesiąc.

Europa? Przypomniała sobie, co powiedziała Kenowi. Powinni pojechać do Europy. Ken mógł tam znaleźć inspirację.

Niespodziewany sentymentalizm Eliota zbił Carol z tropu. Czyżby znał prawdę i świadomie chciał wywołać w niej poczucie winy? Nie odezwała się. Miała nadzieję, że zdoła odsunąć te myśli. Przecież postanowiła, że mu dzisiaj powie. Szukała w myślach właściwych słów i zastanawiała się, jaką formę ma przyjąć jej wyznanie.

Meade przyszedł na śniadanie. Jego oddech pachniał ziołowym płynem do płukania ust, a białka oczu pokrywała się czerwonych żyłek. Był w dobrym humorze. Zachowywał się tak, jakby nic się nie stało.

- Według porządku dziennego mamy dzisiaj w programie hipopotamy i krokodyle - powiedział.

- A jutro zwijamy obóz - dodał pogodnie Eliot. W jego głosie nie słychać było nagany. Carol spojrzała na Kena. Dała mu wzrokiem znak, żeby nie oponował. Zrozumiał jej intencję.

Po śniadaniu zawołała go głośno, tak żeby inni słyszeli.

- Zaciął się mój aparat fotograficzny, Ken. Czy mógłbyś mi go naprawić?

Ken podszedł do niej. Byli poza zasięgiem słuchu pozostałych osób. Carol wręczyła mu aparat.

- Zamierzam mu powiedzieć, kochanie - szepnęła. Spojrzał na nią zaskoczony. Poczula, że rumieni się pod opalenizną.

- Dzięki Bogu - powiedział półgłosem. - Kocham cię.

- Dzisiaj chcę ze wszystkim skończyć - dodała.

- A umowa?

Wzruszyła ramionami.

- Najbardziej na świecie zależy mi na Kenie Kramerze.

Popatrzył na aparat fotograficzny, bezmyślnie przy nim podłubał i przyłożył go sobie do oczu. Carol ujrzała Maggie i Eliota, którzy obserwowali ich, zbliżając się do ciężarówki. Znajdowali się jednak zbyt daleko, żeby słyszeć.

- Czy mogę cię pocałować? Tutaj, zaraz, w ich obecności? Cofnęła się o krok i uśmiechnęła promiennie.

- Muszę natychmiast się z tobą kochać - powiedział Ken, zbliżając się do niej. - Umieram z pożądania.

- Czy będzie tak samo, gdy już oboje odzyskamy wolność?

- Tak. Zawsze.

- Jestem bardzo szczęśliwa, Ken.

- Ja też.

Wyczuła, że chce jeszcze coś dodać. Z jego twarzy emanowała radość.

- Bogowie nam sprzyjają, Carol - powiedział.

- Tak, to prawda - przyznała.

- Maggie chce się rozwieść. - Powiedział to powoli, patrząc na nią rozpromienionym wzrokiem.

Carol poczuła w piersi nagłe uderzenie krwi.

- Wie o nas? - zapytała.

Zaprzeczył ruchem głowy i roześmiał się.

- Ma swój własny program. Najwyraźniej chce żyć sama.

Carol zamyśliła się na chwilę. Doprawdy? Czy to było możliwe?

- Czy jej decyzja nie ma związku z innym mężczyzną? Na przykład z Eliotem?

- Twierdzi, że nie.

Spojrzała mu w oczy. Czy zauważył jej wątpliwości?

- Wierysz jej?

Nagle wszystko zaczęło układać się w całość. Godziny spędzone przez Maggie w biurze Eliota. I dwie przyjaciółki - czworo przyjaciół, jak zwykła nazywać ich Maggie. Dobrze sobie! Być może udało się jej z Kenem pomimo wszystko osiągnąć cel. W wyobraźni Carol widziała Maggie z Eliotem. Obraz nabierał coraz realniejszych kształtów. Intuicja podpowiadała jej, że się nie myli. Żadna kobieta nie zdecydowałaby się nagle na zmianę życia, gdyby nie miała kogoś innego na widoku. W dzisiejszym świecie taki krok jest nie do pomyślenia.

Oczywiście. Wstrząsające odkrycie uradowało ją. A kto inny mógł wchodzić w rachubę, jeśli nie Eliot? Może mimo wszystko ona i Ken wygrali. Wstąpiła w nią nadzieja. W samą porę, pomyślała. Mogła rzucić Eliotowi w twarz wyzwanie, zamiast decydować się na własną okrojona spowiedź. Chociaż jej wniosek bazował na intuicji, Carol miała niezachwianą pewność.

- Ona kłamie, Ken.

Chciał coś powiedzieć, ale było już za późno. Maggie i Eliot podeszli zbyt blisko. Ken wręczył Carol aparat i oboje ruszyli w stronę ciężarówki. I wtedy zdarzyło się coś dziwnego: Eliot puścił Carol przodem i usadowił się obok niej. Zrobił to po raz pierwszy podczas całego safari.

- Czy mógłbyś dzisiaj pojechać obok Meade'a? - zwrócił się do Kena. Maggie zajęła swoje zwykłe miejsce za kabiną kierowcy.

Meade zapuścił silnik i wyjechali na równinę.

Niezrozumiałe wypadki zbiły Carol z tropu. Dlaczego Eliot stał się nagle taki troskliwy? A Maggie? Jeśli Eliot nie był tym mężczyzną, to dlaczego zdecydowała się na swoje wyznanie w Afryce, nie czekając z tym, aż wróci do domu? Rozważyła wszystkie argumenty i uznała, że powinna wstrzymać się z rozpoczęciem akcji. Może jej spowiedź byłaby przedwczesna? Postanowiła poczekać na dalszy rozwój wydarzeń.

Przejeżdżali obok znanych już im stad gazeli, zebr i antylop, żyraf i bawołów. Roje egzotycznych ptaków tworzyły ponad ich głowami firmament. Był cudowny poranek bez jednej chmurki na błękitnym niebie. Ciężarówka poruszała się gładko i szybko po wyschniętej, stwardniałej nawierzchni.

Ale Carol nie była w stanie zainteresować się widokami. Huczało jej w głowie. Rozważała coraz to nowe możliwości. Spojrzała na Eliota, który pochwyił jej spojrzenie, uśmiechnął się życzliwie i poklepał po ręce.

O co tutaj właściwie chodzi? - zastanawiała się.

- Co za cudowny dzień - zauważył Eliot. - Wszystkie stworzenia kochają świat po deszczu. Na ziemi jest wtedy czysto i słodko. - Wydał nozdrza, jak gdyby zachłystywał się świeżym afrykańskim powietrzem.

- Zielone wzgórza Afryki - powiedział Ken, patrząc przed siebie. Carol dobrze rozumiała, dokąd zmierzają jego myśli. Marzyła o chwili, w której będzie mogła je z nim dzielić. Ale teraz nowy trop całkowicie przykuł jej uwagę. Szukała w pamięci wskazówek. Odtwarzała w myślach fragmenty rozmów. Pochwały Eliota pod adresem Kena. Zabiegi Maggie, żeby ją do niego zbliżyć.

A te wszystkie usiłowania, żeby rzucić ich sobie w ramiona? Ten pierwszy letni dzień, kiedy to Maggie i Eliot wykręcili się od pójścia do teatru. Zjazd obrońców dzikich zwierząt. I pomysł wyjazdu do Afryki. Przecież Eliot jako pierwszy z nim wystąpił. To nią i Kenem manipulowano. To oni byli prawdziwymi ofiarami spisku. Ale dlaczego?

Miała ochotę się roześmiać. Okazali się głupcami. Eliot i Maggie sterowali wszystkim przez cały czas. Była tego pewna. Niewiele brakowało, a chcąc uniknąć wyrzutów sumienia, pozwoliłaby się jak potulne cielę ograbić ze swojej własności.

Podeksytowanie przerodziło się w złość. Carol odwróciła się, żeby spojrzeć na Eliota. Uśmiechnął się do niej pogodnie. Przepęłniała ją uczucie nienawiści. Dlaczego nie zaproponował jej kompromisu? Jakie złowróżbne zamiary kryły się w jego zachowaniu?

W czasie jazdy Meade zwracał im uwagę na widoki. Olbrzymie stado bawołów - ociążała czarna masa przesuwająca się obok drogi, przewożąc na grzbietach własną armię ptaków-kleszczy. Zwiad trzech guźców rozglądał się za dogodnym miejscem postoju. Minęli antylopę gnu z białą brodą i mądrym wyrazem pyska, która przyglądała się im ze stoickim spokojem. W oddali szybowo w górze stado sępów.

- Stołownicy ostatniej biesiady - powiedział Meade, wskazując im ptaki.

- Oto cała Afryka. Kontynent śmierci - rzekł Ken.

- Wprost przeciwnie - zaproponował Eliot. - To kontynent życia. Śmierć jest zjawiskiem przemijającym. W siłach witalnych Afryki tkwi jej nieśmiertelność.

- Dzisiejszy poranek sprzyja filozoficznym rozważaniom, nieprawdaż? - zapytał pogodnie Meade.

Droga, którą pokonywała ciężarówka, najpierw pięła się w górę, a potem opadała w stronę przyrzecznych równin. Biegła pośród gajów akacji i lasów, które ciągnęły się równoległe do koryta rzeki. Kończyła się na wzniesieniu, w odległości siedmiu metrów od wody. Meade dojechał do samego jej końca. Gdy się zatrzymał, dostrzegli ślady kopyt wzdłuż brzegu rwącej i krętej rzeki.

- Musicie zachować tutaj szczególną ostrożność - przestrzegł ich Meade. - Jeden niewłaściwy krok może oznaczać śniadanie dla krokodyli.

Opuścili ciężarówkę i skierowali się w stronę wydeptanego przez zwierzęta szlaku. Od czasu do czasu przystawali, żeby przyrzeć się dokazującym w rzece hipopotamom, które hałaśliwie prychnąc, wynurzały się i zanurzały w wodzie jak olbrzymie gumowe zabawki. W rozdziawionych paszczach widać było ich wielkie zęby i ogromne różowe języki.

Meade prowadził. Ken i Maggie szli za nim, a Eliot z Carol zamykali pochód. Carol celowo zostawała w tyle, a Eliot, który nadal był niepokojąco ugrzeczniony, dotrzymywał jej kroku. Prawdopodobnie właściwie odczytał jej zamiar. Musiała porozmawiać i znaleźć potwierdzenie swoich domysłów.

Pochłonięta obserwacjami trójka na przedzie pokonywała zakręt brzegu rzeki. Carol słyszała nieprzerwany komentarz Meade'a. Zatrzymała się, pozwalając im jeszcze bardziej się oddalić, i przez lornetkę obserwowała zwierzęta w wodzie. Eliot, który stał obok niej, robił to samo.

Zlustrowała rzekę i jej brzegi. Dostrzegła krokodyle, których skóra przypominała długie formacje skalne.

- Nie mają szans na zwycięstwo w konkursie piękności - mruknął Eliot. Tuż zza zakrętu dobiegało brzęczenie wyjaśnień Meade'a. Przyłożyła lornetkę do oczu, przyglądając się stworzeniom w wodzie. Eliot jeszcze bardziej się do niej zbliżył. Czuła, jak wzbierają w niej słowa, które zamierza wypowiedzieć. Wkrótce miała się przekonać, czy to, co podejrzewała, jest tylko wymysłem i pobożnym życzeniem.

- Wiem o tobie i o Maggie - szepnęła.

Gwałtownie zwrócił głowę w jej stronę. Miał zmrużone oczy i zaciśnięte usta.

- Stoisz zbyt blisko brzegu, Carol - powiedział chrapliwie i podniesionym głosem. - O wiele za blisko.

Opuściła lornetkę i spojrzała w dół na jego zbliżający się cień. Nie odwróciła się jednak. Stała i nie ruszała się z miejsca, pewna swojego zmysłu równowagi. Nagle poczuła jego rękę na swoim ramieniu. Zrobiła unik, próbując wywinąć mu się spod palców. Tracąc oparcie, upadł do przodu, przygniatając ją swoim ciężarem. Zdawała sobie sprawę z grożącego jej niebezpieczeństwa. Przewracając się, zdołała zaczepić jedną stopę o wystające tuż nad samym urwiskiem korzenie. Manewr na krótko powstrzymał jej upadek, ale dzięki nie-

mu mogła się podźwignąć i dosięgnąć Eliota, który zaczął się już wycofywać. Szarpnęła głową w górę, raz jeszcze próbując bez powodzenia wyswobodzić się. Dostrzegła przerażenie w jego oczach. Runęli głowami w dół i dopiero wtedy wypuścił ją z uścisku.

Gdy oboje staczali się do rzeki, słyszała jego długi, zatrważający krzyk. Nie spadli z wysoka, ale Carol nie miała złudzeń co do rozmiarów grożącego im niebezpieczeństwa. Nie słyszała plusku ciała Eliota, ale gdy się wynurzyła, dostrzegła go kilka metrów dalej. Próbował nieudolnie płynąć, uderzając rękami o wodę. Utrzymała się przez chwilę nieruchomo na powierzchni, obserwując trzy postacie, które biegły ścieżką w górze. Widziała, jak Ken chwycił Maggie i mocując się z nią, powalił ją na ziemię. Jej krzyk odbijał się echem nad wodą.

Nagle zdała sobie sprawę z innych jeszcze dźwięków - z cichych odgłosów wielkich bestii, które wynurzały się i zanurzały w wodzie obok niej. Dostrzegła też poruszenie wśród krokodyli na przeciwległym brzegu. Zaintrygowane podnosiły łby.

Nie poddała się panice, czując instynktownie, że to by mogło zaćmić jasność jej sądów. Ponad urwiskiem srebrzył się brzeg i wił się w górę wąski ślad kopyt. To miejsce było jej celem i ocaleniem. Musiała do niego dotrzeć. Skierowała się w tamtą stronę, odsuwając na bok wszystkie inne myśli.

Wciąż słyszała prychnięcie otaczających ją hipopotamów i już mniej donośny krzyk Maggie. Dudniło jej serce, gdy cięła powierzchnię wody, mobilizując wszystkie zasoby energii. Już płynę, Ken, wołała w myślach, walcząc z prądem i łudząc się, że nie zepchnie jej zbyt daleko od celu.

Niestety, jej siły były niewspółmierne do potęgi nurtu, który znosił ją w dół rzeki, centymetry przed cielskami nurkujących hipopotamów. Na szczęście nie zwracały na nią wielkiej uwagi. Zdawała sobie sprawę z tego, że w każdej chwili może zostać rozszarpana i połknięta przez krokodyla. Wciąż jednak nie poddawała się panice i nakłaniała ciało do pozycji umożliwiającej dotarcie do brzegu.

Nagle rozległ się strzał. Kilka metrów dalej zobaczyła trzepoczący się krokodyli ogon i powiększającą się czerwoną powłokę na zielonej powierzchni wody. Nie przestawała walczyć z prądem. Zbliżała się do brzegu. Chwytała się wystających otoczków, próbując stawić opór nurtowi.

Rozległ się kolejny strzał. Usłyszała obok siebie plusk ogona. Krew jak melasa rozlała się wokół niej.

Wszystkie wydarzenia i życiowe problemy ustąpiły miejsca woli przetrwania. Walczyła z rwącym nurtem i płynąc wyciągała ręce w stronę każdego korzenia, głazu czy innej odsłoniętej części brzegu, która by mogła ją zatrzymać.

Usłyszała kolejny strzał. I następny. Nagle jej dłoń na coś natrafiła. Natychmiast uchwyciła się tego obiema rękami. Teraz, mocno uciepiona brzegu, nie poddawała się już prądowi.

Podciągnęła nogi w górę i przechylając się do przodu, całkowicie wynurzyła się z wody. Położyła się na skale. Nie mogła złapać tchu, serce waliło jej jak szalone. I wtedy zobaczyła krokodyla, który wynurzał się z rzeki i zmierzał prędko w jej stronę. Widziała wielkie szczęki i mrugnięcie powiek w pomarszczonych oczodolach. Wyciągając z wody opancerzone w łuskę ciało, pełznął do niej zdeterminowany żądzą zdobyczy. Obserwowała go, sparaliżowana; z powodu strachu i wyczerpania nie mogła zrobić żadnego ruchu. Była pewna, że to już koniec Carol Stein Butterfield. Koniec jej starań i marzeń. Koniec życia i miłości.

I nagle krokodyl eksplodował tuż przed nią. Krew szkarłatnym pióropuszem wytrysnęła z jego roztrzaskanych oczu. Upadł na grzbiet, a na wilgotnym białym brzuchu odbiły się promienie słońca. Dopiero wtedy Carol odzyskała siły i z trudem zaczęła się wspinać po skałach w górę, gdzie czekały na nią wyciągnięte ramiona Kena.

- Bogu dzięki, Bogu dzięki - powtarzał Ken, głaszcząc ją po włosach i całując po twarzy. Podniosła wzrok. Zobaczyła Meade'a ze strzelbą. Jej nozdrza wypełniły się gryzącym zapachem prochu.

Ken pomógł Carol usiąść pod pnem drzewa. Długo nie wypuszczał jej z objęć. A potem się podniósł, przez chwilę jeszcze się jej przyglądał i odszedł. Widziała, jak powiedział coś prędko do Meade'a, który spojrzał w dół, kopnął ziemię i pokręcił głową. I zaraz obaj zniknęli z jej pola widzenia, oddalając się biegnącą wzdłuż rzeki ścieżką.

Carol powoli przychodziła do siebie. Tętno wracało jej do normy, a umysł zaczął reagować na inne, nie związane z ocaleniem wydarzenia. Dopiero wtedy poczuła na sobie badawczy wzrok Maggie. Siedziały oparte o to samo drzewo. Twarz Maggie była trupio blada, a oczy niemal wychodziły jej z orbit.

- Eliot? - zapytała szeptem.

Carol usiłowała się podnieść, ale zakręciło się jej w głowie i znowu musiała się oprzeć o pień. Siedziała tuż obok Maggie. Przez długą chwilę patrzyły sobie w oczy.

- Eliot? - zapytała ponownie Maggie. A potem rzuciła się Carol w ramiona. Jej ciałem wstrząsały histeryczne spazmy. Carol uznała, że nie ma sensu niczego wyjaśniać. Wszyscy byliśmy kiepskimi detektywami, pomyślała. Pogubiliśmy tropy, pozwalając umknąć mordercy. Poza tym jedyną prawdą była miłość, a tej jeszcze nikt nie potrafił zgłębić.

Nagle, nie wiadomo dlaczego spojrzała w górę. Na tle czystego nieba szybował ptak o szerokich skrzydłach. Gdy zniżył lot, poznała jego brzydką białą głowę. Sęp, pomyślała. Zaskoczył ją wdzięk, z jakim runął z góry na swoją zdobycz.

Rozdział XXVI

Ken siedział w kącie hallu recepcyjnego hotelu Norfolk z kieliszkiem złocistej brandy w ręce. Tłum białych gości w barze na drugim końcu werandy przerzedził się, podczas gdy grupy stołowników w głównej restauracji marudziły przy deserach i kawie.

Spojrzał na zegarek. Meade obiecał, że będzie najpóźniej o dziesiątej. Przewodnik zakładał, że przebycie czterystu kilometrów złymi drogami z Masai Mara ciężarówką wyładowaną ich bagażami zajmie mu siedem do ośmiu godzin. Czarterowy samolot z Nairobi zabrał ich wczoraj we trójkę z pasa startowego w Mara i przywiózł do stolicy w niespełna godzinę. Na szczęście huk silników uniemożliwił im prowadzenie rozmowy w czasie lotu.

Ken przypuszczał, że Meade nie pomylił się w obliczeniach; czas był tutaj pewnikiem – wskaźnikiem o uniwersalnym zastosowaniu i jedyną bezwzględną prawdą.

Szukał jakiegoś punktu zaczepienia, który by zatrzymał film z prześladowającymi go od wczoraj obrazami. Mógł nim być tylko czas. Wszystko inne okazało się złudne: obserwacje, przypuszczenia, domysły, intuicja, słowa. Szczególnie słowa. Tylko czas był ściśle określony. "Rashomon", przypomniał sobie nagle. Każdy widzi inaczej. Z własnej perspektywy. A prawda przeskakuje jak konik polny z umysłu do umysłu.

Na szczęście jutro, jeśli pomyślnie załatwią wszystkie formalności, odrzutowiec przeniesie ich z powrotem do Nowego Jorku. Cofając w czasie, pchnie ich naprzód w chronologii wydarzeń. Kolejna ironia losu. Podobnie jak pamięć. Obraz wypadków tych kilku nakładających się na siebie chwil zmienił Kena na zawsze. Do końca życia będzie słyszał przeszywający i pełen grozy krzyk Carol. W zwolnionym tempie wyobraźni będzie ich widział, jak walczą ze sobą na krawędzi skały. Z czasem to dziwne pas de deux wyda mu się całkowicie wyrwane z kontekstu. Makabryczny taniec u progu śmierci. Zastanawiał się, jak do niego doszło. Które z nich dwojga zaczęło? Czy najpierw jedno straciło równowagę, a potem drugie? A może próbowali nawzajem ratować się przed upadkiem? Przypuszczał, że te męczące pytania nigdy nie dadzą mu spokoju. Dostrzegł w ich oczach błysk wewnętrznego skupienia. Badali się nawzajem jak zapaśnicy w rozstrzygającym momencie walki. Pojedynek nienawiści, pomyślał o tym wtedy. Ale wszystko wydarzyło się tak prędko, że później nie dowierzał już własnym obserwacjom.

Tylko początek zdarzenia pozostał dla niego tajemnicą. Doskonale pamiętał jego dalszy przebieg. Widział stopę Carol zaplątaną w wystające korzenie i Eliota, który przechylił się do przodu i stracił równowagę. W końcu ciężar ich ciał poddał się prawom fizyki i runęli z krawędzi urwiska jak dwa powalone drzewa. Spadając trzymali się. Rozdzielili się dopiero na powierzchni rzeki.

Z tyłu dobiegł go głos Maggie - rozdzierający krzyk, w którym słyszał dobywający się głęboko z jej wnętrza ból.

- Eliocie!

Ten krzyk, zwielokrotniony echem, dudnił mu w uszach. Rzuciła się do przodu, podbiegając pod samą krawędź wysokiego urwiska. Był pewien, że gdyby jej w porę nie chwycił, wskoczyłaby do rzeki. Musiał wykręcić jej ręce, żeby ją powstrzymać. Osunęła się na ziemię jak marionetka, której poprzecinano sznurki. Oboje wpatrywali się w zieloną wodę, w której baraszkowały hipopotamy, i równocześnie dostrzegli poruszenie wśród krokodyli na przeciwległym brzegu.

Przez chwilę widział borykające się z prądem dwie drobne postacie pośród cielsk ogromnych zwierząt. - Eliocie! Och, mój Boże! - usłyszał znów krzyk Maggie. W umyśle powoli legła się prawda. W chwili objawienia skorupa tajemnicy pękła z głośnym trzaskiem. Nagle uderzyła go niedoskonałość własnej intuicji i wyobraźni.

On nie wołał Carol. Może nie był zdolny do jakiegokolwiek działania z powodu oszołomienia i paraliżującego strachu? Zdołał jedynie powstrzymać Maggie przed rzuceniem się ze skały. Posuwiste ruchy zwierząt na przeciwległym brzegu i pływające w wodzie czarne potwory zapowiadały nieuchronny koniec. Dla tych dwojga w rzece nadciągała śmierć. Mógł się do nich przyłączyć albo wybrać życie.

Maggie wtedy wybrałaby śmierć. Był o tym przekonany. Wiedział też, że nigdy nie będzie pewny swojego wyboru. Miał wytłumaczenie, że ratował Maggie. Ale pytanie, czy miłość jest potężniejszą siłą od śmierci, już na zawsze miało pozostać dla niego otwarte.

Znów przyszło mu na myśl opowiadanie Hemingwaya "Krótkie szczęśliwe życie Franciszka Macombera". Przypomnił sobie o niezgłębionych jak studnia możliwościach wyboru i o potędze sztuki pisarskiej, która potrafi zaszczepiać pomysły w umysłach, takich jak ten o znalezieniu w Afryce prawdy. Śmierć i miłość. Nigdy w pełni nie zdawał sobie sprawy, że są tak blisko ze sobą związane.

Oczywiście nie myślał o tym w tamtej dramatycznej chwili. Widział zbliżające się do dwojga pływaków krokodyle. Usłyszał za sobą metaliczny i nieomylny trzask strzelby, a potem ogłuszający huk. Krokodyl znajdujący się najbliżej Carol wystrzelił w górę, tłukąc ogonem o zieloną wodę, która teraz napowierzchni zabarwiła się krwią. W słońcu błysnął jego biały brzuch.

Znowu rozległ się strzał, paraliżująca eksplozja, i następny krokodyl, tym razem w pobliżu Eliota, podskoczył w agonii. Przez otwarte wąskie czoło sączył się do wody jego mózg. Kolejny trzask i przerwa. Ken odwrócił się. Zobaczył, jak spocony Meade ładuje broń i mierzy, wahając się z wyborem celu. Krokodyle podążały za łupem. Celny strzał zatrzymał jednego z nich o centymetry od Carol, a następny trafił drugiego, który płynął równoległe z nią. Odwrócony do góry biały brzuch spryskała na czerwono krew towarzysza.

Znowu przerwa, ładowanie broni i strzały.

- Nie, nie! - wrzeszczała Maggie, wykręcając głowę, żeby lepiej widzieć pływaka, który zniknął za zakrętem rzeki. Ken patrzył, jak Carol walczy z nurtem, próbując dotrzeć do brzegu. Każde z nich obserwowało bliską sobie osobę.

Rozległ się kolejny strzał. I jeszcze jeden. Meade skierował teraz cały ogień na płynące za Carol krokodyle i zatrzymywał je z nieubłaganą celnością. Woda wokół kobiety zabarwiła się na czerwono od krwi.

Carol dopłynęła do brzegu. Strzał trafił jeszcze jednego gada w oko, z którego trysnęła fontanna krwi. W tym momencie Maggie zemdląła w ramionach Kena. Ułożył ją delikatnie na ziemi i szybko zszedł skałami w dół po Carol. Dotarł do niej w chwili, gdy stanęła już na suchym gruncie. Z trudem wciągnął ją na ścieżkę i szczęśliwy przytulił do siebie. Potem posadził ją pod drzewem, kilka kroków od Maggie, i pobiegł z przewodnikiem szukać Eliota wzdłuż brzegu rzeki.

Ale po Eliocie zaginął wszelki ślad, tak jak zniknęły wszystkie inne świadectwa niedawnej rzezi. Hipopotamy zdawały się o niczym nie pamiętać i dokazywały w wodzie, która znowu była zielona, a pozostałe przy życiu krokodyle spały nieruchomo na przeciwległym brzegu, zupełnie obojętne na ostatnie wydarzenia. Ken rozumiał, że Afryka sama usuwa swoje odpadki.

Widział teraz prawdę jak na dłoni. Starannie obrana ze skóry ukrywanych pieczołowicie kłamstw, została odsłonięta do końca. Podobnie jak ich nieprawdopodobna bezmyślność. Bezdeni głupcy, wymyślał im wszystkim w duchu, nie wyłączając siebie. Tylko że Eliotowi nie mógł już tym przywrócić życia.

W końcu Meade odwrócił się do Kena. Miał bladą i znużoną twarz. Jego przesiąknięta potem koszula obrzydliwie cuchnęła.

- Ani śladu - powiedział, kręcąc bezradnie głową.

Dalsze wydarzenia mieszały się ze sobą, tworząc Kenowi w głowie galimatias. Zjawili się przedstawiciele władz oraz lekarz, który zrobił Maggie zastrzyk uspokajający i został z kobietami w obozie, podczas gdy on i Meade przeszukiwali w towarzystwie różnych oficjałów brzeg rzeki.

- Nigdy już niczego nie znajdziemy - stwierdził Meade, zamykając ostatecznie sprawę. Wszyscy zgodzili się z jego opinią.

- Tragiczny wypadek - oświadczył Ken w pewnej chwili, rzucając szybkie spojrzenie na kamienną w tamtym momencie twarz Meade'a.

Czarnoskóry policjant przesłuchał wszystkich i zanotował zeznania.

- Tak, widziałem jak spadali - odpowiedział Ken. - Szli z tyłu za nami i jedno z nich, nie wiem które, straciło równowagę.

- Kto kogo ratował? - zapytał policjant Carol.

- Mój mąż stracił grunt pod nogami - powiedziała Carol.

- Chwył mnie odruchowo. Próbowałam zaprzeć się o ziemię, ale nie dałam rady.

Ken pamiętał, że popatrzył wtedy na Maggie, która przysłuchiwała się rozmowie. Na moment zniknął z jej oczu błędny wyraz, zmierzyla Kena badawczym wzrokiem i zaraz odwróciła głowę. Nie mógł się mylić co do wymowy jej spojrzenia: zginął niewłaściwy człowiek.

Sytuacja była bardzo niezręczna, gdy przybyli do hotelu Norfolk po krótkim locie, który upłynął w milczeniu.

- Trzy pokoje - zwrócił się Ken do recepcjonisty, który wpisywał ich do rejestru. Urzędnik spojrzał na niego z niedowierzaniem. W nocy Ken próbował wejść do pokoju Carol, ale zamknęła drzwi na klucz. Potem przekręcił gałkę w drzwiach Maggie, ale też nie ustąpiły.

Doszedł do wniosku, że postąpiły mądrze. Oszczędziło to wszystkim nic nie znaczących słów. Poza tym sam miał wiele do przemyślenia. Najbardziej dręczyło go pytanie, jak czworo inteligentnych ludzi mogło dać się tak zaślepić i otumanić.

Ciekaw był, gdzie też się podziela jego pisarska intuicja, która roztacza wizje i otwiera dostęp do świata prawdziwych zdań, magicznego królestwa Hemingwaya. Nie miał złudzeń, że go zawiodła. Jak mógł pozwolić, żeby pragnienia zapanowały nad rozumem, a ślepa miłość odebrała zdolność percepcji jego pięciu zmysłów i pozbawiła go umiejętności przewidywania?

Patrząc wstecz na kilka ostatnich miesięcy, był zaskoczony, widząc wszędzie oczywiste i w pełni zrozumiałe znaki.

Miotał się przez całą noc w swoim pokoju. Opuścił go z pierwszym brzaskiem. Przechodząc obok numeru Carol, zatrzymał się i nie wiadomo dlaczego przystawił ucho do drzwi. Oczywiście nic nie usłyszał. Nie próbował przekręcić gałki. Jaki to by miało sens? Carol potrzebny był spokój. Musiała zmobilizować wszystkie siły na spotkanie z przedstawicielem władz.

Przystanął też przed drzwiami Maggie i przez długą chwilę wpatrywał się w nie tępych wzrokiem. Wyobrażał ją sobie, jej mokrą od łez poduszkę i ramiona wstrząsane łkaniem pod wpływem bólu i zawiedzionych nadziei. Nagle ogarnęła go złość i odwrócił się na pięcie. Nie potrafił jej przebaczyć. Jak mógł się spodziewać, że Maggie, ta otwarta, uczciwa i troskliwa Maggie, tak bezbłędnie odegra swoją rolę i wystrychnie ich na dudka?

Zjadł w restauracji lekkie śniadanie i usiłował przeczytać gazetę. Mężnie próbował otrząsnąć się z przygnębienia i stawić czoło niezbitą pewnością, że zawiodła go intuicja.

Urzędnik Ambasady Stanów Zjednoczonych w Nairobi zabrał ich w południe sprzed hotelu. Obie panie były opanowane. Żadna z nich nie miała makijażu. Pocętkowana skóra na twarzy Maggie oraz jej zapuchnięte oczy potwierdziły słuszność domysłów Kena co do sposobu spędzenia przez nią nocy.

Carol ubrana była w czarne spodnie i bluzkę z krótkim rękawem w tym samym kolorze. Na szyi miała pojedynczy sznur pereł. Ciemne włosy z przedziałką pośrodku głowy oraz spokojny wyraz twarzy nadawały jej surowy wygląd, który był bardziej przejmujący od jawnej rozpaczki. Ken uznał tę postawę za doskonałą. Od czasu do czasu szukali się wzrokiem i wymieniali pełne zrozumienia spojrzenia. Nie próbował patrzeć na Maggie i było oczywiste, że ona też unika jego oczu.

- Zdaję sobie sprawę, że to musi być dla was okropne - powiedział pracownik ambasady, prowadząc samochód. Był młodym człowiekiem o bystrym spojrzeniu. Miał na sobie jasny garnitur i krawat w duże grochy o żywych barwach. Przybrał stosownie do sytuacji pełen współczucia wyraz twarzy. - Kenijczycy będą chcieli mieć to jak najprędzej za sobą. Chodzi o złą reklamę, rozumiecie sami. Są przeczuleni na punkcie wypadków, które mogą odstraszyć turystów. Mają wasze zeznania, których udzieliliście policji w Masai Mara oraz instytucji organizującej safari. Biedny pan Butterfield. - Przedtem złożył Carol wyszukane kondolencje i wszystkich poinformował, że ambasador jest zajęty organizowaniem dla nich biletów na przedpołudniowy lot do Europy.

- Najgorsze są te niezwykle wypadki - stwierdził. - Przykro mi, że nie znaleziono. . . - Zreflektował się i umilkł.

Meade poinstruował ich przedtem, jak się mają zachowywać wobec władz. Najwidoczniej miał już w swojej karierze podobne doświadczenia.

- Przede wszystkim musicie się ściśle trzymać podanej przez siebie wersji - przestrzegł ich. - Nie wspominać o strzelbie, bardzo was proszę. Posiadanie broni jest nielegalne i mógłbym stracić licencję. Ale nie to jest jeszcze najważniejsze. Jeśli usłyszą, że została użyta broń, zatrzymają was w Kenii. Będą przesłuchania i biurokracja. Mówię to dla waszego dobra, wierzcie mi. Poza tym wszyscy widzieliśmy, co się stało. To był wypadek. Mieliśmy szczęście, że przynajmniej udało się nam uratować panią Butterfield.

Oczywiście wszyscy na to przystali. Nawet nieutulona w żalu Maggie skinęła głową, przyjmując do wiadomości pouczenia Meade'a.

Do tego czasu wszystkie dowody zniknęły. Szczątki krokodyli spłynęły w dół rzeki.

- Ciało zawsze znika w afrykańskim buszu - wyjaśnił Meade Kenowi na osobności. - A zwłoki biednego Butterfielda nie są wyjątkiem.

W obecności pracownika ambasady spotkali się w małym pomieszczeniu biurowym z przedstawicielem rządu. Zgodnie z przewidywaniami Kena i Meade'a, urzędnik-sympatyczny czarnoskóry Kenijczyk, który mówiąc zjadał końcówki wyrazów - pragnął jak najprędzej zakończyć całą sprawę. Carol okazywała stosowne do okoliczności przygnębienie. Maggie, jak zauważył Ken, była traktowana za ledwie jako zasmucony przyjaciel, a na niego prawie wcale nie zwracano uwagi.

- Jest mi okropnie przykro, pani Butterfield - powiedział Kenijczyk. - Takie wypadki zdarzają się u nas bardzo rzadko. Trzeba jednak pamiętać, że w rezerwacie zawsze istnieje zagrożenie.

Dalej wyjaśnił im, że Kenia jest rozwijającym się krajem, który bazuje na turystyce. Dał do zrozumienia, że jakakolwiek wzmianka na temat wypadku w środkach masowego przekazu byłaby szkodliwa dla jego państwa. Carol ze zrozumieniem skinęła głową.

Następnie urzędnik wręczył im starannie przepisane na maszynie wersje ich poprzednich zeznań. Notariusz, który do nich dołączył, podsunął Carol do podpisu złożone przez nią pod przysięgą oświadczenie. Potem Kenijczyk wstał i wyciągnął do niej rękę.

- Żyjemy nadzieję - powiedział - że nie obarcza pani naszego rządu odpowiedzialnością za to, co się stało. Carol uściśnęła jego dłoń.

- Nie - szepnęła drżącym głosem. - Jak mogłabym kogokolwiek za to winić. Przecież to był tylko nieszczęśliwy wypadek.

Pracownik ambasady odwiózł ich do hotelu. Z wyraźną ulgą przyjął fakt, że wszystko gładko przebiegło, i nie czuł dalszej potrzeby silenia się na wylewność. Wszystkim to odpowiadało. Gdy wysadził ich przed hotelem, obie kobiety wróciły do swoich pokoi, nie zamieniając ze sobą słowa. Ken przez dalszą część dnia też stronił od ich towarzystwa.

Wypił do końca brandy i zamówił następną. Zobaczył, że Meade idzie w jego stronę. Był nie ogolony i zmęczony, ale zadziwiająco trzeźwy. Opadł na krzesło naprzeciwko Kena.

- Kurewska droga - powiedział.

- Drinka?

- Pasuję - odparł Meade, uśmiechając się. - Straciłem ochotę.

- A to pech - rzekł Ken, popijając alkohol.

- Jeszcze jedna strata. Cholerne wypadki. Rozumiem, że tutaj wszystko gładko poszło. - Potarł brodę. -

Dziękuję za dyskrecję w sprawie strzelby.

- Gdyby nie broń, byłoby już po Carol.

- Błędne koło przepisów, jak w "Paragrafie 22" - powiedział ponuro Meade, ale zaraz się rozpogodził. - Uratowałem ją dla pana, prawda? - I wzruszył ramionami, jak gdyby chciał dodać: Czy to ma teraz jakieś znaczenie?

Ken skinął głową. Nie było powodu, dla którego miałby dłużej się z tym ukrywać.

- Nie miałem wiele czasu - rzekł Meade. - Musiałem szybko dokonać wyboru. - Zaczął mówić, ale zaraz machnął ręką, rezygnując z dalszych wyjaśnień.

- Trudna decyzja - zauważył Ken.

- Nie tak bardzo - odparł Meade.

Ken przypomniał sobie jego stwierdzenie, że myśliwy wie, kto musi zginąć.

Meade wyjął ze swojej myśliwskiej kurtki kopertę i podał ją Kenowi.

- Ostatnie koszty - powiedział. - Proszę wysłać czek pocztą. - Wstał i uśmiechnął się. - Pani Butterfield będzie miała teraz mnóstwo środków na to, żeby je pokryć. Poza tym nie doliczyłem wydatków na ochronę zdrowia.

Znowu pieniądze, pomyślał Ken, przyglądając się pooranej i ogorzałej od słońca twarzy Meade'a, która teraz wykrzywiła się w uśmiechu. Chwileczkę, pomyślał, została jeszcze jedna sprawa.

- Co o tym sądzisz, Meade? - zapytał, udając obojętność. - Czy to był zwykły wypadek?

Meade długo mu się przyglądał, a potem pokręcił głową.

- Wykluczone - powiedział ochryplym głosem.

- On czy ona? - chciał wiedzieć Ken.

- Oto jest pytanie, stary - powiedział Meade i odwrócił się na pięcie.

Ken zamyślił się. A więc zawsze to pytanie będzie stało pomiędzy nimi. Pewnego dnia zada je Carol. Nie był pewny kiedy, tak jak niczego nie mógł już być pewnym. Żył w kłamstwie i prawdopodobnie pisane mu było w nim umrzeć.

Powiedziała władzom, że to był wypadek. Skłamała? Czy chciał cię zamordować? - miał ochotę ją zapytać.

A może to ty próbowałaś go zabić? Chętnie postawiłby jej i to pytanie.

Lepiej nie wyzywać losu. Eliot, podobnie jak Franciszek Macomber, miał przecież swoje krótkie szczęśliwe życie.

Ken wznosił cichy toast i wypił go jednym haustem.

Było jeszcze ciemno, gdy nagły dźwięk budzika wyrwał Kena ze snu. Za godzinę mieli zostać odtransportowani na lotnisko. Ogolił się, wziął prysznic, włożył ubranie, wyszedł na korytarz i pośpiesznym krokiem skierował się do pokoju Maggie. Nadal łączyło ich wiele przyziemnych spraw - wspólny bagaż, paszporty i inne formalności związane z podróżą.

Zdał sobie sprawę, że czeka ich jeszcze sporo niemiłych obowiązków. Musieli poinformować dzieci o planowanym rozwodzie, sporządzić umowę i porozumieć się co do jej szczegółów. Na Carol spoczywał straszliwy ciężar powiadomienia członków rodziny Eliota oraz przygotowania do pogrzebu, podwójnie nieprzyjemne z powodu braku ciała. A potem miała jeszcze przed sobą wyczerpujące postępowanie prawne związane z podziałem spadku.

Problemy, których nie sposób uniknąć, pomyślał, i zaraz uśmiechnął się do siebie. Zaczął się odprężyć.

Czuł, że nadchodzi chwila, kiedy będzie mógł sobie pozwolić na radość.

Na drzwiach Maggie wisiała wywieszka "Nie przeszkadzać". Ken zignorował ją, zapukał i zdziwił się, że Maggie tak prędko wpuściła go do środka. Była ubrana. W fotelu siedziała Carol, również gotowa do drogi. Podniosła na niego wzrok i uśmiechnęła się. Na stole stało śniadanie.

- Właśnie rozmawialiśmy - powiedziała Maggie. Miała bladą twarz i zapuchnięte oczy. Najwyraźniej przed chwilą płakała, ale odzyskała już panowanie nad sobą.

- Eliot zamierzał powiedzieć mi o sobie i o Maggie - stwierdziła Carol.

- Obiecał to zrobić - rzekła Maggie. - Dostyc kłamstw. Oboje byliśmy co do tego zgodni.

Ken oparł się o ścianę, przyglądając się obu kobietom i przerzucając spojrzenie z jednej na drugą. Nie mógł zrozumieć tego niespodziewanego potoku zwierzeń.

- Tak, to prawda - przyznała Carol i spojrzała na Kena, jakby mówiła w imieniu ich obojga. - My też byliśmy już wyczerpani kłamstwami. - I zwróciła się do Maggie: - Wasze usilne zabiegi, żeby nas zbliżyć do siebie, były niepotrzebne. - Umilkła i znowu popatrzyła na Kena. - Powiedziałam jej, kiedy wszystko się między nami zaczęło, Ken.

Spojrzał niepewnie na Maggie. A więc Carol opowiedziała jej całą ich historię. Pewnie to było przyczyną niedawnych łez. Dostrzegwał na jej twarzy ślady złości, jaką spowiedź Carol w niej wywołała.

- Okazuje się, że nasze małżeństwo miało spróchniałe podstawy od samego początku - zauważyła Maggie z goryczą.

- Maggie, wiesz, że to nieprawda - powiedział Ken. Poczuł, że wilgotnieją mu oczy. - Przeżyliśmy razem wiele lat, mamy dzieci. - Nagle uświadomił sobie, że nie jest w tej parze jedynym nikczemnikiem. Ona też nie była wierną żoną. Powstrzymał się jednak przed postawieniem jej tego zarzutu. W końcu to ona straciła kochanka. - Problem polegał na tym - powiedział niepewnie - że nie chcieliśmy się nawzajem zranić.

Maggie wstała i podeszła do okna, z którego roztaczał się widok na wypielęgnowany trawnik przed hotelem. Nagle odwróciła się.

- Czy w ogóle coś o sobie nawzajem wiemy? - zapytała.

- To niezbyt fortunne pytanie w tym gronie - odparł Ken.

- Nie powinniśmy byli tutaj przyjeżdżać - rzekła Carol.

- To nie było potrzebne.

Ależ było, zaprotestował w myślach Ken. Zapadła długa, kłopotliwa cisza.

- Eliot był bankrutem - powiedziała nagle Maggie, wzruszając ramionami. - To dlatego nie mogliśmy. . . -

Głos jej się załamał, usta zaczęły drżeć. Dopiero po jakimś czasie odzyskała panowanie nad sobą.

Carol chciała wstać, ale po chwili wahania z powrotem opadła na fotel. Jej gładkie czoło przecięła głęboka bruzda.

- To wszystko z powodu tej cholernej umowy - powiedziała Maggie dobitnym ze złości głosem. - Kochałam mnie. Nie potrafił jednak zrezygnować ze swojego stylu życia. Ani dla mnie, ani dla nikogo innego. I przez to zginął. Usta znowu zaczęły jej drżeć i odwróciła się w stronę ogrodu.

- Mój Boże - westchnęła Carol. - Mógł przecież. . . - zaczęła, ale spojrzała na Kena i nie dokończyła zdania. Nie, pomyślał Ken, to nieprawda. Nie mógł z tym przyjść do Carol, tak samo jak ona nie mogła przyjść do niego.

Przeszedł przez pokój i stanął za Maggie. Wyciągnął rękę, ale zaraz ją cofnął.

- Wszystko będzie dobrze, Maggie - szepnął. - Zatrzymasz mieszkanie i nie będziesz miała żadnych problemów z opieką nad dziećmi. - Umilkł, przypominając sobie jej słowa sprzed kilku dni, kiedy prosiła go o rozwód. - Znajdziesz sobie kogoś. Jestem o tym przekonany.

Odwróciła się gwałtownie i przeszła go pełnym nienawiści spojrzeniem.

- Czy ty nic nie rozumiesz? Kochałam go. Kochałam Eliota. Nigdy nie będzie dla mnie nikogo poza nim.

Przyglądał się jej w milczeniu. Cóż mógł powiedzieć? Spojrzał na Carol.

- Lepiej już chodźmy - rzekł, zdejmując bagaże z półki, ale zanim wyszedł z pokoju, dobiegł go głos Maggie.

- Czy to nie dziwne, że żadne z nas nie było taką osobą, za jaką się podawało?

Ken zatrzymał się, powoli skinął głową, a potem wyniósł walizki na korytarz.

Rozdział XXVII

Calvados, proszę - zwrócił się Ken do kelnera.

- Dwa razy - dorzuciła Carol.

-Uroczy widok - zauważył Ken, patrząc na ogrody rozpościerające się za ruchliwą rue de Rivoli. Z miejsca, w którym siedzieli na tarasie kawiarni, widział kwitnące kwiaty po drugiej stronie ulicy i odbicie zachodzącego słońca w Sekwanie. - Miałaś fantastyczny pomysł, Carol, żeby przyjechać w sierpniu do Paryża.

- Sądziłam, że to była twoja propozycja.

- Nie. Nasza wspólna, nie pamiętasz?

Wcześniej zatrzymali się w Saint-Jean-Cap-Ferrat i zamieszkali w cudownym małym mieszkaniu z pięknym widokiem na port. Ken ustawił komputer przy oknie. Mógł patrzeć na Morze Śródziemne i rozmyślać nad nowym pomysłem, który mu przyszedł do głowy jeszcze w Marbella.

Wątek powieści, którą tam pisał, był osnuty na historii miłości dziennikarza z Nowego Jorku do ambitnej śpiewaczki operowej.

W Marbella wynajmowali willę położoną na skałach nad morzem. Carol przychodziła do jego pokoju, w którym pracował przez całe przedpołudnie, i zaglądała mu przez ramię, żeby zobaczyć, co napisał. Wylączał wtedy komputer.

- Jeszcze nie jest skończona - oświadczał jej kategorycznie. - Każdy pisarz ma swoje zasady.

Nie protestowała. Wiedział, że jest szczęśliwa, mogąc być przy nim. Popołudnia należały tylko do nich. Czyż sobie na to nie zasłużyli?

Szli coś zjeść do jednej z małych kafejek na powietrzu, z widokiem na morze, spacerowali po molo albo odwiedzali sklepy w centrum. Często zaglądali do galerii i antykwariatów. Carol targowała się o ceny różnych przedmiotów, których wartość mogła jej zdaniem wzrosnąć, i czasami coś kupowała.

A potem wracali do willi na bardzo długą sjęstę, podczas której przeważnie się kochali. Teraz, gdy nie musieli się już ukrywać i byli wolni od poczucia winy, robili to w sposób mniej szalony, spokojniej i bez pośpiechu.

- Chyba już umarliśmy i jesteśmy w raju - zwykła powtarzać.

Wzmianka ta często ożywiała wspomnienia o Afryce. Na początku Kenowi nie dawała spokoju myśl o okolicznościach śmierci Eliota. Nieustannie o nich rozmyślał. Widział Eliota i Carol, jak idą wzdłuż wysokiego nabrzeża; każde z nich w turystycznym obuwiu o dobrej przyczepności, dzięki grubej i głęboko rzeźbionej podeszwie. Próbował odtworzyć obrazy walki Eliota i Carol na ścieżce nad rzeką. W końcu całe zdarzenie zaczęło powoli zacierać mu się w pamięci. Detale zanikały, wspomnianie stawało się coraz trudniejsze, a potrzeba wracania myślą do przeszłości mniej paląca. Miał nadzieję, że nadejdzie taki dzień, kiedy będzie gotowy, żeby napisać o Afryce, i wtedy wspomnienia znów staną się żywe.

Podział spadku Eliota przebiegł bez kłopotów i nawet Carol była zaskoczona wartością swoich antyków i dzieł sztuki. Za radą ekspertów upłynęła kilka eksponatów, które stanowiły zaledwie jedną czwartą jej majątku i po odliczeniu podatku przyniosły jej ponad półtora miliona dolarów.

Ken okazał wielką wspaniałomyślność w stosunku do Maggie i dziewcząt. Pozwolił im zatrzymać mieszkanie w Brooklynie. Oddał im też większość pieniędzy, które pochodziły z funduszu emerytalnego oraz udziału w zyskach firmy i stanowiły całkiem pokaźną kwotę. Maggie znalazła sobie prędko kilku nowych klientów. Dziewczęta, a szczególnie starsza, która we wrześniu miała pójść na studia, były na początku zaszokowane i oburzone, lecz w końcu pogodziły się z sytuacją. Wiedział, że Maggie da sobie w życiu radę. Rozwód został szybko przeprowadzony na wniosek obu stron.

Koledzy z agencji reklamowej zazdrościli mu decyzji o rezygnacji z pracy.

- Człowiek winien podążać za swoimi marzeniami - powiedział im Ken w trakcie pożegnania, które wydał w biurze. Wszyscy z aplauzem przyjęli jego oświadczenie.

Wziął ślub z Carol w Nowym Jorku na tydzień przed Dniem Poległych i wyjechał z nią do Hiszpanii. On po to, żeby pisać, ona - żeby pełnić rolę kochającej żony.

Oboje postanowili, że tak właśnie ma wyglądać ich wspólne życie. Musieli przecież nadrobić ponad dwadzieścia lat.

- Będziesz pisał, a ja, kochając cię, zawsze będę przy tobie.

- Czy to solenna i nieodwołalna obietnica?

Uniosła prawą dłoń, a potem przyłożyła ją sobie do piersi. Nie snuli żadnych planów ani nie ustalali trasy podróży. Zamierzali cieszyć się każdym nadchodzącym dniem. Mieli spadek Carol. I siebie. Niczego więcej nie potrzebowali.

To Ken wpadł na pomysł, żeby po niespełna miesiącu wyjechać z Hiszpanii.

- Lubię być w ciągłym ruchu - powiedział Carol. Na początku protestowała.

- Tutaj jest tak ślicznie.

- Tak jak wszędzie, gdzie będziemy razem. Jesteśmy wolni i możemy pojechać, dokąd nam się podoba.

- Tak. Jak ptaki - przytaknęła.

- Sądzę, że zmiana miejsca będzie korzystna dla mojej pracy - wyjaśnił. - Pisarzowi potrzebne są coraz to nowe wrażenia.

- Doskonale to rozumiem, kochanie - przyznała. - Pisarz nieustannie musi skądś czerpać inspirację. I jej należy się absolutne pierwszeństwo.

- Zaraz na drugim miejscu po miłości do ciebie.

- Oczywiście!

Po pierwszym rozdziale zrezygnował z pisania powieści o młodym dziennikarzu i śpiewaczce operowej. Nie poddawał się jednak panice: po prostu wypadł z wprawy. Pocieszał się, że potrzebuje więcej czasu, żeby nabrać rutyny. Miał pomysł na nową powieść, osadzoną w realiach świata reklamy. Był przekonany, że potrafi przelać go na papier, gdy tylko zacznie pracować gdzie indziej.

Saint-Jean-Cap-Ferrat na początku doskonale nadawało się do tego celu. Popołudniami jeździli na obiady do Antibes i urządzali sobie przejażdżki po wybrzeżu. Zatrzymywali się w Cannes albo w innej ciekawej francuskiej miejscowości i zwiedzali tamtejsze galerie lub sklepy z antykami. A przed powrotem do hotelu na późną sjęstę wpadali do przyulicznych kafejek na kawę albo aperitif. Natomiast wieczory spędzali zwykle w kasynach Monte Carlo.

Ken zdołał przebrnąć przez pięćdziesiąt stron nowej powieści, gdy zaczął odczuwać pewne zniecierpliwienie i wpadł na pomysł wyjazdu do Paryża. Być może, rozumował, życie w miejscowościach wypoczynkowych jest zbyt uporządkowane i za mało urozmaicone. Poza tym czuł, że powieść osiadła na mielźnie. Stracił zainteresowanie losami bohaterów, a wątek utknął w martwym punkcie.

Oczywiście nie przyznawał się do tego Carol. Nie mógł się na to zdobyć. Nie zamierzał zakłócać jej wyobrażenia o kształcie ich małżeństwa. Zatem przedpołudnia nadal były poświęcone ślęczeniu nad maszyną, chociaż tak naprawdę, Ken większość czasu spędzał na czytaniu prasy albo książek. Nazywał to poszukiwaniami, gdy Carol wchodziła przed obiadem do jego pokoju. Pod koniec lipca turyści zalali Cap-Ferrat. Zrobił się niemożliwy ruch. Na ulicach i w restauracjach panował straszliwy tłok. Ken wykorzystał to jako pretekst do wyjazdu.

- Sierpień bez tłumów w Paryżu może być przyjemny. Będziemy mieli miasto tylko dla siebie - tłumaczył jej.

Paryż był legendarną Mekką pisarzy, szczególnie dla przedstawicieli tak zwanego "straconego pokolenia". Zresztą wystarczyło, że Hemingway właśnie tam napisał swoją pierwszą powieść.

- Dobrze, Ken - zgodziła się bez sprzeciwów Carol. - Paryż zawsze inspirował twórców. To wspaniały pomysł.

- Ken Kramer!

Odwrócił się szybko. Głos wydawał mu się znajomy.

- Jill Harrison - przedstawiła się na wszelki wypadek kobieta, uśmiechając się szeroko i wyciągając do niego rękę.

- Pamiętasz mnie? - Miała ciemne włosy i była atrakcyjna. Mężczyzna, który siedział przy stoliku w drugim końcu kawiarni, bacznie im się przyglądał. Pewnie przyszła tutaj w jego towarzystwie.

- Jill - powiedział Ken, wstając i całując ją na powitanie w policzek.

Przedstawił ją Carol, która ledwie dotknęła wyciągniętej ręki kobiety. - Pracowaliśmy razem przy "Giętkich psotnicach" - wyjaśnił.

- I to jeszcze jak pracowaliśmy - przypomniała mu Jill. Ken czuł, że szuka jego wzroku. Prędko odwrócił głowę.

- To była wielka kampania - stwierdził.

- Jak każda, w której brałeś udział - powiedziała. - Macie szczęście. Paryż w sierpniu. Fantastyczna pora na pobyt tutaj.

- Nie zamierzamy tego powszechnie rozgłaszać - rzekł Ken, spoglądając na Carol, która opróżniała kieliszek calvadosu. Uderzyła go nagła zmiana w wyrazie jej twarzy, mocno zaciśnięte usta i zwężone oczy. Wstała, wyjmując portmonetkę. Najwyraźniej miała ochotę wyjść. Jej nieprzyjazne zachowanie wydało mu się dziwne.

- Spotkajmy się któregoś dnia - zaproponowała Jill.

- Tak, oczywiście - odparł wymijająco Ken. - Damy znać, gdy tylko się rozlokujemy.

- Zatrzymaliśmy się w George Cinq - poinformowała go Jill i wymieniwszy uściski dłoni, odeszła do swojego stolika.

- O co chodzi? - zapytał Ken, gdy opuścili kawiarnię i szli wolnym krokiem rue de Rivoli. Carol wzięła go pod rękę. Prawie się nie odzywała.

- Sama nie wiem - rzekła. - Ta kobieta. . - Zawiesiła głos.

- Jill? Jest moją koleżanką z agencji.

Szli dalej. Nagle Carol zatrzymała się i spojrzała mu prosto w twarz.

- Spałeś z nią?

- Poważnie mnie o to pytasz?

- Jak najpoważniej, Ken.

- Dlaczego chcesz to wiedzieć? - zapytał, zmieszany jej dociekliwością.

- Z ciekawości. - Wzruszyła ramionami. Przyjrzał się jej badawczo. Sądziła, że ma do tego prawo. Był tego pewien.

- Razem pracowaliśmy - odrzekł.

Ruszyli dalej. Obok nich pędziły samochody. Po drugiej stronie ulicy ciągnęły się ogrody.

- To już wiem - powiedziała Carol. - Pytam, czy z nią spałeś.

- Ależ z ciebie groźna tygrysica - zakpił dobrodusznie Ken.

- Spałeś?

- To było tak dawno temu.

- A więc spałeś.

- Nic poważnego - zapewnił. - Zaledwie kilka sporadycznych spotkań.

Carol skinęła głową i zatrzymała się gwałtownie przed skrzyżowaniem, czekając na zmianę świateł. Czuł się dziwnie, usprawiedliwiając się przed nią.

- Byłem związany z kobietą, której nie kochałem. Wiesz o tym.

W tym momencie poczuł, że zostaje popchnięty do przodu, wprost pod koła nadjeżdżającego samochodu. Widział przerażoną twarz kierowcy. Był zupełnie bezbronny. Samochód toczył się prosto na niego. Zaraz potem, gdy jego umysł zdążył zarejestrować strach, poczuł szarpnięcie w tył. Bezgłośnie musnął go pęd powietrza przejeżdżającego samochodu. Dopiero wtedy odwrócił się do Carol.

Napotkał jej spojrzenie i w jego głębokim, śmiertelnym spokoju odczytał prawdę, która poraziła go nagłym błyskiem. Spuścił oczy, zmieszany. Sięgnął do tyłu ręką i natrafił na pomarszczone płótno żakietu Carol. To ona go popchnęła. Tak samo jak Eliota.

Mój Boże, krzyczał w głębi duszy. Potknął się o krawężnik. Pomogła mu utrzymać równowagę.

- Powinieneś być bardziej ostrożny, Ken - upomniała go.

Odwrócił się znowu, żeby na nią spojrzeć. Serce łomotało mu w piersi. Przez ułamek sekundy patrzyli sobie w oczy. Nie miał wątpliwości. Najpierw go popchnęła, a potem uratowała. To było tak jasne jak niebo latem. Światła zmieniły się i ramię w ramię przeszli na drugą stronę ulicy. Ledwie się trzymał na nogach, gdy znaleźli się w ogrodzie. Całym wysiłkiem woli usiłował utrzymać krok. Spojrzał na nią z profilu. Miała twarz dreźdeńskiej lalki, łabędzią szyję i pełną wdzięku postawę.

Kochał tę kobietę, pomimo tego, czego się właśnie o niej dowiedział. Przeczował, że już zawsze będzie wplątany w sieć miłości do niej. Był pewien, że ona również go kocha, a owym gestem ostrzegła go tylko, że stać ją na wszystko.

Motyw jej postępków był dla niego oczywisty. Powiedział jej kiedyś, że nie zdradził Maggie. Skłamał, a ona go na tym przyłapała.

Sygnalizowała mu w ten sposób, że czas kłamstw już minął. Ale on wiedział, że nie powie jej o tym, że nigdy nie zostanie wielkim pisarzem, że nie spełnią się jego marzenia i nie będzie drugim Hemingwayem. Nie przyzna się przed nią, że brakuje mu pomysłu, który zapłonąłby prawdą, tak jak ten w "Krótkim szczęśliwym życiu Franciszka Macombera" albo w przypadku lamparta na szczycie Kilimandżaro.

Tak. Przedstawiła mu swoje stanowisko. Prawda paliła mu wnętrze. Carol potrafiłaby zabić dla miłości, tak jak zabiła dla majątku. Bez poczucia winy i bez wyrzutów sumienia. Poczul na ciele gęsią skórę.

Wiedział, że nigdy nie zdobędzie się wobec niej na odwagę. Nigdy. Tak jak fazy księżyca, wszystko w życiu ma swoje mroczne strony. Bierz miłość i nie zastanawiaj się dłużej, tłumaczył sobie. Miłość jest prawdziwa.

Miłość jest czysta. Miłość jest jasną stroną księżyca. A cokolwiek z niej wypływa, musi być równie dobre.

Nie zamierzał mówić jej o swoich straconych marzeniach. Byli przecież wolni. Mógł wątpić. Szukać inspiracji. I kochać. Dlaczego miałby cokolwiek niszczyć? Milczeć to nie znaczy kłamać. Czyż nie tak?

Koniec